



# *Eileen Goudge*



*Tak czy owa, zaręczona*



- Gdy człowiek kroczy po jakiejś drodze,  
zawsze przewidzieć można,  
jaki go czeka kres - ciągnął Scrooge.

- Lecz jeśli człowiek zmieni drogę życia,  
inny go także będzie czekał kres. Powiedz mi, duchu,  
że tak właśnie jest z widziadłami, któreś mi ukazał.

Karol Dickens *Opowieści wigilijne. Kołęda*  
(przeł. Krystyna Tarnowska)



## Rozdział pierwszy

- Ani się obejrzysz, a już będę z powrotem. Mój dom jest zaraz przy końcu tej ulicy - powiedział Jonathon, kiedy zbliżali się do stacji Great Neck. W sobotni poranek parking był prawie pusty. - Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu? Mogłoby być nieco niezręcznie z Rebeką i w ogóle. - Spojrzał z niepokojem na Jessie.

- Wszystko w porządku, Jon. - Uśmiechnęła się do niego najmiłszym ze swoich uśmiechów, mówiących: „Razem przez to przejdziemy”.

Rozmawiali już wcześniej i mówiła, że nie ma nic przeciwko temu, by poczekać na stacji i tym samym uniknąć możliwych scen, podczas kiedy on pojedzie do swojej byłej żony po dzieci. Tak naprawdę miała coś przeciwko, ale tylko troszeczkę... W końcu zorganizował to spotkanie, żeby mogła poznać Zacha i Sarę. Nie miała zamiaru roztrząsać faktu, że powiedział *mój dom*, co przecież było tylko technicznie prawdą. Nie będzie również zajmować się tym, jak dzieci odbiorą wiadomość, że dziewczyna ich ojca nie jest całkiem koszerna. Musi unikać używania takich słów jak koszerny - nie należało przypominać jego rodzinie, że nie była Żydówką. Jak i o tym, że kiedyś źle wymówiła imię wujka Chaima (niczym rym do szelma), a Jonathon ją poprawił, mówiąc, że wymawia się je „Hiy-am”.

- Dzięki, Jess.

Jego spojrzenie było pełne ciepła i wdzięczności. Przeszedł ją miły dreszcz, przypominający, dlaczego się w nim zakochała. Oprócz tego, że wyglądał jak z żurnala, to jeszcze był opiekuńczy i wrażliwy, a jednocześnie na tyle wyrazisty, żeby pozostać interesującym. Teraz musiała tylko pozytywnie przejść test z jego dziećmi...

- Nie ma za co.

Mama przecież wychowała ją na dobrą sportswomenkę, co oznaczało, że nawet jeśli by wykrwawiała się na śmierć albo miała zawał, nie dałaby tego po sobie poznać. Nie zauważywszy nawet cienia niepewności w jego oczach, położyła dłoń na jego nadgarstku i dodała:

- Tak będzie prościej dla nas wszystkich.

Odpinała już pas, żeby wysiąść z samochodu, kiedy ogarnęła ją fala paniki.

- A co będzie, jak mnie nie polubią?

Odwróciła się, żeby spojrzeć na Jonathona. Coś ją ścisnęło w żołądku już na samą myśl o tym. Zmarszczył się skonsternowany, odgarniając ciemne pasmo włosów, które opadało mu na brew jak u Clarka Kenta.

- Zawsze na początku jest trudno - powiedział z wolna, w ten właściwy mu, pełen

troski sposób, co uświadomiło jej, że traktuje te obawy poważnie. - Ale kiedy cię już poznają, jestem pewien, że pokochają cię tak mocno, jak ja.

Ona nie była tego taka pewna. Znowu coś wykonało leniwy półobrót w jej żołądku.

- Cóż, ciągle zastanawiam się, czy to rzeczywiście był dobry pomysł.

Mieli pojechać do domu jego rodziców w Rhinebeck. Jonathon chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: poznać ją z dziećmi i przedstawić rodzicom; wszystko na raz. Odniosła wrażenie, że ugryzła dużo więcej tej pieczeni, niż była w stanie przełknąć. Ponadto jej najlepsza przyjaciółka, Erin, która wróciła do Willow Creek, stanowczo odradzała takie spotkanie. Kiedy jednak Jonathon wspomniał o swoim pomysle po raz pierwszy, Jessie była tak podekscytowana następnym etapem ich znajomości, możliwością, że stanie się częścią jego życia i przestanie być tylko bliżej nieokreśloną dziewczyną, ukrywaną przed światem, że nie do końca przemyślała wówczas tę decyzję.

- Nie stresuj się, wszystko będzie dobrze. Matka i ojciec może nie są przeciętnymi rodzicami, ale trzeba przyznać, że to świetni ludzie. Polubisz ich.

*No dobrze, ale czy oni polubią mnie?* Starła się uśmiechnąć, bardziej ze strachu, że wyjdzie na neurotyczkę, niż z powodu tego, co ją czeka. Dopiero później okazało się, że skupiała się tylko na tym, aby nie upodobić się do byłej żony Jonathona.

- Wiem, że masz rację. Tylko trochę się denerwuję. Wszyscy znają ten dowcip o matce Żydówce, która wsadziła sobie głowę do piekarnika na wieść o tym, że jej syn spotyka się z jakąś gojką.

Pomyślała o ich pierwszym spotkaniu, które miało miejsce sześć miesięcy temu, w barze sałatkowym w koreańskich delikatesach, niedaleko jej domu. Nakładała właśnie cieciorkę do swojej sałatki z zielonych warzyw, kiedy jakiś wewnętrzny radar kazał jej spojrzeć w górę. Naprzeciw niej stał wysoki ciemnowłosy mężczyzna. Jego szerokie ramiona i kark przesłaniały jej widok, czuła, że z podekscytowania coś wibruje jej w głowie, zupełnie jak telefon. On też musiał wyczuć jej obecność, ponieważ w jednym momencie odwrócił się, jakby szukając jakiegoś składnika do sałatki, o którym zapomniał. Ukradkiem się jej przyglądał. Starła się nie wpatrywać w niego uporczywie. Był to przystojny facet, jednak nie na tyle, żeby kobieta nie czuła się przy nim swobodnie. Ten typ faceta rozkładał na łopatki jak celny cios.

Wyglądał, jakby był w jej wieku, miał ponad sześć stóp wzrostu - był wyższy od Jessie, która sama przecież była wysoka. Jego błyszczące, lekko kręcone włosy w kolorze melasy były przyprószone na skroniach siwizną, a oczy miały odcień błękitu z *Gwiazdzistej nocy* Van Gogha. Miał twarz o wyrazistych rysach, jak modele Ralpa

Laurena - wyraźnie zarysowaną szczękę i kości policzkowe, pełne, dobrze wykrojone usta, które aż się proszą o pocałunek. Nie było w nim nic sztucznego; wprost bił od niego testosteron.

Spojrzała na niepozorną ilość groszku na plastikowym talerzyku, który trzymał, zanim jej wzrok padł na jego lewą dłoń, z bladym paseczkiem na palcu, gdzie wcześniej musiała znajdować się obrączka. *Rozwiedziony* - pomyślała. Wygląda na to, że całkiem niedawno.

Zdała sobie sprawę, że mu się przygląda, kiedy posłał jej zagadkowy uśmiech, jakby pytając: *Czy my się skądś znamy?* Była tak zdeprimowana, że cieciora zaczęła jej spadać z łyżki na podłogę, rozsypując się na wszystkie strony.

Świetnie, po prostu znakomicie - jęknęła głucho. Właśnie zobaczyła najfajniejszego faceta od wieków i zepsuła wszystko, zanim zdążyła otworzyć usta. Jednak z ulgą stwierdziła, że Pan Wysoki Przystojny Brunet tylko z tego zażartował, końcem swojego pantofla sprawnie usuwając groszek z drogi.

Spojrzała zakłopotana w stronę właściciela sklepu, zajętego przy kasie podliczaniem zakupów kolejnego klienta.

- Chyba powinnam pozamiatać.

Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując uroczo krzywy przedni ząb. Kolejny punkt dla niego - miała nieuzasadniony brak zaufania do mężczyzn o perfekcyjnym uzębieniu.

- Zawsze jest pani taka skrupulatna? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- Musi to być zapisane w moim DNA.

- Ach, tak jak myślałem. Pani nie jest stąd. - Patrzył na nią z rozbawieniem, przechylając głowę na jedną stronę. - Proszę pozwolić mi zgadnąć: z Ohio? Nie, z Minnesoty.

Jessie jęknęła. Mimo że od ponad piętnastu lat mieszkała w Nowym Jorku, jej naturalne blond włosy, brzoskwiniowa karnacja i wprost modelowe ciało świadczyły o tym, że wyrosło ono na samych zdrowych, organicznych produktach. Tak jak kiedyś słusznie zauważył jej ukochany najemca, Clive, pochodziła z okolic „baaaardzo na zachód od Missisipi”.

- Proszę przyjąć to jako komplement - powiedział mężczyzna. - Wygląda pani tak, jakby mówiąc „miłego dnia”, rzeczywiście tego życzyła.

Skrzywiła się nieznacznie i wykonała ruch, który miał oznaczać, że w ten sposób ratując sytuację, troszkę się pograżał. Ale lody zostały przełamane, a może nawet coś więcej... Zniknął mur, który zbudowała wokół siebie, jak większość samotnych, spragnionych romantyzmu kobiet na Manhattanie. Gawędzili jeszcze przez chwilę,

doradzając sobie w sprawie doboru surówek, kiedy w końcu się przedstawił:

- Jonathon. Jonathon Silver. - Trochę za długo przytrzymał jej wzrok i lekko ścisnął dłoń w taki sposób, jakby chciał jej przekazać, że nie ma zwyczaju podrywania nieznajomych kobiet. Już wtedy miała wrażenie, że zna go od lat.

Teraz, widząc miłość i troskę na jego twarzy, czuła, jak znikają wszelkie jej opory. Wiedziona impulsem, pochyliła się w jego stronę, wzięła w dłonie jego twarz i namiętnie pocałowała w usta. Chciwie odpowiedział na pocałunek i przytulił ją mocno, przypominając, jak wielkie było jej poświęcenie, że dała się wyciągnąć z łóżka już o świcie, mimo że w weekendowe poranki zwykli się słodko i niespiesznie kochać.

Pomyślała o ostatniej niedzieli, spędzonej u niej w domu, kiedy zaskoczył ją, przynosząc śniadanie do łóżka. Może naleśniki były zbyt mało dosmażone, ale maliny, którymi je posypał, wyglądały przepysznie. Wskazała na nie, mówiąc:

- Gdzie je kupiłeś? - Nie pamiętała, kiedy ostatni raz kupiła maliny; były strasznie drogie poza sezonem.

- W sklepie na rogu - odpowiedział. Wyglądał uroczo, z włosami równie zmierzwionymi jak ich łóżko po wspólnie spędzonej nocy. Aż musiała się powstrzymać, żeby nie zmarnować śniadania i nie porwać go z powrotem pod kołdrę.

- Są trochę zgniecione. Kupiłem ostatnie pudełko.

Spojrzała przez okno, padał deszcz ze śniegiem. Wyszedł w taką pogodę, żeby kupić jej maliny, bo wiedział, jak bardzo za nimi przepada. Było w tym coś tak rozkosznie staroświeckiego, że łzy napłynęły jej do oczu. *Uda się nam* - powiedziała sobie. *Musi się udać...*

Zostawiając na przednim siedzeniu pudełko czekoladek dla jego rodziców, wysiadła z samochodu.

- Wróć, zanim się obejrzyysz - wesoło krzyknął Jonathon przez otwarte okno, a kiedy zjeżdżał z krawężnika, jego zamarzający oddech pozostawił za nim obłok pary.

Usiadła na ławce, obejmując się ramionami, żeby zachować ciepło. Był styczeń, miesiąc w którym nawet bluszcz angielski, zasadzony wzdłuż nasypu kolejowego, powiewał smętnie na mroźnym wietrze. Zadrzała, kiedy silniejszy podmuch poderwał zmięte papiery i suche liście leżące wzdłuż torów. Żałowała, że nie włożyła dłuższej kurtki zamiast tej modniejszej, zamszowej, i cieplejszych butów, zamiast pantofli od J. Toda, które kupiła w chwili szaleństwa, zachęcona przez artykuł w „Atlantic Monthly”.

Jessie sięgnęła do torebki po notatnik i zaczęła zapisywać luźne myśli do swojego artykułu o chirurgii plastycznej, który w przyszłym tygodniu zamierzała podsunąć Kate, starszej redaktorce czasopisma „Savvy”. Zanim spojrzała na zegarek,

upłynęło dwadzieścia minut. Strapiła się. Coś musiało ich zatrzymać w ostatniej chwili, albo Rebeka postanowiła zrobić awanturę. Czy Jonathon nie mówił kiedyś, że Rebeka potrafi zrobić szekspirowską tragedię nawet z powodu autobusu, który odjechał jej sprzed nosa? Może to dość dziwne, ale Jessie miała wrażenie, że choć nigdy nie widziała byłej żony Jonathana, zna ją lepiej niż wielu ludzi, z którymi spotykała się przez całe lata. Jednak oczywiście wiedziała tylko tyle, ile mówił jej Jonathon.

Dwadzieścia minut przeciągnęło się do pół godziny. Jessie zaczęła się martwić, że może naprawdę coś się stało. Ale Jonathon chyba by zadzwonił? Wzięła do ręki telefon komórkowy, żeby sprawdzić, czy jest włączony, a jej niepokój zaczął zamieniać się w poirytowanie. Co takiego do diabła mogło się wydarzyć, że musiała stać na mrozie, trzęsąc się z zimna, a on nawet do niej nie zadzwonił?

Po chwili, która wydała jej się wiecznością, usłyszała dźwięk klaksonu i zobaczyła, jak ciemnogrnatowy nissan Jonathona wtacza się na krawężnik. Skoczyła na równe nogi i zaczęła iść w jego stronę, kiedy nagle zatrzymała się kilka metrów przed samochodem. Nastoletni chłopak o niebieskich oczach Jonathona i lekko kręconych włosach zajmował miejsce na przednim siedzeniu. Jej niepokój wzbudziła raczej dziewczynka o czerwonych od płaczu oczach i spuchniętej buzi, wyglądająca przez tylną szybę. W głowie Jessie zapaliła się czerwona lampka.

Niedaleko huczał pociąg i przez moment wydawało się jej, że to deus ex machina. Jessie wyobraziła sobie, że jej nauczycielka kreatywnego pisania z college'u kazała opisać tę scenę, niczym z taniej literatury. Pisk hamulców zbliżającego się do stacji pociągu jakby zachęcał ją, żeby do niego wskoczyła; w niecałą godzinę byłaby na stacji Grand Central i z resztą dnia mogłaby zrobić to, co jej się żywnie podobało. Napić się kawy i zjeść ciastko z Clive'em w Le Bergamot, jeśli miałby czas, a potem mogłaby poczytać nową książkę Muriel Spark, którą kupiła wczoraj. Albo, jeśli by się zanosilo na deszcz, zobaczyłaby wystawę El Greco w Met.

Tylko poczucie obowiązku i iskierka nadziei, że można jeszcze uratować ten dzień, powstrzymały ją od ucieczki. Zatrzymała się na chwilę, żeby wziąć głęboki oddech, zanim usiadła na tylnym siedzeniu obok zwiniętej w kłębek przygnębionej istotki, która była córką Jonathona.

- Cześć, mam na imię Jessie. Ty pewnie jesteś Sara. - Przybrała najmiłszy uśmiech, jaki można ujrzeć na zachód od Missisipi, i wyciągnęła do Sary rękę. Dziewczynka wzdrygnęła się, zupełnie jak ryba, zanim zacznie pływać do góry brzuchem.

Jonathon skarcił córkę wzrokiem.

- Przepraszamy za spóźnienie. Sara nie mogła znaleźć swoich tenisówek.

Tak jakby powód ich spóźnienia nie był boleśnie oczywisty. W bezskutecznej próbie załagodzenia sprawy, oświadczył pogodnie nie wiadomo dokładnie, komu:

- Jessie jest pisarką. - Kiedy żadne z dzieci nie zwróciło uwagi na ten fakt, kontynuował: - Sara jest początkującą pisarką. Skarbie, może Jessie udzieliłaby ci kilku rad?

Sara rzuciła ojcu mordercze spojrzenie. Jessie widziała na zdjęciach była żoną Jonathona, Sara była do niej podobna. Miała proste miodowe włosy Rebeki, duże brązowe oczy i jej drobną budowę ciała. W spodniach biodrówkach i różowej bluzce z napisem: „Cześć, kotku”, wyglądała na młodszą, niż była, a jednocześnie na dużo starszą wiekiem.

- Zach to nasz dyżurny atleta - kontynuował tym samym sztucznie serdecznym głosem Jonathon, włączając się do ruchu - jest szkolnym rekordzistą w biegach na sto jardów, a w zawodach regionalnych zdobył drugie miejsce.

- Taaato - jęknął Zach.

- Szkoda, że nie wiesz, jak ojciec o tobie opowiada, kiedy tego nie słyszysz - powiedziała Jessie.

Zach odwrócił się do niej z wymuszonym uśmiechem, ukazując metalowy aparat korekcyjny. Jessie miała jeszcze jakąś nadzieję, do czasu kiedy Jonathon, niezwracający do tej pory uwagi na Sarę, po przejechaniu kilkunastu mil, zawołał przez ramię:

- Wszystko w porządku, kochanie?

Sara nadal w milczeniu wyglądała przez okno. Jessie nie mogła powstrzymać myśli, że gdyby była w jej wieku, za takie zachowanie poczułaby już wewnętrzną część dłoni Beverly na swoim policzku. Jediną rzeczą, której jej matka nie tolerowała, było właśnie niegrzeczne zachowanie, szczególnie wobec dorosłych.

Ale czy Jessie mogła winić dziewczynkę? Rozwód rodziców jest przecież dla dzieci ciężkim przeżyciem. Co sobie wyobrażał Jonathon, zmuszając je do siedzenia razem z tyłu? Powinien był powiedzieć Zachowi, żeby to on usiadł razem z siostrą.

Kiedy cisza zaczęła już ciążyć, niczym szkodliwe opary zatruwając w samochodzie atmosferę, Jessie podjęła kolejną próbę.

- Chyba nie możecie się doczekać spotkania z dziadkami? - zapytała, zwracając się do odwróconej plecami Sary. Oboje rodzice Jonathona byli emerytowanymi już nauczycielami, zawsze ciężko pracowali, więc, jak mówił Jonathon, dzieci nie widywały ich często.

Sara odwróciła się, mówiąc:

- Rzeczywiście nie mogłam się doczekać, kiedy myślałam, że tylko my tam jedziemy.



- Wiedziałaś, że ona jedzie. Tata nam powiedział - przypomniał jej Zach.

- Wiem, co nam powiedział - odparowała Sara. Najwyraźniej myślała, że jednak pojedą sami.

Ma rację, pomyślała Jessie. Chyba zwariowałam, że się na to zgodziłam.

- Dzieciaki, proszę was. W jakiej sytuacji mnie stawiacie - przytrzymał się Jonathon. - Gdzie się podziały wasze maniery? Jessie jest naszym gościem.

- Ale mama powiedziała...

- Twoja matka nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie - uciął łagodnie, ale stanowczo.

Sara z powrotem buntowniczo zamilkła. Iskierka nadziei zgasła, niczym płomyk świecy po zetknięciu z lodowatym podmuchem. *Uważaj, czego pragniesz*, pomyślała Jessie. Łudziła się, że jej bliskość z czternastoletnią chrześnicą ułatwi zbudowanie dobrych relacji z Sarą. Wiedziała, że to nie będzie łatwe. Jednak Sara nie była podobna do Kayli i na dobrą sprawę nie było pewne, czy Jessie na jej miejscu zachowywałaby się inaczej?

Podróż do Rhinebeck wydawała się nie mieć końca. Próby polepszenia atmosfery podjęte przez Jessie i Jonathona były mniej więcej tak owocne, jak pocieranie dwóch patyków w celu wykrzesania ognia. Sara pozostała milcząca, a Zach pomrukiwał coś od czasu do czasu. Po chwili Jessie również zapadła w głuche milczenie. W momencie gdy Zach nastawił radio na rockową stację, wydobywający się z głośników ryk przyniósł wszystkim niemalże ulgę.

Kiedy w końcu dojechali pod dom Silverów o nowoczesnej bryle, wyraźnie odcinającej się od rzędu starszych domów w stylu Tudorów, Jessie była cała spięta, a drobne mięśnie drgały jej pod skórą. Idąc ścieżką prowadzącą do domu, obsadzoną jałowcami, które rzucały cieniste pasy na zrudziały trawnik, Jessie pomyślała, że bardziej prawdopodobne jest to, że zdobędzie nagrodę Pulitzera, niż zostanie przyjęta do tej rodziny.

W drzwiach powitał ich wysoki dystyngowany dżentelmen o siwych włosach, opadających na czoło w dokładnie taki sam sposób, jak u Jonathona. Po przywitaniu się z Jonathonem i dziećmi wyciągnął do Jessie swoją wytworną dłoń o długich palcach.

- Pani to pewnie Jessie - powiedział. - Wiele o pani słyszałem. - Miał taki błysk w oku, jakby wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia.

- We własnej osobie. Bardzo miło mi pana poznać, profesorze Silver.

- Proszę mi mówić Leonard. Obawiam się, że już dawno minęły czasy, kiedy terroryzowałem przyszłych absolwentów - powiedział ze śmiechem, biorąc ją pod

ramię i wprowadzając do środka.

Wziął od nich płaszcze i powiesił je w szafie w holu. Kiedy wchodzili przez zwieńczony łukiem, prowadzący do salonu przedpokój, w ich stronę płynnym lekkim krokiem, pobrzękując ciężką etniczną biżuterią, ruszyła wysoka i niezwykle przystojna kobieta, ubrana w rodzaj luźnego kaftana. Powitała ich i w taki sposób przytuliła swojego syna i wnuki, jakby nie widziała ich od lat. Podała Jessie zimną dłoń całą w pierścionkach i przedstawiła się jako Ruth.

- Proszę wybaczyć ten nieporządek - przeprosiła, wskazując na pokój, który wyglądał schludnie, nie licząc kilku pudełek pozostawionych w rogu. - Wróciliśmy z Lenem dopiero wczoraj wieczorem. Nie zdążyliśmy się nawet rozpakować.

- Jak się udała podróż? - zapytała Jessie.

- Bosko, każdy co najmniej raz w życiu powinien pojechać do Afryki. Nie ma słów, które mogłyby to opisać. Len zrobił chyba ze dwieście zdjęć. - Jessie była nieco zbita z tropu, gdyż z pociągłej twarzy Ruth, otoczonej prostymi włosami niczym z żelaza, patrzyły na nią niebieskie oczy Jonathona.

- Nie każdy może sobie na to pozwolić, moja droga - upomniał ją Len.

- Nonsens - zakpiła Ruth. - Nas też nie byłoby stać, gdybyśmy się zatrzymywali w czterogwiazdkowych hotelach.

Ich chęć przygód ocierała się o ekstremum, jak kiedyś opowiadał jej Jonathon. Nieraz doprowadziło to niemal do katastrofy; na przykład w przypadku kabino-namiotu na Costa Rice, który został zaatakowany przez skorpiony, czy „urokliwego” paryskiego pensjonatu, znajdującego się drzwi w drzwi z domem publicznym.

- Nie jesteśmy z Ruth typowymi turystami. - Len poinformował Jessie, puszczając do niej oko i sadowiąc się na krześle przed kominkiem, w którym przyjemnie trzaskał ogień.

Tyle samo mogła wywnioskować z wszelkiej maści rękodzieł, znajdujących się w pokoju: misternie wytłaczanego skórzanego pufa, rzeźb przedstawiających przeróżne zwierzęta i bóstwa, wielkiego japońskiego rękopisu, wiszącego na jednej ze ścian, i do niczego niepasującego tandetnego wielkiego sombrero czy malowanych muszli.

- To mi przypomniało, że mam coś dla was dwojga - powiedziała Ruth, schylając się ku Zachowi i Sarze. Zniknęła w drugim pokoju, by za chwilę wrócić z pomietą torbą na zakupy. - Całe szczęście, że wzięłam XL. Znowu urosliście o głowę! - Wyjęła dwa tobołki, luźno owinięte w brązowy papier i przewiązane sznurkiem. - To są takie duże, obszerne koszule - wyjaśniła dzieciom, kiedy otworzyły pakunki i z niewyraźnymi minami patrzyły na to, czego żaden szanujący się nastolatek nie mógłby

na siebie włożyć.

Jessie przypomniała sobie falbaniaste, o rozmiar za małe sukienki, które przysyłała jej babcia Holland na każde urodziny; w pełni rozumiała Zacha i Sarę.

- Dziękuję, babciu - powiedział Zach z wymuszonym entuzjazmem. - Będzie pasować do bębenków z Kongo, które dałaś mi ostatnim razem. - Tracił Sarę łokciem i ona też podziękowała Ruth.

- Rozumiem, że pochodzisz z Arizony. - Ruth zwróciła się do Jessie, kiedy sączyły wino przed kominkiem, a dzieci oglądały telewizję w drugim pokoju. Zanim Jessie zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Ruth dodała: - Nasi przyjaciele, państwo Rosenblatt, mają dom w Sedonie. Spędzaliśmy tam wakacje. Pamiętasz Ala i Ester, kochanie? - zwróciła się do Jonathona. - Ich córka była w Princetown w jednej grupie z Rebeką. - Skinął głową, wyglądając na zakłopotanego, podczas gdy w głowie Jessie był coraz głośniejszy sygnał ostrzegawczy. Ruth, z tym samym roześmianym wzrokiem, zapytała Jessie: - Masz tam rodzinę?

- Matkę - odpowiedziała Jessie.

- Więc często tam bywasz.

- Właściwie to ostatnio byłam tam już jakiś czas temu.

- Aha. - Ruth obrzuciła ją ostrym spojrzeniem, a Jessie zdała sobie sprawę, jak to musiało zabrzmieć.

Czuła, że powinna się wytłumaczyć, ale nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Było prawdą, że nie utrzymywała kontaktu z Beverly. Lata temu matka jasno się wyraziła, że nigdy nie wybaczy Jessie tego, że jeszcze jako dziewczynka miała pewien udział w wypadku, który kosztował życie jej ojca. W każdym razie od tej pory Jessie pozostawała dla swojej matki jedynie rozczarowaniem.

Odetchnęła, kiedy Ruth zmieniła temat.

- Bardzo podobał mi się twój artykuł w „New Yorkerze”, powiedziałałabym nawet, że był rewelacyjny. - Podniosła brew, a jej mina wskazywała na to, że była niezwykle zdziwiona, ale raczej tym, że udało się Jessie przeniknąć znaną ze swojej hermetyczności gminę żydowską Williamsburga, niż jej umiejętnościami redakcyjnymi.

- Dziękuję. - Jessie mimo wszystko zrobiło się ciepło na sercu z powodu otrzymanego komplementu. - Nie byłam pewna, czy uda mi się dobrze to opisać.

Spędziła parę miesięcy, próbując zaprzyjaźnić się z kilkoma zameźnymi chasydzkimi kobietami, które naprawdę nie mogły już mieć mniej wspólnego z nią, niż miały. Kobiety nosiły tradycyjne peruki przeznaczone właśnie dla mężatek i siedziały w zupełnie innej części synagogi niż ich mężowie i synowie. Wtedy jeszcze nie miała

pojęcia, że pewnego dnia ta próba zrozumienia judaizmu okaże się bardzo przydatna. To znaczy, jeśli Jonathon kiedykolwiek poruszy ten temat.

- Miałaś w szkole zajęcia z dziennikarstwa? - zapytał Len, kołysząc się w swoim krześle i popijając wino.

- Niezupełnie. Powiedzmy, że nauczyłam się tego w praktyce. - Jessie uważnie przyglądała się stojącej na kominku kolekcji ramek ze zdjęciami. Były tam fotografie Sary i Zacha z różnych lat, Jonathona i jego braci, w tym jedna przedstawiająca Jonathona w birecie i todze, opartego o obrośnięty bluszczem ceglany mur. Skończył Yale, zanim zrobił magisterium z dziennikarstwa na Uniwersytecie Columbia.

Pomyślała, że lepiej będzie, jak powie, że była w Arizonie.

- Cóż, trzeba przyznać, że dobrze ci to wychodzi - powiedziała Ruth.

- Mam szczęście. Większości dziennikarzy nie udaje się utrzymać z dorywczego pisania.

- Najważniejsze, że robisz to, co kochasz, a dodatkowo jeszcze razem z Jonem dzielicie tę samą pasję.

Jessie wyczuła jakby nutkę ironii w tym słodkim tonie Ruth, ale może tylko jej się wydawało?

- Wzniosę za to toast. - Jonathon uniósł kieliszek. Jedną z rzeczy, za które kochała Jonathana, było to, że nie robił różnicy między nimi, mimo że on był szefem nowojorskiego biura CTN-u, a ona dużo gorzej opłacanym wolnym strzelcem. W jego oczach byli sobie równi.

- Oczywiście w naszych czasach było inaczej - kontynuowała Ruth, wymieniając znaczące spojrzenie z Leonardem - robiliśmy to, co wydawało nam się słuszne, a nie to, co nam się podobało. Na przykład branie rozwodu. Nawet się o tym nie słyszało. Małżeństwa po prostu jakoś rozwiązywały swoje problemy. Myślicie, że tylko dzięki szczęściu ojciec i ja byliśmy ze sobą przez te wszystkie lata? - Jej głos pozostał łagodny, ale teraz zawarta w nim słodycz była zaprawiona arsenikiem. Jonathonowi wyraźnie sprawiło to ból.

Jessie uświadomiła sobie, że dała się nabrać. Ciepło, z jakim jego rodzice ją przyjęli, było niczym innym, jak tylko fałszywą próbą zatuszowania ich prawdziwych uczuć: nie chcieli mieć z nią nic wspólnego.

Z trudem udało jej się przeżyć lunch. Silverowie prowadzili jakieś nic nieznaczące rozmowy, bez jej udziału, podczas gdy Zach ją ignorował, a Sara co rusz rzucała jej przez stół nienawistne spojrzenia. Pociuszające delikatne uściski Jonathona nie pomogły złagodzić głuchego bólu brzucha, niespowodowanego bynajmniej włóknistą peklowaną wołowiną i ołowianymi pyzami ziemniaczanymi.

- Dobrze, rzeczywiście nie był to może oszałamiający sukces - przyznał w samochodzie, kiedy wracali do domu, już po odwiezieniu dzieci.

- Łagodnie to ująłeś - powiedziała zimno. - Raczej powinno się powiedzieć, że zrobiłam z siebie pośmiewisko.

- Daj spokój, nie było tak źle.

- Czułam się jak nieproszony gość.

- Mnie mogłabyś nabrać. Wyglądało, że dobrze się bawisz.

- A co innego miałam robić? Byłam wychowywana przez kobietę, która znalazłszy karalucha w swojej zupie, prędzej by go zjadła, niż miałaby urazić gospodynię.

- Na szczęście zostało ci to oszczędzone - odpowiedział ze śmiechem.

Jessie nie powiedziała tego w ramach żartu, ale była zbyt wycieńczona, żeby to prostować w tej chwili. Marzyła, żeby już być w domu, w piżamie, zwinięta w kłębek przed telewizorem, z mruczącym kotem na kolanach.

- Daj im trochę czasu - dodał łagodnie. - Przyzwyczajają się. - Wydawało jej się, że czuje nutę niepewności w jego głosie.

- Kto, twoi rodzice czy dzieci?

- Moi rodzice polubili cię - powiedział, jakby się broniąc. Czy on się naprawdę łudził?

- Oczywiście, w taki sam sposób, jak pierwsi pielgrzymi amerykańscy polubili Indian.

- Byli jacyś żydowscy pielgrzymi? Rzucił jej przeciągłe spojrzenie.

Jessie zerknęła na niego. Jeśli myślał, że mógł ją rozbawić, to się grubo mylił.

- Nie wiem, nie jestem Żydówką.

Burza, na którą zbierało się przez cały dzień, w końcu się rozpętała. Deszcz lał strumieniami, głośno bębniąc w dach i dosłownie zalewając przednią szybę. Jonathon zwolnił, kiedy przejeżdżali przez kałużę wielkości stawu.

- Posłuchaj, rzeczywiście nie rozwinęli czerwonego dywanu, ale to nie miało nic wspólnego z tobą. Ciągłe są niezadowoleni z naszego rozstania z Rebeką; jest dla nich jak córka, której nigdy nie mieli.

- Na pewno czułabym się lepiej, gdybyś mnie nie zostawił na tym wietrze. Nie mam na myśli tylko twoich dzieci.

Skrzywił się.

- Przykro mi z powodu dzieci. Nie zachowywały się najlepiej.

- To, że siedziałam z tyłu, też niespecjalnie pomogło. - Jessie w drodze powrotnej siedziała już z przodu, ale ciągle jeszcze boleśnie odczuwała poranne przeżycia.

Wzruszył ramionami.

- Zach wszedł do samochodu, zanim się zorientowałem. Nie chciałem robić z tego sprawy.

- Dla mnie to jednak była sprawa. I dla Sary też - dodała szybko.

Wyglądał na zmartwionego, ale nie wiedziała, czy z jej powodu, czy Sary. Pewnie z obu po trochu.

- Nigdy nie mówiłem, że będzie łatwo. Nachylił się w stronę kierownicy, starając się coś zobaczyć przez strumień wody, który niczym wodospad zalewał przednią szybę.

- Nie spodziewałam się, że będzie łatwo - powiedziała.

- To nie ma nic wspólnego z tobą. One po prostu jeszcze się nie przyzwyczyły, że ich ojciec ma kogoś.

- A Rebeka ma kogoś?

Jonathon rzucił jej spojrzenie zdające się mówić: „Zejdź na ziemię”, ale czy rzeczywiście było to aż tak niedorzeczne pytanie? Jego żona była przecież atrakcyjną kobietą. Prawdopodobnie sama myśl, że może mieć kogoś, była dla niego niewygodna. Może tak jak i dzieci przyzwyczyli się do dawnego życia?

- Mogę spojrzeć na to z ich perspektywy - powiedziała, starając się być sprawiedliwa. - Z drugiej strony powinny wiedzieć, że masz jeszcze swoje życie.

- Może gdybyśmy nie spotkali się tak szybko po rozstaniu z Rebeką... - Urwał i zamyślił się na chwilę. Zaraz jednak otrząsnął się ze swoich myśli i uśmiechnął skruszony. - Nie bez powodu zachowują się tak, jakbyśmy robili im krzywdę.

- O ile sobie przypominam, nie wykręcałam ci ręk, żebyśmy byli razem - zachnęła się. Spali ze sobą już w tydzień po tym zaskakującym spotkaniu w koreańskich delikatesach.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nigdy nie musiałaś przechodzić przez rozwód. Nie wiesz, co to znaczy.

- Bardzo dobrze wiem, jak to jest - powiedziała. Była kiedyś zaręczona i ciągle jeszcze czuła się winna za to, że uciekła Mike'owi sprzed ołtarza. - Wiem, jak to jest zranić kogoś, kogo się kocha. Wiem, co to znaczy budzić się o drugiej w nocy i czuć się tak, jakby się połknęło garść nożyków do maszynki. Jeśli nie wiem, co to znaczy rozwód, to tylko dlatego, że nigdy nie byłam mężatką i wygląda na to, że nigdy nią nie będę - głos jej zadrżał. Ku swojemu przerażeniu była na skraju łez. Do tej pory słowo na „ś” nigdy jeszcze otwarcie nie padło, chyba że jako coś, co może mieć miejsce w bardzo dalekiej przyszłości. Jednak dłużej już nie mogła ukrywać swoich prawdziwych uczuć.

- Nie wiem, do czego zmierzasz - ostrożnie powiedział Jonathon.

- Ja też nie. Sam mi powiedz. - On miał jeszcze dużo czasu, a ona miała trzydzieści pięć lat, szybko starzejące się jajniki oraz ginekologa, który często jej o tym przypominał. Wzięła głęboki oddech i z rosnącą emocją zebrała wszystkie myśli, dzielone do tej pory z kotem, na kanapie.

- W porządku, pozwól, że ujmę to inaczej: co z nami będzie za pół roku? - Czekwała na odpowiedź, która mogła zmienić całe jej życie, a oddech ugrzązł jej w klatce piersiowej, jak mały drżący ptaszek. Słabym i niepewnym głosem, który wywołał u niej lekkie ciarki na plecach, Jonathon odpowiedział:

- Mam nadzieję, że ciągle jeszcze będziemy razem.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie mielibyśmy być razem? - Starła się powstrzymać łzy, nie chcąc pokazać mu, ile ta rozmowa ją kosztuje.

Wjechali w cień estakady, próbując pokonać kałużę o rozmiarach sadzawki.

- Czy to jakieś podchwytliwe pytanie? - zapytał z lekko słyszalnym rozdrażnieniem w głosie.

- Chcę tylko szczerzej odpowiedzi.

- Kocham cię, Jess, i nie chcę cię stracić. Wiesz o tym, ale... - Przy światłach samochodów jadących z przeciwka jego twarz wyglądała jak blada maska. Jako łowca newsów Jonathon operował tylko faktami. Jego największa wada była jednocześnie największą zaletą: nigdy by jej nie okłamał. - Nie mogę nic obiecać. Nie wiem, kiedy i czy będę gotowy na coś ponad to, co mamy teraz.

- Teraz to prawie w ogóle się nie widzimy.

- Wiem - powiedział. - Chciałbym, żeby wyglądało to inaczej, ale moje dzieci są na pierwszym miejscu. Przynajmniej na razie.

Jessie bardzo starała się to zrozumieć, ale w tej chwili była zbyt zdenerwowana. Zastanawiała się, co Erin zrobiłaby na jej miejscu. Ale Erin, mając tak cudownego męża i fantastyczne dziecko, mogłaby mieć zupełnie inny punkt widzenia. Skąd mogła wiedzieć, jak to jest zdać sobie sprawę z tego, że mężczyzna, którego kocha, wyślizguje jej się z rąk?

Nie był to koniec ich związku. Wiedziała, że Jonathon powiedział prawdę, że ją kocha, ale czy to wystarczało? Nie była pewna, jak długo mogła jeszcze tkwić w tym stanie zawieszenia.

Resztę drogi spędzili w milczeniu. Deszcz przestał już bębnić w dach, kiedy Jonathon zatrzymał się koło jej domu z brązowego kamienia na rogu Dwudziestej i Dziewiątej w Chelsea. Spojrzawszy na trzecie piętro, gdzie paliło się światło, zdała sobie sprawę, że zapomniała je wyłączyć, kiedy godziny temu, które wydawały jej się

trwać całą wieczność, wybiegała z domu. Cholera. Jakby jej niezapłacony jeszcze rachunek za Edisona nie opiewał już na kwotę mogącą zrujnować kraje trzeciego świata. Był większy niż czynsze ludzi mieszkających w jej rodzinnym Willow Creek. To jej przypomniało o zastoju w karierze, odzwierciedlającym jej obecny stan spraw miłosnych.

- Zobaczymy się jutro? - z nadzieją spytał Jonathon.

- Nie wiem. Mam sporo pracy - odparła sucho.

- Nie gniewasz się już na mnie, prawda? - Wyłączył silnik i spojrzał na nią uważnie.

- Gniewam się? Nie. Raczej jestem przybita.

- To może we wtorek?

- Nie spotykasz się wtedy z psychologiem?

- Racja. Zapomniałem. - We wtorkowe wieczory wraz z żoną i dziećmi chodzili na terapię rodzinną. Zanim Jessie zaczęła spotykać się z Jonathonem, nie wiedziała, że jest coś takiego jak terapia porozwodowa.

- Ja też o czymś zapomniałam - powiedziała podekscytowana. - Obiecałam Drew, że pomogę mu przygotować zdjęcia na wystawę. - To miało dać do myślenia Jonathonowi, czy jej sąsiad z górnego piętra był kimś więcej dla niej niż tylko dobrym przyjacielem.

Przytrzymał ją za ramię, kiedy wychodziła z samochodu. W świetle ulicznej lampy i strużkach kropel, spływających po przedniej szybie, jego twarz płonęła niepewnym rumieńcem.

- Nie mówię, że zawsze tak będzie - powiedział łagodnie. - Chciałem być szczerzy i otwarcie przedstawić, jak się sprawy mają.

- Wydaje mi się, że mam już pewien obraz sytuacji - odpowiedziała łamiącym się głosem.

- Nie chciałem cię okłamywać.

- Skoro już jesteśmy ze sobą szczerzy - powiedziała - nie myśl, że chętnie będę się z tobą spotykać, zanim podejmiesz decyzję. - W przeciwieństwie do Erin, która nigdy nie miała problemu z powiedzeniem, co jej leży na sercu, wyrażanie uczuć sprawiało Jessie pewien kłopot. Jednak tym razem słowa przysły same. Najtrudniej będzie dotrzymać tej zapowiedzi.

Uniósł brew.

- Czy to jest jakieś ultimatum?

- Nie, tak po prostu myślę.



Z westchnieniem puścił jej ramię.

- Posłuchaj, oboje jesteśmy zmęczeni. Możemy porozmawiać o tym jutro?

- Dobrze, jak chcesz.

Wychodząc z samochodu, zawadziła stopą o coś leżącego na podłodze: było to pudełko czekoladek Teuschera, która miała wręczyć jego rodzicom. Całkiem o nim zapomniała przez tę potworną podróż do Rhinebeck. Teraz podniosła je i włożyła pod pachę. I tak nie zasługiwali na nie.

Kiedy wchodziła po brązowych kamiennych stopniach, deszcz mieszał się z jej łzami spływającymi po policzkach. Pomyślała o Erin i dniach, kiedy po kolejnym miłosnym zawodzie pocieszały się nawzajem czekoladowymi ciasteczkami i lodami. Jessie już nie mogła się doczekać, aż do niej zadzwoni. Tylko rozmowa z najlepszą przyjaciółką mogła sprawić, że poczuje się lepiej. Perfekcyjne małżeństwo Erin było wzorcem, o którym pamiętała przy każdym kolejnym nieudanym związku. Przypominało jej, że takie szczęście istniało nie tylko w bajkach. Mimo że w obecnej chwili odnalezienie go wydawało się mało prawdopodobne.

Przy dźwiękach powracającego motywu z *La Bohème* Jessie wdrapała się na trzecie piętro; zdaje się, że nie była sama. Clive zawsze słuchał Pucciniego, kiedy miał złamane serce. Otworzyła drzwi i zanim jeszcze weszła do środka, Delilah zaczęła łaścić się i chodzić pomiędzy jej nogami, żałośnie miaucząc. Jessie podniosła ją, zanurzyła twarz w grubym czarnym futrze i pomyślała, że przynajmniej jest ktoś, kto ucieszył się na jej widok.

Rozejrzała się po swoim mieszkaniu: marmurowy kominek, drewniana podłoga, francuskie okna, otwierające się wprost na biegnącą poniżej ulicę. Stwierdziła, że jest szczęściarą. Mogła przecież żyć w jakiejś norze, w jednym z tych sterylnych wieżowców, gdzie w windzie miało się krwotoki z nosa. Jednak dzisiaj nie do końca było to w stanie ją pocieszyć. Nawet przytulne przedmioty w jej wnętrzu: orientalny dywanik, ciemna sofa rozświetlona jasnymi poduszkami, lampa z lat pięćdziesiątych, dębowa biblioteczka z kolekcją powieści Nancy Drew tylko przypominały jej, że nie ma z kim się tym wszystkim podzielić.

Usiadła na sofie, nawet nie zdejmując kurtki, która zresztą na pewno całkowicie się zniszczyła na tym deszczu. Delilah natychmiast zeskoczyła z jej kolan; jedyną rzeczą, jakiej nie znosiła bardziej niż spędzenie w samotności całego dnia, była wilgoć. Jessie przypomniała sobie o pudełku czekoladek i otworzyła je. Umierała z głodu, bo na obiedzie u Silverów przełknęła jedynie kilka kęsów. Jednak zamiast równo ułożonych truflí w pudełku znajdowała się klejąca czekoladowa masa. Musiały się rozpuścić przez ogrzewanie w samochodzie. Z płaczem rzuciła pudełkiem o ścianę, do

której na moment się przykleiło, by po chwili spaść na podłogę, pozostawiając brązowy ślad na żółtej farbie. Patrzyła na ten bałagan, wydając z siebie coś pomiędzy łkaniem a śmiechem. Nie mogła się nawet zdobyć na żaden gest, czuła się po prostu żałośnie.

Erin na pewno polepszy mi nastrój. Zawsze jej się to udaje. Osunęła się na sofę, patrząc w przestrzeń, i przypomniała sobie dzień ich pierwszego spotkania. Było to w damskiej toalecie, w szkole podstawowej Yavapai. Dzień, w którym wsiadła do samochodu z ośmiozaworowym silnikiem z doładowaniem, czyli poznała Erin D'Amico, która nigdy na nic się nie oglądała.

Był rok 1980, Jessie właśnie przeprowadziła się z matką z Pasadeny do małego miasteczka Willow Creek w Arizonie, w górach, na północ od Phoenix. Do tej pory miała wrażenie, że najgorszą rzeczą, jaka mogła się jej przytrafić, była śmierć ojca. Jak się okazało, drugim takim przeżyciem była szósta klasa podstawówki Yavapai. Jako „nowa” stanowiła łatwy cel. Nie pomógł jej nawet wzrost i to, że była wyższa od najwyższego chłopca w klasie o niemalże bladoporóżowych włosach i przezroczystej skórze, na której każdy rumieniec wyglądał jak plama. Jej kolegom nic w niej nie pasowało, począwszy od ubrań po drugie śniadanie, przygotowywane przez jej matkę. Zamiast regulaminowego masła orzechowego i galaretki albo włoskich kiełbasek z chlebem tostowym, Beverly, która wówczas miała bzika na punkcie zdrowego żywienia, przygotowywała jej kanapki z pełnoziarnistego chleba, posmarowanego humusem albo pastą z gotowanych na miękko jajek. Pierwszego dnia siedziała w szkolnej stołówce i zdążyła ugryźć kęs swojej kanapki, kiedy Amanda Coolidge skrzywiła nos i ku ogólnej radości kolegów głośno zawołała: - Uuu. To wygląda jak kupa. - Jessie myślała, że w tym momencie umrze.

Nieustające prześladowania ze strony kolegów zmusiły ją do spędzania przerw obiadowych w zamkniętej toalecie. Któregoś dnia, siedząc na sedesie, czytała *Jane Eyre*, kiedy kawałek jabłka wpadł jej tam, gdzie nie trzeba i zaczęła strasznie kaszleć.

- Wszystko w porządku? - usłyszała donośny zachrypnięty głos. Bez wątplenia należał on do Erin D'Amico, dowcipnej dziewczynki z jej klasy, która zawsze pakowała się w kłopoty z powodu pyskowania pani Ahern.

Jessie tak mocno kaszlnęła, że na wpół zjedzony jogurt spadł jej z kolan, rozbryzgując się na podłodze. Po chwili, kiedy stało się jasne, że Erin sobie nie pójdzie, Jessie wypełzła z kabiny. Całe szczęście, że były same. Wzrok Erin powędrował od nieporządku na podłodze w górę. Jej spojrzenie zdawało się mówić: „Co za dziwadło je lunch w łazience?”. Jessie była czerwona jak burak.

Jednak, ku jej uldze, Erin tylko wzruszyła ramionami i wzięła całą garść

papierowych ręczników. Obie wszystko posprzątały, a Erin rozmawiała z nią tak, jakby były najlepszymi przyjaciółkami. Zanim Jessie zdążyła pomyśleć, to już opowiadała jej o problemach z Amandą. Nie wiedziała, czego może się spodziewać po koleżance. Po tym wszystkim, co przeszła, wydawało jej się, że nie może liczyć na jakąkolwiek sympatię. Tymczasem zaskoczył ją nagły wybuch śmiechu Erin.

Dopiero po wielu latach zdały sobie sprawę z tego, jaką tworzyły parę: Jessie była dużą dziewczyną o zaróżowionych policzkach i nogach do samej szyi, podczas kiedy Erin stanowiła niską, dobrze zbudowaną, miniaturową replikę siebie i dokładnie tak samo wyglądała jako dorosła osoba, tylko miała piersi. Włosy Jessie w kolorze korzennego piwa opadały jej na jedno oko błyszczącym klinem. Wtedy wszyscy robili sobie z tego żarty, a ona przechylała głowę na jedną stronę, żeby ukryć swoje duże oczy.

- Nie zważaj na Amandę - powiedziała Erin. Jessie sama była zaskoczona, widząc swoje zdziwione odbicie w lustrze. - Ona jest tak głupia, że jakby kichnęła, to mózg, sam by jej wypłynął. - Zadzwonił dzwonek, a Erin wzięła ją za rękę i na odchodne powiedziała:

- Od jutra siedzisz ze mną.

Następnego dnia Jessie zamarła, widząc Erin siedzącą w stołówce przy jednym stoliku z Amandą. Wtedy dojrzała błyskające w oczach Erin figlarne ogniki i wiedziała już, że nowa koleżanka ma coś w zanadru. Kiedy Amanda, z lekkim zmieszaniem rysującym się na twarzy, wyciągnęła ze swojej torby śniadaniowej jakieś zawiniątko niezdarnie zapakowane w pergaminowy papier, coś zaczęło Jessie świtać w głowie. Twarz Amandy poczerwieniała, gdy odpakowała z niego tłuste salami i kawałek dojrzewającego sera. Wszyscy siedzący wokół niej zamilkli i przyglądali się całej scenie. Amanda stawała się coraz bardziej czerwona, kiedy zapach śmierdzącego bąkiem sera rozprzestrzenił się wokół. Odór unosił się w powietrzu jeszcze długo po tym, jak spakowała do torebki obciążające ją produkty, mrużąc pod nosem coś o jakimś nieporozumieniu. Jessie wiedziała, że Erin podłożyła to do plecaka Amandy i w myślach uśmiechnęła się do siebie.

Po tym zdarzeniu Amanda zostawiła ją w spokoju, możliwe że dlatego, by nie przypominać innym o swoim własnym niepowodzeniu towarzyskim, i od tej pory świat wydawał się Jessie coraz lepszy. Przestała się wstydić i zaczęła dostrzegać innych ludzi wokół siebie, nie skupiając się już na tym, żeby nikt jej nie zauważył. A co najważniejsze: miała Erin. Okazało się, że mają ze sobą wiele wspólnego. Obie były jedynaczkami, z tym że Erin mieszkała w uboższej dzielnicy, natomiast dom Jessie znajdował się na ocienionej ulicy i stał w rzędzie z innymi ładnymi rezydencjami. Erin

może nie wiedziała, co to znaczy stracić jednego z rodziców, ale za to sama musiała nauczyć się dbać o siebie, ponieważ jej tata był kierowcą autobusu, mama kelnerką i pracowali na zmiany, a w dodatku godziny ich pracy się pokrywały.

Dopiero w pierwszej klasie liceum przestały spędzać ze sobą każdą wolną chwilę, jako że Jessie zainteresowała się chłopakiem ze starszej klasy, Mike'em Delahanty. Po latach Jessie zdała sobie sprawę, jak ciężko musiało wtedy być Erin, ale przyjaciółka nigdy nie dała tego po sobie poznać. Wypełniała swój czas, udzielając się w samorządzie i chodząc na wieczorny kurs gotowania, jak twierdziła w samoobronie, ponieważ jej rodzice byli beznadziejni w kuchni.

Po skończeniu liceum Jessie pojechała na uniwersytet stanowy w Arizonie, a Erin na UC Davis. Jessie nadal spotykała się z Mike'em, który dostał pracę w jednej z ekip budowlanych w okolicy, więc często przyjeżdżała do domu na weekend. W końcu, po tym jak Mike wręczył jej pierścionek zaręczynowy z brylantem, następny krok wydawał się nie do uniknięcia. Zresztą w pewnym sensie było tak, jakby już dawno się pobrali. Była zżyta z rodziną Mike'a bardziej niż z własną matką, szczególnie że jego młodszy brat, Skip, z którym chodzili do jednej klasy, kolegował się z nią i Erin.

Na początku Jessie była tak szczęśliwa, że zdawała się nie zauważać, jak bardzo różniło się jej życie w porównaniu z życiem innych dziewczyn. Miała na palcu pierścionek z drogocennym kamieniem, podczas gdy koleżanki z campusu jeszcze się bawiły. Między pracami semestralnymi i egzaminami Jessie przymierzała suknie ślubne i przeglądała próbniki z zaproszeniami. Aż do chwili, kiedy obie z Erin przyjechały do domu na przerwę wiosenną, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo nie nadążała za tym, co się dzieje wokół niej. Patrząc na przekłutą brew Erin, jej sprane dzinsy, nastroszone, zafarbowane, niczym koguci ogon włosy, Jessie nagle zorientowała się, jaka dzieli je przepaść. W dodatku ta przepaść jeszcze się pogłębiała, kiedy Erin opowiadała jej, w ilu studenckich grupach się udzielała, o planach spędzenia lata w Nowym Jorku i opiece nad domem rodziców jej koleżanki z pokoju. *Ja tymczasem za rok będę urządzić w swoim domu spotkania pokazowe produktów Avonu albo Amway'a*, pomyślała owładnięta nagłą paniką.

Erin opowiadała jej o wakacyjnej pracy w restauracji w Greenwich Village u przyjaciół państwa Shapiro. Jeśli by to wyszło, zamierzała zostać w Nowym Jorku i spełnić swoje marzenie o zostaniu szefem kuchni.

- Będiesz tak daleko - jęczała Jessie.

- To nie ja wychodzę za mąż - powiedziała Erin, uważnie i przeciągle spoglądając na nią.

Kiedy godzina zero zbliżała się już wielkimi krokami, niepewność Jessie rosła. Często zdarzało się, że brakowało jej powietrza, budziła się ze snu zlaną potem. Podobnie się czuła tylko po śmierci ojca.

Któregoś dnia Jessie, przymierzając suknię ślubną, zemdląła. Mama Mike'a uparła się, żeby zabrać ją do lekarza, który Zdiagnozował to jako nagły atak lęku. Przepisał łagodny środek uspokajający, którego Jessie nie wzięła. To przejdzie, mówiła sobie. Poza tym czy miała brać leki, żeby dojść do ołtarza?

Dzień przed ślubem Jessie obudziła się, kiedy jeszcze było ciemno, i przypomniała sobie sen o zasypującej ją lawinie. Wydawało jej się, że każdy oddech bierze jakby przez słomkę, a gdy próbowała wstać, okazało się, że prawie nie może się ruszać.

W końcu jakoś udało jej się stanąć. W ciemności suknia ślubna, powieszona w pokrowcu na szafie, zdawała się unosić niczym duch. Trzęsącą się ręką Jessie sięgnęła po telefon stojący na szafce nocnej i wystukała numer Erin.

- Zaraz u ciebie będę - powiedziała Erin.

Pół godziny później Jessie pochylona nad kubkiem kawy w kawiarni u Denny'ego opowiedziała o wszystkich swoich wątpliwościach i napadach lęku. Erin słuchała jej, marszcząc czoło. Dopiero gdy Jessie skończyła, łagodnie powiedziała:

- Nie musisz tego robić, wiesz o tym.

- Oczywiście, że muszę, wszystko już jest gotowe. - Jessie nie widziała możliwości odwrotu. Poza tym jej obecny stan pewnie nie był niczym innym, jak tylko poważnym napadem tchórzostwa.

- Wiem. Szkoda tylko, że to zaszło już tak daleko, zanim się zorientowałaś... - Zmartwienie rysujące się na twarzy Erin stało się jeszcze bardziej widoczne. Wypiła łyk kawy, jakby powstrzymując się przed powiedzeniem, co chodziło jej po głowie. - Nie mówię, że Mike nie jest świetnym facetem, ale nie miałaś okazji się wyszaleć. Jak możesz wiedzieć, że to jest to, skoro nie masz tej sytuacji z czym porównać?

Była dokładnie takiego samego zdania, co Erin, tylko nie mogła tego wyartykułować. Zapytała nieśmiało:

- Nawet jeśli masz rację, czy mam inne wyjście?

- Jedź ze mną do Nowego Jorku i zostań tam przynajmniej do czasu, kiedy nie będziesz pewna, czy to, co robisz, jest słuszne.

- Do Nowego Jorku - powtórzyła za nią Jessie z niedowierzaniem, zupełnie jakby Erin zaproponowała spływ kajakiem po Amazonce.

- Możesz się zatrzymać tam, gdzie ja - Erin kontynuowała tym swoim irytująco spokojnym głosem. - Zapytam się jeszcze państwa Shapiro, ale myślę, że nie będą

mieli nic przeciwko temu.

Serce Jessie zaczęło szybciej bić i zrobiło jej się trochę niedobrze. Jak mogła to zrobić Mike'owi? Przecież to nie była jego wina. Poza tym czuła, że jeśli odłoży ślub, nie będzie już powrotu. Spaliłaby za sobą wszystkie mosty.

Już otworzyła usta, żeby odrzucić propozycję Erin, kiedy ogarnęła ją zimna fala zdrowego rozsądku, która zmyła wszystko poza propozycją cudownego ocalenia, wysuniętą przez Erin. Zapytała:

- Jak szybko możemy wyjechać?
- Już teraz, jeśli chcesz.

Jessie prawie nie pamiętała, co działo się później. Jak przez mgłę przypominała sobie wrzucanie ubrań do walizki po powrocie z kawiarni do domu. Nie miała nawet czasu na wzięcie prysznic; chciała wyjechać, zanim matka się obudzi. Instykt podpowiadał jej, że jeśli zostałyby chwilę dłużej, żeby naskrobać parę słów do Mike'a i do Beverly, puściłyby jej nerwy. Dopiero później, kiedy już były w drodze, zdała sobie sprawę, jaką robiła krzywdę bliskim. Jednak w momencie, kiedy wybiegała z domu przez wilgotny od rosy trawnik i kierowała się w stronę pomarańczowego volkswagena garbusa, zwanego Dynią, który stał przy krawężniku, poczucie winy, które w najbliższych tygodniach miało ją zżerać, było ledwo słyszalne wobec szumu pulsującej w jej głowie krwi. Nie od razu zrozumiała, że zrobiła to zgodnie z przeznaczeniem. Bez względu na to, jakie było.

Teraz, piętnaście lat później, czym mogła się pochwalić poza kilkunastoma artykułami w magazynach, zalegających na półkach w poczekalniach lekarskich? Tym i może jeszcze paroma nieudanymi związkami. Jediną nadzieją, i tego się trzymała, było to, że kiedyś znajdzie swoją bratnią duszę i szczęście, tak jak Erin i Skip, który co prawda nie wybaczył Jessie tego, co zrobiła jego bratu, ale był bardzo dobry dla swojej żony. Wszyscy zazdrościli im tak udanego małżeństwa. Mimo że było im ciężko - przecież byli tacy młodzi, kiedy miała się urodzić Kayla, a Erin jeszcze nie do końca pozbiierała się po śmierci rodziców - to jednak wszystko się ułożyło.

Krótko mówiąc, Jessie zastanawiała się, co by było, gdyby wyszła za Mike'a. Czy aż tak bardzo by się nie udało? To prawda, że nie przypominał swojego brata. Podczas gdy Mike był porywczy niczym górski potok, Skip to typ wody stojącej. Mimo to wiedziała, że Mike bardzo ją kochał i że bardzo głęboko go zraniła. Może za karę została już skazana na niepowodzenie w miłości.

Patrzyła na roztopioną na podłodze czekoladę, którą wachała Delilah. Nagle otrząsnęła się niczym z głębokiego snu i sięgnęła po telefon. Nacisnęła numer szybkiego wybierania do Erin.

- Hotel Darby Inn, dobry wieczór - odpowiedziała Erin po kilku dzwonekach.

Po tak wielu latach Jessie ciągle jeszcze nie przyzwyczała się do tego suchego, zawodowego tonu głosu, jakiego Erin używała w hotelu.

- To ja - powiedziała. Jessie czekała, aż Erin coś powie swoim normalnym, niskim ciepłym głosem, z czającym się w nim wybuchem śmiechu, ale po drugiej stronie usłyszała tylko jakiś zduszony dźwięk.

Jessie natychmiast zapomniała o swoich kłopotach.

- Co jest Erin? Co się stało?

Po dłuższej chwili Erin odpowiedziała cichym drżącym głosem:

- Chodzi o Skipa. Zostawił mnie.

## ***Rozdział drugi***

Wczesnym wieczorem Erin zamykała na noc hotel i spojrzała na księgę gości, leżącą w foyer. *Wspaniałe miejsce i pyszne jedzenie (można umrzeć za naleśniki z likierem Grand Marnier!)*, tak brzmiał ostatni wpis. *Razem ze Skipem jesteście wspaniałymi gospodarzami. Cóż za dynamiczny duet! Do zobaczenia w przyszłym roku!* Twarz zacisnęła jej się w nerwowym uśmiechu. Co powiedzieliby państwo Baumgarten, kiedy dowiedzieliby się, że dynamiczny duet nagle przestał być duetem?

Zamknęła księgę, w zamyśleniu dotykając spłowiałej okładki, którą kiedyś sama wykonała ze starych dzinsów Skipa; zresztą był to jej pierwszy wyrób rękodzielniczy, który w tej chwili symbolizował wszystko, co złe w jej życiu. Kiedyś marzyła o tym, żeby przeprowadzić się do Nowego Jorku i zostać znanym szefem kuchni. Zamiast tego, ciągle tkwiła w Willow Creek, obklejając różne przedmioty materiałem i wymyślając ciągle nowe, pomysłowe przepisy na naleśniki.

Czy mogła winić Skipa, że chciał się stąd wyrwać? Sama nawet miewała takie dni, kiedy czuła, że już tego nie zniesie. Jednak tak jak czasami zastanawiała się, czy była w pełni sił umysłowych, kupując ten przybytek, tak nigdy nie zadała sobie pytania, czy nie popełniła błędu, wychodząc za Skipa. Aż do tej chwili. Przez cały dzień odczuwała emocjonalną huśtawkę, raz chcąc go rozerwać na strzępy, a raz tak bardzo za nim tęskniąc, że aż czuła ból w trzewiach.

- Co robisz? - krzyknęła w panice, wchodząc rano do sypialni, wprost na walizkę, do której upychał swoje rzeczy.

- A jak myślisz? - odpowiedział zimno.

- Nie możesz tak odejść, z powodu jakiejś małej sprzeczki. - To... to... głupie -

chciała powiedzieć, ale ugryzła się w język. - Skip, co się dzieje? Dlaczego to robisz? - powiedziała w końcu.

- Mam dość.

Chwilę wcześniej nie mogli dojść do porozumienia w kwestii wybrukowania podjazdu, przerodziło się to w kłótnię, ale znowu nie aż taką, żeby miała doprowadzić do tak skrajnej i nerwowej reakcji.

- Posłuchaj, jeśli chodzi o ten podjazd, możesz go sobie brukować, jak chcesz. Po prostu wydawało mi się, że tłuczeń będzie wyglądał...

- Nie chodzi o podjazd - powiedział, ucinając jej w połowie zdania.

- Więc o co?

Powoli z niedowierzaniem pokręcił głową, jakby jej brak zrozumienia sytuacji tylko utwierdził go w podjętej decyzji, i natychmiast powrócił do pakowania rzeczy.

Wiedziała, że nie chodziło o jakąś głupią kłótnię. Nie mogła się już dłużej oszukiwać: ich małżeństwo przechodziło kryzys. Coś w nim nie grało, ale teraz wyglądało na to, że już na dobre wszystko się rozpadło.

Erin nie mogła uwierzyć, że mąż ją opuszcza. Mimo wszystkich wcześniej wypowiedzianych ostrych słów i cichych dni nigdy nie wyobrażała sobie, że od niej odejdzie. Czowała, że uginają się pod nią nogi, więc oparła się o framugę drzwi.

- Masz kogoś?

- Nie. - Spojrzał na nią z niezadowoleniem.

Z tonu jego głosu mogła wyczytać, że nie kłamał.

Bóg jeden wie, że to, że nikogo nie miał, nie wynikało wcale z braku sposobności. Nie dało się nie zauważyć faktu, że jej mąż działał na kobiety jak magnes. Skip był typem faceta, przed którym kobiety trzepotały rzęsami, kiedy miały problemy z odpaleniem samochodu albo potrzebowały pomocy przy przenoszeniu czegoś ciężkiego. Kelnerki, które normalnie nie miały w zwyczaju flirtowania z klientami, zostawały dłużej, żeby z nim porozmawiać, a ekspedientki w sklepie wprost biegły mu z pomocą. Serce jej się ścisnęło, kiedy patrzyła na jego opalone i pięknie wyrzeźbione dzięki pracy na powietrzu ciało, poprzetykane siwizną włosy koloru ciemnego piasku. Jak mogła tak po prostu dać mu odejść?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, o co tak naprawdę chodzi.

- Wszystko przez Coburna, prawda? - zapytała. Coburn Mossa, dawnego szefa Skipa z Red Rock Landscaping, gdzie jej mąż pracował, zanim jeszcze się pobrali. Moss odchodził na emeryturę i zaoferował mu wykup interesu po bardzo okazyjnej cenie. Tydzień temu Skip przyszedł do niej niezwykle podekscytowany. To było coś, o czym zawsze marzył, natomiast prowadzenie hotelu zdarzyło się przez przypadek i



wiedziała, że nie było to jego pomysłem na życie. Jednak zamiast dać mu swoje błogosławieństwo, Erin przekonywała go, że nie mogli sobie pozwolić na drugą pożyczkę, czy na zatrudnienie kogoś na miejsce Skipa.

Za późno zorientowała się, że zaprzepaszczając jego marzenie, niezwykle dużo straciła.

Stała nieruchomo w drzwiach i aż wszystko w niej krzyczało, kiedy patrzyła, jak wrzucał rzeczy do walizki: uprasowane przez nią koszule, starannie poskładane bokserki i podkoszulki, pozwijane skarpetki, wyglądające teraz jak opuszczony przez matkę miot szczeniąt. Przez całe życie była przekonana, że nie istnieje coś takiego, jak przeszkoda, której nie dałoby się pokonać, czy kryzys, którego nie dałoby się przezwyciężyć. Przeżyła nawet ten koszmar po nieoczekiwanej śmierci rodziców. Z kolei teraz, po raz pierwszy w życiu czuła się całkowicie bezradna.

- Potrzebowałem jedynie trochę wsparcia od mojej żony - powiedział. - Czy to tak wiele? Tak, jakbym nie harował tutaj i nie potrzebował czegoś więcej. Co dostaję w zamian? Jakaś tania wymówka, że nie możemy sobie na to pozwolić, że to nas zrujnuje. - Odwrócił się gwałtownie, a ona aż wzdrygnęła się na widok zimnej złości, rysującej się na jego twarzy. - Dzięki za odrobinę zaufania, Erin - wrzeszczał na nią. - Jak to miło się przekonać, że we mnie wierzysz.

- Ależ oczywiście, że w ciebie wierzę - powiedziała, ale zabrzmiało to mało przekonująco.

- Właśnie to widzę - zadrwił.

Skąd wziął się u niego ten gniew? Musiał go w sobie nosić od wielu dni. Rzeczywiście zauważyła, że był bardziej milczący niż zwykle, czasem nawet posepny, jednak nie zdawała sobie sprawy z wymiaru tego milczenia. Aż w niej zawrzało, jej własny gniew wyrwał ją ze stanu otepienia. Przecież to było dla niego tak typowe. Zamiast wyrzucić z siebie, co go gryzło, nosił to w sobie tygodniami.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - utrzymywała. - Ja po prostu nie wiedziałam, nie wiem, w jaki sposób mielibyśmy to pogodzić, a zwłaszcza w jaki sposób zamierzałeś załatwić sprawę debetu na koncie.

Coburn podupadł na zdrowiu, przez co interes nie kręcił się już dobrze i dlatego złożył Skipowi tak pociągającą propozycję.

- Nie wiedziałas, bo nie chciałas się dowiedzieć.

- Więc to wszystko moja wina - powiedziała.

Wzruszył ramionami i powrócił do pakowania.

- Możesz winić mnie, jeśli przez to poczujesz się lepiej.

Erin aż skrzywiła się z bólu. Wymagało to od niej dużej samokontroli, żeby łagodnym tonem powiedzieć:

- To niczyja wina. Po prostu mamy gorszy okres. To się zdarza. Może spróbowalibyśmy pójść do... - Skip uciał jej w połowie zdania spojrzeniem, które mogłoby przeciąć stal. Prędzej poszedłby do jakiegoś szamana niż do poradni małżeńskiej.

- Nie potrzebuję, żeby jakiś doktorek mówił mi, co jest nie tak z naszym małżeństwem. Chwylił wiszący na wieszaku granatowy blezer, który nosił do kościoła, ten bez guzika. Poczowała nieodpartą chęć wzięcia go od niego i przyszcycia brakującego guzika. Jak on sobie da radę bez niej? Jak ona sobie bez niego poradzi?

Wykonała krok w jego stronę, ciągle mając nadzieję, że trafi do niego, że przytrzyma przy sobie mężczyznę, który co noc, przez ostatnie piętnaście lat, sypiał u jej boku i kochał swoją rodzinę ponad wszystko.

- Czy naprawdę jest aż tak źle? Mamy dobre życie, Skip. Powinieneś być dumny z tego, co osiągnęliśmy. - Wskazała ręką dookoła, przypominając sobie, jak dużo kosztowało ich, żeby zamienić tę ruinę w coś, co nadawałoby się do zamieszkania. - Czy to nie wystarczy?

- Zrobiłem to, żebyś była szczęśliwa. - Zimno, które aż biło z jego wypowiedzi, na dobre pozbawiło ją pocieszenia, jakie mogłaby jeszcze zaczerpnąć z wypowiedzianego przez niego zdania.

Erin przypominała sobie, jak wspólnie wybierali kolor ścian do tego pokoju. Skip obstawał przy chłodnym błękitcie, a jej serce podpowiadało odcień ciepłego kremu. Ona wygrała. Teraz zastanawiała się, dlaczego wtedy nie odpuściła. Taka mała rzecz; czy rzeczywiście było to ważne? Jessie kiedyś zażartowała z niej, że była jak jednoosobowa damska dywizja pancerna. Erin śmiała się z tego wówczas, ale teraz nie wydawało jej się to już zabawne.

Może rzeczywiście miała charakter przywódcy, jednak nigdy nie zachowywała się tak, jak Skip, który ciągle jeszcze chował w sobie urazę w stosunku do Jessie. Jeśli rzeczywiście tak bardzo pragnął założyć swój interes, powinien był to zrobić już lata temu.

Wiedziała, dlaczego tego nie zrobił i ta myśl jeszcze bardziej pogarszała jej samopoczucie: Skip zawsze robił wszystko, żeby ona była zadowolona.

- Wtedy nie mieliśmy dużego wyboru - przypominała mu. Kayla była w drodze, a oni ledwo wiazali koniec z końcem, utrzymując się z jednej pensji Skipa. Kiedy przybyło trochę pieniędzy z polisy ubezpieczeniowej po śmierci jej rodziców, zakup dawnego rancho z przeznaczeniem na hotel wydawał się być czymś idealnym, co

pozwoliłoby im wykorzystać swoje talenty.

Skip spuścił głowę, masując sobie kark. Wiedziała, w którym miejscu go bolało i nawet teraz rozmasowała mu je, uwalniając od bólu.

- Masz rację - westchnął.

Erin poczuła iskierkę nadziei, zanim nie podniósł głowy i nie zobaczyła jego zaciętego wyrazu twarzy.

- Czy jednak mamy tu już tkwić całe życie? Jeśli chcę czegoś więcej, to nie sądzisz, że na to zasłużyłem?

To było tak niesprawiedliwe, że aż się zachnęła. Czy ona też nie urabiała się aż po łokcie?

- Co z Kaylą? - straciła nad sobą panowanie. - Co jej powiemy, kiedy będzie się chciała dalej uczyć? Przykro nam, nie mamy pieniędzy?

Zmiał marynarkę, którą składał i cisnął nią o ścianę. Guziki z dźwiękiem piłeczek pingpongowych odbiły się od metalowej podstawy lampy, stojącej na komodzie. Był tak wściekły, że aż się cały trząsnął, a jego oczy iskrzyły, niczym świeżo zapalona zapalka.

- Jak śmiesz mieszać w to wszystko Kaylę? - ryknął. - Tylko dla niej tak długo tu tkwiłem!

Erin aż się zatoczyła. Nagle gdzieś znikła jej wściekłość. Oparła się o łóżko i osunęła na podłogę.

- Gdzie się zatrzymasz? Pytam w razie, gdybym potrzebowała cię namierzyć? - spytała dziwnie głuchym głosem, którego sama nie rozpoznawała. Dzięki Bogu, że Kayla nie musiała tego oglądać. Spędzała tę noc u swojej przyjaciółki Devon.

- U mojego brata. - Zapiął na suwak walizkę, a ten dźwięk przeciągnął się po jej ciele niczym nóż z ząbkami. - Zaoferował mi pracę, ale nie martw się, będę wywiązywał się z moich obowiązków, zanim nie znajdziesz kogoś na moje miejsce. - Powiedział to w taki sposób, jakby był jakąś zepsutą, dającą się wymienić częścią kosiarki.

- Nie chciałam... - Miała zaciśnięte oczy, zdając sobie sprawę, że bronienie się nie miało większego sensu. On już podjął decyzję. Poczowała coś mokrego na ręce, otworzyła oczy i zobaczyła z niepokojem wpatrującego się w nią Otisa. Jego ogon powoli kiwał się z boku na bok, jakby z zapytaniem: *Co się stało?* Poglaskała go po jedwabistej żółtej główce, cicho odpowiadając:

- Nie wiem, od czego mam zacząć.

Skip przeszedł obok niej, trzymając w ręku walizkę.

- Robiłam to, co wydawało mi się najlepsze - powiedziała, podejmując ostatnią

próbę obrony.

Zatrzymał się na chwilę i spojrział na nią. Zniknęła pewna surowość z jego twarzy, podniósł rękę, jakby chciał ją pocieszyć, za chwilę jednak opuścił ją ciężko.

- Tak, wiem. To, co najlepsze, ale dla ciebie - stwierdził ze znużeniem.

To zabolalo bardziej niż ostre słowa. Przecież zawsze stawiała rodzinę na pierwszym miejscu. Bardzo często za cenę własnej niewygody i wyrzeczeń. A co z jej marzeniami, które zaprzepaściła? To, że odmówiła spełnienia jego pragnień, wcale nie świadczyło o jej egoizmie.

Teraz, w kilka godzin później, Erin z niedowierzaniem patrzyła na ściany, które jeszcze stały, i dach, który ciągle jeszcze był na swoim miejscu. W foyer wahadło w zegarze od dziadka nadal miarowo odliczało mijające minuty. W dużym pokoju kominkowym, znajdującym się przy końcu korytarza, usłyszała osuwające się w kominku polano. Wydawało się to okrutnym żartem, że w zewnętrznym świecie nic się nie zmieniło w chwili, kiedy jej życie legło w gruzach.

Najgorsze jednak było to, że przez cały dzień musiała zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Wszystkie pokoje i oba domki były zarezerwowane, więc miała pełne ręce roboty. Zniosła gościom tace z serami i winem, herbatę do pokoju pani Cooley, która nie czuła się najlepiej. Dwadzieścia minut wisiała na telefonie, rozmawiając z kobietą z Filadelfii, która chciała się dowiedzieć, co warto zobaczyć i co można robić w Willow Creek. Zanim Erin odłożyła słuchawkę, chciało jej się wyć.

Jedyną myślą, która pozwalała jej przeżyć ten dzień, była nadzieja, że Skip może wróci do domu. *Przyjdzie* - mówiła sobie. - *To tylko drobna sprzeczka, która wymknęła się spod kontroli.*

Jednak wiedziała, że było to coś więcej. Niby dlaczego jeszcze nie zadzwoniła do Jessie? Kiedy mieli jakąś nic nieznaczącą kłótnię, dzwoniła, by dowcipnie jej o tym opowiedzieć, wywołując swoją anegdotą salwy śmiechu po drugiej stronie linii. Tak jak wtedy, gdy Skip bez konsultacji z nią zniósł szlaban Kayli na wychodzenie wieczorem. Nie odzywali się do siebie przez cały następny dzień, a ona tak bardzo tęskniła za nim, że po nocy wiercenia i przewracania się w łóżku rano obudziła się owinięta wokół niego, niczym drut kolczasty na słupie.

Przecież nie zadzwoniła nie dlatego, że Jessie nie współczuła jej. Erin mogła powiedzieć jej o wszystkim. Już kiedy dorastały, mogły powierzać sobie wszelkie sekrety. W siódmej klasie, kiedy Jessie dostała pierwszy w życiu okres, przyszła właśnie do Erin, a nie do swojej mamy. A kiedy Erin śledziła własną matkę i ku swojemu przerażeniu nakryła ją z jej szefem, to tylko Jessie mogła się z tego zwierzyć. Teraz rozmawiały ze sobą co najmniej raz w tygodniu, a w każdy inny dzień

wymieniały maile. Erin pocieszała Jessie po każdym jej zerwaniu z kolejnym facetem, a Jessie cierpliwie wysłuchiwała Erin, żalącej się na nieznośnych teściów, gości czy cholernych inspektorów.

Erin często myślała, jaka to ironia losu, że Jessie obrała ścieżkę, którą ona też by poszła, gdyby nie to, co przyniósł jej los. Jeśli nie namówiłaby Jessie, żeby pojechała z nią do Nowego Jorku, to przyjaciółka prawdopodobnie wyszłaby za Mike'a... Natomiast Erin prawdopodobnie mieszkałaby w Nowym Jorku i miała własną knajpkę, gdyby nie nagła śmierć rodziców. Jednak jeśli czasem żałowała, że nie spełniło się to jej zaprzepaszczone marzenie, to gdyby jeszcze raz miała wybierać, jej wybór i tak byłby taki sam. W innym wypadku nie miałaby Kayli i Skipa.

*O tym ostatnim powinnaś myśleć w czasie przeszłym* - powiedziała do siebie, mając na myśli męża.

Kiedy Erin szła korytarzem z kroczącym za nią golden retrieverem o maści w kolorze biszkoptów, słyszała nad sobą skrzypienie desek, zapowiadające kładzenie się gości do łóżek. Jednak były tutaj rzeczy sprawiające jej satysfakcję. Niektórzy wysyłali kartki z podziękowaniami, jak po odwiedzinach u znajomych. Byli też tacy, którzy wracali do nich każdego roku i niemalże stanowili rodzinę.

Doszła do pokoju kominkowego i wyciągnęła z kieszeni notatnik, gdzie prawie nieczytelnym pismem szybko zapisała, co trzeba zrobić albo załatwić:

*Naprawić ciekny kran w dolnej łazience*

*Wezwać Vince'a: piec*

*Pralnia: narzuty*

*Wymienić żarówkę w żyrandolu*

Przez chwilę tępo patrzyła w kartkę, i dopisała, *porozmawiać ze S. o drewnie komink.*

Do tej pory przynoszenie drewna i palenie w kominku z rana, zanim wszyscy się zjedzą, było obowiązkiem Skipa. Teraz, kiedy grzała się przy przygasającym już żarze, zadawała sobie pytanie, jak da sobie radę z tym wszystkim. Maria pracowała jedynie cztery dni w tygodniu, pokojówki Suzy i Petra przychodziły na zmianę, przez co brakowało rąk do pracy. Nie wątpiła, że Skip będzie się wywiązywał ze swoich porannych obowiązków, do momentu znalezienia kogoś na jego miejsce, ale co będzie z tym mnóstwem drobnych rzeczy, które należało wykonać każdego dnia? Kto będzie wnosił na piętro ciężkie walizki? Kto pojedzie do sklepu uzupełnić zapas czegoś, co właśnie się skończyło? Kto się zajmie drobnymi naprawami, które dotychczas wykonywał?

Ogarnięta strachem, opadła na kanapę. Pokój kominkowy prawie tonął w

ciemności, nie licząc gasnących ogników i poświaty bijącej od stojącej lampy, która paliła się przez cały czas, w razie gdyby jakiś gość zabłądził tu w nocy. Solidne krzesła w stylu Mission i stoły tonęły w półmroku, a ich dębowe wypolerowane blaty odbijały blaski światła z kominka. Jej wzrok padł na dywanik zrobiony przez Indian Nawaho, pamiątkę z ich ostatniej wspólnej podróży małżeńskiej do Kanionu de Chelle. Kiedy to było? Sześć, siedem lat temu? Jak mogli tak długo nie wyjeżdżać na wakacje? Czy wtedy uważali, że mogą odłożyć to na później, zanim doszło do tego wszystkiego?

Zastanawiała się, czy nie wlać sobie sherry, znajdującej się w kredensie, w tej karafce z rżniętego szkła, albo nie zabrać się za czytanie jednej z książek, zalegających na półkach wbudowanych po obu stronach kominka. Zrobi wszystko, żeby opóźnić położenie się do pustego łóżka. Dodatkowo wcale nie pomogła jej świadomość, że Mike wprowadzi brata w arkana stanu kawalerskiego. Nie chodziło wcale o to, że Mike miał coś przeciwko niej, raczej był drażliwy na punkcie małżeństwa, ślubów i tak dalej. Erin była przekonana, choć Mike pewnie nigdy nie przyznałby jej racji, że Jessie była jedyną kobietą, którą kochał, zwłaszcza że nigdy się nie pozbierał po jej odejściu. Ta historia ewidentnie przeszkadzała mu w zawieraniu dłuższych związków.

Z trudem się podniosła. Jutro, jak zawsze, musi wstać niemalże o świcie, przyszykować śniadanie, nastawić kawę, zanim zaczną się kręcić goście. Przeszła przez hol do małego biura, które kiedyś, jeszcze za czasów rancho, było składzikiem i kiedy Arizona była mekką dla tych, co pragną błyskawicznych rozwodów. Szybko przejrzała pocztę w swoim komputerze. Większość stanowiły maile z zapytaniem o wolne miejsca i zaśmiecające skrzynki informacje na temat niskooprocentowanych pożyczek na remont domu, aż po obietnice powiększenia penisa. Właśnie odpowiadała na maila od kobiety pytającej, czy powinni wraz z mężem zabrać swetry i ciepłe kurtki - czy ludzie myśleli, że nie było tu nic poza pustynią, kaktusami i wysoką temperaturą? - kiedy zadzwonił telefon.

Serce aż jej podskoczyło. Skip? Wiedział, że o tej porze należy dzwonić na telefon do biura. Kiedy podnosiła słuchawkę, drżała jej ręka.

- Hotel Darby Inn, słucham - powiedziała rześkim głosem.

To była tylko Jessie. Troska, zawarta w jej głosie, kiedy usłyszała tę złą wiadomość, doprowadziła Erin do płaczu.

- Mój Boże, nie mogę w to uwierzyć. Skip? Jestem pewna, że wszystko do jutra się poukłada. To znaczy, chyba nie może być aż tak źle?

Erin głośno łkała.

- Wyprowadził się do Mike'a. Wydaje mi się... - Starła się to z siebie wydusić. - Wydaje mi się, że on nie wróci.

Jessie wstrzymała oddech.

- Co się stało? - zapytała. - Dlaczego jest tak wściekły?

Potem już wszystko samo przyszło. Wszystko o Skipie, o tym, jak chciał spłacić Coburn, i o tym, jak Erin położyła kres jego marzeniom, ale też i o innych rzeczach. Uważał, że jest zbyt surowa dla Kayli; ona z kolei myślała, że on rozpuszczał ich córkę. Chciała, żeby stawał w jej obronie u rodziców, on natomiast zawsze wymagał, żeby się bardziej starała, tak jakby teściowie nie byli pełni nienawiści w stosunku do niej. Ostatnio nawet się spierali, czy jej pieczeń wołowa ma być średnio krwista, czy krwista.

Jessie zamilkła na chwilę.

- O rany, Erin. - Była bardziej niż zaniepokojona; wydawało się, że uszło z niej życie. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Sama przed sobą nie chciałam przyznać, jak jest źle.

- I co teraz?

- Wiem tyle samo, co ty.

- Dasz sobie radę sama?

Erin westchnęła, patrząc na stos papierkowej roboty, która na nią czekała.

- A mam inny wybór?

- Jeśli potrzebujesz mojej pomocy, jutro wsiadam w samolot.

- Dzięki, jakoś dam sobie radę. - Doceniała tę propozycję, ale Jessie nie bardzo radziła sobie z obowiązkami domowymi. Nie umiała porządnie zasłać łóżka, z trudem wychodziło jej nawet ugotowanie jajek.

- Co robi Skip?

- Mike dał mu pracę w jednej ze swoich ekip. - Erin wiedziała, co to znaczy, skoro zwrócił się do niego o pomoc.

Skip był dumny ze swojego starszego brata, ale z drugiej strony stało mu to ością w gardle, że Mike odniósł aż taki sukces - budował prawie wszystkie osiedla w okolicy. Musiał więc przełknąć dumę i przyjąć tę ofertę, bo wyglądało na to, że nie miał innej propozycji.

- Jest gorzej, niż myślałam - powiedziała Jessie.

- O Boże, Jess, jak ja sobie poradzę? - głos jej się załamał. Jessie była jedyną osobą, która widziała Erin w takim stanie. Wszyscy inni uważali, że jest twarda, jak Skala Gibraltarska, że jest chodzącą kopalnią dobrych rad, zawsze gotowym ramieniem do wypłakania się, czy suchą chusteczką do otarcia łez.

- Jedno wiem na pewno - powiedziała Jessie. - Nie możesz tak po prostu usiąść z założonymi rękami. Musisz coś zrobić.

- Do tanga trzeba dwojga. - Głos Erin stwardniał. W tym momencie nawet gdyby błagała Skipa, żeby wrócił, to nic by to nie pomogło. Oczywiście i tak nie wchodziło to w grę. Miała przecież swoją dumę.

- To nie jest moment, kiedy należy być upartym. - W jej głosie dało się wyczuć pewną desperację, jakby chodziło o jej własne życie.

- Dlaczego to ja mam przepraszać?

- Któraś z was musi zrobić pierwszy krok.

- W takim razie, pozwolę, żeby to on przyszedł do mnie.

- A co będzie, jak tego nie zrobi?

- To niech spada.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Jeśli myśli, że mnie ukaże - odburknęła Erin - to zdziwi się na co mnie stać.

- Mam nadzieję, że nie mówisz o rozwodzie? - wykrztusiła Jessie.

Żołądek Erin podszedł jej do gardła, niczym w szybko jadącej windzie.

- Nie - odpowiedziała cicho. - Nikt nie mówił o rozwodzie. Na razie.

- Naprawdę, nie mogę w to uwierzyć. Zawsze wyglądaliście na idealną parę. -

Wydawało się, że Jessie sama jest na skraju łez.

Z wahaniem zapytała:

- Ma... Spotyka się z kimś?

- Nic o tym nie wiem. - Aczkolwiek chciała, żeby to było takie proste.

Wiedziałyby, jak się rozprawić z inną kobietą; po prostu powyrywałyby tej małpie wszystkie włosy z głowy.

Zapadła cisza. Można było usłyszeć dźwięki, jakie wydawał z siebie hotel: niczym stary człowiek, któremu strzyka w kościach. Większość gości była już w łóżkach, na szczęście nieświadoma dramatu, jaki się tutaj rozgrywał.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, bym przyjechała? - zapytała Jessie.

- Tak, jestem pewna. Dzięki za propozycję, ale teraz byłoby to mniej więcej tak samo przyjemne, jak wycieczka do bazy wojskowej Guantanamo. Tylko bym cię jeszcze bardziej zdołowała.

- Nie musiałabym jechać tak daleko, żeby się zdołować - wymamrotała Jessie.

Erin przypomniała sobie, że to na dzisiaj przypadał dzień próby.

- Zdaje się, że nie poszło najlepiej z rodziną Jonathona? - odważyła się stwierdzić.

Jessie jęknęła.

- Zachowywali się tak, jakbym była chodzącą zarazą.

- Aż tak źle?



- Dzieci prawie słowem się do mnie nie odezwały, nie lepiej było z jego rodzicami. Wszystkie te niby miłe próby rozmowy ze mną były jak podtuczanie gąski przed włożeniem jej do pieca.

Erin przytaknęła ze współczuciem.

- Mam wrażenie, że tam byłam, uwierz mi. - Tak samo traktowali ją teściowie, którzy nie kryli swego przekonania, że nie zasługuje na Skipa.

- Mogłam się tego spodziewać, po tym wszystkim, co się słyszy o pasierbach. - Jessie zaśmiała się gorzko. - Żałosne, co? Zastanawiam się, jaką będziemy tworzyć rodzinę, podczas gdy on nawet mnie jeszcze nie zapytał, czy za niego wyjdę.

Właściwie dał nawet do zrozumienia, że taki punkt nie widnieje w jego planach.

Jonathon musi być kimś specjalnym dla Jessie. Nigdy w ten sposób nie mówiła o żadnym ze swoich partnerów, nawet o tych, w których była zakochana. Po tym wszystkim, co się stało z Mike'em, płoszyły ją poważniejsze związki.

- Rozmawiasz z nieodpowiednią osobą - powiedziała Erin. - Akurat w tym momencie nie jestem chodzącą reklamą małżeństwa, moje właśnie się posypało.

- Nie mów tak. Ciągłe przecież jest jakaś nadzieja.

- Taka jak w „wiecznym źródle”? - Erin mocniej owinęła się swetrem, żeby nie dygotać. - Wybacz, ale wydaje mi się, że nie będę aż tak długo żyła.

- Myślałaś, żeby pójść do poradni?

- Mój mąż nie wierzy w żadnych psychologów.

- To bez sensu! Praktycznie każdy teraz chodzi na terapię.

- To nie Nowy Jork - przypomniała jej Erin. Jessie na tyle długo nie była w Willow Creek, żeby zapomnieć, że tam czas zatrzymał się na czasach administracji prezydenta Nixona. Tam ciągle takie sprawy omawiało się szeptem.

- Nawet jeśli rzeczywiście tak jest, to głupio nie spróbować. Przecież oboje się kochacie.

Erin przypominała sobie, jakby to było wczoraj, moment, w którym uświadomiła sobie, że zakochała się z Skipie. Miało to miejsce w tydzień po pogrzebie jej rodziców, a ona ciągle jeszcze dochodziła do siebie po przeżytych szoku. To stało się tak nieoczekiwanie. Była w Nowym Jorku, przeżywając tam najlepsze chwile swojego życia, a już w następnej minucie leciała do domu i czuwała przy ciałach swoich rodziców, po tym jak nieszczęśliwy wypadek odebrał im życie: wracali do domu z kręgli, kiedy pijany kierowca dosłownie wbił się w ich samochód. Jessie pojechała z nią, ale zaraz po pogrzebie musiała wrócić do Nowego Jorku, ponieważ zaczynała pracę jako asystentka działu redakcji w „Mademoiselle”. Skip zaproponował jej pomoc w pakowaniu rzeczy rodziców.

Była w ich sypialni, przebierając biżuterię matki, kiedy natknęła się na jarmarczną broszkę, wysadzaną kryształami, którą jako trzynastoletnia dziewczynka kupiła jej na urodziny. Nawet nie zapłakała podczas pogrzebu, ale na samą myśl o tym, że matka nosiła broszkę, którą małe dziecko uważało za piękną, a tak naprawdę była okropnie brzydka, zupełnie ją rozstroiło. W dodatku mama nosiła ją, jakby to była diamentowa broszka od Tiffany'ego. Ta myśl wzruszyła ją dużo bardziej niż widok spuszczonej do grobu trumny z ciałem matki. Załamała się, a łzy lały się jej strumieniami.

Skip usiadł koło niej na łóżku, objął mocno i łagodnie kołysał z boku na bok. W szkole dość często spędzali ze sobą czas, ale głównie przez Jessie i Mike'a; dopiero teraz udowodnił swoją przyjaźń, będąc przy jej boku przez cały ten trudny okres. Kiedy już nie mogła płakać, otarł jej łzy rogiem swojej koszuli, jako że wszystko, nawet chusteczki higieniczne, było już spakowane.

- Może zatrzymasz się u nas na kilka dni? - zaoferował. - Jestem pewien, że moi rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu. Jutro cię tutaj przywiozę i spakujemy resztę rzeczy.

- Nie mogę cię prosić o... - zaczęła protestować, wiedząc, że on i jego brat mieli zaproszenie na zabawę.

Przytknął palec do ust, uciszając ją.

- Nie musisz mnie prosić. Ja chcę to zrobić.

- Poradzę sobie - odpowiedziała bez przekonania.

Erin była przyzwyczajona do samodzielności. Mimo że ciężko było jej to przyznać, rodzice w ogóle się nie znali na prowadzeniu domu. Ojcu pieniądze przeciekały przez palce, a mama zawsze żartowała, że nie chce mieć wrytego na nagrobku napisu głoszącego, że miała najczystszy piekarnik w całym mieście. Ten żart w obecnych okolicznościach już nie wydawał się taki dobry. Jak tylko Erin dorosła do wysokości blatu, przeważnie to ona gotowała i sprzątała. Rzeczy takie jak szampon czy pasta do zębów, którymi inne dzieci nie zawracały sobie głowy, traktując za oczywiste, Erin kupowała za pieniądze zarobione dzięki pilnowaniu dzieci.

Skip delikatnie chwycił ją za podbródek i przechylił jej głowę tak, aby ich wzrok się spotkał.

- Wiem, że sobie poradzisz, nie oznacza to jednak, że musisz sama sobie ze wszystkim radzić.

Poczuła wówczas, że zawsze będzie przy niej. Załkała na samo wspomnienie o tym.

- Kiedyś wydawało mi się, że miłość wszystko przezwycięży - powiedziała Erin.

- Teraz nie jestem już tego taka pewna.

Jessie zapadła w milczenie, zapewne myśląc o Jonathonie. Westchnęła i odparła:

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, co by się stało, gdybyś została w Nowym Jorku?

- Czasem. - Jessie jakby czytała w jej myślach. Czy właśnie nad tym

zastanawiała się Erin, zanim Jessie zadzwoniła? Wzięła do ręki ramkę ze zdjęciem

Skipa, Kayli i swoim, zrobione dwa lata temu na festynie i odbywającej się tam

wystawie zwierząt, podczas której Kayla zdobyła niebieską wstążkę za kure rasy

Plymouth Rock. Czy naprawdę byli tak szczęśliwi, jak na tym zdjęciu? - Moje życie

prawdopodobnie byłoby inne, ale czy lepsze? - Nie wróciła już do Nowego Jorku.

Tamtego lata ona i Skip nie rozstawali się nawet na chwilę, a jesienią już była w ciąży

z Kaylą. Wkrótce się pobrali.

- Ja też się zastanawiam, co by było, gdybym wyszła za Mike'a - i szybko dodała

- nie o to chodzi, że czegoś żałuję. Tak po prostu zastanawiam się, jak to jest być żoną i

matką. Nigdy wcześniej nie zwracałam uwagi na mamy pchające wózki ze swoimi

pociechami, teraz nie widzę nic poza nimi.

Erin zaśmiała się ze zrozumieniem.

- Twój zegar biologiczny już nie tyka, ale włączył się w nim alarm.

- Nawet więcej. Czuję się tak, jakbym obudziła się pewnego dnia i zdała sobie

sprawę, że ta mała skała, na której się utrzymuję i którą uważałam za centrum

wszechświata, jest równiną. Kiedyś patrzyłam z wyższością na ludzi mieszkających w

Queens albo Jersey, ale czy jestem lepsza od nich, bo jeżdżę metrem? Jak każdy kupuję

kawę w Starbucks, a nie trzeba mieszkać w dzielnicy, której kod zaczyna się na

dwieście dwanaście, żeby tak żyć.

- Z mojego punktu widzenia to całkiem atrakcyjne życie. - Czasem, gdy Erin ją

odwiedzała, czuła się, jakby była na przyjęciu i umierała z głodu - nie była w stanie się

tym nasycić.

- W takim razie może powinniśmy się zamienić miejscami? - zażartowała Jessie.

- Może powinniśmy się przekonać, czy w ogródku drugiej z nas trawa jest bardziej

zielona?

- Lepiej bym wyszła na tej zamianie. - Erin wiedziała, że Jessie nie mówi

poważnie, ale w tym momencie ta myśl wydała jej się pociągająca.

Jessie prychnęła.

- No nie wiem, żywiłabyś się makaronem błyskawicznym i krakersami.

Obie w jednym momencie się zaśmiały. Erin czuła, że ciężar, który opadał na jej

ramiona niczym mokry płaszcz, zelżał. Kiedy odłożyła słuchawkę, czuła się odrobinę

lepiej. Czasami zdawała sobie sprawę, jak bardzo tęskni za swoją przyjaciółką. Jeśli

Jessie mieszkałyby w pobliżu, to teraz siedziałyby wspólnie przy kuchennym stole, nad kubelkiem lodów i każda z nich trzymałaby łyżkę w dłoniach.

Erin wróciła do holu i wraz z Otisem wyszła tylnym wyjściem. Pies wyrwał do przodu, kiedy szła wybrukowaną ścieżką, prowadzącą do dawnego baraku zamienionego na mieszkania. Słychać było tylko chrzęst jej kroków na ścieżce i ledwo dający się wyłapać szelest wieczornej bryzy w koronach drzew. Światło księżyca przeświecało przez dziury w komórcie na narzędzia i zbudowane za nią ogrodzenie z drutu, które miało uchronić ogródek warzywny przed królikami, ale nieszczególnie spełniało swoje zadanie. Zagwizdała na Otisa, który chwilę później wrócił w podskokach i bez opamiętania wachał świeżą dziurę pod furtką, żeby za chwilę zawyc z frustracją. Erin dokładnie wiedziała, jak się czuł.

Godzinę później leżała w łóżku, gapiąc się w cienie grające na suficie. A co by było, jakbym się stąd wyrwała i jednak pojechała? - pomyślała sobie. Tutaj, zaraz obok zimnego miejsca po stronie Skipa w ich łóżku, najbardziej czuła gorzki smak życiowej porażki.

## *Rozdział trzeci*

- Nie wyglądasz najlepiej. - Kate odłożyła kartę dań i spojrzała z troską na Jessie.  
- Nie za mało sypiasz?

Jadły lunch w Eleven Madison, skąd roztaczał się fantastyczny widok na Madison Square Park, a knajpka znajdowała się kilka kroków od redakcji miesięcznika „Savvy”, gdzie Kate pracowała jako starszy redaktor. Promienie słońca wpadały ukosem przez okno dawnego budynku Met Life, przeświecając kieliszek z białym winem, który Kate trzymała w dłoni, i rzucając połyskujące refleksy na obrus. Kto nie wyglądałby mizernie przy Kate? Wszystkie kobiety siedzące w restauracji mogły jej pozazdrościć pięknej twarzy i ciała wyrzeźbionego w najlepszym nowojorskim klubie fitness.

Jessie skrzywiła się żałośnie.

- Sypiam... sama. Chyba nie muszę mówić nic więcej?  
- Więc ty i Jonathon...? - Kate podniosła idealnie wyregulowaną brew.  
- Nie, wszystko w porządku. Tylko ostatnio jesteśmy strasznie zajęci. - Może nie do końca była szczerą, ale nie chciała przyjąć do wiadomości prawdy, że między weekendami z Zachem i Sarą, zebraniami w szkole, sesjami u psychologa, Jonathonowi zostawało niewiele czasu dla niej. Z kolei po ostatniej, wprost tragicznej

wyprawie do jego rodziców, kolejne spotkanie rodzinne nie wchodziło w grę.

Przynajmniej do chwili, kiedy opadną emocje.

- Miło to słyszeć - powiedziała Kate. - Bo jeśli kiedykolwiek z nim zerwiesz, wprowadzi to dość nerwowy klimat. Znam przynajmniej tuzin kobiet, które rzuciły swoich facetów po takich szybkich randkach, jak twoja z Jonathonem. Miała na myśli ostatni trend, jaki obowiązywał u singli Żydów, będący randkowym odpowiednikiem gry w gorące krzesła. Na samą myśl o braku pary Jessie przeszedł dreszcz po plecach. Z drugiej strony równie dobrze mogłaby być singlem, jeśli brać tylko pod uwagę czas spędzony wspólnie z Jonathonem.

- A jak się mają twoje sprawy sercowe? - zapytała, chcąc zmienić temat. Kate zrobiła dziwną minę. - Więc ten Boliwijczyk, miłośnik polo, to już przeszłość?

Kate wzruszyła ramionami.

- Odkryłam, że mnie zdradza. Muszę powiedzieć, że nawet nie jestem tak bardzo tym zaskoczona. Tak naprawdę, miał za duży temperament jak na jedną kobietę. Prawdą jest to, co się opowiada o latynoskich kochankach, nadają nowe znaczenie południowym granicom - dodała, uśmiechając się znacząco.

Jonathon też całkiem dobrze sobie radzi, pomyślała Jessie. Spróbowali chyba każdej pozycji z Kamasutry. Najbardziej jednak tęskniła za przytulaniem się z nim w łóżku.

- Znając ciebie, mogę się założyć, że nie narzekałaś na brak towarzystwa. - Kate mogłaby wykleić całą ścianę wizytówkami, wciskanymi jej przez mężczyzn zainteresowanych kontaktami nie tylko zawodowymi.

Kate przewróciła oczami.

- Proszę cię. Ledwo mam czas na poranną kawę, więc tym bardziej nie mam go na jakiegokolwiek związku.

Jessie nie skomentowała tego. Inne kobiety oddałyby wszystko za jej pracę. Robiła wywiady z Tomem Cruisem i George'em Clooneyem. Obowiązkowo musiała chodzić na premiery kinowe, sztywne przyjęcia. Dodatkowymi atutami jej pracy były ubrania z ostatnich kolekcji wielkich kreatorów mody, pozostałe po sesjach fotograficznych, podróże do Londynu czy Paryża, nie wspominając już o upominkach wysyłanych jej przez reklamodawców. Jessie natomiast była szczęśliwa, kiedy zapłacono jej za artykuł o przestarzałych trendach w modzie. Odchrząknęła.

- Tak à propos pracy, co sądzisz o mojej propozycji? - Jessie wydawało się, że właśnie dlatego Kate zaprosiła ją na lunch.

Kate nie owijała w bawełnę.

- Obawiam się, że ten temat nie przejdzie. Julia uważa, że już się przeżył.

Niejaka Julia Hicks, ponad sześćdziesięcioletnia redaktor naczelna „Savvy” i szefowa Kate, uznawała się za osobę trzymającą rękę na pulsie czytelniczek magazynu: trzydziesto- i czterdziestoletnich kobiet, mieszkanek miast.

- Próbowałam jej wytłumaczyć, że twoje spojrzenie na temat jest zupełnie nowe i nie będzie mowy o kobietach w naszym wieku, robiących sobie liftingi twarzy, ale i tak nie byłam w stanie jej przekonać. Przykro mi, Jess.

Jessie zamarła z przerażenia, ale starała się ukryć swoje rozczarowanie. Była zbyt dumna, żeby pokazać Kate, jak bardzo była zrozpaczona: jeśli wkrótce nie wygrzebie się ze swojego zawodowego dołka, grozi jej bezdomność. Co prawda sąsiad Drew zaoferował jej swoje lokum, jeśli by do tego doszło, ale jego mieszkanie było jeszcze mniejsze niż jej i znajdowało się tam tylko jedno łóżko.

- To niedobrze. Miałam nadzieję, że przynajmniej uda mi się dzięki niemu zrobić darmową liposukcję - zażartowała.

Kate nawet się nie zaśmiała. Spojrzała na Jessie ze współczuciem. O rany, jest jeszcze gorzej, niż myślałam, pomyślała Jessie. Jej dwa ostatnie pomysły też zostały odrzucone. Kate pewnie sobie myśli, że Jessie zatraciła swoje dobre pióro i pomysły.

- Cały czas jednak czekamy na nowe propozycje od ciebie - powiedziała Kate.

- Problem w tym, że chyba nie mam nowych pomysłów. Może masz jakieś sugestie?

Kelner, który przyszedł przyjąć od nich zamówienie, przerwał ich rozmowę. Jessie była tak zaprzątnięta swoimi myślami, że nie miała nic przeciwko temu, że chłopak, recytując kolejne dania dnia, bez przerwy wpatrywał się w Kate, która jak zwykle nawet tego nie zauważyła.

- Czy ty też tego nie znosisz? - wyszeptała, pochyliwszy się ponad stołem, kiedy kelner już odszedł. - Ja chcę zjeść lunch, a nie wysłuchiwać jakichś epistoł. - Kiedy mężczyźni przyglądali się Kate, ona odnosiła wrażenie, że ma coś na zębach. - O czym to mówiłyśmy? A, o pomysłach. - Zrobiła zamyśloną minę, stukając o kieliszek swoim wypielegnowanym paznokciem z manikiurem francuskim. - Może napiszesz coś o bumerangach, no wiesz, o kobietach, które przeprowadzają się na przedmieścia i po roku, dwóch z radością wracają na swoje czwarte piętro w kamienicy bez windy i łapią się za szufelki do sprzątnięcia psich odchodów.

- A co z tymi, które myślą, że to była najlepsza decyzja ich życia?

- Może tak tylko mówią, by się pocieszyć i utwierdzić w podjętej już decyzji. - Dla Kate, zatwardziałej mieszkanki Nowego Jorku, nie istniało nic gorszego, jak być zesłanym na przedmieścia. Szybciej chyba już poradziłaby sobie z jakąś wstydliwą chorobą niż z samochodem terenowym.

- Może niektóre tak, ale na pewno nie wszystkie - powiedziała Jessie. - Moja koleżanka, Cynthia, któregoś dnia psioczyła, że więcej tu płaci za garaż niż za wynajem mieszkania poza Nowym Jorkiem.

- To chyba wcześniej mieszkała w Dakocie Północnej?

- Chodzi o to, że ona myśli o przeprowadzeniu się poza miasto. Ma dosyć bycia splukaną przez cały czas. Dzisiaj za dolara nie można już nawet napić się przyzwoitej kawy. - Nikt nie wiedział tego lepiej, jak Jessie.

Jakoś trudno mi w to uwierzyć, że ktoś chętnie zamieniłby czteropiętrową kamienicę i metro na dom i terenowego chevroleta.

- Wygląda na to, że podoba ci się ten pomysł. - Kate upiła łyk swojego wina, uważnie przyglądając się Jessie.

- Może nie byłoby to takie złe - próbowała się bronić.

Jesse kochała Nowy Jork. Uwielbiała to, że wszystko, czego potrzebowała, było tutaj na wyciągnięcie ręki. Uwielbiała pochylać się nad wielostronicową niedzielą gazetą. Uwielbiała te gorące jeszcze bułki z dziurką, które zostawiały na torbie zaparowane kółko. Jeśli w środku nocy naszła ją ochota na sushi, mogła być pewna, że w pobliżu znajdzie otwartą japońską restaurację. Jednak w swojej obecnej sytuacji nie mogła zaprzeczyć, że myśl o przeniesieniu się gdzieś, gdzie koszty życia były dużo niższe, gdzie nie czułoby się ciągłej presji wiązania końca z końcem i zapomnialoby się o tym, że jest się trzydziestopięcioletnią samotną, posiadającą partnera na pół etatu kobietą z brakiem perspektyw na przyszłość, jest kusząca. Kate spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- Ale co masz na myśli, gdzie byś pojechała?

- W rodzinne strony - odpowiedziała Jessie bez zastanowienia.

- W rodzinne strony? Chcesz jechać do domu? - zapytała takim tonem, jakby właśnie usłyszała o jakimś nowoodkrytym bycie.

- Tam nie jest tak źle. To prawda, że nie ma dobrych restauracji, a w sobotę wieczorem można tylko pójść do lokalnego pubu, a nie do eleganckiego klubu nocnego (nieważne, że ona akurat nie chodziła do takich klubów), ale przynajmniej tamtejsi ludzie są bardziej przyjacielscy. Na przykład, mijając się na ulicy, uśmiechają się do siebie.

W Nowym Jorku uśmiechali się tylko ci, którzy chcieli ci coś sprzedać.

- Jak byłaś tam ostatnim razem, to nie mogłaś się doczekać powrotu - przypomniała jej Kate.

- To tylko dlatego, że mama doprowadzała mnie do szału.

Erin zaproponowała jej, żeby zatrzymała się u nich, ale Jessie stwierdziła

wówczas, że będzie to niezręczne dla nich wszystkich, zwłaszcza dla Skipa, który nadal żywił do niej urazę, więc spała u Beverly.

- Ostatnio z moją przyjaciółką Erin żartowałyśmy, że mogłybyśmy zamienić się rolami. Obu nam przydałaby się jakaś zmiana. Ona ma problemy małżeńskie, a ja hm...

- wykrztusiła - jestem w środku zleceń.

Kate ożywiła się.

- No, to byłaby świetna historia.

- To był tylko żart.

- Wiesz, co powiedział Freud: „Nie ma żartów”.

- Możesz mi powiedzieć, co dokładnie masz na myśli?

- Jessie dociekała z zakłopotaniem.

Kate zamyśliła się na chwilę i spojrzała uważnie na Jessie pełnym radości wzrokiem.

- A co byś powiedziała o takim półrocznym pobycie? Nie mówię o zamienianiu się partnerami czy czymkolwiek w tym rodzaju, ale na pewno wiele naszych czytelniczek rozważa taką możliwość, co ty. Zastanawia się, czy trawa w cudzym ogródku jest bardziej zielona? Będziesz realizowała marzenia każdej miejskiej kobiety, która zadaje sobie pytanie, czy nie rzucić wszystkiego na rzecz uroków życia na wsi.

- Chyba bardziej jest to temat na artykuł - odpowiedziała z powątpiewaniem Jessie.

- Słusznie. Hm, zastanówmy się... Już wiem! Mogłybyśmy dawać cotygodniowe odcinki. - Głowa Kate pracowała pełną parą. - Porozmawiam o tym z Julią, zaraz po powrocie do pracy, zobaczymy, co na to powie.

Jessie potrząsnęła głową.

- Erin nigdy by na to nie poszła. - Tak jakby ona brała to w ogóle pod uwagę!

- Skąd wiesz? Nie zapytałaś nawet; przecież sama mówiłaś, że przydałaby się jej jakaś zmiana.

- Bardziej myślałam o weekendzie na farmie piękności. Poza tym ona nie jest pisarką. Domyślam się, że myślałaś o poznaniu wrażeń nas obu?

Kate machnęła ręką, jakby to był najmniej ważny szczegół.

- Wszystko, co musi zrobić, to przelać swoje wrażenia na papier, a my już zajmiemy się resztą. Mówię ci, nasi czytelnicy połkną haczyk!

Kelner przyniósł jedzenie, jednak żadna z nich nie wzięła widelca do ręki.

- Zastanowię się - powiedziała Jessie, bardziej żeby uspokoić Kate, niż na serio to rozważając. Kto przy zdrowych zmysłach brałby pod uwagę taką możliwość?

*Kobieta, która nie ma nic do stracenia* - odpowiedziała sobie w myślach.



- Nie martwisz się chyba Jonathonem, prawda? - zapytała Kate, kiedy Jessie apatycznie skubała swoją sałatę.

- Przeszło mi to przez myśl. - A jakżeby inaczej.

- Czy myślisz, że on wahałby się, będąc na twoim miejscu? Jeśli, dajmy na to, miałby relacjonować jakieś wydarzenia z zagranicy?

- On jest szefem biura, a nie korespondentem.

- Wiesz, o czym mówię. - Kate nie dawała tak łatwo za wygraną.

Jessie zastanowiła się, co to mogłoby oznaczać dla Jonathona, jeśli przyjąłaby tę propozycję. Był tak zajęty swoją pracą i dziećmi, więc może nawet nie zauważyłby jej nieobecności.

- Wiem, ale jest jeszcze inny problem: moja matka.

- Sześć miesięcy z Beverly mogłoby źle wróżyć jej zdrowiu psychicznemu.

- Wszystko może się wydarzyć. Kto wie, może to właśnie was zbliży?

Jessie prychnęła.

- Nie znasz mojej matki.

- Zastanów się nad tym i porozmawiaj z Erin. Tylko o to cię proszę.

- Pomyślę o tym - obiecała Jessie.

- A ja tymczasem porozmawiam z Julią.

- Wiesz, że to szalone, prawda? - Jessie potakując głową, patrzyła na Kate.

- Wszystkie najlepsze w życiu rzeczy są szalone. - Kate nadziała na widelec kawałek ogórka i podniosła go do ust.

- Ale ja w ogóle nie znam się na prowadzeniu hotelu.

- Nauczysz się. Czy jest to aż tak trudne?

- Mogłabym się nawet nauczyć jeździć wózkiem widłowym, co nie oznacza, że mam na to ochotę.

- To chyba nie jest jedyna rzecz, której się obawiasz. - Kate posłała jej wyzywające spojrzenie.

- O czym ty mówisz? - Oczy Jessie aż się zwięzyły.

- O tym, że możesz polubić to na tyle, żeby tam zostać. Już na samą myśl o tym Jessie ogarnęła panika.

- Myślę, że nie ma takiego zagrożenia - odpowiedziała ze śmiechem. - Po spędzeniu tam sześciu miesięcy pewnie będę już chodzić po ścianach.

Kate uśmiechnęła się, a Jessie zdała sobie sprawę z tego, że wpadła w zastawione przez Kate sidła.

- Cóż więc masz do stracenia?

## *Rozdział czwarty*

- Powinnaś spróbować, mamó - powiedziała Kayla, otwierając jogurt. Kiedy była mała, jej ulubioną przekąską był tost posmarowany masłem orzechowym i miodem. Teraz uważała ją za zbyt tuczącą. - Potraktuj to jak wakacje. Kiedy właściwie gdzieś byłaś?

Trzy lata temu pojechałam do Nowego Jorku, pomyślała Erin. Nawet wtedy Jessie musiała się mocno nagimnastykować, żeby ją do tego przekonać. Wytarła ostatni czajniczek, który postawiła na suszarce.

- Nie bierze się wakacji od życia. - Dlaczego właściwie powiedziała córce o tym zwariowanym pomysle Jessie? Przecież nawet nie brała takiej możliwości pod uwagę. - Poza tym to nie jest najlepszy moment na wakacje.

- Mówisz tak, mając na myśli sytuację z tatą? - Ton Kayli był celowo tak nonszalancki.

Kiedy usiedli wspólnie w dzień po ich rozstaniu, Skip wytłumaczył córce, że wraz z Erin potrzebują czasu. Kayla wiedziała o prawdziwym powodzie rozstania, ale była na nich wściekła. W kolejnych dniach po tej rozmowie chodziła swoimi ścieżkami, ukrywając zaczerwienione od płaczu oczy i zalewała rodziców wręcz radioaktywnymi falami żalu. Teraz od tygodnia robiła dobrą minę do złej gry i zachowywała się tak, jakby nic się nie stało - przecież połowa rodziców jej kolegów rozwiodła się - dlaczego więc u niej miałyby być inaczej? Erin nie dała się nabrać na taką postawę, wiedziała, że Kayla bardzo przeżywała zaistniałą sytuację.

- Nie chodzi tylko o twojego ojca - powiedziała, nie do końca się z tym zgadzając. W ostatnim czasie wszystko obracało się wokół Skipa, a raczej wokół otchłani, jaką po sobie zostawił w jej życiu. - Bardziej myślałam o tobie. Złożyła ścierkę do wycierania naczyń i spojrzała na córkę, która przysiadła na krześle przy bufecie. Miała na sobie spodnie wiszące w kroku i co najmniej o dwa rozmiary za dużą koszulkę z zespołem Scorpions. Jej włosy w odcieniu piasku były spięte w kucyk. Erin już miała powiedzieć, że ten okres jest trudny dla nich wszystkich, ale przecież nie należało Kayli dodatkowo tego przypominać.

Erin spojrzała na różową kroplę jogurtu, spoczywającą na łyżeczce Kayli.

- Nie obraż się, mamó, ale ja sobie poradzę bez ciebie przez te kilka miesięcy.

- Masz tylko czternaście lat - przypomniała jej Erin. - Poza tym myślę, że ostatnio zaszło już zbyt wiele zmian.

Kayla, niezrażona tym, co powiedziała matka, dodała:

- Pamiętasz Rose Fahey, która chodziła ze mną do klasy? Teraz właśnie jest w jakiejś szkole z internatem, gdzieś na wschodzie kraju i nie wydaje mi się, żeby matka Rose trzęsła się ze strachu, że nie widuje jej codziennie. Poza tym nie byłabym tu sama. Jest przecież tata i miałabym przy sobie ciocię Jessie.

- Ciocię Jessie? - prychnęła Erin. - Ciągle jeszcze nie doszłam do siebie po tym, jak odwiedziłaś ją podczas przerwy wiosennej: te wszystkie dzikie przyjęcia, drag queens i Bóg jeden wie, co jeszcze.

- To było jedno przyjęcie. Poza tym, mamo, ja przecież wiem, co to są transwestyci. Właściwie to wiem nawet więcej, niż ci się wydaje.

Erin nie wątpiła w to. Kayla, mając czternaście lat, była dojrzała niż ona w tym wieku. W skrytości ducha odczuwała zadowolenie, że córka lubi poszerzać swoje horyzonty, i wiedziała, że Jessie nigdy nie zachowałaby się nieodpowiedzialnie w stosunku do Kayli. Jednak to, żeby Jessie była matką zastępczą dla Kayli przez kolejnych sześć miesięcy, nie wchodziło w grę.

- Nie ma co o tym dyskutować - powiedziała - więc myślę, że będziesz skazana na towarzystwo swojej matki.

*Kiedy zrobiłaś się taka skostniała i zasadnicza?* - Jakiś głos szeptał w jej głowie. Przypomniała sobie, jak wspólnie z Jessie, kiedy zresztą były niewiele starsze od Kayli, wyglupiały się, jadąc autostopem do Phoenix, opowiadając jakieś głupoty kierowcy ciężarówki, który je podwoził, i wmawiając mu, że jadą do Las Vegas i zostaną tancerkami rewiowymi. Oczywiście jeśli Kayla odważyłaby się coś takiego zrobić, byłaby uziemiona co najmniej na rok. Bycie matką zmieniło sposób, w jaki Erin patrzyła na życie, niekoniecznie jednak na lepsze, szczególnie w pewnych kwestiach.

Otworzyła lodówkę, zaopatrzoną niczym ładownie statku wyruszającego w długą podróż: było tam mnóstwo pojemniczków z masłem, pozostałym ciastem naleśnikowym, najróżniejszymi serami, dżemami, galaretkami. Wyjęła torbę z winogronami i umyła je, a następnie zaczęła rozdzielać na małe gałązki, którymi chciała przybrać patery z serami na wieczór.

Jak mogła pozwolić sobie na kilkutygodniowy wyjazd, nie mówiąc już o kilkumiesięcznym? Codziennie miała tyle pracy, że nie była w stanie wygospodarować chwili dla siebie. Rano trzeba było przygotować śniadanie na dwanaście albo dwadzieścia cztery osoby, potem, przez resztę dnia, należało załatwić wszystkie inne sprawy, potwierdzić rezerwacje, spełniać prośby gości. W dodatku musiała jeszcze doglądać sprzątanía, upewnić się, czy każdy pokój jest bez zarzutu, czy wszystko lśni i czy w wazonach stoją świeże kwiaty.

To nawet nie była połowa rzeczy do zrobienia w hotelu. Jutro rano miała się

spotkać z organizatorką ślubu państwa Traversów, była koleżanką ze szkoły, która już za czasów szkolnych organizowała wszystkie imprezy, a i teraz traktowała swoje zadania, jakby brała udział w decydującym meczu.

- Mogę się założyć, że jeśliś wyjechała, tata na pewno by zmiękł - powiedziała Kayla i rzuciła Erin chytre spojrzenie.

Erin zastygła w bezruchu, mając w ręce gotowe do cięcia nożyczki.

- Więc to wcale nie chodzi o to, żebym zrobiła sobie wakacje. - Kayla najwyraźniej uważała, że jest to dobry sposób na zejście się rodziców. Żeby tylko to było takie proste! - Przykro mi. A już prawie mnie przekonałaś - dodała z udawanym żalem.

- Serio? - Kayla gwałtownie podniosła głowę.

- Nie. - Erin powróciła do swoich zajęć. *Ciach, ciach.*

- A jeśli chodzi o twojego ojca, to chyba nie muszę jechać do Nowego Jorku, żeby przypomnieć mu, że ma rodzinę - powiedziała to z dużo większą goryczą, niż zamierzała.

Kayla spojrzała na nią ze smutkiem.

- Ty też, mamó, nie ułatwiasz sprawy.

Jej słowa strasznie zabolęły Erin. *I ty, Brutusie?*

- Wiem, kochanie, ale staram się - odpowiedziała łagodnie. Co prawda ona przyjęłaby go z otwartymi ramionami, ale on też musiałby się trochę ugiąć.

- On ciągle cię kocha.

Serce Erin aż podskoczyło.

- Powiedział ci to?

- Nie, ale ja to wiem.

Nożyczki wyślizgnęły jej się z ręki, kalecząc Erin w miejsce pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Krzyknęła z bólu i przytknęła dłoń do ust, oblizując spływającą z ranki kroplę krwi.

- Jeśli twój ojciec zdecyduje się wrócić do domu - powiedziała, gdy głos przestał jej już drżeć - to nie zdarzy się to dzięki jakiemuś podstępowi.

- No, w sumie tak. - Kayla czując, że poniosła porażkę, oparła łokcie na bufecie, a twarz na dłoniach, i tępo patrzyła przed siebie.

Erin po raz kolejny uderzyło podobieństwo Kayli do ojca. Oboje byli wysocy, mieli podobne rysy twarzy, blond włosy i niebieskie oczy, tylko Skip był bardzo szczupły, a Kayla, jak to mówiły panie ekspedientki, grubokoścista. Kayla natomiast uważała to za eufemistyczne ujęcie tego, że jest gruba. Patrząc w lustro, nie widziała swoich pięknych rysów twarzy, zdrowej cery, błyszczących włosów, o pięciu różnych

odcieniach blondu, tylko to, że nie mieściła się w rozmiar S. W dodatku idealizowała swoją ciotkę Jess, która miała bardzo podobną do niej budowę ciała. Czasami Erin, patrzącej na Kaylę, wydawało się, że widzi Jessie, kiedy była w wieku jej córki.

Erin pokręciła głową, mamrocząc pod nosem:

- Ciocia Jessie i jej wielkie idee.

- Przynajmniej nie jest starszą panią, siedzącą w bujanym fotelu.

- Ale ja nie jestem stara! - Erin zastanawiała się, kiedy Kayla dorobiła się tak ciętego języka. Jednocześnie nie mogła zaprzeczyć, że było trochę prawdy w tym, co mówi córka. Ostatnio nic nie sprawiało jej takiej przyjemności, jak ułożyć zmęczone kości na jednym z wiklinowych foteli, stojących na ganku.

- Ciocia Jess opowiadała mi o paru rzeczach, jakie robiłaś, będąc w moim wieku. Na przykład o tym, że prowadziłaś samochód swojego taty, nie mając jeszcze prawa jazdy.

- Pozwolił mi na to mój instruktor jazdy! - Erin w myślach miała ochotę udusić Jessie. - Ale nawet jeśli na to pozwolił, to i tak było to głupie i nierozważne, już nie mówiąc o niebezpieczeństwie, jakie mogło za sobą pociągnąć. Poza tym teraz mam obowiązki, których wtedy nie miałam. - Kiedy to mówiła, po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Czy Skip nie wyrzucał jej, że jest zbyt mało elastyczna? - Dowiesz się, o czym mówię, jak będziesz miała własne dzieci - dodała znacząco.

- Nie ma mowy, ja nigdy nie wyjdę za mąż. - Usta Kayli były zaciśnięte w ten sam sposób jak u jej ojca, kiedy upierał się, że czegoś dopnie.

- Teraz tak mówisz, ale...

Kayla nie pozwoliła jej skończyć.

- No i po co - powiedziała przygnębiona - skoro w końcu i tak wszystko się rozpada?

Erin odwróciła się, by jeszcze raz zetrzeć czysty już blat. Nie mogła znieść wyrazu twarzy córki. Dlaczego jej to robili ze Skipem? Zdała sobie sprawę, jak naiwne z jej strony było wierzyć, że zamknięte drzwi tłumią ich podniesione głosy.

Jednak nie zawsze tak było. Były też dobre czasy. Czasy, kiedy zamknięte drzwi oznaczały, że kochali się ze Skipem. Wieczory, kiedy nie mogła się doczekać, żeby już być z mężem sam na sam po ciężkim dniu pracy. Małe podarunki, które jej przynosił: garść pierwszych czereśni z sadu, opuszczone ptasie gniazdko, znalezione podczas czyszczenia pastwiska, wykopane z ogródka grudki różowego kwarcu, które, jak mówił, miały ten sam truskawkowy odcień, co jej pieprzyk na lewym pośladku. Potem z tego kawałka kwarcu zrobił dla niej piękny wisior, który nosiła na łańcuszku, ale teraz nie miała go już na szyi.

Starala się powstrzymać łzy. Nie chciała pokazać Kayli, jak niewiele brakowało, żeby się załamała. Odchrząknęła, spojrzała na pusty kubeczek po jogurcie i powiedziała:

- Jak skończyłaś, to może byś mi pomogła? - Podała Kayli miseczki z winogronami i stos małych porcelanowych talerzyków, których używali dla gości.

Kayla wstała z ociąganiem i zaczęła rozkładać talerze i winogrona, kiedy nagle o czymś sobie przypomniała:

- Zapomniałam ci powiedzieć, że idziemy z Devon do kina, jeśli nie masz nic przeciwko. Jej mama po mnie przyjedzie. - Innymi słowy, wszystko było już zaplanowane, więc Erin wyszłaby na złą matkę, jeśliby się nie zgodziła. Na samą myśl, że zostanie sama, ogarnęła ją panika i już chciała powiedzieć Kayli, by zaprosiła Devon tutaj i obejrzały jakiś film na DVD. Jednak dotrzymanie Erin towarzystwa nie należało przecież do obowiązków Kayli.

- Odrobiłaś lekcje? Kayla przewróciła oczami.

- Mamo, jest piątek. Mam na to cały weekend. Erin przytaknęła machinalnie.

- Ja się zgadzam, zapytaj... - Złapała się na tym. Boże, czy ja kiedykolwiek przyzwyczaję się do myślenia kategoriami ja, zamiast my?

Nie chodziło o to, że Skip zniknął z jej życia. Widywali się codziennie, kiedy przyjeżdżał każdego ranka, by wywiązać się ze swoich obowiązków. Codzienne wieczorem rozmawiał z córką przez telefon. Ostatni weekend Kayla spędziła z nim u swojego wujka, a tej niedzieli mieli razem iść do kościoła. Wszystko to sprawiało, że Erin czuła się jeszcze bardziej samotna.

Z rozmyślań wyrwała ją Maria.

- Znowu się zapchała ta cholerna toaleta - mruknęła, schylając się pod zlew w poszukiwaniu przepychacza. Z miejsca, w którym stała Erin, mogła tylko zobaczyć burzę czarnych kręconych włosów i tylne kieszenie lewisów, opiętych na wydatnej pupie Marii.

- Która?

- Paloverde.

- O kurczę. - Na nieszczęście kobieta, która mieszkała w pokoju Paloverde, pisała przewodnik *Autostrady Arizony*, o najlepszych hotelach w tym stanie.

Maria podniosła się z kolan, trzymając w ręce przepychacz, a jej kragłe policzki zaróżowiły się z wysiłku.

- Bogini łowów Diana spotyka „hydrauliczkę”. - Erin w duchu już po raz kolejny dzisiejszego dnia błogosławiła ją. Maria dawniej pracowała w banku i była odpowiedzialna za udzielanie pożyczek, więc kiedy sześć lat temu zgłosiła się do pracy

w hotelu, wydawało się, że ma zbyt wysokie kwalifikacje. Jednak prosiła, żeby Erin ulitowała się nad nią, ponieważ strasznie nie lubiła atmosfery panującej w banku: wyfroterowanych podłóg, równo przystrzyżonych drzewek. W końcu Erin zdecydowała się dać jej szansę i była to jedna z najlepszych decyzji, jakie podjęła w życiu.

- Nie wiem po co w ogóle zawracamy sobie głowę wieszaniem tych tabliczek - powiedziała Maria, mając na myśli dyskretne napisy w łazienkach; *Staramy się sprostać Państwa wymaganiom. Bardzo prosimy o niespuszczanie śmieci w toalecie ze względu na nasze delikatne instalacje wodociągowe.*

- Może ktoś kiedyś to przeczyta - ucięła Erin.

Maria przewróciła oczami.

- Tak, pewnie będą to te same osoby, które zawsze słuchają instrukcji, recytowanych przez stewardessy w samolotach.

Maria szybko się oddaliła i chwilę później Erin usłyszała jej kroki na schodach.

Została sama w kuchni, patery z serami były już przygotowane, Kayla wybierała się do kina, a Erin w końcu miała chwilę, żeby usiąść i odsapnąć. Rozejrzała się wokół, próbując sobie przypomnieć, jak kiedyś wydawało jej się niemożliwym doprowadzenie tego wszystkiego do porządku. Cóż to była za ruina! Trzeba było wymienić prawie wszystko poza fundamentami i belkami nośnymi. Nie było tu nawet kuchni, ponieważ na męskim rancho gotowało się na zewnątrz. Teraz stały tu oszklone serwantki, a miedziane rondle lśniły, zawieszane nad bufetem-wyspą, w spiżarni i na ścianach okalających kuchenkę wisiały stare talerze, które razem ze Skipem udało im się kupić. Trudno było uwierzyć w tę przemianę.

*Jeśli udało nam się uratować tę rudere, pomyślała, to dlaczego nie udało nam się tego zrobić z naszym małżeństwem?*

Następnego ranka, kiedy Erin i Maria zmywały po śniadaniu, składającym się z kukurydziano-żurawinowych muffinek, jajeczniczy na ostrej kiełbasce chorizo i smażonych pomidorów, znajomy głos zawołał z sąsiedniego pokoju:

- Halo, jest tu ktoś? - Erin głośno jęknęła. Przyjechała ta kretyńska organizatorka przyjęć ślubnych.

Maria uniosła brew, mrużąc:

- Domyślam się, że to Livingston?

Ciągle jeszcze nie doszły do siebie po ostatnim weselu w klimacie arabskich nocy, jakie Cricket zorganizowała w hotelu zeszłej wiosny. Jeden ze starszych gości zemdlął na widok gumowej kobry, łudzaco podobnej do prawdziwej, która wypełzała z kosza zaklinacza węży.

Erin wyszła Cricket na powitanie, zostawiając Marię z resztą zmywania. Znalazła swoją dawną szkolną koleżankę w pokoju śniadaniowym, zabawiającą rozmową państwa Morgensternów, którzy mieli przyklejone do twarzy uśmiechy, niczym pasażerowie luksusowego statku, zagadywani przez nadgorliwego kaowca.

- No, dzień dobry, dzień dobry! - Cricket powitała ją tym swoim doprowadzającym do szału głosem prezenterki teleturnieju. - Właśnie mówiłam tym uroczym ludziom, że jeśli chcieliby odświeżyć swoją przysięgę małżeńską, to wystarczy tylko do mnie zadzwonić. W wieku trzydziestu pięciu lat Cricket była jeszcze żwawsza, jeśli to w ogóle możliwe, niż w szkole. Blender też każdego roku miał o ton jaśniejszy kolor włosów. W różowym zakieciku i kremowej jedwabnej bluzce z krezą pod szyją wyglądała jak wielki deser truskawkowy.

Erin z niedowierzaniem patrzyła, jak Cricket wyciąga z torebki od Louisa Vuittona wizytówkę i podaje ją pani Morgenstern.

- A tak przy okazji, jestem Cricket Shaughnessy - przedstawiła się. - A pani?

- Czy przypadkiem nie spieszą się państwo na samolot? - Erin przybyła im na ratunek.

- Tak, rzeczywiście, musimy już iść. Miło było panią poznać. - Pan Morgenstern rzucił Erin pełne wdzięczności spojrzenie.

Tydzień wcześniej, obserwując parę tych siwowłosych uroczych staruszków, będących ze sobą dłużej, niż Erin była na ziemi, zapytała, gdzie tkwił sekret ich szczęścia.

- W bezlitosnym procesie starzenia się - odpowiedziała pani Morgenstern, tłumiąc śmiech i biorąc męża pod rękę.

- A ja dodatkowo mam aparat słuchowy - dodał jej mąż, patrząc czule na swoją żonę.

- Kiedy już ma mnie dość, wyłącza go - wyjaśniła pani Morgenstern.

Erin właśnie prowadziła Cricket do ogrodu, gdzie miało się odbyć przyjęcie weselne, kiedy podjechał niebieski lincoln navigator. To byli państwo Nichols, którzy zatrzymali się w niebieskim pokoju. Patrzyła, jak z samochodu wychodzi kulejąc pan Nichols, przysadzisty mężczyzna, który miał włosy dosłownie wszędzie, tylko nie na głowie. Pani Nichols wykonywała jakieś rozpaczliwe gesty w kierunku Erin, która ruszyła, by im pomóc.

- Potrzebny nam lód - powiedziała rozkazującym tonem, ledwo łapiąc oddech - i tylenol.

- Mam wezwać lekarza? - spytała Erin.

- Raczej prawnika. - Jej usta wyglądały jak namalowane czerwonym



nieścieralnym markerem. Mama Erin o takich ludziach mawiała, że przy narodzinach ktoś zaaplikował im łyżeczkę octu. Mimo, że byli bardzo dobrze sytuowani, pani Nichols nie mogła o sobie powiedzieć, że jest szczęśliwa. Od momentu przyjazdu na wszystko narzekała: a to pokój był za mały, a to materac zbyt miękki, kuchnia nie taka, jaką lubi. Wyglądało, że podczas porannej przejażdżki konnej Leniwiec przyczynił się do jakiegoś nieszczęścia.

- Ten koń w ogóle nie nadaje się do tego, żeby na nim jeździć. Boże, to istny cud, że mąż nic sobie nie złamał!

- Porozmawiam o tym z Tedem. - Erin trudno było sobie wyobrazić, co też pan Nichols musiał zrobić, żeby ten biedny zwierzak zrzucił go z grzbietu; wszystkie konie Teda Kimble były przecież łagodne jak baranki. - Dobrze, to może na razie przyniosę lód - powiedziała naburmuszonej pani Nichols, pomagając jej mężowi wejść po schodach, i przepraszająco spojrzała na Cricket.

- Nie spiesz się. Przecież dokładnie znam już to miejsce - krzyknęła do niej Cricket.

Erin pomogła pani Nichols zaprowadzić jej męża do pokoju. Przy okazji musiała wysłuchać rozkazów wykrzykiwanych przez oboje małżonków. Erin starała się być uprzejma. Szkoda, że nie ma Skipa - pomyślała. Były to zresztą słowa, które powtarzała każdego dnia niczym mantrę. Bez niego wszystko wydawało się o wiele trudniejsze. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo była od niego zależna. Jeśliby tu był, pani Nichols jadłaby mu z ręki, a tak Erin mogła tylko powiedzieć sobie w myśli, gdzie najchętniej włożyłaby panu Nicholsowi worek z lodem.

Jak tylko rozwiązała problem z Nicholsami, ułożywszy owłosioną nogę pana Nicholisa na poduszkach, pobiegła na zewnątrz, odnajdując Cricket na terenie dawnego wybiegu dla koni, który Skip przeistoczył w istną oazę dywanów kwiatowych, ozdobnych drzewek i wijących się pośród nich ścieżek. Cricket z taśmą w dłoni mierzyła odległość między altaną i trawiastą polanką, na której miał być rozbity duży namiot.

Erin podążała ścieżką, wyznaczoną przez dziury w ziemi, pozostawione przez obcasy Cricket. Podczas ostatniego ślubu, który Erin i Skip ochrzcili arabskim koszmarem, Cricket nalegała, żeby rozstawić namiot w bardziej ocienionym miejscu niż to, które polecał Skip, ostrzegając, że jeśli będzie padać, to właśnie tu będzie spływała woda. Zbagatelizowała jego rady, tak jakby ładną pogodę można było zamówić tak łatwo jak szampana. Oczywiście wtedy padało, a ulewa zamieniła podłogę namiotu w wielkie bajoro, trzeba było przenieść przyjęcie do wnętrza, gdzie

wszyscy się stłoczyli niczym przemoknięte płaszcze w zbyt małej szafie. Erin patrzyła na okryte przed zimnem rabatki z kwiatami, które na wiosnę będą obficie kwitnąć. Przypomniała sobie, jak kiedyś to miejsce nie miało nic wspólnego z ogrodem, z wyglądu przypominając bardziej strefę wykopalisk archeologicznych. Skip własnoręcznie przynosił ze strumienia kamienie na murek oporowy; na niewielkim wzniesieniu zbudował altankę, z widokiem na strumyk i zwałowane pastwisko. Od tego czasu wiele par złożyło tam sobie przysięgę małżeńską.

Jej myśli powędrowały do ich własnego ślubu. Jedynymi gośćmi była rodzina Skipa i Jessie, która zdawała się nie przejmować tym, że Mike się do niej nie odzywa. Matka Skipa uparła się, że nie wypada robić dużego wesela po niedawnej śmierci rodziców Erin. Erin jednak wiedziała, że prawdziwy powód leżał gdzie indziej: rodzice Skipa wstydziła się jej, uważali, że im nie dorównuje. Według nich Erin specjalnie zaszła w ciążę, żeby usidlić ich syna i zmusić go do małżeństwa.

Erin, wówczas tak bardzo zaślepiona miłością do Skipa, była w stanie wiele znieść. Jednak z biegiem lat stawało się to coraz bardziej bolesne. Nie chodziło już tylko o jej teściów. Ona i Skip zaczęli się kłócić o wychowanie Kayli. Kiedyś, tuż przed kolacją, Erin przyłapała go na karmieniu Kayli ciastkami i ze zdenerwowania tak mocno uderzyła słoikiem z ciastkami, że aż pękł.

Jednak największe spory dotyczyły pieniędzy. Skip, dorastając, nigdy nie miał okazji się dowiedzieć, jak to jest obchodzić się bez czegoś. Co prawda nie mogła powiedzieć, że był rozrzutny, ale nie umiał oszczędzać i wyznawał zasadę kupowania produktów z - górnej półki. Natomiast Erin, panicznie bojąc się, że nie starczy pieniędzy, kupowała używane rzeczy, jeśli nie było przecen.

- Oczywiście składane krzesła będą stały tutaj. - Głos Cricket brutalnie przerwał rozmyślenia Erin, która podążając wzrokiem za gestem koleżanki, spojrzała na teren wokół altany. - A kwartet smyczkowy - różowe usta Cricket ściągnęły się w zamyśleniu - myślę, że tam. - Wskazała na sztuczne drzewka wiśni, których gałęzie oplatały altanę. - Mam tylko nadzieję, że pogoda... - Urwała nagle, marszcząc nos. - Co to za smród?

Erin poczuła jakąś paskudną woń. O Boże. Szambo. Musiało się przelać, kiedy Maria walczyła z toaletą. Chyba nie było lepszego momentu, żeby to się mogło zdarzyć.

- To nic, mamy chwilowe kłopoty z hydrauliką - wytłumaczyła, sprytnie wyprowadzając Cricket na drugą stronę trawnika, gdzie smród był dużo słabiej wyczuwalny - nic się nie martw, zaraz wszystko naprawimy.

Kiedy Cricket nareszcie pojechała, Erin zdawało się, że zemdleje. Skronie

pulsowały jej narastającym bólem, a każdy krok stanowił niewiarygodny wprost wysiłek. Na te dolegliwości najlepiej zrobiłaby dobrze przespana noc, ale jakoś w ostatnich dniach nie przychodziło jej to tak łatwo. Zapadała w urywany sen, zaraz jednak gwałtownie budziła się z oszalałym biciem serca, a ręka, szukająca czegoś po omacku, natrafiała jedynie na zimne prześcieradło leżące tam, gdzie niegdyś spał Skip.

- Chyba przydałby ci się wieczorny wypad do miasta - powiedziała późnym popołudniem Maria.

Erin spojrzała znad swojego biurka, skąd pracowicie wysyłała listy do gości z potwierdzeniem rezerwacji.

- Tak samo zadziała gorąca kąpiel w wannie - odpowiedziała.

- U Murphy'ego jest dzisiaj wieczór country - kontynuowała Maria, przechylając się przez framugę drzwi. - Niektóre zespoły są całkiem niezłe. Mój były chłopak gra w jednym z nich, Texas Rattlers. Naprawdę powinnaś pójść.

- Innym razem. - Erin złożyła ostatni z listów i włożyła go do koperty.

- Chyba nie chcesz skończyć jak Callie. - Calle Viner pracowała na poczcie, czyli w standardowym miejscu dla opuszczonych żon, które długo nie mogą zapomnieć o swoich byłych mężach. Zachowywała się w taki sposób, jakby zaledwie tydzień wcześniej jej były mąż uciekł do Posy Drummond. Ciągle mówiła o Posy „ta dziwka”, jakby zapominając, że Posy i Ed od dziesięciu lat byli małżeństwem, czyli dłużej niż trwał jej związek z Edem.

- Tak sobie wyobrażasz uczenie się samodzielności? - zapytała Erin.

- Ja tylko powiedziałam, że częstsze wychodzenie by ci nie zaszkodziło.

- Przecież wychodzę.

- Taaak, do sklepu... Jeszcze jeździsz po Kaylę do szkoły. To się nie liczy. Czy coś ci to da, że będziesz się tu snuć? To na pewno nie sprawi, że Skip wróci.

- Nie wiem, co może sprawić, żeby wrócił.

- To, co na pewno nie przyczyni się do jego powrotu, to twoja postawa; zachowujesz się w taki sposób, jakby nic się nie stało.

Słowa Marii zabolowały ją. Jak się domyśliła?

- Uwierz mi - powiedziała Erin - że jeśli ludzie wiedzieliby, jak naprawdę się czuję, to nie zbliżyliby się nawet na kilometr do tego miejsca.

Wyraz twarzy Marii złagodniał.

- Nie wiem, jak ty to robisz. Szczerze. Ja byłabym wrakiem człowieka. Ale jeśli choć trochę się nie rozerwiesz, grozi ci załamanie nerwowe. Dopilnuję tutaj wszystkiego przez jedną noc.

Nie można było powiedzieć o Marii, że lubi siedzieć w domu. Ostatnio zapisała

się na kurs tańca, a zeszłego lata pojechała się wspinać na skałach Yosemite i weszła na samą górę szczytu El Capitan. Jeśli jakiś facet ją źle traktował, natychmiast go rzucała. Nigdy też nie miała problemów ze znalezieniem nowego, bez względu na to że nosiła rozmiar XL i praktycznie nie wychodziła z dzinsów, a w dodatku więcej czasu spędzała w łazience na przetykaniu rur niż na układaniu fryzury. Maria była seksowna i nie miało to nic wspólnego z jej wagą, sposobem ubierania czy wizytami w salonach piękności. Kobiety i mężczyźni przyciągała jej postawa, mówiąca, że nie ma rzeczy niemożliwych, i to, że niczego się nie bała. Kiedy było się w jej towarzystwie, miało się wrażenie, że wszystko jest możliwe.

- No dobrze, wygrałaś - przyznała Erin z westchnieniem. Tak naprawdę nie miała przecież nic lepszego do roboty, a i Kayla pewnie byłaby szczęśliwa, gdyby mama wyszła z domu na parę godzin.

Tego wieczoru, w drodze do miasta, przejechała obok kaplicy w Cayuga, gdzie kiedyś, za czasów szkolnych Erin, odbywały się tańce. Wtedy było to jedyne miejsce, gdzie grzeszyło się w sobotę, a w niedzielę można było się pomodlić o odpuszczenie grzechów. Chociaż, czy one były niegrzeczne! Wtedy bycie niegrzeczną oznaczało upicie się butelką wina albo zezwolenie chłopakowi na dotknięcie biustu.

To zabawne. Wszyscy wówczas uważali, że to Erin podbije świat. Uznano, że to ona ma największe szanse na osiągnięcie sukcesu. Nie dlatego, że była najlepszą uczennicą, ale przez to, że tak bardzo pragnęła wyrwać się z Willow Creek. Miała już przecież plan, że zanim nie zdobędzie doświadczenia i pieniędzy, by zacząć naukę w Culinary Institute of America - Harvardu wśród amerykańskich szkół gotowania, będzie się utrzymywać z pracy w nowojorskich restauracjach. Wyobrażała sobie, jak wspina się po szczeblach kariery, pracuje u najlepszych szefów kuchni, może nawet praktykuje trochę w Europie, zanim spełni swoje wielkie marzenie o posiadaniu własnej restauracji.

Tymczasem to Jessie wyfrunęła z klatki, a Erin ciągle jeszcze tkwiła w Willow Creek. Nie chodziło wcale o to, że nic w życiu nie osiągnęła. Była bardzo dumna, że hotel Darby Inn miał świetną reputację i był uznawany za jeden z najlepszych hoteli typu bed-and-breakfast na południowym zachodzie. Była też dumna, że miała bardzo duży udział w wychowywaniu Kayli. Jednak prawdą było również to, że nie tak wyobrażała sobie życie.

Nagle propozycja Jessie przestała się jej wydawać tak strasznie absurdalna. Dlaczego właściwie nie miałyby się zamienić miejscami? Co ją od tego powstrzymywało? Jej męża chyba niewiele obchodziło, czy miała tu zostać, czy jechać, a córka sama praktycznie wypychała ją z domu. Jeśli chodzi o hotel, to Maria jak

najbardziej była w stanie poradzić sobie z prowadzeniem go, z pomocą Jessie czy nawet bez.

Erin wyobrażała sobie, jak pije cappuccino w kawiarni w Greenwich Village, aż dojechała do zupełnie zastawionego parkingu u Murphy'ego. Zrobiła kilka okrążeń i po dziesięciu minutach udało jej się znaleźć miejsce. Już wówczas wieczorne wyjście przestało się jej wydawać dobrym pomysłem.

Wychodząc z samochodu, usłyszała huk muzyki, wydobywającej się ze środka. Wzmagał się w miarę, jak zbliżała się do wejścia. Wchodząc przez żaluzjowe drzwi, miała wrażenie, że dźwięk muzyki rozbija się o ściany z cegły. Zapłaciwszy cztery dolary za zostawienie płaszcza w szatni, nadal zastanawiała się, czy wyjście z domu nie było błędem. Kiedyś z Jessie uwielbiały chodzić na rockowe koncerty i na cały regulator słuchać radia. Ostatnimi laty natomiast taka muzyka bardziej raziła jej uszy, niż sprawiała przyjemność.

Przeciskając się przez tłum ludzi, zauważyła kilkanaście znajomych osób. Jordy'ego Kimble'a, syna Teda ze stadniny. Chucka, wytatuowanego chłopaka z serwisu samochodowego, gdzie oddawała swoją toyotę. Jayce McDough, matka jednego z dzieci ze szkoły Kayli, siedząca wspólnie z przyjaciółmi, skinęła na Erin i zawołała ją. Erin odmachala jej z ulgą, że nie będzie musiała siedzieć sama.

Już właśnie szła do ich stolika, kiedy dostrzegła Skipa i Mike'a, siedzących z piwem przy zatłoczonym barze. Zawsze intrygowało ją to, że dwaj bracia mogą być tak podobni do siebie fizycznie, tak bardzo różniąc się pod każdym innym względem. Mike wyglądał jak prawdziwy model, miał zabójczy uśmiech i niebieskie oczy w kolorze wiszącej nad jego głową reklamy wody źródlanej Coors. Skip natomiast był o wiele spokojniejszy i nie lubił się popisować. Rozmawiali z dwiema kobietami, jedna z nich była blondynką, a druga miała rude włosy. Obie wyglądały, jakby właśnie wyszły z kolejnej zmiany w lokalu nocnym Hooters. Mike obejmował rudą. Blondynka okupowała Skipa, wsłuchując się w każde wypowiedziane przez niego słowo. Erin patrzyła, jak uśmiechał się do kobiety w odpowiedzi na coś, co powiedziała, i schylał się, żeby coś jej szepnąć do ucha, niemal muskając je ustami. Jego ręka lekko opierała się na gładkiej pupie, poniżej troczków od wydekolowanej bluzki bez pleców.

Erin miała wrażenie, że się zapada. Zakręciło jej się w głowie i żeby nie upaść, chwyciła się osoby stojącej obok niej. Przed sobą zobaczyła brodatą twarz o zapuchniętych oczach:

- Cześć malutka, może zatańczymy? - wybełkotał mężczyzna, zbliżając się na tyle, że poczuła jego piwny oddech.

Erin odtrąciła go, warknąwszy:

- Spadaj!

Odwróciła się, żeby wyjść, kiedy usłyszała wołającego za nią Skipa. Nie zatrzymała się. Torowała sobie drogę wśród ciepłego, pachnącego piwem morza ciał, nieprzyjemnie czując aż w brzuchu pulsowanie muzyki. Zatrzymała się tylko, żeby wziąć płaszcz, zanim wyskoczyła w mroźną noc, szukając swojego samochodu.

Kiedy w końcu udało się Skipowi ją dogonić, nawet nie zwolniła kroku.

- Chryste, Erin, możesz się zatrzymać na chwilę? - Był zasapany, a policzki miał zaróżowione od mrozu albo czegoś więcej: poczucia winy, po tym jak został złapany na gorącym uczynku. - Przynajmniej pozwól mi się wytłumaczyć.

- Nie interesują mnie twoje wyjaśnienia - odpowiedziała.

- Nie jest tak, jak myślisz. Ja nawet jej nie znam. - Mimo długich nóg miał problem żeby za nią nadążyć. - Mike po prostu postawił jej i jej koleżance drinka i zaczęliśmy rozmawiać, to wszystko. Przysięgam.

- Z mojego punktu widzenia wyglądało to tak, jakbyście całkiem dobrze się znali. Głośno odetchnął, podnosząc ręce do góry w geście krańcowej złości.

- W ogóle nie wiem, po co zawracam sobie głowę. Ty i tak jak zwykle mnie nie słuchasz.

Erin spojrzała na niego miazdzącym wzrokiem.

- Jasne. To ja się nie w porządku zachowuję. Jak zwykle.

- Wcale tak nie twierdzę, ale dlaczego zakładasz najgorszy scenariusz?

- Zastanówmy się. Może ma to coś wspólnego z tym, że to ty ode mnie odszedłeś. Poza tym ostatnie tygodnie spędziłam na próbach poskładania wszystkiego, starając się pracować za dwoje. Przez cały ten czas myślałam, że przynajmniej ty cierpisz tak samo jak ja. Tymczasem ty i twój brat cały czas wychodziliście poszaleć w barach, jak para kumpli ze studiów.

- I po co ten sarkazm?

- A czego ode mnie oczekujesz? - stanęła i obróciła się, by na niego spojrzeć. W jaskrawym, neonowym świetle lamp wydawało się, że parking równie dobrze mógłby znajdować się na innej planecie. Czowała, że Skip, którego niegdyś uważała za bratnią duszę, był jej obcy jak nigdy dotąd. Zamarzająca para ich oddechów była wszystkim, co ich teraz łączyło. - No powiedz mi, chciałabym się tego dowiedzieć. Jakoś nie mam bladego pojęcia, co to może być.

Kiedy nie odpowiedział na jej pytanie, ponownie zaczęła iść. Znalazłszy swoją toyotę, wsiadła do niej, zatrzasnąwszy mu drzwi przed nosem. Skip zastukał w szybę, ale zignorowała to, tak mocno przekręcając kluczyk w stacyjce, że silnik aż zawył, zanim w końcu zaskoczył. Pocałuj mnie gdzieś, przeklęła pod nosem, dodając gazu i ruszając

z piskiem opon.

Nie była tak bardzo zaskoczona, kiedy w niespełna minutę później, spoglądając we wsteczne lusterko, zobaczyła Skipa jadącego swoim truckiem. Poczucie krzywdy i wściekłość doprowadziły ją do odczucia swoistego triumfu. Jeśli chciało mu się za nią jechać, to była jeszcze jakaś nadzieja, nieprawdaż?

Przyjechali do hotelu w odstępie sekund. Samochód Skipa zatrzymał się zaraz za nią w żwirowym pyle. Erin wyszła z toyoty, oddychając tak ciężko, jakby biegła całą drogę. Wypadła na ścieżkę, prowadzącą do ich części mieszkalnej, a Skip szedł tuż za nią.

- Myślisz, że ucieczka pomoże? - krzyknął, głośno stawiając kroki.

- To ty chyba miałaś coś powiedzieć! - odkrzyknęła, tak mocno rzucając torebkę na stolik, że aż wysypały się suche płatki z miseczki na potpourri.

- Jakbyś tylko chciała mnie wysłuchać...

- Wysłuchać twoich kolejnych kiepskich usprawiedliwień? Nie, dziękuję bardzo!

O Boże, jaka ja byłam głupia, wierząc, że nigdy mnie nie zdradziłeś.

- Mówiłem prawdę. - Zagroził jej drogę, kiedy chciała go wyminąć. - Ale wolisz wierzyć w to, co chcesz, prawda? - Złapał ją za ramiona, mocno je ściskając. - W ten sposób łatwiej jest ci znieść, że sama to na siebie ściągnęłaś. Ty i ta twoja upartość, zupełnie jak u osła.

- Świetnie, więc teraz postanowiłeś pokazać mi smak mojego lekarstwa? O to chodzi?

- Przestańcie! Oboje! Po prostu przestańcie!

Skip opuścił ręce, a Erin obróciła się. W holu stała Kayla, cała się trzęsąc. Miała na sobie flanelową piżamę i włosy związane w warkoczyki. Erin przypomniała sobie, jak Kayla była mała, jak przychodziła do nich do łóżka, gdy śniły jej się koszmary. Uszła z niej cała złość, zalał ją wstyd i przyływ matczynej miłości.

- Kochanie, przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy...

Kayla nie dała jej skończyć.

- Z czego? Że mogę usłyszeć, jak się na siebie wydzieracie? Ja tu mieszkam, czyżbyście zapomnieli?!

Nagle zniknęła dojrzała panienska, która udawała, że świetnie sobie radzi z zaistniałą sytuacją, podczas gdy tak naprawdę czuła się jak w potrzasku.

- Myszko... - Skip podszedł do niej, tak samo zbolały.

Cofnęła się, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie, które powstrzymało go od zbliżenia się do niej. Płakała.

- Wiesz co? Chciałabym, żebyście oboje sobie stąd wyjechali i zostawili mnie w

spokoju!

Patrząc, jak Kayla odchodzi, Erin chciała pójść za nią. Czy nie robiła tak zawsze, kiedy Kayla potrzebowała pocieszenia? Jednak z jakiegoś powodu nie mogła ruszyć się z miejsca. Po raz pierwszy w życiu z przerażeniem stwierdziła, że tym razem idąc za nią, wyrządziłaby więcej krzywdy niż pożytku.

## *Rozdział piąty*

Pierwszą rzeczą, która przykuła uwagę Erin na lotnisku J.F. Kennedy'ego, był ręcznie wymalowany transparent z napisem „WITAJ, ERIN!”, widniejący ponad tłumem, zaraz za punktem ochrony.

Chwilę później tonęła już w objęciach Jessie. Erin cofnęła się o krok, żeby dokładniej przyjrzeć się przyjaciółce, jej czarnemu skórczanemu trenczowi i modnym dzinsom, które ani trochę nie były podobne do rozciągniętych lewisów, które miała na sobie. Jessie, począwszy od swojej świetnej fryzury, a skończywszy na czarnych botkach za kostkę, była w każdym calu „cosmopolitan”. Natomiast Erin w wełnianych skarpetach, butach Schoola i wyciągniętym starym swetrze ze sprzączką w kształcie motyla, żywcem przypominała wspinającą się po górach turystkę.

- Wyglądasz fantastycznie - powiedziała Erin.

- Ty też - odpowiedziała Jessie, wkładając w swoją wypowiedź cały kunszt przyjacielskiego kłamstwa.

- Nie trzeba było - Erin spojrzała na transparent.

- Chciałam zamówić orkiestrę dętą, ale wszystkie były już zajęte.

- Psiakrew. No i jestem, tak się wyszykowałam, a to wszystko na nic.

Wybuchnęły śmiechem i ruszyły po odbiór bagażu.

- Limuzyna czeka na dole - poinformowała ją Jessie.

- Limuzyna? Myślałam, że jesteś splukana.

- Jestem. To dzięki Drew; jego przyjaciel był mu winny przysługę.

- Drew to ten twój sąsiad? - Jego imię często przewijało się w mailach Jessie.

Jessie przytaknęła.

- Poznasz go dzisiaj. Zaprosiłam go na drinka. - Drew wprowadził się do kamienicy, w której mieszkała Jessie, dopiero w zeszłym roku, więc jeszcze nie mieli okazji się poznać.

- Aż trudno uwierzyć, że tu jestem. - Erin nie mogła się nacieszyć przyjazdem, czekając przy taśmie na bagaże. Ich rozmowy ważyły za i przeciw całego



przedsięwzięcia były bardziej podobne do gier typu „a co będzie, jeśli...”, w które grały, będąc jeszcze dziewczynkami, niż do prawdziwych rozważań na ten temat. Miało to miejsce teraz. To będzie mój dom przez najbliższe sześć miesięcy, pomyślała sobie. - Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego to robimy? - wydusiła przez zaciśnięte z wysiłku zęby, podnosząc najcięższą z toreb.

- Ponieważ - przypomniała jej Jessie - za kilkanaście lat mogłoby już być za późno.

- Według Kayli, ja już jedną nogą jestem w domu starców.

- W takim razie tym bardziej nie ma czasu do stracenia. Poza tym czy przez to może się przytrafić coś złego?

- Chcesz, żebym zrobiła listę takich rzeczy?

- Później. Mamy na to cały weekend. - Jessie wyjeżdżała do Arizony dopiero w poniedziałek. Złapała drugą walizkę Erin i ruszyła w stronę wyjścia. - Jutro oprowadzę cię po okolicy. Nie uwierzysz, jak wszystko się zmieniło. Jest milion nowych sklepów i knajpek. Jeśli już przy tym jesteśmy, myślałam, żeby wybrać się na małe zakupy. Potrzebujesz przecież nowych ubrań.

- Skąd wiesz? - odparła Erin, z ironią unosząc brwi. Nie dość, że miała pełno jakiś zupełnie myszowatych, starych ubrań, to jeszcze tak schudła przez ostatnie tygodnie, że tylko pasek trzymał jej dzinsy na swoim miejscu.

- Znam taki butik w SoHo, gdzie sprzedają wprost fantastyczne używane ciuchy. Większość to markowe ubrania, ale nigdy byś nie powiedziała, że ktoś je nosił - szczeniotała Jessie, kiedy pośród stojących w trzech rzędach samochodów, taksówek i innych wozów, szukały swojej limuzyny. - Jestem pewna, że znajdziemy coś odpowiedniego na twoją rozmowę o pracę.

- Jaką rozmowę o pracę? - zapytała Erin, raptownie się zatrzymując.

Jessie uśmiechnęła się szeroko.

- Chciałam cię zaskoczyć. Jest casting w Cooking Chanel na asystentkę w dziale produkcji. Spotykasz się z nimi w poniedziałek rano.

- Jak to zrobiłaś?

- Znajomy znajomego tam pracuje.

Erin zakręciło się w głowie. Zaraz jednak zdała sobie sprawę z tego, że nawet nie wie, czym się zajmuje taka osoba.

- Jesteś pewna, że mam odpowiednie kwalifikacje? - Jeśli miałyby napisać swoje curriculum vitae, to zawierałoby ono chyba jedynie informację o pracy na pół etatu w kawiarni na Uniwersytecie UC Davis, którą miała przez cztery lata studiów.

- Niewiele się to różni od tego, co robisz teraz: zajmowanie się gośćmi,

wygładzanie nastroszonych piórek, upewnianie się, że pociąg się nie spóźnił - poinformowała ją Jessie.

- W takim razie mam wysokie kwalifikacje.

Ich limuzyna nie była długa i czarna, jak sobie wyobrażała Erin. Zamiast niej stał rozpadający się samochód, a za kierownicą siedział jakiś rastafarianin o imieniu Jerome. Kiedy umościły się już na tylnym siedzeniu, Erin z zafascynowaniem przyglądała się temu, co wyglądało jak wielki gąszcz w kolorze limonki, wyrastający z głowy Jerome'a, a było zawiniętym w siatkę na włosy kłębowiskiem dredów. Słuchając niezrozumiałego podśpiewywania, dopiero po chwili zorientowała się, że on mówił po angielsku. Wydawało się jednak, że jest bardzo miły, a w dodatku biło od niego jakieś słońce z wysp, zupełnie zbawienne w ten lutowy zimny dzień.

Kiedy jechały do miasta, pomyślała o Skipie.

- Czyś ty zwariowała? - wrzeszczał, jak poinformowała go o swoich planach. - Uważasz, że ja jestem nieodpowiedzialny, podczas gdy ty chcesz czmychnąć do Nowego Jorku i spośród wszystkich możliwych osób zostawiasz na gospodarstwie Jessie!

Erin przypomniała mu, że jest jeszcze Maria, a poza tym że tak będzie tylko do lipca. Bała się, że on źle to przyjmie; w końcu oboje mieli takie same prawa, więc on jak najbardziej mógł się upierać, że każda decyzja związana z hotelem powinna być z nim konsultowana. Jednak dla niego, jako prowadzącego hotel, oznaczałoby to pracę na cały etat, a zupełnie nie był na to przygotowany. Jediną kwestią sporną pozostawała więc, Kayla. Skip chciał, żeby zamieszkała z nim. W końcu rozstrzygnęła to sama Kayla, mówiąc, że i tak już dużo przeszła i nie zamierza przez sześć miesięcy spać na rozkładanym łóżku wujka, codziennie jeść pizzy i prażonej kukurydzy z mikrofalówki.

Wśród jego obiekcji żadna nie dotyczyła wyjazdu żony. Jeśli tylko powiedziałby, że będzie tęsknił, albo uroniłby choć jedną łzę, zmieniłaby swoje plany. A tak była jeszcze bardziej zdeterminowana, żeby jechać. Niech go szlag. Jeśli myślał, że może jej mówić, co ma robić, po tym, jak ją potraktował, to się mylił.

Czterdzieści minut później Jerome wysadził je pod domem Jessie. Był to budynek z brązowego kamienia, cały porośnięty bluszczem. Znajdował się w cichej okolicy, zaraz niedaleko kościoła episkopalnego.

Kiedy wspólnie z Jessie wnieśli już bagaże na trzecie piętro, Erin była szczęśliwa, że postanowiła nadać pociągiem książki i laptopa, w którym poprowadzi swój dziennik, a Jessie będzie mogła czerpać z niego wiedzę do ich wspólnej cotygodniowej rubryki w „Savvy”.

Nie ma jak w domu pomyślała, zapadając się w miękkiej sofie Jessie, stojącej w

skapany w słońcu salonie. Cały jej dotychczasowy strach gdzieś uleciał. Tym razem nie będzie tak, jak przy wcześniejszych odwiedzinach u Jessie, będzie zdana tylko i wyłącznie na siebie.

- To wszystko jest do twojej dyspozycji. - Jessie szeroko rozłożyła ramiona. - Kocia sierść i wszystko inne. - Jakby na znak, Delilah, głośno mruczając, wskoczyła na sofę i usadowiła się na kolanach Erin.

Erin pogłaskała ją. Już w tej chwili bardzo tęskniła za Otisem.

- To trochę przerażające - wyznała.

- Nie martw się. Jest tu Clive i Drew; będziesz w dobrych rękach.

Erin jeszcze z ostatniej wizyty pamiętała właściciela mieszkania Jessie. Ekscentryk, tak łagodnie można by go określić, ale miły.

- Zastanawiam się tylko, czy będzie mnie na to wszystko stać. - Czynnikiem Jessie nie dorównywał tym na Manhattanie, ale za tę samą kwotę można by wynająć domek w Willow Creek. Nawet gdyby Erin rozważnie gospodarowała, to pieniądze uzyskane ze sprzedaży obligacji skarbowych nie starczą na długo, jeśli zaraz nie znajdzie pracy.

Jessie wydawała się nie przejmować tym tak bardzo, może dlatego że przywykła już do strachu Erin o pieniądze. Zniknęła w kuchni, wołając:

- Białe będzie dobre? Innego nie mam. - Erin odpowiedziała, że białe wino będzie znakomite i Jessie przysłała z dwoma kieliszkami i butelką Chablis.

- To ja powinnam się bać - powiedziała, nalewając wino, zanim nie zwinęła się w swoim ergonomicznym krześle, stojącym naprzeciwko sofy - ledwo umiem coś ugotować dla siebie, a teraz mam wyżywić setki ludzi. Jak tylko sobie o tym pomyślę, oblewa mnie zimny pot.

- Zostawiłam instrukcje - uspokoiła ją Erin - na karteczkach poprzyklejanych na każdej półce i urządzeniu - oraz kilka najprostszych przepisów. Poza tym Maria będzie przychodziła rano przez kilka pierwszych tygodni, żeby pomóc przy śniadaniu. To nie operacja na otwartym mózgu, nauczysz się wszystkiego szybciej, niż ci się wydaje.

Jessie nie wyglądała na przekonaną, ale przybrała odważną minę i uniosła kieliszek.

- Za wiejskie drogi i miejskie światła - powiedziała, wznosząc toast.

Erin wychyliła się, żeby stuknąć swoim kieliszkiem o kieliszek Jessie.

- I za strzeżenie małomiasteczkowego kurzu z moich butów.

Wolała nie myśleć, co jeszcze zostawia w Willow Creek. Jessie opowiedziała jej o pozostałych mieszkańcach kamienicy. Był oczywiście Drew, z kolei mieszkanie naprzeciw Jessie wynajmowało świeżo poślubione małżeństwo, które ciągle walczyło ze sobą. Piętro niżej mieszkał Doug Fitch, cichy mężczyzna w średnim wieku. Przez

długi czas Jessie myślała, że jest żonaty, dopóki nie przyjrzała się jego żonie i nie stwierdziła, że to sam Doug, tylko przebrany za kobietę.

Był jeszcze pan Ghupta, właściciel pakistańskich delikatesów na rogu, który właśnie wszedł na wojenną ścieżkę z zarządcą domu, pyską kobietą, zarzucającą mu, że przez całą dobę przed jego sklepem stoją zaparkowane w dwóch rzędach taksówki. Mieszkała tu też starsza Francuzka, rzeźbiarka, która wypowiedziała wojnę Clive'owi, wylewając na jego ukochanego mopsa MacArthura kubek wody za to, że Mac nasiusił kiedyś pod jej drzwiami. Clive natomiast przez cały kolejny tydzień słuchał Wagnera na cały regulator, wiedząc że Madame szczerze nie znosi tego kompozytora. Od tej pory nawzajem uprzykrzają sobie życie.

Jessie już miała opowiadać kolejną historię z życia domu, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Wstała, żeby je otworzyć. Na progu stał mężczyzna w ich wieku w niestosownie dobranych do smokingu sportowych butach marki Converse.

- Cześć słonko, jestem w domu - wszedł i pocałował ją w policzek.

- Przyszedłeś w samą porę. Miałam ostrzec Erin przed kolejnymi mieszkańcami kamienicy.

Mrugnął do Erin, kiedy wstała, żeby się z nim przywitać.

- Nie słuchaj jej. Jestem całkiem normalny, kiedy chodzę w swoim codziennym stroju.

- Erin to Drew - Jessie przedstawiła ich sobie.

Był kilka centymetrów niższy od Skipa (Erin miała zwyczaj określania wzrostu mężczyzn, porównując go ze wzrostem swojego męża), trochę bardziej krępy w miejscach, gdzie Skip był szczupły, miał rozczochrane brązowe włosy, które kręciły się ponad wykrochmalonym kołnierzykiem smokingowej koszuli, i oczy w kolorze ciemnego piwa. Oczy, które nie spuszczały z niej wzroku, kiedy ścisnął jej dłoń.

- Miło cię w końcu poznać. Po opowieściach Jessie nie wiedziałem, czy uścisnąć ci dłoń, czy od razu paść przed tobą na kolana.

Erin roześmiała się, z miejsca czując się swobodnie.

- Tylko mnie nie prosz, żebyś stąpała po wodzie. Zapewniam, że nie umiem tego robić.

Jessie przyniosła kieliszek dla Drew i nalała mu wina.

- Jak tam ślub? - zapytała.

Usiadł na wolnym krześle, stojącym przy kominku i głośno odetchnął, rozwiązując muchę.

- Te same fajerwerki, co zwykle - odpowiedział. - Stare dziady, robiące z siebie pośmiewisko na parkiecie, pijany świadek wznoszący kolejny toast, wzajemnie

nokautujące się druhny, pragnące złapać bukiet panny młodej.

Niedbale siedząc na krześle i popijając wino, wyglądał tak zawadiacko, jak faceci ze starych filmów, które Erin oglądała jeszcze jako dziecko, podczas nieobecności rodziców: Cary Grant i Fred Astaire, William Powell z *Pogoni za cieniem*, zawsze nosili smokingi i dopijając martini, wypowiadali dowcipne kwestie. Erin na samo skojarzenie, które jej się nasunęło, aż uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Drew jest fotografem - wyjaśniła Jessie.

- Moja specjalność to wesela i bar micwy - dodał.

- Jest skromny - powiedziała Jessie. - Musisz zobaczyć jego zdjęcia, są niesamowite. Za tydzień będzie otwarcie wystawy.

- Masz jakieś plany na przyszły piątek? - zapytał ją.

- Muszę spojrzeć w mój kalendarz - zażartowała.

- Na pewno bardzo chciałaby pójść - odpowiedziała Jessie za Erin.

- To niedaleko stąd - zwrócił się do niej. - Moglibyśmy pójść tam razem.

- Chętnie - odparła Erin, rumieniąc się nieznacznie. Zastanawiała się, czy można takie wspólne wyjście określić już mianem randki.

Nie pochlebiaj sobie, mówił jakiś wewnętrzny głos, który zauważał każdy defekt, kiedy patrzyła w lustro. On po prostu chce utrzymywać dobrosąsiedzkie stosunki. Poza tym ona jest meżatką, mimo że teraz tylko na papierze.

Chwilę później, kiedy Drew zaproponował, żeby wyjść na ganek i obejrzeć zachód słońca, Erin zastanawiała się, czy on nie jest trochę szalony: na zewnątrz było chyba ze trzydzieści stopni mrozu! Mimo wszystko opatuliła się płaszczem, włożyła rękawiczki i poszła z nimi na dół. Jessie położyła koc na schodach, ale i tak było lodowato. Jednak kiedy Erin usiadła, sącząc swoje wino i patrząc, jak ognista kula słońca zawieszona pomiędzy dwoma budynkami powoli niknie w rzece Hudson, była tak oczarowana widokiem, że nawet nie czuła już chłodu.

Cienie budynków kładły się wokół. Wsłuchiwała się w nieznanym odgłosy i dźwięki miasta: szum ruchu ulicznego, równy potok spieszących się przechodniów, patrzyła na oświetlone okna w apartamentowcu naprzeciwko. W jednym z nich kobieta nakrywała do stołu, w innym rozebrany do pasa mężczyzna podnosił ciężary. Tych ludzi mogła nigdy nie spotkać, ale stanowili część jej tajemniczej nowej przygody, część układanki, którą miała tutaj ułożyć. Byli zupełnie inni niż przyjezdni pojawiający się w hotelu na dzień lub dwa i znikający wkrótce z jej życia. Nagle Erin przestała się już czuć tak samotnie.

Następnego dnia zwiedzała okolicę. Rzeczywiście bardzo dużo się zmieniło od jej ostatniej wizyty. Chelsea tętniła życiem, wszędzie były nowe sklepy, nowe

restauracje. W dawnym budynku Nabisco, na Dziewiątej Alei powstał całkiem nowy sklep tylko z artykułami spożywczymi: Chelsea Mail. Patrząc na różnorodne rodzaje pieczywa, mięsa, importowane produkty, sery, owoce, warzywa, które wyglądały, jakby właśnie je zebrano, Erin pomyślała, że umarła i jest w niebie.

Zjadły lunch we włoskiej restauracji Le Zie na Ósmej Alei, pochłaniając pizzę, parujące talerze pasty i wieńcząc posiłek najlepszym zabaglione, jakie Erin jadła w życiu. Potem poszły do Shakry, modnego salonu fryzjerskiego, gdzie czesała się Jessie. Erin spoglądając na pluszową kanapę, złocone ramy luster i wielkie płótna na ścianach z cegły, które przedstawiały jakieś śmiałe akty, wyszeptała:

- To bardziej przypomina burdel.

Jessie poklepała ją po ramieniu.

- Zrelaksuj się, a resztę pozostaw nam.

Godzinę później, wychodząc spod rąk eksperta Giorgio, stylisty o łabędziej szyi, ledwo sama siebie rozpoznała. Kiedy przechylała głowę z boku na bok, włosy spływały jej na ramiona błyszczącą falą, zamiast jak zwykle zlepić się w kręcone strąki.

- Czuję się jak zupełnie inna osoba - powiedziała z zachwytem, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

- I wyglądasz jak zupełnie inna osoba. - Jessie przyklasnęła jej niczym starsza siostra.

Następnym przystankiem była Sephora, w dalszej części Piątej Alei, gdzie Erin pod czujnym okiem Jessie wypróbowała nowy makijaż. Potem poszły do Reduxa w SoHo, wytwornego salonu z używaną odzieżą, nad którym Jessie tak bardzo się rozplywała. Tam znalazły prawie nienoszony kostium od Donny Karan, pasujący na Erin jak ulał. Erin denerwowała się swoim poniedziałkowym spotkaniem, ale przynajmniej będzie dobrze na nim wyglądać.

Potem podjechały jeszcze metrem do Bloomingdale'a, gdzie Jessie pomogła jej dobrać nierujnujące budżetu zestawy sweterków bliźniaków, które dowolnie można było ze sobą łączyć. Do południa były już porządnie zmęczone i zdrętwiałe z zimna. Kiedy Jessie zaprosiła Erin na herbatę do hotelu The Pierre, najelegantszego, w jakim dotychczas Erin była, rozmawiały ze sobą szeptem, jakby były w kościele. Było to wprost cudowne zwieńczenie tego dnia. Aż trudno uwierzyć, że Jessie wyjeżdżała już pojutrze.

W niedzielę Jessie wymknęła się jeszcze na spotkanie z Jonathonem. Kiedy wróciła do domu, miała czerwone od płaczu oczy. Erin wiedziała, że jej przyjaciółka jest rozdarta z powodu rozłąki z nim. Kiedy już kładły się spać, Jessie zwierzyła się, że w głębi duszy miała nadzieję, że jej wyjazd będzie dobrym pretekstem dla niego do

zadania jej tego pytania. Nie miało to jednak miejsca, aczkolwiek zapewnił, że ją strasznie kocha, i obiecał odwiedzić ją, jak tylko będzie się mógł wyrwać.

Poniedziałkowy poranek przyszedł o wiele za szybko. Nadszedł czas pożegnania. Erin pomogła Jessie znieść bagaż: na dole, przy krawężniku, czekał już samochód Jerome'a.

Mocno się uścisnęły, a w oczach Jessie pojawiły się łzy.

- Szkoda, że nie miałyśmy dla siebie więcej czasu - powiedziała.

- Ja też żałuję. - Erin głośno przełknęła ślinę.

- Poradzisz sobie?

- Tak - odpowiedziała Erin nieco na wyrost.

Jessie nerwowo się zaśmiała.

- Nie wiem jak ty, ale ja boję się jak cholera.

- Ty też dasz sobie radę.

- Obiecujesz?

- Będzie przecież Maria i Kayla. I Skip. - Poczowała ukłucie na samą myśl o nim. -

A jak będziesz mnie potrzebowała, wystarczy zadzwonić.

- Nie martw się o Kaylę. Zajmę się nią - jeden z kącików ust Jessie podniósł się w zawiadackim uśmiechu - i postaram się nie wykurzyć wszystkich gości.

- Jeśli zgaśnie światelko na kuchence, nie zapomnij wyłączyć gazu, zanim je zapalisz.

- Delilah jest dość wybredna, jeśli chodzi o jedzenie - przypomniała Jessie. - Zostawiłam parę puszek w szafce.

- A, i jeszcze...

Jerome nacisnął klakson, zagłuszając ją.

- Powodzenia na rozmowie! - krzyknęła Jessie przez opuszczoną szybę, kiedy już zjeżdżali z krawężnika.

- Powodzenia z mamą! - odkrzyknęła Erin, trzęsąc się z zimna w płaszczu narzuconym na piżamę.

Dwie godziny później Erin wchodziła już do budynku ze szkła i stali, usytuowanego wzdłuż West Side Highway, między Chelsea a Hell's Kitchen, gdzie mieściła się siedziba kanału kulinarnego Cooking Chanel. Poinformowała ochroniarza, że ma spotkanie z panią Powers. Spojrzał na listę gości i nacisnął dzwiczający przycisk na konsolce. Młoda ładna kobieta w świetnie skrojonych spodniach i modnym bakłażanowym blezerku, która okazała się być asystentką Latrice Powers, pojawiła się chwilę później, żeby zaprowadzić Erin do olbrzymich sal o betonowej podłodze, gdzie znajdowały się studia telewizyjne. Przeszły obok jasno oświetlonego, otoczonego

szybami pomieszczenia, w którym drobna brunetka w stroju kucharza wsypywała coś do garnka, a jej usta poruszały się bezdźwięcznie, kiedy kamery robiły zbliżenia. Zaraz za nim znajdowała się montażownia, a zza szklanych drzwi widać było kolorowe konsole i monitory, obsługiwane przez małą armię techników.

Następnie asystentka poprowadziła ją stalowymi krętymi schodami do pomieszczenia, usytuowanego ponad studiami, i w końcu Erin znalazła się w gabinecie producenta wykonawczego. W środku były ogromne okna od podłogi do sufitu, z których rozciągała się zapierająca dech w piersiach panorama na rzekę Hudson, połyskującą w dole niczym starannie wypolerowana stal. Erin była tym tak oczarowana, że dopiero chwilę później zauważyła atrakcyjną, szczupłą czarną kobietę, wychodzącą zza biurka.

- Latrice Powers - czarna piękność przywitała się z Erin mocnym i zdecydowanym uściskiem dłoni.

Latrice miała na sobie szykowny perłowy garnitur, co sprawiło, że Erin w swoim kostiumie od Donny Karan sprzed dwóch sezonów poczuła się niemal abnegacko. Jednak szybko odzyskała rezon, uśmiechnęła się i przedstawiła.

Latrice powróciła na swoje miejsce za biurkiem o szklanym blacie wielkości kry lodowej, osadzonym na niklowanych nogach, zapraszając Erin na krzesło naprzeciw biurka. Siadając, Erin miała nadzieję, że w pończochach nie będzie widać oczka, które poleciało po drodze.

- Więc jest pani zainteresowana pracą u nas - stwierdziła Latrice. Erin nie od razu przeszła do przygotowywanej przez całą drogę odpowiedzi. - Jakie ma pani doświadczenie? - Musiała już wielokrotnie zadawać to pytanie. Rozmawiała w taki sam sposób, w jaki załatwia się formalności.

Erin poczuła, że nie może wyksztusić słowa, co było dla niej dość obcym uczuciem. Jednak w końcu odzyskała głos.

- Prowadzę hotel. Patrzy pani na szefa kuchni, boya hotelowego i czasami pokojówkę w hotelu Darby Inn. Umiem zrobić wszystko, począwszy od pisania listów aż do przyszywania guzików. W ułamku sekundy mogę nawet zmienić filtr oleju czy odetkać rurę.

Latrice odchrząknęła. Erin skupiła na sobie jej uwagę.

- Rozumiem, a co sprowadziło panią do Nowego Jorku? Opowiedziała o okolicznościach, które ją tutaj przywiodły.

- Nie mogę obiecać, że za te sześć miesięcy jeszcze tutaj będę - dodała - ale obiecuję, że do tego czasu przekona się pani, że nie wydała swoich pieniędzy na próżno.



Latrice zainteresowała ta historia z zamianą miejsc i chciała się dowiedzieć, co Erin chciała przez nią uzyskać.

- Myślę, że odpowiesz. - Erin założyła nogę na nogę i zupełnie już zapomniała o oczku w pończosze. Opowiedziała Latrice o swoim dawnym marzeniu mieszkania w Nowym Jorku i o tragedii, która skierowała jej los na inne tory. - Zawsze zastanawiałam się, gdzie zaprowadziłaby mnie tamta droga. Teraz mam szansę się tego dowiedzieć - wyjaśniła.

Latrice uśmiechnęła się.

- Kiedy byłam małą, chciałam zostać astronautą. Błagałam rodziców, żeby wysłali mnie na obóz dla kosmonautów, i to mnie wyleczyło. Nie wyobrażałam sobie, jak można jeść sproszkowaną zawartość tych małych paczuszek. Trudno się więc dziwić, że tu wylądowałam, prawda?

Poinformowała Erin, że ma jeszcze spotkania z innymi kandydatkami, ale do końca tygodnia podejmie decyzję. Nie padła wprawdzie propozycja pracy, ale z niewiadomego powodu Erin była nastawiona optymistycznie, kiedy wróciła do mieszkania Jessie. Jej mama mawiała, że jeśli się dobrze posieje, to zbiory też będą dobre. Erin miała nadzieję, że w tym przypadku okaże się to prawdą.

Do końca tygodnia była bardzo zajęta, chcąc mieć coś w zanadrzu, jeśli nie udałoby się jej dostać pracy w Cooking Channel. Codzienne rano przeglądała rubrykę o pracy, zakreślając oferty dotyczące restauracji; większość z nich, jak się okazywało, szukała wykwalifikowanych kelnerów i kucharzy. Wyglądało na to, że na Manhattanie był taki sam popyt na prowadzących hotele, jak w Willow Creek na sobowtóry Elvise. Podróżowała metrem z jednego bezowocnego spotkania na drugie. W godzinach szczytu można było tu znaleźć wyłącznie miejsca stojące. Była cała mokra, próbując utrzymać równowagę w szarpiącym co rusz wagoniku i nie wylądować na czyichś kolanach. Któregoś wyjątkowo ponurego dnia, wracając już do domu, poczuła, że od tyłu ktoś ją szturcha walizką. Dopiero jak się odwróciła, zobaczyła mężczyznę gapiącego się na nią pożądliwie.

Każdego dnia wracała do domu z nadzieją, że czeka na nią dobra wiadomość na sekretarce, ale jeśli w ogóle jakaś była, to przeważnie od Jessie, która wydawała się być na skraju załamania nerwowego. Pierwszego dnia o mały włos nie spaliła całego hotelu, kiedy nie Zdjąwszy naleśników z ognia starała się je polać likierem Grand Marnier. Żadnych wiadomości od Skipa. Korona z głowy by mu nie spadła, gdyby zadzwonił? Aż tak mało dla niego znaczyła?

W piątek, kiedy nadal nie miała żadnych wiadomości od Latrice, mimo wcześniej pozostawionych przez Erin informacji na sekretarce, zrozumiała, że jej przysłowiowe

zboże coś nie chce wykiełkować. Mówiła sobie, że pojawią się jeszcze inne możliwości, ale i tak była rozczarowana. Jediną rzeczą, o której teraz myślała, był wernisaż Drew. W oczekiwaniu na wieczór kupiła kolorową jedwabną apaszkę od ulicznego sprzedawcy, żeby ożywić swoją wysłużoną już czarną sukienkę koktajlową, i zaszalała, nabywając parę czarnych szpilek. Kiedy Drew po nią przyszedł, aż zagwizdał z podziwu.

- O rany. Wyglądasz wystrzałowo.

- Nie wiedziałam, jaki strój będzie obowiązywał, więc wybrałam styl Holly Golightly - powiedziała ze śmiechem, rozplývając się pod jego pełnym uznaniem i spojrzeniem.

- No to pani Golightly, ten strój świetnie do pani pasuje.

Drew miał na sobie sprane dżinsy, grafitową sportową marynarkę, narzuconą na czarną koszulkę. Kiedy spojrzała w dół na jego nieodłączne sportowe conversy, wyjaśnił z uśmiechem, że artyści muszą wyglądać tak, jakby im na niczym nie zależało i byli ponad drobnomieszczańskimi obawami o sprzedaż swoich prac.

Kiedy szli przez trzy długie kwaterały w stronę zachodniej części Chelsea ciemnymi, niemal wyludnionymi ulicami, wzdłuż najróżniejszych magazynów, ucieszyła się, że nie wybrała się tam sama. Miłą niespodzianką było wyjście z ciemnych ulic na jasno oświetlony teren pełen magazynów poprzerabianych na nowoczesne mieszkania i galerie sztuki.

Ta, w której odbywał się wernisaż Drew, znajdowała się na rogu Dwunastej i Dwudziestej szóstej. Wjechali windą na drugie piętro i weszli do dużego ciemnego wnętrza, jeszcze pachnącego farbą. Właścicielka tego miejsca, blada i przeraźliwie chuda kobieta, ubrana w czarny golf i czarną długą spódnicę, wyglądająca, jakby potrzebowała transfuzji krwi, pomachała do nich i pocałowała Drew w oba policzki, zanim podała Erin kościstą dłoń. Erin zostawiła ich, żeby swobodnie porozmawiali, i ponieważ w tym czasie jeszcze nie było tłumu, poszła obejrzeć wystawę.

Od fotografii Drew biła porażająca prostota. Erin chodziła na kursy fotografowania w college'u i mimo że długo tam nie zagościła, to jej wiedza była na tyle wystarczająca, żeby dostrzec w nich wielki talent fotografa. Dłuższy czas stała przed zdjęciem przedstawiającym pusty pokój o gołych ścianach. Wydawało się, że jego kontury są zawieszony w przestrzeni. Był też porażający widok trąby powietrznej, tworzącej prosty geometryczny wzór na tle nieba bez jednej chmurki. Inne zdjęcia przedstawiały ludzi: bezdomną dumną kobietę w jadłodajni dla ubogich, Chasyda przechadzającego się po ulicy w zawadiacko przechylonym kapeluszu.

- No i co myślisz? - zapytał Drew, stając obok.

- Są piękne. - Erin podziwiała powiększone zdjęcie czerwonego szalika, powiewającego na wietrze. - Nie miałam pojęcia, że jesteś tak utalentowany.

- Niestety talentem nie opłaca się czynszu - odpowiedział z żalem. - Czasami zastanawiam się, czy nie lepiej było studiować prawo, jak chcieli rodzice.

Obróciła się, żeby spojrzeć na niego.

- To jednak nie byłoby to, co ty chciałeś robić. - W tej chwili pomyślała o Skipie. Czy nie powinna go była wesprzeć w ten sam sposób?

- A czego pani Golightly chce od życia? - zapytał Drew. Ich wzrok się spotkał, co wywołało nieoczekiwany ruch w jej brzuchu.

- Na razie szukam pracy.

- W takim razie jesteś w odpowiednim miejscu. Ludzie zaczęli się już schodzić. Drew wskazał na mocno zbudowanego starszego mężczyznę, który przyszedł w towarzystwie dużo młodszej od siebie kobiety.

- To Mort Zeigler, właściciel połowy nieruchomości w Nowym Jorku.

Następnie wskazał na starszą kobietę, blondynkę, dyrektor generalną i właścicielkę firmy kosmetycznej. Drew właśnie miał poznać z nią Erin, kiedy został porwany przez właścicielkę galerii, chcącą go przedstawić paru swoim znajomym.

Galeria była pełna gości. Erin siedziała przy bufetowym blacie, sącząc szampana, skubiąc tartinkę i bezwstydnie podsłuchując rozmowy, toczące się wokół niej. Przysłuchiwała się, jak ludzie wymieniają zupełnie nieznane jej nazwiska artystów i fotografików, dyskusji o powrocie do formy Felliniego w „Film Forum”, wystawie de Kooninga w Muzeum Guggenheima. Czowała się wyobcowana jak osoba spoza miasta. Najbardziej zbliżonymi do sztuki wydarzeniami z jej rodzinnych stron był przegląd sztuki i rękodzieła na corocznym festiwalu Dni Dziedzictwa, podczas którego w zeszłym roku został nagrodzony Homer Pucket za zdjęcie przedstawiające jego wnuka.

Podszedł do niej atrakcyjny, elegancko ubrany mężczyzna.

- Wygląda pani na nieco zagubioną - powiedział, uśmiechając się.

- To nie moja bajka - wyznała. - Tam, skąd pochodzę, w piątkowy wieczór ma się wybór między grą w kręgle a bingo.

Zaśmiał się, a w jego oczach pojawił się błysk.

- Zdradzę pani pewien sekret: większość z tu obecnych nie jest stąd. Jeśli mamy zadarte nosy, to tylko po to, żeby nie brano nas za postronnych ignorantów i prostaków. - Wyciągnął do niej rękę. - Nazywam się Eric Cohler.

- Erin Delahanty.

- Mogę przynieść pani szampana? - Spojrzał na pusty kieliszek Erin.

- Tak, poproszę - powiedziała, podając mu go.

Eric jeszcze nie zdążył udać się do baru, kiedy podszedł do niej Drew.

- Wiesz, kto to jest? - wyszeptał. - Eric Cohler, jeden z najbardziej wziętych architektów wewnątrz. Zna wszystkich, którzy na razie nic nie znaczą. Jeśli dobrze rozegrasz tę partię...

Zanim Drew skończył, zagadał go Mort Zeigler. Mort był zainteresowany kupnem jednej z prac, ale obawiał się, że jest zbyt mała do jego salonu. Zastanawiał się więc, czy Drew nie mógłby mu jej powiększyć. Erin odeszła, pozostawiając Drew i mając nadzieję, że rozmowa obu panów skończy się transakcją. Przy barze zobaczyła Erica i zaczęła iść w jego stronę.

Była już w połowie drogi, wtem poślizgnęła się i wydając z siebie stłumiony krzyk, wylądowała na podłodze.

Ludzie, do tej pory zatopieni w rozmowie, nagle zamilkli. Oblała się rumieńcem i w kości ogonowej poczuła falę promieniującego bólu. O Boże, pewnie myślą, że jestem pijana.

Drew pomógł jej wstać, a Eric podbiegł, pytając, czy nie zrobiła sobie krzywdy. Stało się. Erin miała ochotę uciec. Właścicielka galerii bardzo ją przepraszała, tłumacząc, że podłoga była lakierowana w zeszłym tygodniu, ale Erin wiedziała, że wszystkiemu winne były jej nowe buty. Powinna pomyśleć, zanim je włożyła, a poza tym to w ogóle nie powinna była przychodzić. Holly Golightly, mój tyłek, pomyślała, chyba bardziej przypominam bohaterkę filmów o Dzikim Zachodzie, Calamity Jane. Prawdziwa katastrofa.

- To mogło się zdarzyć każdemu - pocieszał ją Drew, kiedy wracali do domu. - Poza tym wszyscy byli niezwykle zajęci robieniem wrażenia na innych, więc mogę się założyć, że nic nie zauważyli.

- To nie oni zbili sobie pupę - jęczała.

- Jutro to już będzie historia z przeszłości.

Erin nie wiedziała, co gorsze, czy być na tyle interesującym i ważnym, że każde niepowodzenie natychmiast znajdowało się w rubrykach kolumn towarzyskich, czy też być kompletnie nikim. Zatrzymała się, spoglądając na Drew.

- Dzięki. Nie będę cię winić, jeśli będziesz udawał, że mnie nie znasz.

- Dlaczego niby miałbym tak zrobić? Byłaś tam najładniejszą dziewczyną - powiedział uprzejmie.

- No i co z tego, że ładna, jak niezdara. Ale się wygłupiłam.

- Zawsze jeszcze możesz się najać do rozbawiania gości na przyjęciach - naśmiewał się Drew.

- Bardzo śmieszne.

- Nic ci nie da biczowanie się. Musisz wrzucić na luz. Ja ordynuję weekend w mieście. Założę się, że jeszcze nic nie zwiedziłaś.

- Oczywiście, że tak. Zwiedziłam każdą stację metra, począwszy od najbliższej, a na Battery Park City kończąc.

- Co robisz jutro?

- Nic innego ponad to, co do tej pory.

- No dobrze, to ja zabieram cię na prom Staten Island, gwarantujący najlepszy widok na Manhattan, w dodatku ta przyjemność nic nie kosztuje.

- Chyba nie powinnam. Szturchnął ją lekko.

- Chodź, dobrze ci to zrobi.

- Zgoda - ustąpiła - pod warunkiem, że ja stawiam lunch. Przynajmniej to mogę zrobić.

Od chwili jej przyjazdu Drew wychodził z siebie, żeby być miłym. Gdy szedł rano po kawę, jej też zawsze przynosił kubeczek. Poza tym pokazał jej na mapie, jak się poruszać metrem, i dał menu wszystkich restauracji, sprzedających dania na wynos.

Uśmiechnął się.

- Umowa stoi.

Kiedy doszli już do domu, wchodząc po schodach, Erin wyczuwała jego rękę delikatnie spoczywającą na jej plecach.

Drew jeszcze się ociągał z rozstaniem, więc Erin szybko pocałowała go w policzek.

Kładła się spać, kiedy zadzwonił telefon. Podskoczyła, żeby go odebrać, zanim włączy się sekretarka. To na pewno Jessie. Kto jeszcze mógłby dzwonić o takiej porze?

- Hlo - wymamrotała, mając usta pełne pasty do zębów.

- Erin?

Była tak zaskoczona głosem Skipa, że przez przypadek połknęła trochę pasty, i kiedy chciała coś powiedzieć, głos ugrzązł jej w gardle. W końcu wycharczała:

- S-Skip, wszystko w porządku? - Przed oczami jak w kalejdoskopie pojawiły się wszelkie możliwe tragedie: Kayla jest chora albo coś jej się stało, hotel się spalił, w szpitalu wyładował gość z zatruciem pokarmowym. Z jakiego innego powodu mógłby dzwonić? Chyba nie dlatego, że za nią tęsknił.

- Wszystko w porządku. - Zamilkł i dodał: - Dzwonię, żeby zapytać, jak sobie radzisz.

- Dobrze - odpowiedziała ostrożnie, z ulgą, a jednocześnie nieco zraniona jego nonszalanckim tonem głosu. Poczula się, jakby dzwonił do kobiety, którą przelotnie znał. Weszła do łóżka. - Ciągle jeszcze nie znalazłam pracy, ale poza tym wszystko

dobrze. - Starala się mówić lekkim tonem, żeby nie wiedział, jak bardzo za nim tęskniła, jak sam jego głos sprawił, że serce waliło jej w piersi jak oszalałe. - A co u ciebie?

- Nic specjalnego. - Ciagle jeszcze mogła wyczuć, że był na nią zły. Jeśli nawet tak było, to i tak wiedziała, że się starał. - Posłuchaj, jeśli słabo stoisz z pieniędzmi, to mam coś odłożone...

- Nie, poradzę sobie - powiedziała bardziej szorstko, niż zamierzała.

Cisza zaczęła ciążyć w słuchawce, jak gałęzie pod naporem śniegu za oknem. Przypomniała sobie stare czasy, ich krótkie wymiany zdań przed położeniem się do łóżka. Kochanie, weźmiesz pranie, skoro będziesz w mieście? Albo: samochód znowu wydaje te dziwne dźwięki, musimy go oddać do warsztatu. Za późno zorientowała się, jakie to ważne. Walcząc z gulą w gardle, zapytała:

- A jak się wam układa z Jessie?

To była ostatnia rzecz, o jaką powinna była zapytać.

- Jessie - powiedział ze wstrętem - nie dość, że zmarnowała życie mojemu bratu, to teraz jeszcze musi psuć nasze.

Erin poczuła, jak zalewa ją krew.

- Myślisz, że to wszystko wina Jessie? - powiedziała podniesionym głosem. - Nie byłoby mnie tutaj, jak byś mnie nie zostawił.

- Do diabła Erin, nie rób ze mnie potwora, wiesz dlaczego odszedłem.

- Tak, wiem, żeby mnie ukarać. Jeśli jednak oczekujesz, że będę cię błagać o wybaczenie, to się lepiej zastanów. Jak sobie pościeliłeś, tak się do cholery wyśpij.

- Jeśli nazywasz łóżkiem składaną sofę mojego brata...

- To co teraz, mam cię jeszcze pożałować?

- Nie proszę o współczucie.

- To o co, do diabła?

- Miałem nadzieję - przerwał - ach, nieważne.

- Na co miałeś nadzieję?

- Że jeszcze się porozumiemy, że jeszcze została w tobie część tej kobiety, z którą brałem ślub.

Erin wciągnęła powietrze w płuca, pochylając się, jakby dostała cios w brzuch.

- To była ona płonna - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- To prawda: już w ogóle cię nie znam.

- To jesteśmy kwita, bo ja też nie wiedziałam, że jesteś taką świnią.

Zaległa martwa cisza. Drżącym z emocji głosem powiedziała:

- Posłuchaj, muszę kończyć. Już późno.

- Erin...

Odłożyła słuchawkę na widełki.

Nie tak miała wyglądać ta rozmowa. Naprawdę chciała mu powiedzieć, jak bardzo go kocha, jak mocno tęskni, jak jej brakuje jego dotyku, jego głowy na poduszce obok. Dzisiejszy upadek na pupę był niczym w porównaniu z tym, jak czuła się w tej chwili.

Kiedy weszła pod kołdrę, czuła ból w całym ciele. Pokój, który wcześniej wydawał się taki przytulny i pełen uroku, jego ściany w kolorze florenckiej purpury, ozdobione plakatami z włoskich filmów, lampki z paciorków i haftowane poduszki teraz tylko przypominały jej, jak daleko była od domu. Leżąc na plecach, patrząc w sufit i słuchając skrzypiących nad jej głową kroków Drew, pomyślała o wersie z piosenki Hanka Williamsa, który całkowicie oddawał jej obecny stan: „Tak samotna, że mogłaby tylko płakać”.

## *Rozdział szósty*

Jessie przewróciła się w łóżku na drugi bok, na oślep próbując wyłączyć dźwięczący prosto w jej ucho przedmiot. Budzik. Tak, prawda. Z trudem wstała, wpatrując się w ciemność na wpół otwartymi oczyma. Po chwili zaciemnione przedmioty, stojące w pokoju, zaczęły się materializować: komoda, krzesło, szafa z lustrem, w którym widziała swoje dość upiorne odbicie. Blade światło wpadające przez żaluzje i odległe pianie koguta powiedziało jej, że już jest rano, ale zaspany, będący jeszcze jakby za mgłą umysł odmówił przyjęcia tego do wiadomości.

Ziewając, wygramoliła się spod kołdry. Do tej pory nie miała pojęcia, z czym wiąże się prowadzenie hotelu. Nie było na przykład mowy o wylegiwaniu się do południa, czytaniu gazety przy porannej kawie. Wstawanie o świcie bardziej przypominało wojsko. Sama musiała przygotować śniadanie, w dodatku zjadliwe, dla co najmniej sześciu osób, a czasem i szesnastu. Przez resztę dnia musiała ganiać z jednego miejsca w drugie, zanim wieczorem padła wyczerpana na łóżko. W jej poprzednim życiu padała tak po drinku z przyjaciółmi albo po późnej kolacji w miłej knajpce.

Kiedy jednak już wzięła prysznic i ubrała się, doceniła ten rozkoszny spokój, działający niczym balsam po tylu latach budzenia się od hałasu podjeżdżających śmieciarek i wycia autoalarmów. Kayla jeszcze drzemała, a Jessie słyszała jedynie

skrzypienie własnych kroków na podłodze i Otisa depczącego jej po piętach, kiedy szła korytarzem do frontowych drzwi. Przystanąła na ganku i napełniła płuca świeżym suchym powietrzem; patrzyła, jak pies biegnie na podwórko dzielące budynek na części: mieszkalną i hotelową. O tej godzinie świat był skąpany w blad różowym świetle, kępy dziko rosnących krzewów o mięsistych liściach i białych kwiatach, odcinających się niczym płatki śniegu na ciemnozielonych roślinach, wyglądały bajecznie. Pomyślała, jak wielką pracę włożył Skip w zaaranżowanie ogrodu. Zachował dzikość tego terenu, sadząc odporne byliny ogniście kwitnącego krzewu o wdzięcznej nazwie „meksykański rajski ptak”, purpurowych meksykańskich petunii, kwitnących kaktusów i innych sukulentów, tworzących kolorowe punkty w dzikim krajobrazie.

Skip. Na myśl o nim jak zwykle miała pewne uczucie straty. Kiedyś byli dla siebie jak brat i siostra, ale te czasy odeszły bezpowrotnie. Gdy przyjechała, Skip przycinał drzewa oliwne przed hotelem. Pomachała mu i on jej odmachał, ale nawet nie zszedł z drabiny, żeby się z nią przywitać. Dopiero kiedy była już w środku i rozmawiała z Marią, usłyszała odgłos butów na ganku. Pojawił się w drzwiach, patrząc na nią jak na domokrażcę, od którego nie chciał nic kupić.

- Cześć, Jessie - powiedział jakby od niechcienia.

- Miło cię widzieć, Skip. Kawał czasu. - Wyciągnęła do niego rękę, a on po chwili wahania uścisnął ją. - Jak się masz?

- Bywało lepiej.

Jessie dojrzała na jego twarzy wyraźne zmarszczki powstałe od uśmiechu. Jednak teraz nie było co liczyć, że się uśmiechnie.

- Ale wyglądasz świetnie. Wysportowany jak zawsze.

Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie da się przekupić komplementami.

- Praca w dwóch miejscach naraz pozwala utrzymać dobrą formę.

- Właśnie zrobiłam kawę - powiedziała Maria. - Skip, może byście usiedli? Na pewno macie dużo do omówienia. - Ton jej głosu był celowo tak optymistyczny, jakby siłą woli próbowała rozładować sytuację.

Spojrzał na Marię, twarz nieco mu się rozchmurzyła i Jessie przypomniała sobie, że właśnie tak patrzył kiedyś na nią, zanim ich stosunki się popsuły.

- Dzięki, ale powinienem skończyć. Muszę wracać do pracy.

Jessie wiedziała, że Skip pracuje u swojego brata. Musiał tu wpaść podczas przerwy obiadowej.

- Pozdrów Mike'a ode mnie! - krzyknęła, kiedy Skip już się oddalał. Czy po



takim czasie nie należało już zapomnieć o przeszłości?

Spojrzał na nią ścinającym krew w żyłach wzrokiem.

- Dobrze - odpowiedział.

Od tego czasu przelotnie widywała Skipa, gdy wczesnym rankiem kręcił się po ogrodzie albo ciął drewno. Wieczorami, przyjeżdżając po Kaylę, trąbił, że już jest i nie chciał wchodzić do środka. Jessie wiedziała, że unikał jej nie tylko przez to, co zrobiła jego bratu, ale dlatego, że przyczyniła się do wyjazdu jego żony do Nowego Jorku. Prawdopodobnie był przekonany, że Jessie trzyma stronę Erin. Jednak ona rozumiała, że Skip również miał swoje racje. Kochała Erin, ale wiedziała, że nie jest prosto z nią żyć. Jessie miała świadomość, że Skipowi musiało być trudno być z kimś, kto z powodu każdego niezapłaconego rachunku czy niespodziewanych wydatków zaraz sobie wyobraża licytację majątku. Uważała jednak, że łatwiej byłoby mu to zrozumieć, gdyby tak samo dobrze jak ona znał rodziców Erin. W jej rodzinnym domu każde pukanie do drzwi potencjalnie niosło za sobą zagrożenie, co rusz przecież ktoś przychodził: a to inkasent, a to ktoś z elektrowni, grożący odcięciem prądu, a raz nawet przyszedł pełnomocnik szeryfa z nakazem aresztowania ojca Erin za nieuregulowane opłaty parkingowe.

Teraz, kiedy Jessie szła do hotelu, słuchając trelu nawołujących się ptaków, zdała sobie sprawę, że powrót do Willow Creek nie oznaczał dla niej rozpoczęcia nowego życia, bardziej przypominał czyszczenie strychu zagraconego starymi rupieciami. Miała dużo do zrobienia i musiała liczyć się z tym, że czasem będzie musiała sobie ubrudzić ręce.

Powróciła myślami do Jonathona. Powiedziała mu, że wyjeżdża głównie z powodów zawodowych, ale że rozłąka dobrze im zrobi, da szansę zastanowienia się nad ich związkiem. Spokojnie ważyła słowa, jakby chciała mu powiedzieć: „Zastanów się, chłopie, póki nie jest jeszcze za późno”.

Wyraźnie dało mu to do myślenia. Dbał o nią bardziej niż zwykle, częściej dzwonił, czasem tylko po to, by jej powiedzieć, że tęskni. Na walentynki przysłał jej antyczny złoty medalion, którym zachwycała się na jednej z wystaw sklepowych w SoHo. Planował nawet przyjazd. Nie mogła się tego doczekać. Strasznie za nim tęskniła.

Jej także ta rozłąka dała do myślenia. Teraz, kiedy rozmawiali i opowiadał o dzieciach, już nie denerwowało jej to tak, jak wcześniej. Nawet w pewnym stopniu interesowały ją te nowiny. W jego życiu panował pewien bałagan, więc szukanie kontaktu z dziećmi było całkiem naturalne. Potrzebował ich tak samo, jak one jego.

Wszystko w porządku na froncie, pomyślała, wchodząc z Otisem przez tylne

drzwi i zapalając górne światło. W kuchni w równym rzędzie wisiały wypolerowane miedziane rondle i stały urządzenia czekające w pełnej gotowości na włączenie. Ten widok sprawiał, że przypomniła się jej pierwsza przejażdżka konna. Miała wówczas dwanaście lat. Mama nalegała, żeby Jessie nauczyła się jeździć konno, bez wątpienia wyobrażając sobie mnóstwo niebieskich wstążek z wygranych zawodów i innych trofeów zdobiących ściany jej domu. Jednak jedno lekceważące spojrzenie konia, kiedy próbowała go dosiąść, sprawiło, że nie miała wątpliwości, kto jest panem sytuacji. Dokładnie tak się czuła w obecnej chwili, kiedy kuchnia i wszystkie sprzęty, które się tu znajdowały, po cichu z niej drwiły.

To tylko śniadanie, a nie operacja na otwartym mózgu, powiedziała sama do siebie, jak każdego dnia. Często praktykując, każdy mógł się nauczyć gotować. Jednak wolała nie myśleć, co by było, gdyby nie pomoc Marii w tych pierwszych tygodniach.

Wsypała ziarna kawy do młynka, a następnie odmierzyła odpowiednią ilość zmielonej kawy do ekspresu. Jessie nalała sobie do kubka świeżo zaparzonej kawy i zaczęła przeglądać segregator z ulubionymi przepisami Erin, zanotowanymi jej starannym pismem.

Dla Jessie równie dobrze mogły to być jakieś nieczytelne hieroglify; i tak najlepiej wychodziły jej francuskie tosty. Wszystko, co było bardziej skomplikowane, robiła z taką samą zręcznością, z jaką niewidomy prowadzi samochód. Jej ostatnia przygoda z naleśnikami polanymi Grand Marnier przekonała ją, by trzymać się z daleka od pirotechniki. Równie problematyczne były wszelkie wypieki na drożdżach, np. jej ostatnie cytrynowe bułeczki, mogłyby równie dobrze służyć za krążki hokejowe. Najlepiej było przygotować więc coś, co jest proste do zrobienia, a zarazem sycące, jak suflet z twarożkiem i papryczkami chili, który był w dzisiejszym menu. Wbijając właśnie jajka do miski, kiedy usłyszała, że ktoś wchodzi tylnymi drzwiami. Myśląc, że to Kayla, uśmiechnęła się szeroko i odwróciła, żeby się z nią przywitać. Uśmiech zamarł jej na twarzy, kiedy zamiast Kayli zobaczyła Skipa.

Jessie była tak zaskoczona jego widokiem, że jajko, które trzymała, wyslizgnęło jej się z rąk i z płaskim rozbiło na podłodze. Spojrzała w dół z niedowierzaniem, przyglądając się rozbitemu jajku, przypominającemu atramentowy kleks.

- Chyba powinienem był zapukać - powiedział Skip, patrząc na powstały nieporządek.

- Nie musisz pukać. - Chwyciła papierowy ręcznik i schyliła się, żeby wyczyścić podłogę.

Uśmiechnął się nieznacznie, spoglądając na kuchnię, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Ostatnimi czasy nigdy nie mam pewności, czy znajduję się w odpowiednim miejscu.

Był ubrany w swój najlepszy niedzielny strój: wyprasowane spodnie w kolorze khaki, sportową granatową marynarkę i krawat. Pamiętała, że miał zabrać Kaylę do kościoła.

- Kayla jeszcze nie wstała - poinformowała go. - Chcesz, żebym jej powiedziała, że już jesteś?

- Nie, niech jeszcze sobie pośpi. Mam parę rzeczy do zrobienia.

- Weź sobie kawę.

Była pewna, że to będzie dla niego dobry sygnał do wyjścia, ale on skinął głową, wyjął kubek z szafki i nalał sobie kawy. Pomyślała, że Skip wygląda na przemęczonego, jakby za mało spał, co tylko wyostrzyło rysy jego twarzy. Cienkie linie promieniście rozchodzące się z zewnętrznych kącików oczu i siwe włosy na skroniach sprawiały, że wyglądał intrygująco - trochę jak skrzyżowanie dorastających bohaterów serialu *Jezioro marzeń z Brudnym Harrym*. Jessie była przekonana, że podczas mszy kobiety bardziej będą się skupiały na nim niż na modlitwie.

- Jak ci idzie? - zapytał z trudnym do ukrycia rozbawieniem, wskazując na sprzęty kuchenne porozrzucane na blatach.

- Powiedzmy, że jeszcze nikogo nie zatrulałam, ale prawie udało mi się spalić hotel - odpowiedziała.

- Słyszałem - podmuchał na kawę i upił łyk z kubka.

- Erin mnie ostrzegała, ale nie myślałam, że jest to tak trudna praca.

- Nie widzę, żeby ktoś przystawiał ci pistolet do skroni.

Jessie westchnęła i skrzyżowała ręce na piersi.

- Posłuchaj, Skip. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale ja nie jestem niczym wrogiem.

Spojrzał na nią nieufnie, ale za chwilę jego napięcie gdzieś zniknęło i pokiwał głową.

- Wiem. Po prostu łatwiej jest, jeśli ma się kogo winić. Pewnie najchętniej kogoś postronnego zamiast niego i Erin. Powróciła do wbijania jajek do miski.

- Co słyhać u twoich rodziców? - zapytała, chcąc zmienić temat.

- Oboje mają się dobrze, chociaż mama jest przekonana, że tata w każdej chwili może umrzeć na zawał. Ojciec mówi, że nie przypomina sobie, kiedy matka podała mu kurczaka ze skórą. Jak tylko może, wymyka się do KFC. Jestem prawie przekonany, że ona o tym wie, ale przymyka oko.

- Przynajmniej nie wymyka się do innej kobiety.

Po chwili niezręcznej ciszy odchrząknął i zapytał:

- A co u Erin? - Odwróciła się i widziała, jak oparł się o barek, udając chojraka.
- Jeśli cię to pocieszy, to cierpi tak samo jak ty.
- To nie było proste dla żadnego z nas - przyznał niechętnie.
- Powinieneś ją odwiedzić - namawiała go Jessie, mając nadzieję, że nie przekroczyła swoich kompetencji. Nawet nie skonsultowała tego z Erin.
- Jakoś specjalnie mnie tam nie zapraszała.
- W takim razie może zrobiłbyś jej niespodziankę? Spojrzał na nią w taki sposób, że nie ulegało wątpliwości, co zrobi z jej radą.
- Dzięki za kawę. - Wylał resztkę do zlewu i umył po sobie kubek.
- Jak zobaczysz Kaylę, to powiedz jej, że jestem na zewnątrz - rzucił, wychodząc.
- Muszę sprawdzić, czy linki są porządnie zamontowane.
- Linki?
- Linki podtrzymujące namiot.

Jessie miała chwilowe zaćmienie umysłu, dopiero po chwili zorientowała się, że Skip mówi o namiocie na ślub Traversów. Zapomniała, że miał się on odbyć dzisiaj po południu. Niedługo pewnie przyjedzie catering. Ślub - tego właśnie potrzebowała, żeby przypomnieć sobie, że nie zanosi się, żeby ona miała pójść do ołtarza.

Kiedy suflet był już w piecu, Jessie poszła nakrywać stół. Postawiła słój z płatkami śniadaniowymi, przygotowanymi własnoręcznie przez Erin, miseczki z truskawkami i pomarańczami, pojemniki z jogurtem z miejscowej mleczarni, dżemy i inne przetwory, termosy z kawą i gorącą wodą na herbatę. Gdy nastawiała ekspres na drugą porcję kawy, do kuchni weszła odświętnie ubrana Kayla.

- No i co myślisz? - zapytała, wykonując obrót, prezentujący portfelową spódnicę, którą kupiła wczoraj wspólnie z Devon.

- Wyglądasz prześlicznie - powiedziała Jessie.
- Nie pogrubia mnie?
- Ani trochę.

Kayla spojrzała na nią sceptycznie.

- Tylko tak mówisz.
- To dlaczego pytasz?
- Teraz mówisz jak mama. - Kayla sięgnęła do lodówki po sok pomarańczowy.

Już przyzwyczała się, że jej matka chrzestna tu mieszka. W tygodniu, zanim przyjechał szkolny autobus, Kayla spędzała poranki w kuchni z Jessie. Wieczorami po odrobieniu lekcji grały w karty albo oglądały telewizję. Czasem leżały razem na łóżku w pokoju Erin i chichotały, tak jak niegdyś Erin z Jessie. Dla Jessie największym

atutem zamiany miejsc z Erin był niczym nieograniczony kontakt z Kaylą.

Pomyślała o swojej matce. Ciągle odkładała spotkanie z nią, używając mało przekonującego wykrętu, że była strasznie zajęta w hotelu. Oczywiście Beverly też nie przyjechała jej odwiedzić. Prędzej czy później Jessie musiała do niej pojechać. Wolą jednak później niż wcześniej.

Kayla dopijała sok, kiedy wszedł Skip.

- Cześć, myszko. Jesteś już gotowa? - objął ją ramieniem.

- Cześć, tato. - Kayla przytuliła się do niego, kładąc mu głowę na ramieniu.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Masz jakiś makijaż na twarzy?

Kayla schyliła głowę i odsunęła się od niego.

- Wszystkie dziewczyny się malują, tato.

- No dobrze, ale te wszystkie dziewczyny nie są moimi córkami. - Spojrzał na Jessie z wyrzutem, jakby to było wynikiem jej złego wpływu.

- Pozwoliłam jej użyć moich kosmetyków - wyjaśniła Jessie, próbując się bronić.

Zignorował ją i powiedział ostro:

- Idź umyć twarz. Nie chcę się spóźnić do kościoła.

Kayla jęknęła i poszła wykonać polecenie ojca. Wyglądało na to, że Skip i Erin zamienili się rolami i tym razem to nie Erin była żandarmem. Może Skip chciał, żeby jego córeczka na zawsze pozostała małą? Tak czy owak, zanim wyszli, Kayla umyła twarz, ale wyglądała na niezbyt zadowoloną z tego powodu.

Jessie właśnie wyjmowała suflet z pieca, gdy w pokoju obok usłyszała czyjeś głosy. Weszła do środka i przywitała państwa Pritchard, małżeństwo w średnim wieku z Baltimore, które nakładało sobie na talerzyki przygotowane wcześniej potrawy. Jessie nie mogła nic poradzić na to, że czuła się zdenerwowana i spięta, gdy wystawiała suflet na żaroodporną podstawkę. Ciągle miała w pamięci wczorajsze, trochę za słone muffinki jagodowe. Kiedy chwilę później wróciła z koszykiem jeszcze ciepłych bułek, Pitchardowie siedzieli przy stoliku niedaleko okna, wyraźnie zadowoleni.

Jessie odetchnęła. W porządku. Udało się jej.

Coraz więcej gości schodziło na śniadanie i Jessie bez przerwy kursowała między kuchnią a jadalnią. Z pokoju śniadaniowego roztaczał się przepiękny widok. Aktualnie co prawda zasłaniał go biały namiot, ale gdy Jessie chodziła od jednego do drugiego stolika, sprawdzając, czy gościom niczego nie brakuje, była zachwycona wypielegnowanym terenem, za którym znajdował się sad. To, co z tym miejscem zrobili Erin i Skip, było wprost niewiarygodne. Widziała zdjęcia hotelu, zrobione przed

remontem. Wtedy wydawało się niemożliwe, że z takich zgłiszcz mógłby się wznieść hotel, zupełnie niczym feniks z popiołów.

Teraz na miejscu ciemnego ponurego pokoju, który jawił się z tych zdjęć, znajdowało się pomieszczenie pełne słonecznych refleksów, wpadających przez świetliki i oszklone drzwi, wychodzące na patio z tyłu hotelu. Zamiast długiego stołu na kozłach, który zajmował cały środek pokoju, teraz stały tu kawowe stoliki, okryte perkalowymi obrusami. Na każdym z nich znajdował się wazonik ze świeżą gałązką clematisa z ogrodu. Z dawnego męskiego rancho pozostały jedynie dębowe belki sufitowe, sosnowa podłoga, wypastowana tak, że miała odcień miodu, i wbudowane szafki, na których stały ceramiczne figurki z kolekcji Erin.

Jessie przystanęła koło państwa Kim, którzy opowiedzieli jej o wczorajszej wycieczce do Chollo Ridge. Tłumaczyła im, jak pojechać do Sedony, kiedy pani Rona Tomlinson, emerytowana nauczycielka, lubiąca samotnie podróżować, zapytała ją o najlepsze miejsca do obserwowania ptaków. Jessie bardzo lubiła te pogawędki, zwłaszcza że przebywanie z większością gości było czystą przyjemnością. Na przykład bardzo miła była ta para z Cleveland, państwo Morriseys, którzy wrócili, żeby pochwalić jej francuskie tosty, które w rzeczywistości trochę przypaliła. Państwo Schmidt z kolei zaprosili ją, żeby się przyłączyła do nich na kolacji.

Naturalnie były rzeczy, na które trzeba było uważać. W zeszłym tygodniu Maria powstrzymała ją przed popełnieniem czegoś, co mogło się okazać wielkim faux pas, jako że Jessie chciała odesłać pocztą czarną koszulę nocną, którą Petra znalazła w jednym z pokoiów po wyjeździe gości.

- Zaufaj mi, nie rób tego. - Maria wskazała na satynową koszulkę, którą Jessie wkładała do dużej miękkiej koperty.

- Skąd wiesz, że należy ona do właściwej pani Mancusso? - Maria opowiedziała, że kiedyś odesłała majtki pewnej pani, a tydzień później do hotelu zadzwonił rozwścieczony mąż, gdyż jego żona, wcześniej nieświadoma romansu męża, zażądała natychmiastowego rozwodu. - Jeśli będzie szukała swojej koszuli, dowiemy się o tym od niej samej.

Jednak ledwie goście wrócili do swoich pokoiów, znowu naszły ją wątpliwości. Jessie powtarzała sobie, że powody, dla których przyjechała tutaj, były uzasadnione; przecież jeśli chodziło o jej karierę, to tak naprawdę nie miała wyjścia. Jednak to nie powstrzymywało jej tęsknoty za domem. Tęskniła za swoim kotem, za bułkami z dziurką od Essy, tajskim jedzeniem, sprzedawcą warzyw z rogu Ósmej i Dwudziestej Trzeciej, który zawsze gratisowo dokładał jej do zakupów jednego banana albo pomarańczę.

Brakowało jej wspólnych wyjść z Clive'em, z Drew. A już najbardziej tęskniła za Jonathonem.

Kiedy załadowała pierwszą partię naczyń do zmywarki, zrobiła się jedenasta. Za niecałą godzinę spodziewała się przyjazdu cateringu, miała więc czas na chwilę wytchnienia. Kilka minut później szła już ścieżką prowadzącą nad strumyk, a słońce mile grzało jej skórę. Przeszła obok altanki, przystrojonej w girlandy z miniaturowych różyczek, a satynowe kokardki, wyznaczające kolejne rzędy składanych krzeseł, lekko poruszały się na wietrze. Za altanką znajdowała się porośnięta dzikimi kwiatami, ocieniona lasem łąka. W Nowym Jorku ciągle jeszcze musiałyby chodzić w zimowym płaszczu. A tutaj gdzie nie spojrzęła, były oznaki wiosny: wschodząca młoda zielona trawka, pączki kwiatów, ptaki latające nisko w poszukiwaniu gałązek do budowania gniazd. Kiedy doszła do strumyka, w którym kiedyś jeszcze jako dzieci kąpały się razem z Erin, posmutniała, ponieważ skurczył się do rozmiarów wąskiej strużki, a jego brzegi pokrywał biały osad. Zdjęła buty, podwinęła dżinsy i stanęła w samym jego środku. W najgłębszym miejscu woda sięgała jej zaledwie do kolan.

- Proszę uważać, jeszcze się pani utopi. - Doszedł ją dźwięk czyjś głosu. Jessie odwróciła się zaskoczona i zobaczyła czyjąś sylwetkę, wyłaniającą się z cienia drzew. Idący w jej stronę mężczyzna miał na sobie sprane dżinsy i batystową koszulę. Jego włosy o odcieniu opalizującej czerni opadały mu na uszy. Zdawało się, że ciemnobrązowy kolor skóry nie pochodził od słońca. Widać było, że mężczyzna jest stąd, biorąc pod uwagę pewność, z jaką podszedł do brzegu strumyka, gdzie lekko zapadły mu się obcasy znoszonych już kowbojskich butów.

- Ten rok musiał być suchy - zauważyła, wychodząc na brzeg.

- Wyjątkowo suchy. - Wyjaśnił, że właściciel działki kilka kilometrów stąd odstąpił prawa do pobierania wody źródlanej jednemu z wielkich koncernów. Problem polegał na tym, że źródło wbijało się do zbiornika wodnego, który zaopatrywał w wodę cały region. - Patrzy pani na efekt uboczny jego działań - powiedział ponuro.

- Nie zabrania tego prawo? - zapytała.

- Owszem, ale trzeba to udowodnić. A jeśli już się uda, wówczas człowiek natyka się na polityków, którzy mają w tym swój interes i przymykają na wszystko oko.

- Jeśli byśmy... - przerwał nagle, uśmiechając się - przepraszam, nie przyszła tu pani, żeby wysłuchiwać kazań.

Podał rękę Jessie i uściśnął jej dłoń swoją szorstką ręką. Miał pełne usta i równe kości policzkowe. Na jego skórze tańczyły słoneczne refleksy, odbijające się w wodzie.

- George Hunter. Mieszkam niedaleko stąd. Proszę mówić mi Hunter.

- Jessie Holland. - Miała dziwne wrażenie, że skądś go zna, ale nie wiedziała skąd.

- Zatrzymała się pani w hotelu? - wskazał na kierunek, z którego przyszła. Bez wątpienia jej miejska bladość ją zdradziła.

- Można tak powiedzieć. - Pokrótce opowiedziała mu, jak się tu znalazła, dodając: - Wychowałam się tu, więc nie było to tak szalone, jakby się mogło wydawać.

- Jednak po tylu latach to i tak może być dość dziwne uczucie - powiedział, przyglądając się jej z zainteresowaniem.

Patrzyła na stare drzewa, przechylone na jedną stronę pod ciężarem gałęzi, na ważki latające tuż nad lustrem wody.

- Przede wszystkim zapomniałam, jaki panuje tu spokój - powiedziała, siadając z zamiarem włożenia butów. Jednak piasek był tak przyjemnie ciepły, że z przyjemnością wyciągnęła nogi przed siebie. Po chwili Hunter do niej dołączył.

- Mieszkasz tu całe życie? - spytała, odwracając się do niego.

Potrząsnął głową.

- Wychowywałem się w rezerwacie, mój ojciec był Zagubionym Ptakiem. Tak my, Indianie Nawaho, nazywamy dzieci, które zostały wykradzione, kiedy były jeszcze niemowlętami, i wychowane w białych rodzinach. Mój tata, dopiero jak miał własne dzieci, dowiedział się o swoim prawdziwym pochodzeniu. Chciał poznać swoją biologiczną rodzinę, więc spakowaliśmy się i przeprowadziliśmy się tam z Seattle.

- Jak można coś takiego zrobić dzieciom?

Wzruszył ramionami.

- Miał swoje powody.

- Miałam na myśli twojego tatę i wszystkie inne porwane dzieci.

Słyszała wcześniej o tych odrażających praktykach, o których mówił, ale nie wiedziała o nich nic bliżej, poza tym, co usłyszała kiedyś w jednym z programów telewizyjnych.

- Biali myśleli, że to dla dobra dzieci, że ratuje się je przed wyrastaniem na dzikich ignorantów - powiedział łagodnym głosem, przez który przebijał lekki cień ironii.

- Nie wydajesz się jakoś bardzo tym rozgoryczony - stwierdziła.

- Jeśli miałbym nienawidzić wszystkich białych, to byłby to dla mnie duży kłopot - odrzekł, wyjaśniając, że jego matka była biała. - Jestem jedynym buntownikiem wśród Indian. - Uśmiechnął się, a Jessie przypomniała sobie westerny, które oglądała jako dziecko. Ich głównych bohaterów, pionierów napadanych przez dzikusów pomalowanych w barwy wojenne. Nigdy nie było wątpiwości, kto był tym złym.



- Jednak bycie Indianinem półkrwi też nie było łatwe. Dzieciaki w szkole przezywały mnie Kacper, po Kacprze Dobrym Duszku.

- Zawsze trudno jest być „nowym” - odpowiedziała, przypominając sobie, jak trudno jej było zaaklimatyzować się tutaj po przeprowadzce z Pasadeny.

- Co dziwniejsze, po śmierci taty mama postanowiła odciąć się od tej kultury i wyjechać stamtąd - powiedział. - Po śmierci taty rezerwat przestał być naszym domem.

- A ty, tęsknisz czasem za tamtym miejscem i kulturą? - Z tego, co wiedziała o kulturze Indian Nawaho, ma ona duże znaczenie i głęboko wnika w człowieka.

- Tęsknię tylko i wyłącznie za rodziną i przyjaciółmi, poza nimi nie ma tam do czego tęsknić. Prawie wszyscy są bezrobotni, a reszta ledwo wiąże koniec z końcem, żyjąc z zasiłku albo z najmniejszej dopuszczalnej płacy - powiedział to, nie próbując nikogo osądzać, po prostu stwierdził fakt. - Po skończeniu college'u nigdy nie oglądałem się wstecz.

- Co sprawiło, że przyjechałeś do Willow Creek?

- Jestem nauczycielem szóstych klas w podstawówce Yavapai.

- O rany, chyba nie chcesz powiedzieć, że pan Brunswick w końcu odszedł na emeryturę.

- Już jakiś czas temu. - Usiadł koło Jessie po turecku, patrząc na nią z zaciekawieniem i jakby podświadomie wiedział, że powody, dla których znalazła się tutaj, były dużo bardziej skomplikowane, niż mówiła. Jessie poczuła, że się czerwieni, więc czym prędzej odwróciła wzrok.

- Lubisz uczyć? - zapytała.

- Lubię, kiedy czuję, że coś to daje, choć nie zdarza się to znowu tak często, jak bym chciał - dodał z żalem. - Teraz zajmujemy się skorygowaną historią zachodniej ekspansji.

- Dlaczego skorygowaną?

Uśmiechnął się.

- Powiedzmy, że my, Indianie, mamy nieco inne spojrzenie na to, w jaki sposób podbito Dziki Zachód.

Jeszcze chwilę rozmawiali, a kiedy Jessie spojrzała na zegarek, z zaskoczeniem stwierdziła, że minęło już pół godziny.

- Powinam wracać - powiedziała, niechętnie wkładając buty.

- Odprowadzę cię. - Wstał jednym zwinnym ruchem.

Kiedy doszli do rozgałęzienia ścieżek, z których jedna prowadziła do jego domu, Hunter zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Posłuchaj, wiem, że zbyt późno cię uprzedzam, ale jutro przy ratuszu mamy

pokojową manifestację. - Wy tłumaczył, że w Willow Creek jest przewodniczącym Rady Ochrony Przyrody, która walczy o ochronę działów wodnych. - Przydałoby nam się twoje wsparcie.

- Jutro? Będę nieźle zapracowana - odparła.

Zatrzymał ją wzrokiem, a jego ciemne oczy wydawały się rzucać jej wyzwanie.

- No cóż, jeśli zmienisz zdanie, daj mi znać. Mogę wpaść i zabrać cię ze sobą. - Na kartce, którą wyjął z portfela, zanotował swój numer telefonu.

Nie jest mi to potrzebne, pomyślała Jessie, posłusznie biorąc kartkę i wkładając ją do tylnej kieszeni spodni. W hotelu było pełno gości, musiała w końcu odwiedzić matkę, już nie wspominając o swoim chłopaku w Nowym Jorku, który mógłby się zastanawiać, czy jej nagłe zainteresowanie ekologią nie było bardziej związane z przystojnym liderem pewnej organizacji proekologicznej. Mimo to pozostawała w bezruchu, niczym zaczarowana głębokim spojrzeniem Huntera. Jego oczy w świetle słońca, jak zauważyła, właściwie nie były czarne, ale miały odcień głębokiej szarości. Po chwili obudziła się jakby z głębokiego snu i odpowiedziała:

- Zrobię, co będę mogła, żeby się wyrwać.

Po południu następnego dnia Jessie, dręczona wyrzutami sumienia, udała się do matki. Kiedy przejeżdżała przez miasteczko, jak zwykle po długiej nieobecności nie mogła się nadziwić, jak mało się w nim zmieniło od chwili, kiedy była dzieckiem. Zielony skwerek na rynku był dokładnie taki sam jak wtedy, gdy wspólnie z Erin wspinały się na pomnik hiszpańsko-amerykańskiego bohatera wojennego, pokrytego teraz ptasimi laksami. Wzdłuż Main Street, kiedyś zwanej Whiskey Row, znajdowały się sklepy, knajpka U Murphy'ego, Silver Spur. Na rogu Main i Montezuma, naprzeciwko poczty, pamiętającej jeszcze czasy wiktoriańskie, w sklepie Broken Arrow Arts nadal można było kupić laleczki robione przez Indian Hopi i inne souveniry. Jeśli uparłaby się, to wstępując na obiad do Benjaminą Franklina, na pewno mogłaby jeszcze zjeść te same tarty i napić się shake'a czekoladowego.

Z Main Street skręciła w Brookside, jadąc wzdłuż znajomych uliczek z pełnymi uroku starymi domami i starodrzewem. Chwilę później była już przed domem matki. Wyglądał tak samo, nie licząc nowo położonej warstwy białej farby. Był niezmiennie kwadratowy i bezpretensjonalny, niczym porządny obywatel. Przeszła ceglana ścieżką, która schludnie odcinała się od świeżo skoszonego trawnika, prowadząc do schodów na ganku. Ciągle wisiała tam huśtawka, na której często siadała, czytając książki. Na drzwiach wejściowych wisiał wieniec z suszonych kwiatów, ozdobiony łabędziem, który przywiódł jej na myśl dekoracyjne zabawki, używane przez ludzi polujących na kaczki. Odetchnęła głęboko, i naciskając na dzwonek, powiedziała sobie: Mam

trzydzieści pięć lat. Już nie może mnie zranić.

Kiedy matka pojawiła się w drzwiach, Jessie, ujrawszy małą, niepozorną kobietę w różowych spodniach i dopasowanej kolorystycznie bluzie w kratkę, pomyślała, że chyba nie była najmądrzejsza, obawiając się tego spotkania. Uścisnęły się, a kosmyk włosów Jessie zaplątał się w jeden z kolczyków Beverly. Było to trochę niezręczne, ale za chwilę Jessie udało się wyplątać i kiedy weszła do środka, uśmiechnęła się.

- W ogóle się nie zmieniłaś - powiedziała.

Beverly nadal wyglądała młodo, mimo tylu lat przebywania na niesłabnącym południowo-zachodnim słońcu. Jej włosy miały nienaturalny odcień rudoci.

Beverly wyglądała na zadowoloną.

- Ty też świetnie wyglądasz.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Jessie, mimo że przyjechała tylko kilka minut po czasie. - Goście, którzy mieli przyjechać późnym popołudniem, pojawili się wcześniej.

- Przygotowałam tylko kanapki - powiedziała Beverly, idąc korytarzem.

Kiedy były już w kuchni, Beverly nałała im obu po szklance mrożonej herbaty. Jessie zauważyła, że matka wprowadziła w domu pewne zmiany: na ścianach nie było już starej tapety z motywem trójlistnego bluszczu i konewek. Na miejscu chłodziarki w kolorze awokado, pamiętającej jeszcze lata siedemdziesiąte, stała niebiesko-brzoskwiniowa markowa lodówka. Zamiast zegara w kształcie słońca, który pamiętała z dzieciństwa, na ścianie wisiał nowowczesny laminowany zegar z elementami stali nierdzewnej. Stół był nakryty na dwie osoby, na każdym z talerzy leżała kanapka, przycięta w kształcie trójkąta, pół pikla i garść chipsów.

Wzrok Jessie padł na stojak na wino, który znajdował się w miejscu dawnego sosnowego kredensu na porcelanowe filiżanki.

- Od kiedy jesteś koneserką win? - zapytała zdumiona, zastanawiając się, jak do tego doszło, że osoba, niegdyś uważająca za szczyt elegancji i smaku wino musujące Asti podane z lodem, nagle zaczęła kolekcjonować znane marki win dobrych roczników.

- A, to. To był pomysł Gay. - Gay Whitehead była najlepszą przyjaciółką matki i powodem, dla którego po śmierci ojca właśnie tutaj się przeprowadziły. - Wiesz, ona zawsze narzekała, jaka tu jest kulturalna pustynia. Więc zapisała nas na kurs kiperstwa. Co tydzień zajmujemy się kolejną winnicą i kupujemy nowe wino. Nasz nauczyciel jest Francuzem. Nazywa się Jean Claude.

- Brzmi fajnie - powiedziała Jessie, popijając herbatę.

Przez cały czas Beverly nie przestawała mówić: opowiedziała Jessie o swoim guzie piersi, który okazał się być niezłośliwy, nowym systemie irygacji, zainstalowanym w Klubie Country, o każdym dobrym uczynku, jaki spełnili ostatnio dla Gay jej syn i córka. Nawet nie zapytała Jessie, jak sobie radzi w hotelu czy choćby o jej życie w Nowym Jorku. Mężczyzna, którego Jessie spotkała poprzedniego dnia nad strumykiem, wydawał się dużo bardziej zainteresowany życiem Jessie niż jej własna matka. Mężczyzna, o którym jakimś trafem nie mogła przestać myśleć. Do tego stopnia, że nawet rozważała wzięcie udziału w manifestacji.

Dopiero gdy sprzątały ze stołu, Jessie powiedziała matce:

- A tak przy okazji, w przyszłym tygodniu ukaże się pierwszy odcinek naszej historii w „Savvy”.

- Tak? - Beverly była bardzo sceptyczna, kiedy Jessie po raz pierwszy powiedziała jej o całym przedsięwzięciu. Wydawało jej się, że tytuł rubryki *Życiowa zamiana* był nazbyt sugestywny.

- Największym zaskoczeniem dla mnie była Erin. Na początku nie wiedziała, w jakim stopniu będzie się mogła zaangażować w to przedsięwzięcie, a teraz nie można jej uciszyć. Po pierwszym tygodniu w Nowym Jorku napisała dwanaście stron, które musiałam zmieścić na jednej. Uwierz mi, prowadzenie hotelu i jednocześnie pisanie sprawia, że mam pełne ręce roboty.

- Podejrzewam, że powinnam być wdzięczna, że znalazłaś chwilę, by mnie odwiedzić. - W głosie Beverly dało się wyczuć pewne poirytowanie.

Jessie czuła, jak jedzenie w jej brzuchu zbija się w trudną do strawienia kulę. Każde spotkanie z matką w ten czy inny sposób sprowadzało się do tego samego punktu: Jessie miała wrażenie, że w pewien sposób rozczarowała Beverly.

U podstaw tego uczucia leżała odpowiedzialność Jessie za śmierć ojca. Mimo że lekarze jako przyczynę zgonu podali niewydolność serca, to i tak Beverly wiedziała lepiej. Tego dnia, na plaży, jeśli Jessie byłaby posłuszna i nie popłynęła dalej, niż ojciec pozwolił, nie byłby zmuszony za nią płynąć. Może i miałyby atak serca, ale na pewno nie utonąłby na jego skutek.

- Najstarsza wnuczka Gay w przyszłym roku idzie już do szkoły. - Poinformowała ją Beverly, odstawiwszy kawę.

- To świetnie - odpowiedziała bez entuzjazmu Jessie, układając filiżanki i spodeczki.

- Powinnaś ją zobaczyć. Jest podobna do Gay jak dwie krople wody, a bystra jak... zresztą tak, jak i jej dwaj bracia.

- Gay musi być z nich dumna.

- Ma szóstkę wnuków, wliczając dwójkę Bobby'ego; mówi, że nie starcza jej miejsca na kominku, żeby pomieścić zdjęcia ich wszystkich.

- Domyślam się, że ja też powinnam wyjść za mąż i mieć dzieci, żebyś mogła się pochwalić ich zdjęciami - powiedziała w zdenerwowaniu Jessie, kiedy wyczerpała się jej cierpliwość.

Beverly rzuciła jej urażone spojrzenie.

- Nie musisz być taka przykra.

- Przepraszam. - Jessie, jak zwykle, wycofała się. - To po prostu dla mnie drażliwy temat.

- Wybacz, że to powiem, ale nadal jesteś sama, a możesz za to winić tylko i wyłącznie siebie.

Jessie przewróciła oczami. Znowu to samo, pomyślała. Matka chyba nigdy już nie pozwoli jej zapomnieć, że zmarnowała jedyną szansę na szczęście, nie poślubiając Mike'a. Nieważne, że do tej pory pewnie by się już rozwiedli.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że podoba mi się moje obecne życie? - Te słowa nawet dla niej zabrzmiały sztucznie. Pomyślała o Jonathonie, który musiał odwołać długo planowane odwiedziny, ponieważ Rebeka w ostatniej chwili poinformowała go, że jedzie na konferencję w San Francisco. Nie było nawet czasu, żeby znaleźć opiekunkę, i Jonathon musiał zostać z dziećmi. Obiecał Jessie, że jej to wynagrodzi, ale w swojej głowie słyszała słowa Erin: „Tanie wymówki, zawsze znajdzie się jakiś wydumany powód”.

- Gdyby było tak różowo, to podejrzewam, że nie byłoby cię tu - powiedziała Beverly, krzyżując ręce na piersi.

Dzięki za wnikliwą analizę, pomyślała Jessie, mówiąc:

- Czy możemy skończyć ten temat? - Masowała sobie czoło i skronie, czując narastający w nich ból. - Wierz mi, że jeśli postanowię się ustatkować, ty pierwsza się o tym dowiesz.

- Mam tylko nadzieję, że dożyję tej chwili. Jessie westchnęła i w swojej obronie powiedziała:

- Jak już naprawdę musisz wiedzieć, to mam kogoś. Nazywa się Jonathon.

Beverly zainteresowała się.

- To coś poważnego?

- Za wcześnie, żeby coś mówić. - Jessie z rozważą dobierała słowa, nie chcąc, żeby matka za dużo sobie obiecywała.

- Jest tuż po rozwodzie, więc staramy się, by nasza znajomość nie rozwijała się zbyt szybko. - Nie wspomniała o tym, że ma dzieci i nie spieszy się do założenia nowej

rodziny. Od tego momentu Jessie starała się trzymać bezpiecznych tematów, do czasu, kiedy postanowiła grzecznie się oddalić. Beverly odprowadziła ją do drzwi, uściskawszy z nieznaną dotąd Jessie czułością.

- Jak dobrze, że wróciłaś.

Jessie z uwagą przypatrywała się twarzy matki, ale nie zauważyła na niej ani jednej oznaki, że wypowiedziane przez Beverly słowa nie były szczerze.

- A, prawie bym zapomniała - zawołała Beverly, kiedy Jessie już wychodziła. - Gay zaprosiła nas na lunch do klubu. Myślisz, że wygospodarujesz jeden dzień w przyszłym tygodniu?

Jessie obiecała dać jej znać, musiała spojrzeć w kalendarz. Gay w końcu opiekowała się nią prawie jak matka, kiedy Beverly odmówiła wykonywania tej roli. Teraz Jessie miała wyrzuty sumienia, że nie kontaktowała się z Gay. Nie było to związane z tym, że Jessie jej nie lubiła, ale Gay kojarzyła się jej z potwornym okresem w życiu.

Kiedy wracała do hotelu, powróciły wspomnienia zwykle schowane w najdalszym zakątku jej pamięci. Przypomniała sobie, jak miała siedem lat i biegła po plaży w kostiumie w kropki, a ojciec krzyczał, żeby trzymała się blisko brzegu. Potem zmyła ją fala i zaczęła znosić coraz dalej. Reszta pozostaje ciemną plamą w jej pamięci, poza migawką płynącego na ratunek ojca.

Wtedy widziała go po raz ostatni.

Zdała sobie sprawę, że nie chodziło tylko o Mike'a. Miała poczucie winy za każdym razem, kiedy patrzyła w pełne braku przebaczenia oczy matki.

Jessie zadzwoniła do Erin z samochodu.

- Cześć, to ja.

- Co słychać? - Erin zapytała z lekkim podenerwowaniem w głosie, jakby oczekiwała jakichś złych wiadomości.

- Nic specjalnego. Właśnie wracam od matki i chciałam usłyszeć jakiś przyjazny głos.

- Zrobiła ci przykrość?

- Nie większą niż zawsze, ale minęło sporo czasu od mojej ostatniej dawki szczepienia na nią.

- Masz jeszcze pięć miesięcy, żeby się uodpornić. - Po chwili Erin zapytała: - Wszystko w porządku na froncie domowym?

- Ostatnio nie udało mi się niczego podpalić, jeśli to masz na myśli.

- A co u Kayli?

- Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć, ale jakoś sobie radzi bez ciebie. - Jessie

skręciła na krętą drogę prowadzącą do hotelu. - Wprost fantastycznie napisała test z matematyki. - Jessie uczyła ją geometrii.

- Naprawdę? To świetnie! Powiedz jej, że jestem bardzo dumna. - Tak jakby poprzedniego dnia osobiście nie powiedziała tego córce.

- Jak ci idzie szukanie pracy? - Jessie wiedziała, że to trudny temat.

Erin jęknęła po drugiej stronie linii.

- Przeszłam tyle kilometrów, że moje odciski na stopach mają już odciski.

- Coś w końcu złapiesz.

- Mam nadzieję, że szybko to nastąpi, bo inaczej będę zmuszona myć naczynia za dwa i pół dolara za godzinę.

- Przynajmniej będą ci za to płacić - zażartowała, mając na myśli swoje obowiązki kuchenne, za które nikt jej nie płacił.

Erin nawet się nie zaśmiała. Musi być gorzej, niż myślała; normalnie była w stanie rozśmieszyć przyjaciółkę nawet w najgorszych momentach.

- Gdyby nie Drew, rzuciłabym to wszystko w diabły. On naprawdę jest świetny.

- Wierzę ci, widziałam, jak się na ciebie patrzył.

- To nie jest tak, jak myślisz. Po prostu jest miły. Poza tym jestem mężatką.

- Wydaje mi się, że lepszym określeniem byłaby tu separacja.

- Skoro już o wilku mowa, rozmawiałaś ostatnio ze Skipem?

- Nie licząc dzień dobry i do widzenia, mieliśmy jedną rozmowę.

- No i?

- Tęskni za tobą.

- Powiedział ci to?

- Może niedokładnie w tych słowach...

Erin westchnęła.

- Uwierzę, jak usłyszę to z jego własnych ust. - Erin, wyraźnie chcąc zmienić temat, zapytała: - A co u ciebie? Jak twoje sprawy miłosne?

- Według mojej matki nie istnieją.

- Dopilnuję, żeby Jonathon się o tym dowiedział - Erin powiedziała sucho. - Spotykam się z nim na kolacji we wtorek. - Jessie poprosiła go, żeby zadzwonił do Erin, mówiąc, że przydałoby się jej towarzystwo. Miała też w tym swój własny cel: chciała się dowiedzieć, co pomyśli o nim Erin. - Mam mu powiedzieć, że umierasz z tęsknoty, czy że stara się o twoje względy jakiś gorący mężczyzna?

Jessie natychmiast pojawił się przed oczami stojący nad brzegiem strumyka Hunter.

- Nawet nie mam czasu na pedicure, nie mówiąc już o randkach. Zresztą ostatnie

zaproszenie, jakie miałam, dotyczyło wzięcia udziału w demonstracji. - Opowiedziała Erin o wczorajszym spotkaniu z Hunterem George'em.

- Powinnaś pójść - powiedziała Erin.

- Podaj mi choć jeden powód.

- To może cię przekona. Ci z nas, których coś obchodzi, nie mieli nic do powiedzenia po tym, jak Burt Overby sprzedał Sylvan Glade. Dopiero Hunterowi udało się wszystkich zmobilizować i ktoś w końcu zechciał nas wysłuchać. Może nie pomogło to za wiele, ale każdy kolejny głos się liczy i wierzę, że akurat Hunterowi George'owi w końcu uda się dopiąć celu.

- Rzeczywiście wygląda na dość zdeterminowanego.

- To bardzo dobry człowiek. Jednak zupełnie nie w twoim typie.

Jessie zarumieniała się jak osoba mająca coś na sumieniu; czyżby Erin czytała w jej myślach.

- A co to ma do rzeczy? Poza tym, jeśli tam pójde, to nie dlatego, że będzie tam jakiś przystojny facet.

- Więc jednak myślisz, że jest przystojny? - Erin prowokowała ją do zwierzeń.

Jessie westchnęła.

- No dobrze, wygrałaś. Jest przystojny i kropka. Dobrze wiesz, że interesuje mnie jedynie Jonathon.

- Czy to oznacza, że idziesz na manifestację? Jessie zamyśliła się na chwilę.

- Tak, a dlaczego miałabym nie pójść? - Ciągle jeszcze miała przy sobie kartkę z numerem telefonu Huntera. Zadzwoiła do niego zaraz po powrocie.

## ***Rozdział siódmy***

- Nie mogę wziąć nawet malusieńkiego kawałeczka? - Clive patrzył pożądliwie na tartę, którą Erin trzymała w rękach.

- Następna będzie twoja - obiecała.

- Okrucieństwo, oto kobiece imię. - Właściciel mieszkania Jessie wydał z siebie przeciągłe, pełne rezygnacji westchnienie. Jednym z jego ekscentrycznych przyzwyczajień było ubieranie się w mundurki, których miał całą kolekcję. Dzisiaj prezentował włoski komplet ze szkarłatnym beretem, zawadiacko przekrzywionym i osadzonym tuż nad grzywą koloru kości słoniowej. Z obwiedzionymi czarną konturówką niebieskimi oczyma Clive wyglądał niczym podstarzała gwiazda filmu, o której dawno zapomnieli cały świat. - Czy ktoś już ci powiedział, że byłabyś świetna w



roli partnerki grającej dominującą rolę w stosunkach sadomasochistycznych?

- Nie, ale jeśli wkrótce nie znajdę pracy, to będę o tym pamiętać - odpowiedziała ze śmiechem.

Pomysł zrobienia tarty jako pretekstu do złożenia wizyty w Cooking Chanel przyszedł jej na myśl po wczorajszej rozmowie z Jessie. Nie miała nic do stracenia, zresztą do tej pory stanowisko, o które się ubiegała, na pewno jest już obsadzone, ale może w tym czasie pojawiło się coś nowego? Znała świetny przepis na tartę z malinami i białą czekoladą, podawaną na zimno, za którą zdobyła nagrodę na zeszłorocznym festiwalu Dni Dziedzictwa. Wczoraj po południu upiekła spód i przygotowała nadzienie, a dzisiaj rano, po tym, jak ciasto poleżało w lodówce przez całą noc, nadała mu ostatnie szlify: rozłożyła maliny i polala je białą czekoladą. Po drodze do siedziby Cooking Channel wpadła na Clive'a.

- A tak przy okazji, jak się miewa nasza przyjaciółka? - zapytał, głosem pełnym męzowskiej troski, jakby Jessie z jakiegoś niewiadomego powodu została wysłana do jednego z krajów Trzeciego Świata. - Jakoś nie mogę jej sobie wyobrazić w chustce na głowie, kopiającej rzepę gołymi rękoma. - Teatralnie wzruszył ramionami.

Erin uśmiechnęła się na widok gestu Clive'a. Według jego punktu widzenia stały łąd kończył się na rzece Hudson; wszystko na zachód od niej nie znajdowało się już na mapie. Nie chciała wyprowadzać go z błędu i uświadamiać, że w Willow Creek jest bieżąca woda i kanalizacja.

- Wszystkiego dowiesz się z przyszłotygodniowego wydania „Savvy” - powiedziała, przekładając tartę do drugiej ręki i zmierzając do drzwi.

- Puść choć trochę farby - prosił.

- Mogę ci tylko zdradzić, że będzie tam coś o sadomasochistycznych praktykach i krępowaniu partnera - powiedziała, porozumiewawczo mrugając okiem.

Clive po raz pierwszy zaniemówił. Erin, wychodząc, posłała mu całusa i zostawiła go sam na sam ze swoimi myślami. Kilka minut później siedziała już w jednej z cieszących się złą sławą kamikadze nowojorskich taksówek. Jej kierowca był tak zajęty paplaniem przez komórkę, że Erin nie miała odwagi powiedzieć mu, żeby zwolnił; jeśli przeszkodziłaby mu, to tarta mogłaby wylądować jej na kolanach.

Wyobrażała sobie siebie, leżącą w szpitalu w śpiączce, i Skipa zalanego łzami, siedzącego koło jej łóżka i trzymającego jej bezwładną dłoń w swojej ręce.

- Musisz się trzymać - prosił taksówkarz - nie dam rady bez ciebie. Jesteś całym moim życiem...

Ze złością otrząsnęła się ze swoich myśli. Cholera, czy musiała aż znaleźć się w szpitalu, żeby Skip poszedł po rozum do głowy? Nawet nie chodziło jej o to, że

strasznie w tej chwili cierpiała. W pewnym sensie nawet cieszyła się swoją nowo zdobytą wolnością.

Z jednej strony było to całkiem miłe, że wreszcie mogła myśleć tylko o sobie. Jeśli nie miała ochoty gotować, to w okolicy znajdowało się mnóstwo restauracji, z których można było zamówić jedzenie na wynos. Zamiast codziennych obowiązków w hotelu, tu musiała jedynie ogarnąć trochę mieszkanie i raz w tygodniu pojechać do pralni. Nawet zakupy w sklepie warzywnym były ograniczone jej możliwościami przyniesienia ich za jednym razem.

Oczywiście były momenty, kiedy tęskniła za domem, za Kaylą. Jednak rozmawiały ze sobą codziennie i Erin pocieszało to, że córka nie musiała słuchać kłótni swoich rodziców. Poza tym Kayla była zadowolona, że matka jest na tyle daleko, że w końcu przestała się jej czepiać.

Kayla nie miała pojęcia, że Erin wcale nie zna odpowiedzi na wszystkie pytania i wiele rzeczy ją przerasta. Od chwili, kiedy opuściła jej łono, u Erin pojawiła się ogromna odpowiedzialność, związana z wychowaniem dziecka, na którą chyba nie do końca wydawała się być przygotowana. Pewnie jednym z powodów jej surowości było nadrabianie miną wszelkich braków, które według siebie miała. Poza tym kiedy była nastolatką, rzadko zdarzały jej się momenty bez troski.

Natomiast w Nowym Jorku, mimo kilku stresujących sytuacji, zdała sobie sprawę, że życie może być radosne. Jakże było miło, kiedy płynęła z Drew promem Staten Island; stała na pokładzie, wiatr mierzwił jej włosy, a ona wpatrywała się w Statuę Wolności, przypominającą jakąś mityczną postać, wylaniającą się z mgły. Z tej perspektywy kłopoty i zmartwienia wydawały się bardzo odległe.

W Cooking Channel poinformowała ochroniarza, że ma specjalną przesyłkę dla pani Powers.

- Dopilnuję, żeby ją otrzymała - powiedział, wyciągając ręce po tartę.

Erin cofnęła się.

- Wolałabym dostarczyć ją osobiście, jeśli można. Przeczaco pokręcił głową.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale mamy tu swoje zasady. Nie możemy wpuszczać osób, które nie były wcześniej umówione.

Erin na chwilę została zbita z tropu. Nagle wpadła na genialny pomysł i przybrała jeden ze swoich najbardziej spektakularnych uśmiechów. Pochyliła się ponad kontuarem i powiedziała konfidencjonalnym szeptem:

- To od Mario. - Niech się zastanowi, o którego Mario może chodzić.

Ochroniarz spojrział na nią niepewnie i zawahał się. Słusznie zakładała, że nie odważy się odprawić z kwitkiem VIP-a. Chwilę później już szła do gabinetu

producenta wykonawczego.

- Mam nadzieję, że lubi pani maliny - powiedziała, wręczając Latrice tartę.

Latrice przez chwilę zastanawiała się, co ma zrobić z podarunkiem. Następnie odchrząknęła, mówiąc:

- Sama ją pani zrobiła?

Erin przytaknęła, a Latrice powiedziała z udawanym smutkiem:

- Obawiam się, że pani trud poszedł na marne. To stanowisko jest już obsadzone.

Pod Erin ugięły się nogi, ale zdobyła się na uśmiech.

- Domyślam się, ale pomyślałam sobie, że co mi zależy, żeby jeszcze raz spróbować. Nigdy nie poddaję się bez walki.

- Wybrała pani interesujący plan działania.

- Wszyscy umieją pisać na komputerze, a ile z tych osób umie piec?

- Pieczenie z pewnością nie jest wymaganą umiejętnością w tej pracy, ale jeśli ta tarta jest tak smaczna, jak na to wygląda, to podnosi pani poprzeczkę. - Spojrzała na Erin w taki sposób, jakby o czymś myślała. - Właśnie sobie o czymś przypomniałam. Mogłabym mieć coś dla pani.

- Naprawdę? - Erin poczuła nową falę nadziei.

- Słyszała pani o Śpiewającym Kucharzu?

- A kto nie słyszał? - Pewien włoski śpiewak operowy, który nie sprawdził się w swoim pierwotnym zawodzie, teraz wyśpiewywał arie podczas przygotowywania przepysznych dań w jednym z programów kulinarnych, mającym bardzo dobrą oglądalność.

- Właśnie rozmawiałam z producentem jego programów. Odeszła od nich jedna z asystentek i na gwałt kogoś potrzebują - wyjaśniła Latrice. - Muszę jednak panią ostrzec, Robert jest niezwykle wymagający. - Innymi słowy, właśnie dlatego odeszła ostatnia asystentka szefa produkcji. - Nie ma z nim żartów.

Erin uśmiechnęła się do siebie. Latrice nawet nie miała pojęcia, jak świetnie Erin była przygotowana do tej roli.

- Kiedy zaczynam?

- Wczoraj - odpowiedziała Latrice.

Umówiły się na następny dzień o ósmej rano. Potem Erin poszła do działu kadr, żeby wypełnić odpowiednie dokumenty i odebrać magnetyczną kartę wstępu. Dwa-dzieścia minut później, zupełnie oszołomiona, zbiegała ze schodów. Jej matka myliła się tylko w jednym: nie trzeba było dobrze siać, tylko dobrze piec.

- Za twoją nową pracę - Drew uniósł kieliszek.

- I za pożegnanie małomiasteczkowego kurzu z moich butów. - Erin uniosła

kieliszek. - Mama zawsze mówiła, że jestem nieobliczalna.

- Byłaś już taka jako dziecko?

- Nawet gorsza - odpowiedziała ze śmiechem - stepowałam, stojąc na stoliku kawowym naprzeciwko okna w salonie, licząc na to, że akurat będzie przejeżdżał ktoś z Hollywood i mnie zauważy.

Drew zaniósł się śmiechem.

- Nie znam nikogo, kto zostałby w ten sposób odkryty.

- Ja też nie.

Siedzieli w Rocking Horse Cafe, gdzie Drew ją zaprosił, żeby uczcić sukces, a Erin, sącząc margeritę podaną w szklance wielkości dużego kufla do piwa, czuła się już trochę wstawiona.

- Byłam dobra w jednym - kontynuowała. - W moim domu, jeśli chciało się zjeść coś innego niż gotowego hamburgera czy danie z mrożonki, trzeba było samemu to ugotować, więc jak tylko urosłam na tyle, że wystawałam ponad blat stołu, już radziłam sobie w kuchni. - Erin ciągle jeszcze pamiętała swoją pierwszą potrawę, a był to tost z tuńczykiem. - Moja mama, jak możesz się domyślić, nie była mistrzynią chochli. Mimo to jednak wszyscy ją uwielbiali. Na jej pogrzeb przyszli wszyscy stali klienci restauracji, w której pracowała.

- Ile miałaś lat, kiedy umarła? - zapytał ze smutnym uśmiechem wyrażającym współczucie.

- Zdażyłam skończyć college. - Erin poczuła znane ukłucie w klatce piersiowej. - Pijany kierowca uderzył w ich samochód. Oboje rodzice zginęli na miejscu. Podobno nie cierpieli.

Patrzyła na wiszącą powyżej nich reprodukcję *Dia del Muerte*, wycięty z tektury szkielec i kolorowe obrazki, przedstawiające czaszkę i kości piszczelowe. Przez lata doszukiwała się jakiegoś powodu śmierci rodziców, jednak jedyna refleksja, jaka ją nachodziła to kompletna bezsensowność tej śmierci.

- Musiało być ci ciężko.

- Tak, było bardzo ciężko. - Jednak wynikło z tego jakieś pozytywne zdarzenie. Związała się ze Skipem; dobra strona tej tragedii jednak przez lata się zdewaluowała. Nie chciała teraz myśleć o Skipie. Tylko popsulały sobie humor. Na jej ustach pojawił się wymuszony uśmiech.

- A ty? Właściwie nigdy nie opowiadałeś mi o swojej rodzinie.

Wzruszył ramionami.

- Byłem typowym dzieckiem z przedmieść. Jeździłem na letnie obozy harcerskie, a rodzice się rozwiedli, kiedy miałem dwanaście lat, co było najbardziej

traumatycznym przeżyciem mojego dzieciństwa.

- Dużo jest rozwodów - odpowiedziała, powracając do swoich myśli o nieudanym małżeństwie.

Ostatnio wiele myślała i musiała przyznać, że Skip miał rację w jednym: nie należała do żon wspierających swoich mężów. Jednak bolało ją, że nie dostała szansy naprawienia zaistniałej sytuacji. Jak to świadczyło o mężczyźnie, który wolał się poddać, niż pójść do poradni małżeńskiej?

- Wtedy - kontynuował Drew - byłem przekonany, że ich rozwód jest najgorszą rzeczą, jaka mogła mi się przydarzyć. Jednak dopiero później okazało się to najlepszym rozwiązaniem. Oboje znaleźli sobie nowych partnerów i są teraz szczęśliwi jak nigdy.

- A ty? Ty jesteś szczęśliwszy?

- Nie boję się życia, jeśli o to ci chodzi. - Jego lekki śmiech wcale jej nie przekonał. Widziała ślad dawnego bólu w jego oczach. - Chociaż moja mama myśli, że dlatego z nikim się nie związałem. Tłumaczę jej, że jestem sam, bo jak dotąd nie znalazłem nikogo, z kim chciałbym dzielić resztę życia. - Obrzucił Erin znaczącym spojrzeniem, albo tylko tak jej się wydawało. Może za szybko wypija drinka na pusty żołądek?

- A nie boisz się bliskości?

Zastanawiała się, co by sobie pomyślał, gdyby mu powiedziała, że czasem w nocy, słysząc jego kroki nad swoją głową, wyobraża sobie, że leży obok niej w łóżku. Sama myśl o tym sprawiła, że się zarumieniła.

- Miałem dziewczynę w college'u, ale po skończeniu szkoły nasze drogi jakoś się rozeszły. Od tej pory było jeszcze kilka innych dziewczyn. Jednak żadna z nich nie doczekała się ode mnie tego magicznego pytania, a jak już odeszły, to nie miałem ochoty rzucać się z tego powodu z mostu.

Z wolna obracał w dłoniach szklanekę, wpatrując się w nią jakby przepowiadał przyszłość z fusów. Kiedy spojrzał na Erin, zarumienił się.

- Problem w tym, że nie wierzę w ustatkowanie się. Obserwowałem moich znajomych. Jeśli do trzydziestki nie spotkali kobiety swojego życia, dochodzili do wniosku, że może jej po prostu nie ma, i żyli z jakąś inną. Zanim się obejrzel, już mieli kredyt na mieszkanie i dzieci i było już za późno, żeby się wycofać.

- To dość cyniczne, co mówisz - powiedziała.

- Tak myślisz? Spójrz na siebie. Nie powiesz mi, że niczego nie żałujesz, że nie chciałabyś, by pewne rzeczy potoczyły się inaczej. - Patrzył na nią w taki sposób, jakby był w stanie przejrzeć ją na wskroś.

Erin czuła, że są na dość grząskim gruncie.

- To chyba nie takie proste - powiedziała. - Kiedy tak długo było się małżeństwem...

Kelner przyniósł zamówione dania, dzięki czemu Erin nie musiała zagłębiać się w temat. Podczas kolacji wspominali wydarzenia ostatnich tygodni. Byli tylko przyjaciółmi spędzającymi ze sobą miły wieczór. Kiedy wyszli z restauracji, znów znaleźli się na bezpiecznym gruncie.

Chłody ostatnich kilku tygodni zelżały i zrobiło się dużo cieplej. Kiedy wracali do domu, Erin zauważyła pierwsze oznaki wiosny: na drzewach zaczęły pojawiać się zawiązki liści, z balkonowych skrzynek powoli wyłaniały się zielone łodyżki. Ukłonili się madame Beteille, która z niezadowoleniem zmierzyła ich wzrokiem. Wchodzili po schodach do kamienicy, kiedy Clive wyszedł ze swojego mieszkania, znajdującego się na parterze.

- Nie uważacie, że ten ubiór za bardzo przypomina styl Hemingway'a? - wyglądał olśniewająco w uroczystym stroju torreadora, kręcąc się w koło, tak że szkarłatna peleryna zawirowała wokół niego.

- Te pończochowe gatki nadają ostatni szlif twojej kreacji - cierpko odpowiedział Drew.

Clive rozpromienił się.

- Kochany, nie bez przyczyny te gatki są takie okazałe. Rzucił im frywolny uśmiech, wchodząc do mieszkania i wołając za nimi:

- Dobranoc, szkraby. Nie kładźcie się zbyt późno.

Erin spojrzała na Drew. O rany, czy było to aż tak widoczne? Tak bardzo starała się traktować go jak każdego innego przyjaciela, że nie zdawała sobie sprawy, że jedyną osobą, którą oszukiwała, była ona sama. Stała przy drzwiach, nie mogąc sobie poradzić z ich otwarciem. Dopiero po kilku chwilach trafiła kluczem do zamka. Ulżyło jej, kiedy Drew zamiast jak zwykle wstąpić do niej - żeby pożyczyć jakiś produkt, który właśnie mu się skończył, albo książkę - pocałował ją w policzek, mówiąc:

- Powodzenia jutro.

Była tak zmęczona, że ledwo przyłożyła głowę do poduszki, a już spała. Kilka godzin później śnił jej się Skip: kochali się w ich łóżku. Wtem ktoś zaczął dobijać się do jej drzwi. Chciała zatrzymać tę chwilę, nie chcąc się wybudzić ze snu, ale nie miała innego wyjścia: musiała wstać z łóżka i sprawdzić kto to. Aż przekłęta pod nosem, uderzywszy się o nogę łóżka. Sycząc z bólu, doczłapała się do drzwi.

To był Drew. Otworzyła łańcuszek antywłamaniowy i ziewając, otworzyła

szerzej drzwi. Zmrużyła oczy przed rażącym ją światłem i powiedziała wściekle:

- Wiesz, która jest godzina?

- Twoje klucze. Zostawiłaś je w zamku - powiedział, machając jej nimi przed nosem.

Erin aż zrobiło się słabo na samą myśl co mogłoby się stać, jeśli znalazłby je włamywacz... albo nie daj Boże jakiś gwałciciel. Równie dobrze mogłaby wywiesić zaproszenie.

- Miałem poczekać do rana - powiedział - ale pomyślałem, że będziesz wcześniej wychodzić do pracy.

- Co tu robisz o tej porze? - zapytała.

- Nie mogłem spać, więc poszedłem na spacer.

Stała w przedpokoju i spoglądała na niego, nagle zdając sobie sprawę, że miała na sobie jedynie za dużą koszulkę, która ledwo zakrywała jej pupę. Jej sen... i sposób, w jaki patrzył na nią Drew... sprawiły, że zaczęła sobie wyobrażać ich razem. Zanim się zorientowała, już szła w jego stronę. Działo się to jakby w zwolnionym tempie.

Na swojej ciepłej od snu skórze poczuła zaskakujące zimno kurtki Drew, kiedy wtuliła się w jego ramiona. Drew wydał z siebie głęboki jęk, mocno przyciągając ją ku sobie. Pachniał powietrzem, co sprawiło, że pomyślała o Willow Creek, przychodzeniu z dworu do ciepłego trzaskającego w kominku ognia i o kubku ciepłego kakao. Podniosła głowę, ich usta spotkały się. Pocałowali się najpierw niepewnie i delikatnie, a po chwili już coraz bardziej namiętnie.

Bez słowa wziął ją za rękę i wprowadził do przedpokoju. To nie dzieje się naprawdę. Ja chyba śnię, pomyślała, kładąc się na łóżku razem z Drew. W ciemności, cudownie pieszczące ją ręce równie dobrze mogłyby być tymi ze snu. Oddała się rozkoszy, która trwała długo...

Rozpalone usta błędziły po jej szyi, a ręka Drew wędrowała coraz niżej... O Boże, to jest to, czego tak bardzo pragnęła. Zaczęła rozpinać jego dzinsy, delikatnie wsunęła rękę do środka. Jednak nagle poczuła się bardzo nieswojo. Po chwili sama była zszokowana tym, co robi, i nagle się odsunęła.

- Co się stało? - wymamrotał Drew.

- Nie mogę tego zrobić. - Usiadła, obejmując nogi ramionami i przyciągając je do siebie.

- Dobrze, nie musimy - ton jego głosu był niezwykle delikatny.

- Myślałam, że... - starała się powstrzymać łzy. Jak mogła mu powiedzieć, że chciała, żeby to był Skip?

Usiadł, obejmując ją ramieniem.

- Co się stało?

- To nie chodzi o ciebie - powiedziała żałośnie. - Ja... tęsknię za moim mężem. Ja mam męża.

- Taki detal. Uszło to mojej uwagi - powiedział z rozdrażnieniem.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

- Nie żartuj sobie. To jeszcze bardziej pogarsza sprawę.

- Nie chciałem być zabawny.

- Wiem. To moja wina. Czuję się strasznie.

- Nie zrobiłaś nic złego - odgarnął jej włosy.

- Czy rano będziesz jeszcze mnie szanował? - starała się rozładować sytuację.

- Rozmawiasz z gościem, który na studniówce zwymiotował swojej partnerce na buty. To dopiero jest wstyd - uśmiechnął się, pokazując białe, błyszczące w ciemności zęby. - Posłuchaj, nic to nie zmieni w naszych stosunkach. Nadal jesteśmy przyjaciółmi.

Położyła mu głowę na ramieniu z westchnieniem.

- Obiecujesz?

W odpowiedzi pocałował ją w policzek i wstał z łóżka.

- Jak zmienisz zdanie, to wiesz, gdzie mnie szukać - wyszeptał jej w ucho, odchodząc.

- Do południa chcę mieć kopię tego na biurku. - Szef Erin wręczył jej plik dokumentów. - A tak na przyszłość - dodał cierpko - mów do mnie Robert, a nie Bob.

Erin nie przypominała sobie, żeby zwróciła się do niego w inny sposób, niż panie Hannigan, ale tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Tak jest, panie... eee... Robercie.

Nie miała najmniejszych problemów, żeby nie zdrabniać jego imienia, jako że akurat ten Robert nie miał nic wspólnego z Bobem. Ze swoimi zimnymi niebieskimi oczyma, szatańskimi brwiami i spiczastą kozią bródką, świetnie nadawałby się do roli diabła w *Fauście*.

Jej nadrzędnym priorytetem było sprostanie nawet najmniejszemu wymaganiu Śpiewającego Kucharza. Miała załatwiać wszystkie sprawy gwiazdy, prasować jego biały strój i pilnować, żeby w pokoju nie zabrakło przekąsek i napojów. Nawet najmniejsze niedociągnięcie mogło sprawić, że Erin wyleciałaby z pracy, jak dał jej do zrozumienia Robert. Jeszcze nawet nie poznała człowieka, a już oblał ją zimny pot.

- A, Elaine... - zawołał za nią Robert, kiedy wychodziła z jego biura. Chciała mu powiedzieć, że ma na imię Erin, a nie Elaine, ale on przeglądał stertę papierów na



swoim biurku i nie zwracał już na nią uwagi. W końcu spojrzął na nią.

- Kawa. Domyślam się, że umiesz ją zrobić?

- Mam taką nadzieję. - Pomyślała o litrach kawy, które zrobiła dla gości Darby Inn.

- No to dobrze, bo napiłbym się kawy.

Pokoik z ekspresem najnowszej generacji znajdował się w głębi korytarza. Zanim udało jej się zrobić kawę, kilkakrotnie wcisnęła nie ten guzik co potrzeba, a przy okazji oparzyła się w palec. Resztę dnia spędziła na bieganiu z szybkością błyskawicy między piętrami, donosząc Robertowi i reszcie starszych stażem pracowników filiżanki ze zwykłą kawą albo z espresso, kserując notatki producentów, pisząc materiały prasowe i sporządzając spis propozycji na program wielkanocny, który miał być nagrywany w następnym tygodniu.

Szybko zorientowała się, że to, co mówił jej pewien młodszy pracownik o zapisywaniu przerw na toaletę, nie było żartem. Jej lunch składał się z połkniętego w pośpiechu batonika. O wpół do trzeciej Trish, jedna z asystentek producenta, wyglądająca na udreżoną, poprosiła ją o pomoc w sadzaniu publiczności na popołudniowy, nagrywany na żywo program. Erin podążyła za nią, aż doszły do korytarza, gdzie od kilku godzin w długiej kolejce czekali szczęśliwi posiadacze biletów. Trish sprawdzała najpierw nazwiska na listach, które trzymała w rękach, a następnie dawała gościom karteczki z numerami miejsc, które mieli zająć. Zadaniem Erin było prowadzenie ich na miejsce w odpowiednim rzędzie. Przy scenie stały stoliki kawowe dla gości specjalnych.

Starła się być miła dla wszystkich. Większość gości przyjechała spoza miasta i Erin przypomniała sobie, że nie tak dawno ona również miała oczy równie szeroko otwarte. Zupełnie jak ta starsza kobieta o włosach podobnych do sierści pudła, którą kiedyś podsłuchiwała. Wychodząc od Tiffany'ego, kobieta szeptała do swojego męża: „Dlaczego, skoro nie można tam zjeść śniadania, ten film nosi tytuł „*Śniadanie u Tiffany'ego*?”.

Kiedy już wszyscy zajęli swoje miejsca, Trish poinstruowała ich, żeby wyłączyli telefony komórkowe, schowali aparaty i wypluli gumy do żucia. Jakby byli dziećmi na wycieczce szkolnej, pomyślała z rozbawieniem Erin. Potem nastąpiła rozgrzewka, którą prowadził już ktoś inny: pulchna kobieta o kręconych włosach i donośnym głose, który bez użycia mikrofonu dochodził nawet do ostatnich rzędów. Opowiadała dowcipy, wprowadzając publiczność w dobry nastrój i wywołując tym samym gorączkowe podniecenie.

Zanim Śpiewający Kucharz pojawił się na scenie, pośród krzyków, jakie

pojawiały się na koncertach rockowych, Erin również ogarnęło podekscytowanie. Na żywo wydawał się nawet wyższy niż na ekranie telewizora. Trzeba przyznać, że był z niego kawał chłopca. Miał przerwę między przednimi zębami i szczecinowate włosy. Kiedy orkiestra zaczęła grać, odtańczył mambo z niewidzialną partnerką, a zrobił to z niezwykłą gracją, jak na mężczyznę jego postury.

Potem wrzucił wszystkie produkty do skwierczącego rondla, prowadząc monolog przykuwający uwagę każdego, począwszy od małych dzieci, siedzących na kolanach swoich mam, po staruszków, przywiezionych tu z Passaic. W oślepiającym świetle reflektorów, zamontowanych ponad głowami na kratkach, w obecności kamer, wydawał się tak zrelaksowany, jakby był we własnej kuchni; nawet czasem podśpiewywał.

Erin obserwując go, pomyślała sobie: „To jest to!”. Właśnie o coś takiego jej chodziło, kiedy jako dziecko stepowała na stoliku kawowym. Co jednak się stanie, jeśli nie zdobędzie sławy? Przynajmniej teraz czuła, co to znaczy być na szczycie; oddychała tym samym powietrzem, co gwiazda.

Podczas każdej z przerw reklamowych, ekipa kucharska, niczym grupa zadaniowa, wpadała do studia, żeby wszystko posprzątać, zamienić dania znajdujące się na kuchence i w piekarniku - na te same dania, ale na kolejnym etapie przygotowania. Nie rozwiało to jednak złudzenia Erin, że właśnie poznała jakiś cudowny sekret. Siedziała jak zaczarowana do momentu, gdy kamery zrobiły zbliżenie Śpiewającego Kucharza, serwującego przygotowane potrawy osobom siedzącym przy stolikach kawowych w pierwszym rzędzie. Zakończył programu swoim sławnym zdaniem: „Wspólnie tworzymy fantastyczną muzykę, nieprawdaż? Do zobaczenia w następnym odcinku, *arrivederci...!*”.

Kiedy skończono kręcić, wyszedł do publiczności, poruszając się wśród widzów ze swadą polityka, ściskając wyciągnięte dłonie i całując nadstawione policzki. Jedna starsza pani zarumieniła się niczym nastolatka. Nie robił tylko jednego: nie rozdawał autografów, bo mogłoby mu to zająć cały dzień.

Erin i Trish kierowały ludzi do wyjścia. Kiedy w studio nie było już nikogo, Erin poszła na zaplecze sceny, gdzie znajdowało się mnóstwo półek zastawionych najróżniejszymi przedmiotami, począwszy od kabli, a skończywszy na talerzach, sztuccach i dekoracjach na każdą porę roku. Następnie skierowała swoje kroki w stronę korytarza i przeszła przez zielony pokój wprost do prywatnej garderoby Śpiewającego Kucharza. Kiedy pukała do drzwi, miała sucho w ustach, a serce biło jej jak oszalałe. Nie licząc jednego koncertu w latach osiemdziesiątych, kiedy złapała mokry od potu ręcznik, który basista zespołu Depeche Mode rzucił publiczności, nie miała styczności z gwiazdami. Już nie mówiąc o tej konkretnej gwiazdzie, od której zależało, czy

dostanie pensję, czy też bilet w jedną stronę do Willow Creek.

Niski głos zawołał radośnie:

- Proszę wejść, proszę!

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę, był wcześniej wyprasowany przez nią strój Kucharza, teraz zmięty i zaplamiony, przewieszony przez oparcie fotela.

Śpiewający Kucharz w koszuli w szkocką kratę wielkości namiotu i drelichowych spodniach również wyglądał nieco nieświeżo. Właśnie popijał wodę sodową, wyjętą z minibaru. Wyciągnęła dłoń.

- Dzień dobry, mam na imię Erin.

Zanim wyjaśniła, kim jest, powiedział, mrużąc oczy:

- O proszę, moja nowa pomocnica. - Dłoń Erin zniknęła w jego potężnej niedźwiedziej łapie. - Mam nadzieję, że wytrzymasz dłużej niż ta poprzednia. Co prawda nie była tak ładna, ale biedactwo cały czas tonęła we łzach. - Mówił z brytyjskim akcentem, co jak się wkrótce okazało, było związane z tym, że wychowywał się w Londynie.

Erin uśmiechnęła się.

- Jestem twarda jak skała.

- Nawet na skałach można znaleźć rysy. - Z szafki znajdującej się poniżej małej lodówki wyjął butelkę szkockiej i nalał sobie trochę do szklanki. - Drinka?

Potrząsnęła przecząco głową. Robert na pewno byłby niezadowolony, gdyby piła w pracy, nawet jeśli mistrz nie miałby jej tego za złe.

Wzruszył ramionami, wychylając zawartość szklanki. Był starszy, niż się wydawało na ekranie; miał dobrze ponad pięćdziesiątkę, zgadywała na oko Erin. Ciężki makijaż zważył mu się w małe wałeczki wokół oczu.

- Zaglądałaś już do szafy jeleni ze zdjęciami poprzedniczek? - Musiała wyglądać na przerażoną, więc po ojcowsku klepnął ją po ramieniu. - Nie martw się. On raczej warczy, niż gryzie. Poza tym chyba wiesz, co się mówi o facetach, którzy używają dużych lasek - dodał porozumiewawczo, mrugając okiem.

Przygryzła wargę, żeby się nie roześmiać. Już miała odchodzić, kiedy zapytał:

- Lubisz włoską kuchnię?

- Mój ojciec był Włochem. - Nie dodała już, że jego znajomość kuchni włoskiej kończyła się na ravioli i innych włoskich dań w puszkach Chefa Boyardee.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując dużą przerwę między przednimi zębami.

- W takim razie, moja droga, na pewno się dogadamy.

Nie pamiętała, co działo się potem. Było już ciemno, kiedy wyszła z pracy. Okazało się, że deszcz, na który przez cały dzień się zanosilo, teraz lał strumieniami.

Oczywiście nie miała ze sobą parasola, w jej stronach tak rzadko padało, że nie nabrała nawyku zabierania go ze sobą. Do tego jeszcze na każdym rogu stały co najmniej po trzy osoby, próbujące złapać taksówkę. Na szczęście zobaczyła jedną skręcającą w Dwunastą Ulicę; dzięki temu, że ubiegła innych pasażerów, przeskakując wielką kałużę, udało jej się ją złapać.

W drodze do domu ze zdwojoną siłą powróciły myśli o Drew, krążące jej po głowie przez cały dzień. Jak mogła jeszcze spojrzeć mu w oczy po tym, co się wydarzyło ostatniej nocy? Może powinnam była się z nim przespać? - pomyślała. Jednak dobrze wiedziała, dlaczego tego nie zrobiła. - Jeśli przekroczyć tę granicę, to będzie ostatecznie oznaczało, że moje małżeństwo legło w gruzach.

Na razie nie była na to przygotowana. Jeszcze nie.

Zastanawiała się, czy nie zrobiło się już za późno na przełożenie kolacji z Jonathonem. Dzisiaj miała już tylko ochotę na długą ciepłą kąpiel w wannie. Jednak nie mogła zawieść Jessie, której bardzo zależało na ich spotkaniu. Ponadto jeśliby została w domu, istniało niebezpieczeństwo odwiedzin Drew. Kiedyś musiała temu stawić czoło, ale w tej chwili nie chciała myśleć o wczorajszej nocy i o tym, co ta noc za sobą niosła: przekonaniu się, że jej przysięga małżeńska nie była tak święcie nierozzerwalna, jak jej się zawsze wydawało.

Restauracja u Patsy'ego miała bardzo dobrą renomę. Jak tylko Erin weszła do środka, od razu spostrzegła, że to miejsce było niezwykle modne: zdjęcia z autografami zdobiły ściany przy wejściu, a przy barze aż roiło się od nadzianych gości, co utwierdziło ją jeszcze w przekonaniu, że czasy świetności restauracji wcale nie odeszły w przeszłość. Natomiast nie czuło się tu żadnego zadęcia. Właściciel, starszy pan przedstawiający się jako Joey, powitał ją w taki sposób, jakby była gościem w jego domu. Wziąwszy od niej płaszcz, zaprowadził do stolika, przy którym siedział Jonathon. Jonathon wstał i uśmiechnął się.

- Erin, tyle o tobie słyszałem. Nie mogę uwierzyć, że w końcu mam okazję cię poznać.

Uścisnęła jego dłoń.

- Ja też wiele o tobie słyszałam. - Na żywo wyglądał nawet lepiej, niż na zdjęciach. Bardziej przypominał znane twarze ze znajdujących się na ścianach fotografii niż kogoś, kto pewnego dnia miał stać się mężem jej najlepszej przyjaciółki.

- Jessie ciągle o tobie mówi.

Kelner przyniósł karty win oraz dań, a Jonathon zamówiwszy butelkę merlota, odpowiedział coś na zapytanie, jak się mają żona i dzieci.

- Często tu bywasz - zauważyła.

- Co najmniej dwa razy w tygodniu. - Jonathon wyjaśnił jej, że newsroom CTN-u znajduje się w sąsiednim budynku.

- Jeśli nie mogę się ruszyć z pracy, zamawiam stąd coś na wynos. Po jedenastym wrześniu pracowaliśmy bez przerwy, więc Sal, syn Joey'a, tutejszego szefa kuchni, karmił wszystkich, którzy siedzieli wówczas w newsroomie. A Rose - wskazał na pełną życia żonę właściciela, siedzącą w szatni przy drzwiach - jest podobna do mojej włoskiej mammy.

- Nie wiedziałam, że jesteś Włochem - zażartowała. Przytknął palec do ust.

- Ciii. Nie mów nic mojej matce.

- A dlaczego miałyby to ją zdenerwować? - dalej się z nim drażniła.

Przewrócił oczami.

- Nie chciałybyś wiedzieć.

- To prawda, słyszałam, co się mówi o matkach Żydówkach.

- Znasz ten kawał o matce Żydówce, która kupiła synowi dwie koszule? Chłopak wkłada jedną z nich, a matka się pyta: A co, druga ci się nie podoba, synku?

Erin zaśmiała się, jednak ciągle w pamięci miała mało zabawną opowieść Jessie o jej tragicznej wizycie u jego rodziców.

- Twoja mama też taka jest?

- Od chwili, kiedy nie kupuje mi koszul, już nie.

- Nie miałyby więc nic przeciwko temu, żebyś poślubił kobietę, która nie jest Żydówką. - To dość ciężkie pytanie, ale Erin musiała mieć pewność, czy poważnie myślał o Jessie, czy też jej przyjaciółka traciła tylko swój czas.

Jego uśmiech zniknął.

- Domyślam się, że słyszałaś że moi rodzice nie rozwinęli czerwonego dywanu na przyjazd Jessie. Nie byłoby tak źle, gdyby moje dzieci lepiej się zachowywały - westchnął. - Mam tylko nadzieję, że Jessie nie wzięła tego tak bardzo do siebie. To tylko dzieci.

- Wiem, sama mam córkę - powiedziała Erin.

- Nie mają nic przeciwko niej konkretnie, myślę, że byłoby to samo, gdybym spotykał się z kimkolwiek innym. Jednak jestem przekonany, że kiedy już ją poznają... - nie dokończył. Wyglądał na pokonanego, a jego wcześniejszy optymizm gdzieś znikł.

- To może być trochę trudne, zważywszy że Jessie mieszka teraz w innej strefie czasowej - rzuciła sucho Erin.

Opuścił ramiona.

- Masz rację. Co ja do diabła myślałem? Że będzie cierpliwie czekała, aż połatwiam wszystkie moje sprawy? Mam tylko nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

- Na pewno nie pomoże ci w tym seks przez telefon. Na twoim miejscu czym prędzej wskoczyłabym w samolot.

- Wierz mi, że o niczym innym nie myślę. Jednak zawsze jest coś, co staje mi na drodze.

Był to znak ostrzegawczy dla Erin. Jeśli rzeczywiście szalałby za Jessie, pomyślała Erin, to czy nie poruszyłby nieba i ziemi, żeby jak najczęściej z nią być?

Podczas kolacji rozmawiali już o czymś innym. Opowiadał jej o swoich dzieciach i wypytywał o Kaylę. Były też opowieści o wojnie, począwszy od momentu, kiedy zaczął pracować dla CTN-u, jako reporter, i o mało nie zginął przy negocjacjach w trakcie odbijania zakładników. Pod koniec wieczoru Erin go rozgryzła. No prawie. Jonathon był dobrym człowiekiem, ale nie musiało to oznaczać, że jest odpowiednim mężczyzną dla Jessie.

Kelner przyniósł jeszcze kartę deserów.

Erin dotykając swojego brzucha, powiedziała:

- Obawiam się, że nie przełknę nawet kęsa.

- Na pewno? - dopytywał się Joey. - Wszystkie desery są domowej roboty.

- Poprosimy rachunek - powiedział Jonathon. Joey pochylił się nad nim jak nad synem.

- Powiedz swojej przyjaciółce - rzekł puszczając oko do Erin - że jeśli wie, co dla niej dobre, to nie powinna na zbyt długo zostawiać tego faceta samego. - Joey poklepał Jonathona po ramieniu. - Wszystkie babki dopytują się, czy jest do wzięcia.

- Powiem jej to osobiście, jak się zobaczymy - odparł Jonathon.

Lepiej zrób to szybko, pomyślała Erin, pamiętając, z jakim podnieceniem Jessie opowiadała jej o wczorajszej manifestacji i dokonaniach Huntera.

Deszcz już ustał, zauważyła Erin, wychodząc z restauracji. Jonathon odprowadził ją na róg ulicy i wezwał dla niej taksówkę.

- Nie pamiętam, kiedy tak miło spędziłem wieczór - powiedział z uśmiechem, otwierając drzwi taksówki. - Jesteś dokładnie taka, jak opisywała Jess.

- Ty też. Wszystko się zgadza z jej opisem - odparła, stając na palcach, żeby pocałować go w policzek. - Tylko, że jeszcze przystojniejszy, dodała w myśli, nieco zaskoczona swoją zażyłością z mężczyzną, na którego widok niejedna kobieta niemal mdlała z wrażenia.

Ważniejsze są jednak czyny niż słowa i ładny wygląd - słyszała głos swojej matki. Pozostawało pytanie, co on teraz robi w kwestii Jessie.

JESSIE

*Mój pierwszy tydzień w roli osoby prowadzącej hotel. Oto, czego się nauczyłam:*

*a) ta pora, którą kiedyś określałam jako środek nocy, okazała się porą chodzenia do pracy niektórych z nas (ziewnięcie)*

*b) kiedy podlewa się naleśniki likierem Grand Marnier, dobrze jest najpierw zestawić patelnię z ognia*

*c) ludzie w innych miejscach kraju nie są mniej dziwaczni niż ci z Manhattanu; tutaj jednak dużo lepiej to widać.*

*Odkryłam tę prawdę, kiedy uczyłam się obsługiwać pewne urządzenie, o którego istnieniu nikt, kto kupuje bitą śmietanę w spray'u, nie ma pojęcia. To cudo, Miracle-Pro, służy do ubijania śmietany wewnątrz zmyślnego zbiorniczka ze stali nierdzewnej. Trzeba tylko zamontować nabój, za którego pomocą śmietana się ubija. Dowiedziałam się mianowicie, że zanim odkręci się kurek, zbiorniczek powinien być pusty, albo skończy się to tym, że wszystko wokół ciebie: ściany, sufit i ty sama, znajdzie się w bitej śmietanie.*

*Właśnie ścierałam ją z szafek kuchennych, stojąc na drabinie, kiedy zostałam poproszona na górę. Pokojówka, sprzątając pokój, z którego wczesnym rankiem wymeldowali się Pani i Pan X, odkryła coś niespotykanego: paski od szlafroków przywiązane do wezglowia łóżka. Jedyne wytłumaczenie, jakie przyszło mi wówczas do głowy, to myśl, że musieli się ostro zabawiać w łóżku. To zdarzenie potwierdza pewną tezę, którą miałam już wcześniej: często ci, których zupełnie się nie podejrzewa o to, że uprawiają seks w innych celach niż prokreacja, tak naprawdę mogliby konkurować z mądrościami zawartymi w Kamasutrze. Kto by pomyślał, że poczciwy księgowy z Iowa i jego żona, uprawiając seks, gustują w krępowaniu się paskiem od szlafroka? Jak o tym pomyśleć, to pewnie jest to rodzaj wyzwolenia. Zaraz, zaraz, a może Miracle-Pro może mieć zupełnie inne zastosowanie...*

*z Życiowej zamiany*

## Rozdział ósmy

- Miejmy nadzieję, że on nie ma broni - wymamrotała Jessie.

- W tych stronach nie znam ranczera, który nie posiada broni - powiedział Hunter

- ale nie martwiłbym się tym.

Szli w stronę zalesionego pagórka, a jedynym odgłosem, który im towarzyszył, był chrzęst ich kroków. Zatrzymała się, żeby spojrzeć na Huntera.

- Boisz się? - zaśmiała się, a zimne powietrze spowodowało, że ponad jej ustami pojawił się obłoczek pary. - Kiedy powiedziałeś, że możemy wpędzić się w kłopoty, pomyślałam, że masz na myśli coś tak niezwykle niebezpiecznego, jak na przykład chorą na wściekłą wiewiórkę albo sumaka jadowitego. Nie wydaje mi się, żebyś zauważał te wszystkie znaki. - Wszędzie stały znaki o zakazie naruszania granic terenu własności Burta Overby'ego pod groźbą kary. - Popatrz na to z innej strony: jeśli zginiemy, to nas nie oskarżą.

Jessie rzuciła mu zaczepne spojrzenie, żałując, że nie pomyślała dwa razy, zanim zgodziła się wziąć udział w tym idiotycznym przedsięwzięciu. Problem polegał na tym, że była Hunterem absolutnie zauroczona; zachwycało ją to, w jaki sposób zaktywizował wczoraj uczestników manifestacji i jak przemawiał na spotkaniu Rady Ochrony Przyrody.

Dopiero, gdy zostawała sama, zastanawiała się, w co, do licha, się pakuje. Ostatnio przeglądała magazyn „People” w poszukiwaniu artykułu o wojnie wodnej, co zresztą było jej własną inicjatywą. Hunter wówczas zaproponował, że powinna na własne oczy zobaczyć działania Burta. Miało jej to ułatwić zrozumienie sprawy. Wówczas takie rozumowanie wydawało jej się logiczne.

Te zdarzenia miały miejsce, zanim odkryła, że droga do źródła była wyjątkowo dobrze strzeżona, ze względu na wcześniejsze otrzymywane przez Overby'ego groźby. Jediną więc możliwością dostania się na teren było bezprawne wtargnięcie. Jessie, która znała już opowieści zrzędlwym dziadku, wiedziała, że jej obawy o to, co może im się przytrafić, jeśli złapie ich na terenie swojej posiadłości, nie były nieuzasadnione.

Ze sposobu, w jaki zachowywał się Hunter, można by pomyśleć, że to była tylko i wyłącznie niewinna przechadzka. Mogło go jedynie zdradzić czujne spojrzenie i napięcie ciała.

Jessie objęła się ramionami, chroniąc się przez zimnem. Nie wiedziała, czy drży z zimna... czy też z powodu obecności tego człowieka, przy którym traciła nad sobą kontrolę. Od manifestacji spotkali się jeszcze kilka razy, na kawie. Zawsze mówiła



sobie, że te spotkania są jej potrzebne do napisania artykułu. Jednak za każdym razem wracała z nich z uśmiechem na twarzy i przyjemnym zawrotem głowy.

- Mam tylko nadzieję, że jest to warte kłopotów, jakie możemy mieć, kiedy nas tu złapią - powiedziała mu.

- Bardziej się boję o to, co znajduje się za tą granicą. - Wskazał w kierunku linii drzew, nad którymi wschodziły pierwsze promienie słońca.

Jessie zrobiło się głupio, że była takim tchórzem.

- Minęło trochę czasu od chwili, kiedy zajmowałam się dziennikarstwem śledczym - wyznała - mam tylko nadzieję, że zrobię to dobrze. - Jej ostatni artykuł sprzed pięciu lat o korupcji w radzie edukacyjnej doprowadził do zwolnienia kilku urzędników. Czuła jednak pewne podekscytowanie i nadzieję, że może coś zmienić.

Skontaktowała się z redaktorem „People”, dla którego w przeszłości napisała kilka artykułów. Wydawał się być zainteresowany tematem, pod warunkiem że przedstawiłaby problem w szerszym kontekście. Kiedy zainteresowała się tym zagadnieniem, okazało się, że kilka innych miast z różnych stanów również walczy z dużymi korporacjami o prawa do wody. Produkcja wody butelkowanej była wielomilionowym interesem, jako że jej sprzedaż w ciągu ostatnich dwudziestu lat potroiła się. To z kolei dawało Jessie wyobrażenie, z czym się mierzyli.

- Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to i tak będziesz miała materiał na swój artykuł.

- Dzięki, ale akurat mam na tyle dużo materiałów, że mogłaby powstać z tego książka - odpowiedziała.

W przeciągu kilku godzin sprzedały się wszystkie egzemplarze „Savvy” i wydawało się, że wszyscy mieszkańcy Willow Creek nie mówią o niczym innym, jak o *Życiowej zamianie*. - Ludzie, których ledwo znam, podchodzili do mnie na ulicy i opowiadali o swoim życiu, zapewne mając nadzieję, że o nich napiszę.

- Ja mam dokładnie odwrotną sytuację - powiedział. - Ludzie, których znam od lat, kiedy mnie widzą, przechodzą na drugą stronę ulicy. - Mówił o właścicielach małych firm, którzy w pewnym stopniu korzystali z polepszenia się kondycji lokalnej gospodarki, spowodowanego pojawieniem się Sylvan Glade. Clay Jenkins, od którego Sylvan Glade wzięło w leasing wytwórnię butelek, był największym przeciwnikiem Huntera.

Hunter jednak nie wydawał się być tym zbyt przejęty.

- Nie obchodzi cię to? - spytała.

Uśmiechnął się do niej w taki sposób, że zrobiło jej się ciepło jak po wypiciu dużego łyka whiskey, a na policzkach pojawiły się rumieńce.

- Lubię dobrą walkę - odpowiedział.

Weszli na wierzchołek pagórka. Hunter zatrzymał się i rozejrzył wokół. Nad horyzontem można było zobaczyć słońce, które rozświetlało niebo. Słysząc było jedynie szum porannej bryzy w czubkach sosen, a trel sójki, dobiegający z głębi lasu, przyjemnie zakłócał ciszę. Obrócił się w jej stronę, przykładając palec do ust, i wskazał na drzewa rosnące poniżej. Pomiędzy gałęziami było widać wodę pobłyskującą jak patynowane srebro. Jej puls przyspieszył.

Zacząli iść w dół. Nie zdążyli nawet przejść piętnastu metrów, kiedy Hunter nagle się zatrzymał, chwytając Jessie za rękę i tak mocno ją ścisnął, że aż skrzywiła się z bólu. Dopiero wtedy w oddali usłyszała ujadanie psów. Poczowała, jak małe włoski na karku stają jej dęba.

- Nie mam najlepszych przeczuć - wyszeptała.

- Ja też nie.

Kiedy ostrożnie wyszli zza krzaków, z wyrazu jego twarzy mogła domyśleć się, że wcale nie chodziło mu o ewentualne zagrożenie, w jakim mogli się znajdować. Jego wzrok był wbity w przeciwległy brzeg, gdzie znajdowało się ogrodzenie zakończone drutem kolczastym, za którym znajdowały się stacja pomp i dwa ogromne zbiorniki wody.

To nie było byle jakie przedsięwzięcie. Z dokumentów znajdujących się w Radzie Ochrony Środowiska Jessie dowiedziała się, że woda jest pompowana ze źródła z prędkością ośmiuset litrów na minutę. Jeśli wkrótce nie zatrzyma się tego procesu, to Willow Creek przestanie istnieć, przynajmniej w obecnym kształcie.

Jessie pomyślała sobie o tym, co kiedyś napisał Mark Twain: „Whiskey służy do picia, a woda do walki”. Jeśli było to prawdą, to Hunter rozgrywał teraz walkę swojego życia.

Chciał zrobić parę zdjęć swoim nikonem, więc musieli się przedostać na drugi brzeg, wspinając się po skałach i przemykając pod niskimi gałęziami drzew. Z każdym krokiem ujadanie psów wzmagало się, a Jessie miała nerwy napięte jak postronki. Gdyby nie to, że Hunter szedł przodem pewnym i zdecydowanym krokiem, mogłaby rzucić się do ucieczki. Jednocześnie mimo swojej paniki, albo właśnie z jej powodu, czuła, że żyje. Każdy nerw był naprężony, a wszystko wokół zdawało jej się dziwnie wyolbrzymione: rosa na liściach, słońce połyskujące na wodzie tak jasne i ostre jak kawałki szkła; jak również napięte mięśnie ramion Huntera rysujące się pod dżinsową koszulą i struzka potu płynąca mu po szyi. Niemalże mogła wyczuć bijące od niego gorąco, mimo że myśli Huntera wydawały się równie chłodne, co lustro wody, w którym połyskiwało jego odbicie.

Kiedy zbliżali się do przepompowni, Jessie mogła zobaczyć prowadzącą tam

zwirową drogę i stojącą nieopodal cysterne, wokół której były widoczne ślady kół odcisnięte w błocie. Niedaleko stał barak, który spełniał rolę polowego biura. Doszli już na tyle blisko, że Hunter wyciągnął aparat i zaczął robić zdjęcia.

Gdy chował sprzęt do torby, nagle ciszę zakłócił odgłos wystrzału. Kaczki z dzikim kwakaniem wzbity się w powietrze. Jessie wydawało się, że jej serce wzbilo się razem z ptakami, a ciało pozostało w tym samym miejscu, gdzie stała. W głuchej ciszy, która zapanowała po strzale, czuła jakiś dziwny, niemal eteryczny spokój.

W następnej chwili Hunter pociągnął ją na ziemię.

- Wyłaż zza tych drzew, zanim cię odstrzelę do królestwa niebieskiego, ty sukinsynu! - groził głos, należący do Burta Overby'ego, który zapamiętała z manifestacji.

Hunter i Jessie leżeli przyciśnięci do ziemi, a wysoka trawa nie zapewniała im dobrej kryjówki. Czuła zapach rosy, który nieodłącznie kojarzył jej się z pogrzebem ojca i chwilą składania trumny do grobu. Zaczęła się trząść.

Hunter podniósł głowę i wyszeptał:

- Chce nas tylko postraszyć.

- Wiesz co? Na mnie to działa - odpowiedziała pełnym paniki szeptem.

Zastanawiała się, czy pogłoski o tym, że w posiadłości Burta zakopane są zwłoki jednej czy dwóch osób, były tylko plotkami. Zanim jednak zdażyła się nad tym zastanowić i dojść do wniosku, że są na najlepszej drodze, żeby dołączyć do tych bezimiennych ofiar, Hunter chwycił ją za nadgarstek i poderwał do biegu. Usłyszeli kolejny strzał, co wywołało dziwną ocieężałość u Jessie. Zahaczyła o wystający korzeń i byłaby upadła, gdyby nie Hunter. Czuła, że jej niezdarność opóźnia ucieczkę.

Weszli już głęboko w las, kiedy Hunter zdecydował się zatrzymać. Jessie próbowała złapać oddech, dotykając dłonią do miejsca, gdzie czuła ostry ból, spowodowany kolką. Spojrzała na Huntera; był niezwykle opanowany, jego spokój wydawał się niczym niezmacony. Patrzył tylko w stronę, z której przyszli.

Kiedy się przekonał, że Overby zaniechał już pościgu, zupełnie się rozluźnił. Wydawało jej się, że trwało to całą wieczność, zanim w końcu wyszli z lasu na trawiasty teren okalający autostradę. Nissan Pathfinder Huntera był zaparkowany niedaleko od drogi. Kiedy Jessie do niego wsiadała, miała nogi jak z waty i Hunter musiał jej pomóc.

- Mogłeś mnie ostrzec - powiedziała, kiedy niebezpieczeństwo już minęło, a panika ustąpiła miejsca złości. - Włożyłabym moją kamizelkę kuloodporną.

- Teraz przynajmniej wiesz, z czym walczymy. - Miał brudne ubranie i zasychające grudki błota na twarzy, wyglądał jak skrzyżowanie Geronimo z Rambo.

Mogła sobie tylko wyobrazić, jak sama wyglądała.

- Rzeczywiście, wiele zmieniłaby nasza śmierć.

Nic nie odpowiedział. Po prostu siedział i patrzył na nią tak intensywnie, jak intensywny był strach, który właśnie przeżyli. Trwał w bezruchu, wydawało się nawet, że nie oddycha. Na twarzy igrały mu jedynie cienie liści z rosnących nieopodal drzew. Mogła dojrzeć różnokolorowe plamki w jego oczach, wyglądające jak skazy w drogocennych kamieniach. Te oczy wydawały się wyzywać ją na pojedynek, tak jak pierwszego dnia nad strumykiem. W momencie, gdy poczuła, że już dłużej nie wytrzyma tego wzroku, spojrzała w okno, nagle zainteresowana tym, co się dzieje wokół.

- To był tylko wierzchołek góry lodowej. Będzie jeszcze gorzej. Nie będę miał żalu, jeśli się wycofasz - powiedział w końcu.

Spojrzała na niego, a on patrzył na nią w taki sposób, że instynktownie wiedziała, że to, co do niego czuje, nie jest jednostronne. Zdała sobie również sprawę z tego, że była daleko od Jonathona i nie chodziło jedynie o dzielące ich kilometry. Poczowała ciepło w klatce piersiowej, które schodziło niżej i niżej. Gdy podniósł rękę, żeby dotknąć jej włosów, odebrała to jako dużo bardziej zmysłowe doznanie niż pocałunek.

Z trudnością odzyskała głos.

- Nie poddam się tak łatwo.

- To dobrze. W takim razie jest nas dwoje.

Uśmiech na jego twarzy był jak wschodzące słońce, ukazał się najpierw na ustach, a potem w zmarszczkach wokół oczu. Mimo że to właśnie ten uśmiech zaprowadził ją tutaj i miał ją zawieść w jeszcze większe kłopoty, był tak tajemniczy, uwodzicielski i nieodparty, że Jessie, nie mogąc nic na to poradzić, odwzajemniła go.

Z kieszeni džinsów wyjął chusteczkę i wytarł jej brud z policzków. Jessie nie doświadczyła podobnego gestu od dzieciństwa i nagle była tak wzruszona, że mało się nie rozplakała. Ciepło jego dłoni rozlało się po jej skórze niczym promienie słońca. Zamknęła oczy i chwilę później czuła, jak ją obejmuje i mocno całuje w usta. Pocałunek był tak zdecydowany jak sam Hunter. Czuła się, jakby fantastycznie ją rozumiał, a ona dopiero siebie poznawała.

Gdzieś w głębi niej budził się jakiś protest, ale zignorowała go, odwzajemniając pocałunek.

Wdychała żywiczną woń sosen, pomieszaną z przyjemnym zapachem męskiego ciała. Położyła dłoń na jego włosach, które prześlizgiwały się pomiędzy jej palcami niczym ciepła oliwa. Większość mężczyzn znała tylko jeden bieg: do przodu. Jednak pocałunki Huntera były niczym subtelny taniec, czasem silne, a czasem delikatne.

Chwycił zębami dolną wargę Jessie i przejechał językiem po jej wewnętrznej stronie. Przeszedł ją dreszcz.

Odsunęła się, nabierając powietrza i myśląc: Co ja do diabła wyprawiam?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Po prostu patrzyli na siebie, oboje nieco oszołomieni tym, co się stało przed chwilą, nie bardzo wiedząc, co z tym począć.

Wtem, nieco zmienionym głosem, Hunter powiedział:

- Napiłbym się kawy, a ty?

W milczeniu kiwnęła głową.

Uruchomił silnik i ruszyli w stronę miasta. Tak jakby nic niezwykłego się nie stało. Patrzyła w szybę, starając się zebrać myśli. Nie mogła powiedzieć, że się tego nie spodziewała. Jednak nie przeczuła, że oładnie nią tak silne uczucie. Jeśli nie staliby na otwartym terenie, Bóg jeden raczy wiedzieć, do czego mogłoby dojść!

Zmroziło ją, kiedy zdała sobie z tego sprawę. Zawsze uważała, że ma zasady, nigdy nie zdradziła żadnego chłopaka, nawet takiego, który na nią nie zasługiwał. Wstrząsnęło nią do głębi, że mogła mieć tak silną reakcję na kogoś, kogo ledwie знаła, jednocześnie będąc zakochaną w Jonathonie. Jak to o niej świadczyło jako o kobiecie?

- O której godzinie musisz być z powrotem? - zapytał ją, kiedy zbliżali się do miasta.

Spojrzała na zegarek, zaskoczona, że było dopiero parę minut po ósmej, a jej się wydawało, że to wszystko trwało cały dzień.

- Nie spieszy mi się, a co? - Umówiła się, że dzisiaj Maria zajmie się wszystkim.

- Chciałbym przynajmniej zaprosić cię na śniadanie - powiedział. - O mało nie przyczyniłem się do twojej śmierci.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że umiera z głodu.

- Znasz jakieś miłe miejsce? - O tej porze niewiele lokali było otwartych.

- Zaufaj mi - powiedział, zabawnie mrużąc oczy. - Nie sprowadzę cię na manowce.

*Za późno, już to zrobiłeś,* pomyślała Jessie.

Zjechali z autostrady, zostawiając w tyle wszelkie fast foody i supermarkety, które w ostatnich latach wyrosły jak grzyby po deszczu. Jechali czarną dwupasmową drogą. Znajdowały się tu stare knajpki, które Jessie знаła jeszcze z dzieciństwa: Ferguson's Lumber czy Jewell's Juntiques.

Kiedy przejeżdżali koło motelu Sunrise, jeszcze raz pomyślała, jak dalece sprawy z Hunterem wymknęły jej się spod kontroli. Nawet w tej chwili jakaś jej część pragnęła znaleźć się z nim w łóżku, poczuć na skórze jego dłonie i napierające na nią jego nagie ciało. Poczowała ukłucie żalu, kiedy motel zniknął jej z oczu.

Jeśli nie zdusisz tego w zarodku, powiedziała sobie stanowczo, to będziesz tego jeszcze bardziej żałować.

Przez całe życie Hunter George zastanawiał się, jak by to było czuć się gdzieś jak u siebie. Wychowując się w rezerwacie, też nie miał wrażenia, że jest w domu. Tam był bardziej białym niż Indianinem. Poza rezerwatem z kolei było odwrotnie: uznawano go za Indianina, a nie za białego. Jeśli w ogóle istniała jakaś kategoria dla ludzi półkrwi, to czy nie można byłoby wybrać tylko jednej z nich?

Każdego lata, w ramach programu finansowanego przez kościół, Huntera wysyłano do kolejnej białej rodziny, pewnie dlatego, żeby zobaczył, jak żyją inni. Na początku robił wszystko, żeby przystosować się i zintegrować z nimi. Aż do pewnego lata, kiedy miał czternaście lat i wydawało się, że w ciągu jednej nocy ze słodkiego małego Indianina zmienił się w niezgrabnego wielkiego nastolatka o bezczelnym głosie. Zdał sobie wtedy sprawę, że nawet jeśli udało mu się uciec z rezerwatu, to nigdy nie uda mu się uciec od koloru skóry.

Tamtego lata gościł u państwa Tilsonów, którzy mieli córkę w jego wieku. Zaczęło się niewinnie. Gdy tylko rodzice nie patrzyli, Marcy korzystała z każdej sposobności, żeby się o niego otrzeć. Potem były równie niewinne pocałunki, z czasem coraz dłuższe. Pewnego dnia przewracali się na łóżku Marcy, kiedy nagle wszedł pan Tilson. Byli całkowicie ubrani i nie robili nic złego. Gdyby Hunter był schludnym białym chłopcem, to pewnie zostałby tylko pouczony, a tak pan Tilson wpadł w furję, oskarżając go o napastowanie Marcy, a nawet groził, że wyśle go za kratki. Hunter był pewien, że przed śmiercią uratowało go jedynie to, że wówczas na światło dzienne wyszłoby, co robiła Marcy i z kim. W wyniku zaistniałej sytuacji Hunter wrócił najbliższym autobusem do domu.

Później spotykał się z białymi kobietami. Niektóre traktowały go jako pewną odskocznnię, z innymi tworzył całkiem udane związki. Nie miał pojęcia, do której kategorii kobiet mógłby zaliczyć Jessie. Wiedział jedno: ona pragnęła go równie silnie, jak on jej. Nie był tylko pewien, do czego to doprowadzi, i denerwowała go ta myśl. Lubił wiedzieć, na czym stoi, a w tej chwili wiedział jedynie, że z jego strony nie było to coś przelotnego.

Przypomniawszy sobie, jak wyglądała na manifestacji: markowe džinsy, skórzana kurtka i ta fryzura, która pewnie kosztowała więcej niż większość tutejszych osób zarabiała tygodniowo.

Wśród tłumu ludzi kłębiących się przed ratuszem wyróżniała się, jak bmw na parkingu pełnym buicków. Sama Jessie nie bardzo wiedziała, co tam robi.

W pewnym momencie manifestacji, która bardzo szybko przerodziła się w

jarmarczne przekrzykiwanie się, starsza pani, Pearl Langley, wstała, trzymając się stojaka, na którym umieszczona była butla z tlenem. Tłum zamilkł na chwilę, kiedy zaczęła mówić o swojej wysychającej studni i wynikających z tego problemach. Gdy skończyła, wydawało się, że zaraz zemdleje. Zanim ktokolwiek zdążył jej pomóc, pobięła Jessie. Hunter obserwował, jak prowadzi kobietę pod rękę w kierunku wyjścia i pomyślał sobie, że na pewno Jessie Holland jeszcze nie raz go zaskoczy.

Kiedy pojawiła się na spotkaniu Rady w następny czwartek, najstarsi uczestnicy spotkania patrzyli na nią nieufnie, niewątpliwie zastanawiając się, co ta miastowa cwaniaczka tu robi. Jednak bardzo szybko zjednała ich sobie swoim czarem i szczerym zaangażowaniem w sprawę. Zanim spotkanie się zakończyło, została bohaterką wieczoru: zadeklarowała chęć wykorzystania swoich kontaktów w magazynie „People” i nagłośnienia całej sprawy.

Dodatkowym atutem była ich rodząca się przyjaźń. Hunter bardzo lubił spędzać czas z Jessie jeszcze zanim zapragnął pójść z nią do łóżka. Lubili te same rzeczy i śmiali się z tych samych dowcipów. Cytował zdania z książek albo z filmów, a ona wiedziała, skąd pochodzą. Poza tym była jedyną osobą, która tak jak i on potrafiła bez mrugnięcia okiem zjeść omlet z papryczkami chili.

Jednak po ich wczorajszym pocałunku Hunter zdał sobie sprawę, że zadurzył się w niej bardziej, niż mogło mu się wydawać. Oczywiście myślał o tym, że pewnego dnia się ożeni i będzie miał dzieci, ale specjalnie nie spieszyło mu się do tego. Tymczasem ostatnio jego wizja przyszłej żony zaczęła coraz bardziej przypominać Jessie i zaczęło go to przerażać. Wiedział, że ona ma kogoś w Nowym Jorku i że przyjechała tu tylko na jakiś czas. Po nieprzespanej nocy, spędzonej na rozmyślaniach, co ma teraz zrobić, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie utrzymać przyjacielski dystans.

Dlatego też następnego dnia o drugiej po południu czuł się jak skończony dureń, jadąc do hotelu z wielkim bukietem peonii, leżącym na siedzeniu pasażera. Wcale nie miał zamiaru kupować jej kwiatów, ale rano na targu rzuciły mu się w oczy białe i różowe peonie wielkości małych główek kapusty. Potem pamiętał, że wykupił wszystkie peonie dostępne na targu.

Po dotarciu do hotelu miał pewien moment zawahania, ale było już za późno. Maria, która witała na podjeździe gości, podeszła do jego terenówki. Spojrzała na kwiaty i uśmiechnęła się, jakby coś wiedziała.

- Jessie jest na dole. - Wskazała na hotel.

Nieśmiałość nie leżała w jego naturze, nagle jednak poczuł się jak w czwartej klasie podstawówki, kiedy swojej nauczycielce, pani McCutcheon, w której się

podkochiwał, chciał wręczyć prezent w postaci indyka zrobionego własnoręcznie z szyszki sosnowej.

- Trzeba je wstawić do wody - powiedział, zauważywszy, że niektóre kwiaty już przywiędły.

- Tego akurat nam nie brakuje - zaśmiała się Maria.

Gdy zszedł do zalanej piwnicy, zrozumiał, co miała na myśli. Jessie w męskich kaloszach i z mokrymi włosami w nieładzie starała się odsunąć od ściany pralkę. Na jego widok zrobiła się czerwona.

- O Boże. - Zaczęła nerwowo poprawiać włosy. - Muszę wyglądać jak ostatnie nieszczęście.

- Pięknie wyglądasz - odpowiedział. Jeszcze bardziej poczerwieniała.

- Nie spodziewałam się odwiedzin.

Spojrzał na betonową podłogę, na której znajdowało się kilka centymetrów wody.

- Co tu się stało?

- Właśnie usiłuję się tego dowiedzieć. - Patrzyła z rozpaczą na pralkę. - Jestem zupełnie beznadziejna, jeśli chodzi o takie urządzenia.

- Pozwól, że ja się tym zajmę.

Po odsunięciu pralki od ściany zobaczył, co jest nie tak.

- Węzyk się obluzował - stwierdził. Kilka ruchów kluczem francuskim załatwiło sprawę. Przesunął pralkę na swoje miejsce.

- Już. Powinno trzymać, masz problem z głowy.

Jessie nastawiła pralkę i podeszła do schodów. Jej wzrok padł na owinięty w papier bukiet, leżący na pudełku z napisem „ozdoby świąteczne”.

- Kwiaty... jak miło.

Wzięła je do ręki i zatopiła twarz w jasnych, słabo rozwiniętych pączkach, głęboko wdychając ich zapach.

- Nie powinieneś. - Uśmiechała się, ale czuł, że rzeczywiście tak myśli.

- Chciałem jakoś wynagrodzić ci wczorajszy dzień.

- Naprawdę niepotrzebnie.

- To nic wielkiego. - Nagle nie wiedział, co począć z rękami.

- Niemniej jednak pojawiłeś się w samą porę. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym była sama. Znajdź tu hydraulika pracującego w niedzielę!

Przechylił się nad poręczą, spoglądając na nią. Pasma włosów spadło jej na policzki. Udało mu się zwalczyć pokusę odgarnięcia go jej za ucho.

- W takim razie miło mi, że się przydałem.



- Nie chcę, żebyś myślał, że jestem jakąś ofiarą. Przeważnie radzę sobie ze wszystkim.

- Wiem, widzę to.

- Nie mówię o dzisiejszym dniu. - Pomyślała o wczorajszej sytuacji, kiedy udało jej się uniknąć postrzału.

- Miałaś prawo się bać.

Nastąpił niezręczny moment, kiedy wiedział, że pomyślała dokładnie o tym samym, co on: nie chodziło tylko o pościg Burta Overby'ego. Jessie odchrząknęła.

- Posłuchaj, Hunter, ja nie... - Przygryzła dolną wargę, a jemu przypomniało się uczucie aksamitnej miękkości, z jaką spotkał się koniuszek jego języka. - Normalnie nie całuję się z mężczyznami, z którymi... nie jestem związana.

Wzruszył ramionami.

- Nic się nie stało - powiedział to lekkim tonem, ale w myślach widział czerwoną z wściekłości twarz pana Tilsona. *Co jest? Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry?* Chciało mu się wyć. Jednak racjonalnie myśląca jedna połowa jego mózgu podpowiadała mu, że nie chodziło wcale o kolor jego skóry czy o fakt wychowywania się w rezerwacie.

Spojrzała na niego, jakby o coś prosiła. Nie miała żadnego makijażu i to sprawiało, że była jeszcze bardziej bezbronna. Serce niemalże stanęło mu w miejscu.

- Może kiedy indziej i w innym miejscu. - W jej głosie słychać było prawdziwy żal. - Przepraszam, że dałam ci mylący sygnał, ale ja i Jonathon... - Po raz pierwszy powiedziała o nim inaczej niż „mój chłopak”. - My ciągle jesteśmy razem.

- To już się więcej nie powtórzy - wypowiedział te słowa, jakby nic go to nie kosztowało.

Odprężyła się.

- Dzięki za wyrozumiałość.

- Od czego są przyjaciele?

Znalazła dwa mopy i wiadro, a on pomógł jej wytrzeć podłogę. Kończyli właśnie, kiedy ktoś zawołał:

- Ciociu Jessie, telefon!

Jessie spojrzała na dziewczynkę, która pojawiła się u szczytu schodów; Hunter zorientował się, że to córka Erin, Kayla.

- Kto to? - zawołała Jessie.

Pralka zaczęła wirować i zagłuszyła odpowiedź Kayli.

- Kto? - ponownie zawołała Jessie, tym razem głośniej, a kiedy Kayla krzyknęła imię dzwoniącego, wydawało się, że odbija się ono echem o ściany.

- Jonathon!

Jessie nie mogła się doczekać, żeby zadzwonić wieczorem do Erin. Zaraz po zamknięciu hotelu, usadowiła się wygodnie na kilku poduszkach, leżących na łóżku Erin, z kieliszkiem sherry z karafki stojącej w kredensie w pokoju kominkowym.

- Co za dzień - powiedziała, głośno wzdychając.

- Co znowu? - zapytała Erin.

- Zalało piwnicę, to po pierwsze.

- Witaj w domu - powiedziała ze śmiechem Erin. Wydawała się niezwykle zdystansowana, biorąc pod uwagę, jak bardzo jeszcze kilka tygodni temu denerwowała się najmniejszym nawet problemem w hotelu.

- Okazało się, że to tylko węzyk. Hunter go przykręcił.

- Jakże miła dobrosąsiedzka pomoc - odpowiedziała Erin.

Jessie wyczuwała kpiarską nutę w jej głosie.

- Akurat właśnie wpadł, żeby coś podwieźć.

Jessie starała się to zbagatelizować, nie chcąc, żeby Erin coś sobie pomyślała. Wczoraj, gdy zdawała jej relację z pościgu Overby'ego, pominęła milczeniem ich pocałunek. Starła się jak najlepiej udawać, że nic się nie wydarzyło. Wiedziała że Erin nie da jej o tym zapomnieć.

- O, jak miło - Erin nie dała zbić się z tropu - a co takiego podrzuciła?

Jessie wahała się przez chwilę i w końcu wyznała:

- Kwiaty.

- Naprawdę? - Erin wydawała się bardziej rozbawiona niż zaskoczona. - A jakie?

- Peonie - odpowiedziała zniecierpliwiona Jessie. - Co zresztą za różnica?

- Duża - odpowiedziała Erin. - Róże byłyby zbyt oczywiste. Każdy facet pomyślałby o nich. Natomiast facet, który wybiera peonie, wie, co robi.

Jessie nie wiedziała, czy to za sprawą sherry, czy dlatego, że ich rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót, w każdym razie zrobiło jej się ciepło na sercu.

- To zabawne. A mówiłaś, że nie jest w moim typie. Nieważne, a jak Jonathon?

- Co masz na myśli?

- Myślałam, że ci się spodobał.

- Tak, ale... - Erin zamilkła na chwilę, a Jessie prawie słyszała odgłosy ulicy.

Wyobrażała sobie Erin lecącą na złamanie karku chodnikiem. - Nie jestem pewna, czy on jest odpowiednim facetem dla ciebie.

Jessie pomyślała o jego miłym wcześniejszym telefonie. Okazało się, że miał wolny następny weekend, i pytał, czy może przyjechać. Odpowiedź Jessie oczywiście była twierdząca. Dlaczego więc nie cieszyła się aż tak bardzo?

Zamiast o jego odwiedzinach, ciągle myślała o Hunterze. Bezustannie, jak w zwolnionym tempie, przypominała sobie ich pocałunek, paląc się niekoniecznie ze wstydu. Myślała o tym, będąc pod prysznicem, kiedy ciepła woda obmywała jej piersi. W nocy przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Miała nadzieję, że przedłużony weekend z Jonathonem wyleczy ją z tej gorączki i znikną wszelkie wątpliwości.

- Tylko raz byliście na kolacji - przypomniała jej Jessie.

- To prawda, powiedzmy, że jeszcze do końca nie wyważyłam mojego zdania na ten temat. Poza tym jestem ostatnią osobą, która powinna ci radzić. Ann Landers miałaby ze mną same kłopoty - westchnęła Erin.

- Mogło być gorzej. - Jessie była zadowolona, że zmieniły temat. - Skip może tego nie widzi, ale przynajmniej jest ktoś, kto nie jest odporny na twoje uroki. - Miała na myśli Drew, który najwyraźniej był zadurzony w Erin, mimo że ona starała się to ignorować, tak jak chwilową słabość, która według samej Erin już nigdy się miała nie powtórzyć.

- Jeśli masz na myśli Drew, to możesz o tym zapomnieć. Do niczego nie dojdzie. Cokolwiek bym myślała o Skipie w tej chwili, nie ulega wątpliwości, że... jasna cholera. Wdepnęłam w coś. - Jessie słyszała, jak Erin próbuje zdrapać to coś z buta. - Ja to mam zawsze farta. Pojawię się u Enzo, śmierdząc psią kupą.

- No proszę, Enzo? - droczyła się Jessie. Erin i Lorenzo Carrera, znany jako Śpiewający Kucharz, wydawali się być w bardzo dobrej komitywie jak na tak krótki czas pracy Erin w Cooking Channel.

- Idę na koktajl - szybko poinformowała Erin. - Będzie tam dużo ludzi. Poza tym on mógłby być moim ojcem.

- Z tego, co czytam w brukowcach, nie wydaje się, żeby mu to przeszkadzało.

- Nie wierz we wszystko, co piszą.

- À propos, wiesz coś o odbiorze naszych felietonów?

- W Willow Creek w ciągu zaledwie jednego dnia stały się sławne, ale Jessie, znając sytuację w mediach nowojorskich, spodziewała się, że musi minąć chwila, zanim ktoś je zauważy.

- Clive oczywiście nie mówi o niczym innym. Jednak poza kilkoma osobami, które podeszły do mnie w pracy, większość chyba nic nie skojarzyła albo w ogóle nie jest tym zainteresowana. Jesteśmy zbyt małymi rybkami, a pływamy w wielkim jeziorze.

- Tutaj wszyscy o nas mówią - poinformowała ją Jessie.

- Któregoś dnia podeszła do mnie Nellie Harris i poprosiła o autograf. - W

Nowym Jorku żyło tylu sławnych ludzi, że Jessie pozostawała anonimowa. Bycie rozpoznawalnym było całkiem miłym uczuciem, nawet jeśli sława dotyczyła tylko Willow Creek.

- A jak zareagował na nie Skip? - Erin starała się nie okazywać swoich uczuć, ale Jessie wyczuła niepokój w jej głosie.

- Nie mam pojęcia. Nie pisał słowa na ten temat. Dlaczego sama go nie zapytasz?

Jessie przesunęła dłonią po patchworku przykrywającym łóżko. Uszyła go Erin z spranych dżinsów Skipa. Były tam też łątki z kwiecistych materiałów kolekcji Laury Ashley, strzępki liliowej tafty z kreacji druchen i pozostałości zielonego aksamitu z kostiumu elfa, w którym Kayla wystąpiła na przedstawieniu świątecznym, kiedy była w czwartej klasie podstawówki. Stanowiło to swoisty zbiór wspomnień ze szczęśliwszych czasów i biorąc pod uwagę, jak rozwinęło się ostatnio ich życie, było to tym bardziej dojmujące.

- Nigdy nie daje mi szansy. Kiedy już rozmawiamy, nasza rozmowa nie wychodzi poza załatwianie bieżących spraw. - Erin powiedziała bardziej ze smutkiem niż z goryczą.

- No cóż, dobrze że chociaż rozmawiacie.

Nastąpiła krótka cisza, Jessie mogła usłyszeć dźwięki ulicy, trąbienie samochodów.

- A jak poszła licytacja ciast? - Erin zmieniła temat, siląc się na optymizm.

W zeszły piątek pierwsza klasa Kayli zorganizowała licytację ciast, żeby zebrać fundusze dla chorego na białaczkę kolegi z klasy, i Kayla poprosiła Jessie o pomoc. Teraz to ona przewróciła oczami i powiedziała:

- Byłam tam jedyną kobietą bez obrączki na palcu. - Wszystkie mamy towarzyszące swoim dzieciom na licytacji były bardzo miłe, ale główny temat rozmów stanowili ich mężowie i dzieci. - Z moim tempem, jak już doczekam się dzieci, to chyba z emerytury będę płacić za ich pieluchy.

- Nie jesteś sama. Któregoś dnia sprawiłam pewnej siwej pani komplement, że ma ładnego wnuka. Powinnaś zobaczyć, jak na mnie spojrzała.

Jessie uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Na Manhattanie matki, które w wieku czterdziestu lat rodziły pierwsze dziecko, nie były niczym niezwykłym, ale tu, w Willow Creek, owszem.

- A jak w pracy? - zapytała.

- Ciągle panuje jakieś szaleństwo, ale już nie takie, jak w pierwszym tygodniu. Mój szef jest strasznym dupkiem. Za to Enzo świetny. Podczas indywidualnych zajęć

nauczył mnie paru sztuczek promowania się. - Jessie dobrze słyszała podniecenie w głosie przyjaciółki. To było to, o czym Erin zawsze marzyła.

- Cieszę się, że tak dobrze ci idzie.

- Nie zawsze jest tak świetnie.

- Ale niczego nie żałujesz?

- Nie - odpowiedziała Erin, mimo że Jessie wyczuwała nutkę tęsknoty w jej głosie.

- Ja też nie. - Pomimo kuchennych katastrof i nie działających urządzeń.

Chwilę wspólnie pomilczały, potem Erin stwierdziła:

- Wydaje mi się, że to bardzo dobre miejsce dla mnie. Trzeba iść spać.

Zadzwoń jutro, dobrze?

Myjąc zęby, Jessie myślała o ich rozmowie. To zabawne, że Erin w ogóle nie zdawała się być zainteresowana tym, co się dzieje w hotelu, a jeszcze niedawno pytała Jessie o wszystko. Czy była na tyle przejęta swoją nową pracą, czy po prostu Jessie dawała jej mniej powodów do zmartwień?

Nie po raz pierwszy już pomyślała, że po tych sześciu miesiącach Erin może zdecyduje się zostać w Nowym Jorku. Jeśli tak by się stało, nie było mowy, żeby Jessie została tutaj. Na samą myśl o tym zrobiło jej się słabo. Takie rozwiązanie było mniej więcej tak samo prawdopodobne, jak to, że polecą do Vegas z Hunterem George'em.

ERIN:

*Dziwna rzecz w byciu sławnym polega na tym, że wcale nie trzeba być znaną osobą, by ludzie uważali, że jest się kimś. Wyjaśnię, o co mi chodzi. No dobrze, jestem asystentką produkcji w Cooking Channel, pilnującą, by na widowni nikt nie zakłócał spokoju podczas kręcenia programu Śpiewający kucharz, a tu nagle słyszę, jak ktoś wypowiada moje imię - i zamieram. Spoglądam w górę i na monitorze ponad moją głowę widzę swoją twarz. Wyglądam jak lania oślepiąca przez światła reflektorów. Nie pamiętam, co powiedziałam, ale musiało być to coś śmiesznego, albo po prostu zrobiłam jakąś durną minę, ponieważ nagle publiczność wybuchła śmiechem.*

*Od tego czasu zdarza się to dość regularnie. Śpiewający Kucharz coś do mnie mówi, a ja odpowiadam. Dlaczego akurat do mnie? Naprawdę nie wiem. Przypuszczam, że jak w każdym tego typu programie musi być ktoś taki, to rodzaj pewnego prawa natury. Teraz, kiedy gdzieś wychodzę, czasem ktoś mnie rozpozna. Któregoś dnia kelnerka z Tick-Tock Diner powiedziała, że widziała mnie w telewizji, ale nie była pewna gdzie. Nagle jej twarz pojaśniała: „Pani to Courtney Cox, prawda?” (Odbieram to jako komplement, aczkolwiek nie jestem taka pewna, czy*

*Courtney byłaby tego samego zdania). Kiedy grzecznie poinformowałam ją, że jest w błędzie, podrapała się w głowę i spytała: „Jest pani pewna?”. Następnym razem, kiedy Śpiewający Kucharz miał podpisywać swoją ostatnią książkę, jechaliśmy limuzyną i tak się zdarzyło, że wysiadałam z niej jako pierwsza. Nagle otoczyli mnie paparazzi, rozbłysnęły flesze, wszyscy krzyčili, żebym się uśmiechnęła do zdjęcia, a żaden z nich nawet nie miał pojęcia, kim w ogóle jestem...*

*z Życiowej zamiany*

## **Rozdział dziewiąty**

Gdyby sześć miesięcy temu ktoś powiedział Erin, że pewnego dnia będzie gościem w programie *Śpiewający kucharz*, skomentowałyby, że zwariował. A jednak wystąpiła w programie w wyniku zwykłego zbiegu okoliczności. Tego dnia gościem miał być specjalista od ciast z bardzo modnej nowej restauracji - Forte. Jednak tuż przed nagraniem odwołał swoją obecność z powodu choroby, czym wprawił Roberta w furję. Enzo miał przygotować kurę zapiekaną w cieście ptysiowym, a kluczowym elementem tego dania było właśnie owo ciasto. Jeśli nie znaleźliby zastępstwa oznaczałoby to, że w ciągu zaledwie godziny trzeba będzie wszystko zmienić. Erin weszła na spotkanie, w trakcie którego jej szef właśnie wrzeszczał na wszystkich, co robił zazwyczaj, kiedy coś się nie układało. Erin, nie zdając sobie sprawy, co robi, oznajmiła:

- Ja umiem robić ciasto ptysiowe!

Robert spojrział na nią.

- I co z tego? - sztychł. - Co nas to w ogóle obchodzi?

Erin miała wielką gulę w gardle. Już chciała mu powiedzieć, że ma wszystko tam, gdzie słońce nie dochodzi, kiedy Andrea Fowler, jedna z asystentek produkcji, nieśmiało powiedziała:

- Nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby zastąpić Claude'a. Kamera ją przecież lubi, a widzowie już się z Erin oswoili.

Erin uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością, a Andrea niepewnie odwzajemniła uśmiech, spotykając się z piorunującym spojrzeniem szefa. Wtem do rozmowy włączył się Gil Dyson, odpowiedzialny za zapraszanie gości do programu, sam żywo zainteresowany żeby problem się rozwiązał:

- Może warto zapytać Enzo, co on o tym myśli?

Na sali zapanowała cisza, a Robert zimnym głosem odpowiedział:

- I co ja na to? O tak, dowiedzmy się, co o tym myśli Enzo. Jestem przekonany, że będzie zachwycony gościem w postaci swojej asystentki - wycedził te słowa, jakby były jakimś przekleństwem.

Sięgnął po telefon, żeby udowodnić wszystkim swoją rację, wystukał numer prywatnej linii Enzo i włączył głośnik, żeby wszyscy mogli usłyszeć śmiech Enzo, wywołany absurdalnością tego pomysłu. Zamiast tego, ku wielkiemu zdziwieniu Roberta, Enzo zgodził się na tę propozycję z entuzjazmem, tak jakby Erin nie była przypadkowym zastępstwem, a gościem specjalnym w programie.

Erin była równie zaskoczona jego reakcją, jak wszyscy zebrani. Od pierwszego dnia Enzo wziął ją pod swoje skrzydła, udzielając wszelkich instrukcji, poczynając od tej, jak zrobić perfekcyjne *beurre blanc*, a skończywszy na radach dotyczących najlepszych planów i ujęć do kamery. Erin, nie chcąc wzbudzać zazdrości swoich współpracowników, nie mówiła nikomu o ich dobrych stosunkach. O jej wizytach w kuchni, gdzie Enzo po godzinach przygotowywał wszystkie potrawy, wiedzieli tylko nieliczni pracownicy z działu kulinarnego.

Mimo to, sama myśl, że wystąpi przed kamerą okropnie ją stresowała. Powiedzenie jednego czy dwóch zdań z miejsca dla publiczności to jedno, ale cały program - jak ona to przeżyje? Kiedy zbliżała się już godzina występu, z nerwów była na skraju wytrzymałości psychicznej. Trzęsły jej się ręce i tak bardzo się pocila, że charakteryzatorka, Vivian, musiała przypudrować jej twarz przez położenie podkładu. Kiedy Vivian stosowała swoje triki makijażowe, jeden z techników dźwięku przypinał mikrofon do białego stroju kucharza, który Erin miała narzucić na sukienkę.

Ostatnie dziesięć minut przed wejściem do studia spędziła, chodząc nerwowo w kółko. W momencie, gdy wywołano jej imię - zamarła. Zebrała myśli i wkroczyła na scenę przy akompaniamencie dryblujących bębnow orkiestry oraz miłego aplauzu publiczności zgromadzonej w studio.

Na początku oślepiły ją światła. Stała jak sparaliżowana, z przyklejonym do ust uśmiechem, myśląc wyłącznie o ludziach, którzy na nią patrzyli. Nie chodziło tylko o osoby siedzące w studio, ale o miliony, zasiadające przed telewizorami, by obejrzeć program. Enzo spotkał się z nią wzrokiem i puścił oko. Czowała, że nie może się ruszyć z miejsca, miała wrażenie, że nogi ma przyrośnięte do podłogi. Pamiętała rady, jakie dawał jej Enzo: przede wszystkim bądź sobą. To dobrze, jeśli będziesz trochę zdenerwowana - stwierdził - dzięki temu złapiesz kontakt z ludźmi.

Odwracając się do publiczności, powiedziała:

- To wszystko jest dla mnie nowe, więc musicie mi wybaczyć. Na co dzień prowadzę hotel na wsi, i jak dotąd, jedynym moim występem telewizyjnym była

relacja z małego wypadku, gdy jeden z gości hotelowych zakleszczył sobie duży palec w odpływie wanny. Zaraz pojawiła się ekipa telewizyjna i lekarze. Akurat w tym samym czasie telewizja kręciła jakiś materiał w naszej okolicy.

Reakcja publiczności była żywa. To dało Erin siłę. *Uda mi się*, pomyślała, *muszę tylko zapomnieć o kamerach i wszystko będzie dobrze*. Wkrótce poczuła się jak mała Erin stepująca na stoliku kawowym w salonie. Swobodnie rozmawiała z Enzo, mieszając w przezroczystej szklanej misce składniki, z których, miała nadzieję, powstanie najlepsze ciasto ptysiowe świata.

Poczuła, że ta sytuacja przypomina jej pracę w hotelu, gdzie goście często wpadali do kuchni, kiedy właśnie gotowała i zostawali, żeby poplotkować. Kiedy Erin dorastała, wiele uczyła się od matki - obserwowała, gdy matka rozmawiała ze stałymi gośćmi restauracji, rzucając celne spostrzeżenia, czy bijąc po rękach zbyt natrętnych klientów. Starła się stworzyć domową atmosferę i nie pamiętać o pracy, która była przyczyną jej obolałych i spuchniętych wieczorem nóg.

Wreszcie kura po kornwalijsku, w przypieczonym na złoto cieście ptysowym, została wyjęta z piekarnika i Erin nabrała pewności, że czeka ją już ta lepsza połowa godziny. Goście specjalni, siedzący przy stolikach kawowych, skosztowali i zachwycili się potrawą, zagrała orkiestra, dając sygnał, że to koniec programu. Erin dostała oklaski, a Enzo, odśpiewując arię z *Cyrulika sewilskiego*, sprawił że goście szaleli. Dopiero kiedy zgasły światła i kamery przestały pracować, Erin poczuła odpływ energii, która jeszcze przed chwilą trzymała ją przy życiu. Na trzęsących się nogach zeszła ze sceny.

Członkowie ekipy cisnęli się, żeby jej pogratulować. Chwilę później, w pokoju ekipy, nawet Robert wyglądał na zadowolonego, oczywiście spijając całą śmietankę i zachowując się tak, jakby zaproszenie Erin do programu od początku było jego pomysłem.

Następnego dnia Erin została wezwana do gabinetu producenta wykonawczego.

- Bardzo dobrze poszło wczoraj - skomplementowała ją Latrice. - Najwyraźniej ma pani do tego smykałkę.

- Szczęście początkującego - odpowiedziała skromnie Erin, skromnie wzruszając ramionami.

- Może brak pani jeszcze obycia z kamerą, ale to naturalne, biorąc pod uwagę, że był to debiut. Praktyka czyni mistrza - mówiła Latrice. - Mam dla pani pewną propozycję. Co by pani powiedziała na zastępstwo Kendry, która odeszła właśnie na urlop macierzyński?

Kendra Shaw prowadziła program Sugar&Spice, nadawany o 7.30 rano. Erin



była tak zaskoczona tą propozycją, że przez jakiś czas stała, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

- Ja... nie wiem, co powiedzieć. - Wczorajszy występ mogła porównać do dźwigania samochodu, który utknął w rowie. Był to dla niej zupełnie heroiczny wyczyn i nie miała pewności, czy byłaby w stanie go powtórzyć.

Latrice przypomniała jej, że program Kendry był nagrywany, a nie nadawany na żywo w studiu z publicznością, więc wiązało się to ze znacznie mniejszymi nerwami. Chodziło o nagranie dwudziestu odcinków, które miały być wyemitowane w czerwcu; miała nagrywać po dwa odcinki dziennie w ciągu nadchodzących tygodni.

- Nie muszę mieć przesłuchania? - zapytała Erin, ciągle nie mogąc się otrząsnąć. Latrice uśmiechnęła się szeroko.

- Właśnie je pani miała! - Sięgnęła po kasetę, leżącą na biurku i wręczyła ją Erin. - Proszę ją obejrzeć i zastanowić się, co można by poprawić. Tymczasem poproszę Harveya o sporządzenie kontraktu. - Powiedziała jeszcze, że standardowym wynagrodzeniem za nakręcenie jednego odcinka jest pięć tysięcy dolarów. - Nie jest to może wygórowana kwota... - Jednak dla Erin były to wielkie pieniądze, biorąc pod uwagę, że kiedyś dwuwarstwowy papier toaletowy był dla niej luksusem. Aż zaniemówiła.

Patrząc na kasetę, domyślała się, co czuł Alladyn, po raz pierwszy zapalając swoją magiczną lampę. Tym razem nie wiedziała, czy okaże się to spełnieniem marzeń... czy też od tej pory będzie musiała uważać na to, o czym marzy.

Po powrocie do domu dokładnie obejrzała nagranie, aż nauczyła się go na pamięć. Na początku trudno jej było uwierzyć, że ta osoba na ekranie, to ona. Kim była ta swobodnie zachowująca się kobieta? Potem zaczęła doszukiwać się wad i potknięć. Jąkanie się przed udzieleniem odpowiedzi, pot na czole, moment, kiedy miska o mały włos nie wyslizgnęła się jej z rąk i upadła. Głos brzmiał nosowo, niczym z nagrania na sekretarce telefonicznej. Co też ona wyprawia z górną wargą, kiedy się śmieje? Porobiła sobie notatki i zaczęła ćwiczyć przed lustrem. Maszerowała po pokoju z książką na głowie, próbując pracować nad swoją postawą.

W końcu usiadła na sofie. Nagrodą była kasetka video, która miała dzisiaj przyjść pocztą. Kiedy po raz pierwszy na poważnie rozmawiała z Kaylą o wyjeździe do Nowego Jorku, zgodziła się na wyjazd pod jednym warunkiem: każdego tygodnia, oprócz codziennych rozmów przez telefon, Kayla miała jej wysyłać nagrane na video listy, żeby Erin nie tęskniła tak bardzo za domem. Zrobiło jej się ciepło na sercu, kiedy pomyślała, że zaraz zobaczy swoją córkę, która siedząc po turecku na łóżku będzie opowiadać jej o wydarzeniach ubiegłego tygodnia, oraz Otisa, wyciągniętego tuż obok

niej. Większość historii Erin знаła z rozmów telefonicznych: Kayla przestała już chodzić na lekcje śpiewu i myślała o ubieganiu się o członkostwo w radzie uczniowskiej, dzięki czemu jej szkolne resume będzie się dużo lepiej prezentować. Koledzy z jej klasy organizowali myjnię samochodową, żeby zebrać pieniądze na przeszczep szpiku kostnego dla Phillipa Drobowskiego. Jessie ostatnio zabrała Kaylę na zakupy i sprawiła jej fantastyczny sweter. Erin ledwie mogła się skoncentrować na tym, co mówiła Kayla - na tyle zszokowana była wyglądem swojego dziecka: jej czternastoletnia córka była umalowana, a jej niegdyś miodowoblond włosy miały o trzy tony jaśniejszy odcień.

Na dowód tego, Kayla przysunęła się do obiektywu, chwytając się za włosy i pokazując ich nowe refleksy.

- Spójrz na to. Czyż ciocia Jess nie zrobiła świetnej roboty? Prawie jak u fryzjera.  
- Z powrotem usiadła. - No, to na tyle. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. - Po chwili zastanowienia dodała: - Tęsknię za tobą, mamus.

Erin nagle ogarnęła wściekłość na swoją najlepszą przyjaciółkę. Od tygodni ciągle słyszała ciocia Jess to, ciocia Jess tamto. Miało się wrażenie, że Jessie była guru od wszystkiego, począwszy od mody po najnowsze trendy w muzyce, o czym akurat Erin nie miała pojęcia. Normalnie Erin nie przejmowała się tym. Łatwo było stać na piedestale, jeśli nie ustanawiało się zasad. Jednak tym razem Jessie przesadziła!

*To ja do cholery jestem jej matką*, przeklęła Erin pod nosem. Jessie mogła chociaż zapytać ją o zgodę. Na co teraz przyjdzie kolej: przekłuty pępek, niebieskie włosy?

Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jej złość była częściowo spowodowana dorastaniem Kayli - bez niej. Towarzyszyła jej od najmłodszych lat, patrzyła jak córka pokonuje swoje pierwsze w życiu przeszkody. Wycierała jej łzy, wywołane jakimś życiowym rozczarowaniem czy śmiercią zwierzątka. Była obecna przy każdym nabitym przez Kaylę guzie czy siniaku, chodziła z nią do lekarza. Teraz - jej dziecko wchodziło w dorosłość, a Erin była daleko.

Już miała nacisnąć guzik przewijania, kiedy zobaczyła scenę z jednego z rodzinnych filmów. Kayla przez przypadek musiała na nim nagrać swoją relację. Erin patrzyła, niczym zaklęta, jak młody Skip z gołą klatką na wierzchu, w swoich rozciągniętych szortach podrzucał do góry piszczącą z radości trzyletnią Kaylę. Młodsza Erin uśmiechała się do niej z ekranu. Miała dłuższe włosy i opaloną od pracy na powietrzu skórę, ale najbardziej zaskoczyło ją bijące od niej szczęście. Wtedy nawet przez myśl by jej nie przeszło, że mąż może ją opuścić.

Wyprawili grillowe przyjęcie z okazji inauguracji basenu, było jakieś zatarte trochę ujęcie, kiedy Skip skakał do wody, obryzgując Erin, a ona radośnie biła go pływakciem Kayli. Słysząc było głos Mike'a, który nagrywał wszystko, śmiejąc się:

- No nie bić mi się tam, bo zaraz wezwę gliny...

Byliśmy razem - pomyślała z oczami pełnymi łez. Nie zawsze ich stosunki były polem walki. Przypominała sobie upalny dzień, kiedy ze strumyka wyciągali kamienie potrzebne do budowy murku oporowego w ogródku. Nagle, w samym środku dnia, zrzucili z siebie ubrania i kąpali się na golasa. Potem jeszcze kochali się pod osłoną rozłożystej wierzby.

Przypomniało się jej, jak wylądowała w szpitalu i miała operowany wyrostek, jak wtedy bolała nad tym, że nie może oglądać wiosny i pierwszych kwiatów. To, że leżała uziemiona w łóżku - mniej ją martwiło. Skip wpadł do niej ze zdjęciami kwitnących drzewek owocowych w ich ogrodzie. Kiedy kwiaty od odwiedzających ją gości dawno już zwiędły, zdjęcia przypominały nie tylko o tej pięknej porze roku, ale i o miłości męża.

Pamiętała też, jak Skip zareagował na wiadomość, że będą mieli dziecko. Ona ciągle jeszcze nie do końca doszła do siebie po śmierci rodziców i spodziewała się, że on też będzie tą wiadomością zaskoczony. Przecież ledwie się znali, a ostatnią rzeczą, o jakiej myśleli, był ślub. Tymczasem Skip objął ją mocno i bardzo długo trzymał w ramionach. Kiedy w końcu ją puścił, uśmiechnął się i powiedział: „Kocham cię”. Tylko tyle. Trzy tygodnie później składali sobie przysięgę małżeńską.

Erin, wycierając łzy, sięgnęła po telefon i zanim zdążyła się rozmyślić wystukała numer Mike'a. Po kilku sygnałach powitał ją głęboki głos szwagra:

- Rezydencja playboya.

Stary kawał, który przestał już być śmieszny, szczególnie teraz. Mike zawsze trochę się podśmiewał ze Skipa, że jest domowym mężczyzną, jakby chciał mu przypomnieć o wszystkich przyjemnościach, cielesnych i innych, które go omijały. Teraz była ciekawa, czy nie posunął się jeszcze o krok dalej i czy przypadkiem nie zaznajamiał swojego brata z sekretami i zaletami stanu kawalerskiego.

- To ja, Erin - powiedziała.

Nastała chwila ciszy, zanim usłyszała Mike'a:

- Cześć, siostra. Jak tam życie w dużym i nieprzyjaznym mieście?

- Wyobraź sobie, że ciągle utrzymuję się na powierzchni.

- A tak na serio, wszystko gra? - słysząc było śmiech w jego głosie.

- Tak, wszystko w porządku. A co u ciebie?

- To co zwykle. Za dużo pracy, a ja nie młodnieję!

- Tak jak my wszyscy - zamilkła na chwilę, zanim zapytała jak najbardziej neutralnym głosem - Jest może Skip?

- Właśnie wszedł. - Mike odsunął słuchawkę od ucha i krzyknął: - Stary, to twoja żona.

Chwilę później usłyszała Skipa.

- Cześć - powiedział ostrożnie. - Co u ciebie?

- Nic ciekawego. Wróciłeś z pracy? - Starala zachowywać się, jakby nic się nie stało, mimo że serce biło jej jak oszalałe. Na ekranie nadal widziała młodego Skipa, ociekającego wodą po wyjściu z basenu i goniącego ją po patio. Wydawało się to jakimś okrutnym żartem.

- Wróciłem już kilka godzin temu - powiedział. - Pomagałem Kayli w odrabianiu pracy domowej. A przy okazji, wiesz, że ona myśli o ubieganiu się o członkostwo w radzie uczniowskiej?

- Tak, mówiła mi. Odchrząknął. - Dziewczyna jest aktywna.

- Byłeś taki sam w jej wieku, o ile sobie przypominam. - W liceum Skip był w drużynie piłkarskiej i co najmniej czterech organizacjach uczniowskich.

- Taak, no i do czego doszedłem? Żyję z układania masy szpachlowej Sheetrock - powiedział, śmiejąc się gorzko.

- Nie ma się czego wstydzić. - Erin, mówiąc to, wiedziała jak mało przekonująco muszą brzmieć jej słowa. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo było jej przykro, że powstrzymała go od spełnienia swojego marzenia, że nie było dnia, żeby sobie tego nie wyrzucała i nie przypominała sobie, jak tego popołudnia wrócił aż kipiąc z podniecenia, że ma możliwość wykupienia interesu byłego szefa. Tak chciała, żeby inaczej się to potoczyło.

- Tak, starcza na rachunki - uciął.

Pragnąc jak najszybciej zmienić temat, zagadała:

- A jak wam się układa z Mike'em?

Nastąpiło krótkie milczenie, po czym powiedział ostrożnie i po cichu:

- Właśnie zamierzam sobie coś znaleźć.

- Rozumiem - nagle zaczęła mieć trudności z oddychaniem.

- Miałem nic nie mówić, zanim nie nagram sobie czegoś - kontynuował. - Nawet nic nie powiedziałem Mike'owi. - Jakby to miało sprawić, że Erin poczuje się lepiej.

- Więc to już koniec - powiedziała drżącym głosem. - Już nie wrócisz do domu.

- Myślę, że tak będzie najlepiej. Przynajmniej teraz.

- Tak po prostu? Nawet nie przedyskutowałeś tego ze mną.

- Wydaje mi się, że już wszystko sobie powiedzieliśmy.

*O, nie. Tak ci się tylko wydaje* - pomyślała Erin. Była rozwścieczona do granic możliwości, ale robiła wszystko, żeby to zwalczyć. Była gotowa bić się w piersi, żeby tylko nie stracić Skipa.

- Myślałam, że moglibyśmy o tym porozmawiać, jak wrócę do domu - powiedziała tak łagodnie, jak tylko potrafiła.

- A kiedy to nastąpi? - zapytał zimno.

- Niedługo. Za kilka miesięcy. - Chyba mógł do tej pory poczekać.

- To pozwól, że coś ci wyjaśnię. Chcesz żebym wstrzymał się z wszelkimi życiowymi decyzjami, dopóki ty nie zdecydujesz o swoim powrocie do domu?

- To nie tak. Dobrze wiesz, że...

- To, o czym wiem - przerwał jej - to to, że ja sobie wypruwam flaki, a ty sobie popijasz szampana i rozbijasz się limuzynami.

*Aaa, tu go boli*, pomyślała. Wyrobił sobie błędne przekonanie o jej życiu po przeczytaniu odcinka *Życiowej zamiany*. Pewnie myślał, że jego żona prowadzi życie gwiazdy i kompletnie o nim nie myśli. Erin mogła to odebrać jako jakąś nadzieję - przynajmniej obchodziło go, że żona go ignoruje - gdyby nie zachowywał się, jak ostatni kretyn.

- Nie byłoby mnie tu, gdyby nie ty - krzyczała.

- Nie wygląda na to, żebyś specjalnie tam cierpiała - zauważył chłodno.

No i w kółko to samo, jak stara karuzela kręcąca się ciągle w tę samą stronę. Erin chciała z niej wysiąść, ale nie wiedziała jak to zrobić. Zamiast tego powiedziała pełnym sarkazmu głosem:

- Niesamowite, co? Nie obilałam sobie tyłka. - No, nie licząc tego jednego razu w galerii. - Właściwie to tak świetnie wszystko mi się układa, że planuję tu zostać na stałe!

Jeśli tylko Skip mógłby zobaczyć przerażenie, malujące się wówczas na jej twarzy, wiedziałby, że w ogóle nie miała takiego zamiaru, że powiedziała to tylko po to, żeby mu się odgryźć. Sam pomysł oczywiście przemknął jej przez myśl, ale nigdy nie myślała o nim poważnie. Jej dom, życie i wszystko, co kochała znajdowały się w Willow Creek.

Po drugiej stronie linii zapanowała głucha cisza, która była dużo bardziej wymowna niż słowa. Wtedy usłyszała przeszywająco zimny głos:

- Rób, co ci się podoba, ale Kayla nigdzie nie jedzie.

Zraniona Erin odparła:

- Czy ona nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie?

- Ostrzegam cię, Erin. Nawet nie waż się czegoś takiego wbijać jej do głowy.

- A jak się odważę, to co, spotkamy się w sądzie? - Zaraz po wypowiedzeniu tych słów pożałowała ich. Czy kiedyś nauczy się myśleć zanim otworzy swoją niewyparzoną gębę?

- Właśnie tak się stanie.

Erin wzięła głęboki oddech i policzyła do dziesięciu, jak ją uczono, gdy była dzieckiem.

- Posłuchaj - powiedziała, starając się panować nad głosem. - Nie zadzwoniłam, żeby wszczynać awanturę. Chciałam po prostu... - głos ugrzązł jej w gardle. Jeżeli powiedziała mu o prawdziwym powodzie, dla którego dzwoniła, że wspominała dobre czasy, i zapragnęła, żeby umieli do nich powrócić, czy zmieniliby to coś?

Skip głośno westchnął.

- Ja też nie chcę się kłócić. Wiem, że nie chciałaś tego powiedzieć, więc zostawmy to, dobrze?

Westchnęła głęboko ze wzrokiem utkwionym w ekran telewizora, na którym pięcioletnia Kayla siedziała przy piknikowym stole ze strasznie umorusaną buzią, trzymając w ręku duży kawałek arbuza.

- Pamiętasz to lato, kiedy byliśmy w Eagle Lake? - zapytała łagodnie.

- Jak mógłbym je zapomnieć? Trzy dni z rzędu padało. Myślałem, że już nigdy nie przestanie.

- Próbowałeś to nadrobić, zabierając mnie na kolację, kiedy wróciliśmy do domu. Oboje wypiliśmy za dużo szampana, jeśli dobrze sobie przypominam - uśmiechnęła się na samą myśl o tym.

- Zamurowało mnie, jak zobaczyłem rachunek.

- O rany, Skip - głos jej się łamał.

- Mieliśmy dobre chwile - przyznał.

Nagle chciała wszystko cofnąć, każde wypowiedziane w gniewie słowo. Czy było już za późno, żeby zacząć wszystko od początku? Możliwe, że nie, ale na razie ogrom tego zadania przerażał ją. Nie była w stanie wyartykułować tego, co podpowiadało jej serce, więc cała drżąc, powiedziała:

- Muszę kończyć...

Tak bardzo chciała, żeby powiedział: „Nie kończ”. Wtedy wiedziałyby, że istnieje jeszcze jakaś szansa. Jednak wyglądało na to, że młody mąż, który filmował ją, kiedy spała na ganku wynajmowanego przez nich domku, chcąc utrwalić jej spokojny wyraz twarzy, zamienił się w zgorzkniałego, przepelnionego wściekłością faceta, który wolałby zaryzykować utratę wszystkiego, niż jej wybaczyć.

Erin była na siebie wściekła, kiedy odłożyła słuchawkę. Może nie chciał jej

wybaczyć, bo nie prosiła o wybaczenie? Mogła przecież mu powiedzieć, jak było jej przykro, że wyszły z niej stare obawy i że nie miało to nic wspólnego z nim. Może wtedy mogliby zrobić jakiś krok do przodu.

Załamana perspektywą samotnego spędzenia długiej nocy, chwyciła za telefon i wykrciła numer Drew. Zastanowiła się jednak i odlozyła sluchawke na wideelki. Ješli Drew wpadłby do niej, mogłoby dojść do czegoś, na co jeszcze nie była przygotowana. Zanim pójdzie z nim do łózka musi mieć pewnośc, że jej małżeństwo nie ma już szans na uratowanie.

Może rzeczywiście już wszystkie szanse zostały zaprzepaszczone, pomyślala z goryczą.

- Stary, wszystko gra?

Skip patrzył się bezmyślnie w sluchawke, podniósł głowę i napotkał pełen troski braterski wzrok.

- Tak, w porządku - odpowiedział dziwnym, bezdźwięcznym głosem.

- Co, żonka daje ci popalić?

Skip przecząco pokręcił głową.

- Nie. Dzwoniła, żeby się dowiedzieć, co u mnie.

- Jasne - odburknął Mike. - Założę się, że sprawdzała, czy czasem nie chodzisz na boki.

- Dzięki za tę dogłębną analizę - sarkastycznie odparł Skip.

- Wierz mi, znam kobiety.

- Wiesz tylko, gdzie go włożyć - odpowiedział Skip.

Mike rozpromienił się, jakby usłyszał komplement.

- Ty najwyraźniej bracie już i tego nie wiesz.

Skip obserwował swojego brata jak szedł do kuchni. Dom Mike'a znajdował się na najnowszym osiedlu i był urządzony w stylu kawalerskim; najnowszy model skórzanego fotela sąsiadował ze starą kanapą z pokoju telewizyjnego ich rodziców. Nad kanapą wisiał najbardziej wartościowy przedmiot w domu Mike'a: oprawiony w ramę plakat z pierwszego koncertu Woodstock. Był za młody, żeby na nim być, ale samo wydarzenie było dla niego niemal mistyczne. Mimo że Mike ciężko pracował i na co dzień pozwalał sobie na jedno, dwa piwa wieczorem, to w głębi duszy grał mu hymn lat sześćdziesiątych: „Sex, drugs, and rock and roll”.

Nie zawsze był taki. W szkole średniej miał w sobie może trochę szaleństwa. Kiedy sprawy z Jessie zaczęły wyglądać poważnie, postanowił się usatkwować i zaczął myśleć o przyszłości. Coś w nim pękło w chwili, gdy od niego odeszła. Potem już nigdy nie był taki sam.

Skip patrzył, jak brat idzie do kuchni, połączonej z pokojem dziennym. Mike wziął piwo z lodówki i otworzył je tak, że kapsel uderzył w ścianę za kanapą i już tam został. Wziął porządny łyk i spojrzał na brata wzrokiem guru, tak jakby posiadał jakąś niedostępną nikomu poza nim wiedzę.

- Dam ci radę, nie wykładaj wszystkich kart na stół - powiedział. - Musisz potrzymać ją w niepewności. Nic tak dobrze nie robi, żeby sprowadzić kobietę na kolana.

Skip nie pamiętał momentu, w którym jego brat nie wiedziałby, co jest dla niego najlepsze. „No dalej, bracie, zrób to! Wiesz, że właśnie tego ci potrzeba” - zwykł mawiać Skip, gdy byli jeszcze nastolatkami i Skip nie wiedział, czy ma wykonać pierwszy krok w kierunku jakiejś dziewczyny... albo pokazać fałszywy dowód... albo pójść na wagary. Rzadko korzystał z tych rad, ale czy w jakimś stopniu nie zazdrościł Mike'owi, że poszedł własną drogą? Kiedy Mike decydował o tym, żeby założyć własny interes, nie miał żony, która przypominałaby mu o jego powinnościach. No i do czegoś doszedł; miał tyle pracy, że czasami musiał odmawiać zleceń.

- Ostatni raz, kiedy cię posłuchałem - przypomniał mu Skip - to skończyłem z osiemnastoma szwami na głowie. - Dotknął blizny, biegnącej nad prawą brwią, pamiątki z czasów, kiedy miał dziesięć lat i za radą brata wskoczył na mający kółka pojemnik na śmieci, przeleciał ponad nim i wylądował głową w dół na chodniku.

Mike z piwem w ręku poszedł do swojego pokoju. Jego kręcone brązowe włosy, rozjaśnione słońcem były przyprószone gipsem z elewacji domu w Las Cruces, przy którym obecnie pracował. Mike był dobrze zbudowany, dzięki latom pracy fizycznej, ale Skip nie mógł nie zauważyć rosnącego brzuszka brata, który od lat żywił się gotową pizzą i chipsami.

Mike spojrzał na niego z pożałowaniem.

- A tak dla twojej wiedzy, równie dobrze ona może mieć kogoś na boku.

Skip poczuł, że coś go skręca od środka.

- Uważaj, co mówisz.

Mike nie przestawał:

- Bez urazy, wiesz, co myślę o Erin. Nie zapominaj, że to ja za nią stałem, kiedy rodzice chcieli ją wykurzyć z miasta. Faktem jest, że to ty od niej odszedłeś, a ja jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety, która nie odebrałaby takiej sytuacji jako okazji do odpłacenia się za coś takiego.

Skip z hukiem poderwał się z krzesła i poszedł do kuchni. Zakupy, które zrobił, dalej stały w siatkach na bufecie. Zaczął je rozpakowywać, układać w szafkach i zamykać z trzaskiem drzwiczki, na tyle mocno, że w zlewie podskakiwały brudne



naczynia.

Mike popatrzył na niego wzrokiem pobłażliwego rodzica, któremu kończy się cierpliwość.

- Wiem, że nie to chciałeś usłyszeć - powiedział - ale wydaje mi się, że oboje jesteście sobie winni pewne wyjaśnienia.

Skip wrzucił do zamrażarki paczkę prawie rozmrożonych frytek.

- Kapuję, Mike. Czy możesz już się zamknąć? - Zauważył, że brat miał niezwykle dużo do powiedzenia na temat jego małżeństwa od chwili, kiedy Jessie wyprowadziła się do hotelu. Mike nie widział się z nią i nie miał takiego zamiaru - unikał hotelu, jakby było to jakieś przeklęte miejsce - ale i tak jej obecność jakoś na niego wpływała.

- No, koleś, jak dotąd to właśnie ty ciągle wydajesz mi się spragniony łóżkowych ekscesów - bez zażenowania kontynuował Mike.

- Ja nie żartuję, Mike - mówił Skip ostrzegawczym głosem.

- Jeannie Rivington, prowadzi tę galerię w Mesa? Chyba jesteś ślepy, jeśli nie widzisz, jak cię badała tamtego wieczoru w Spur. Mówię ci, musisz tylko...

Skip pokazał bratu zaciśnięte pięści.

- Odwał się.

- Dobra, dobra. Rozumiem. - Mike pokręcił głową, patrząc na niego jakby chciał powiedzieć: „Wiesz, że mam rację, nawet jeśli nie chcesz mi jej przyznać”.

- Oczywiście, mamy problemy, ale nie oznacza to, że któreś z nas będzie się wygłupiać - zimno poinformował go Skip. Jednocześnie brat zasiał w nim ziarno niepokoju. Na samą myśl, że Erin mogła pójść do łóżka z kimś innym, rozboleł go żołądek.

- Chcę tylko powiedzieć, że najwyższa pora na jakiś krok - powiedział Mike lekko obrażonym tonem, w końcu chciał dla niego jak najlepiej.

Skip stał z pochyloną głową, oparty dłońmi o blat stołu. Odetchnął głęboko, w końcu spojrzał na brata.

- Masz rację. Najwyższa pora na jakiś krok.

Mike zrozumiał, co Skip miał na myśli.

- Nie o to mi chodziło.

Nagle Skipowi minęła złość. Dzięki bratu miał dach nad głową i pracę.

- I tak już za długo tu jestem - odpowiedział łagodniej. Mógł wrócić do hotelu. Był przecież jeden pokój na strychu przeznaczony dla nadliczbowych gości. Mógł się tam zatrzymać dopóki czegoś nie znajdzie. Będzie bliżej Kayli, a na tyle daleko, żeby nie wchodzić sobie w drogę z Jessie.

- Jak chcesz - Mike wzruszył ramionami.

Skip nagle zdał sobie sprawę z tego, że Mike nie chce zostać sam. Miało to sens, jeśli się głębiej zastanowić. Wszyscy koledzy Mike'a byli żonaci i mieli dzieci. Zawsze żartowali, że Mike jest szczęściarzem i udało mu się uciec od „stryczka”, ale nie zmieniało to faktu, że pozostał jedynym facetem bez pary. Noce mogą wydać się wyjątkowo samotne, jeśli w domu czeka tylko zimne piwo w lodówce. Skipowi wydawało się, że jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja faceta, mającego w pamięci kobietę, która z każdym mijającym rokiem wydawała mu się młodsza.

- Nie mów mi, że przeszkodziłem ci w sprowadzaniu tu babek - powiedział, próbując być zabawnym.

Mike się uśmiechnął, ale był to raczej uśmiech refleksyjny.

- Nie martw się. Połowy tego, co mam ty nigdy nawet nie zobaczysz na oczy.

Po rozpakowaniu zakupów Skip zabrał z salonu marynarkę, wiszącą na krześle, i ruszył w kierunku drzwi.

- Idę się przejechać - oznajmił.

Mike, przybrawszy nieco zbolalą pozę, poszedł za nim.

- Nie jesteś już na mnie wściekły?

- Nie. - Skip przystanął i poklepał go po ramieniu. - Wiem, że chcesz dla mnie dobrze, bracie.

Nie wiedział, gdzie chce pójść, ale parę minut później znalazł się na dróżce prowadzącej do hotelu. Domy i centrum handlowe stały zaraz przy szpalerze drzew, rosnących wzdłuż drogi, która prowadziła nieco w górę. W tym miejscu teren stawał się trochę pofalowany. Zaraz po zjechaniu z głównej drogi skip odkręcił szybę. Do środka wpadł zapach świeżo skoszonej trawy zmieszany z dymem. Nagle zalała go fala tęsknoty za domem. Tak bardzo się skupiał na wmawianiu sobie, jaką to ulgą jest uwolnienie od niekończących się próśb i wymagań, że zatracił poczucie, jak bardzo tęsknił za tym wszystkim.

Z miejsca, w którym stał, miał świetny widok na hotel stojący na wzgórzu. Każde okno lśniło czystością, łuna dymu wylaniała się z komina - widok był jak z bajki. Przypomnił sobie, jak wyglądało to miejsce, kiedy widzieli je po raz pierwszy. Podłoga była miejscami przegniła, a jedynymi gośćmi były myszy i wiewiórki. Mieli mało pieniędzy i razem z Erin wiele robót wykonywali sami, pracując razem, jeszcze długo po wyjeździe robotników. Kiedy na świecie pojawiła się Kayla, spała w przenośnej kołysce, nie zważając na otaczające ją hałasy. W tamtych czasach praca fizyczna wydawała mu się dużo cięższa niż pielęgnowanie małżeństwa. Patrząc wstecz nie mógł sobie przypomnieć nic takiego, z czego był bardziej dumny niż z hotelu.

I z Erin. Nigdy nie widział, żeby kobieta tak ciężko pracowała, ciężiej nawet niż jakikolwiek mężczyzna. W dodatku jakimś cudem łączyła z tym wszystkim obowiązki świeżo upieczonej matki, jednocześnie nie tracąc poczucia humoru. Jak nie piaskowali podłóg, nie malowali ścian - to jeździli po pchlich targach i wyszukiwali sklepiki ze starymi elementami do robót hydraulicznych. Kiedy w końcu otworzyli swój interes, to miejsce nie miało jeszcze żadnego charakteru, a teraz ku wielkiej satysfakcji, można było stwierdzić, że nabrało uroku.

Młyn codziennego życia sprawił, że w ich małżeństwo zaczęło się wkradać za dużo rutyny. Rzeczy, które kiedyś zupełnie mu nie przeszkadzały, teraz zaczynały go drażnić: oziębłe zachowanie Erin w stosunku do jego rodziców, to jak łatwo jej było krytykować jego brata, jak się wściekała z powodu jakiegoś zakupu, często oskarżając go, że za dużo wydaje. Nie znał bardziej upartej osoby niż jego żona. Jeśli przy czymś obstawała, to nie było mowy, żeby odpuściła.

Kolejnym punktem spornym była ich córka. Według niego Erin zachowywała się zbyt surowo w stosunku do niej, a ona z kolei uważała, że on był zbyt pobłażliwy. Pamiętał, jak Kayla ząbkowała: całymi nocami płakała, a Erin schodziła do niej po kilka razy i upierała się, żeby mała spała w swoim łóżeczku, bo jakiś pediatra twierdził, że jeśli zabiera się dzieci do swojego łóżka, to w ten sposób się je rozpuszcza. Wszyscy byli nieszczęśliwi z tego powodu, a najbardziej sama Kayla. Mimo wszystko Erin pozostawała nieugięta. Jakby bała się zaufać swojemu instynktowi.

Jednak lista rzeczy, za które ją kochał była dużo dłuższa. To prawda, że była nieco nieprzychylna jego rodzicom, ale z kolei oni nie zasługiwali, żeby była dla nich miła. Natomiast o tych, których kochała, dbała bardzo. Nawet jej sknerstwo, musiał to przyznać, miało swoje dobre strony - dzięki temu nie mieli długów. Poza tym każdy mógł powiedzieć, że Kayla jest przykładem dziecka, które wychowuje się w kochającym domu.

W myślach ujrzał Erin, stojącą przy kuchence gazowej, ubraną w jego koszulkę, która sięgała jej za kolana (z jakichś przyczyn, miała awersję do koszul nocnych i piżam). Zawsze kiedy kończyli się kochać, Erin dopadał nagły głód i nawet w środku nocy była zdolna smażyć jajecznicę. Wyglądała tak seksownie z bosymi stopami i zmierzwionymi włosami, że miał ochotę kochać się z nią raz za razem!

Ścisnęło mu się serce.

Jak doszło do ich rozstania? W mijających miesiącach zaczął zauważać, że nie tylko Erin ponosiła winę za zaistniałą sytuację. Jeśli miała zły humor, za chwilę już było po wszystkim, natomiast to on dusił wszystko w sobie, aż dochodziło do niekontrolowanego wybuchu. Nie licząc tego, że od czasu do czasu narzekał -

właściwie nigdy otwarcie nie powiedział jej, jak bardzo jest nieszczęśliwy, prowadząc hotel. Zaskoczył ją tym atakiem. Skąd mogła wiedzieć, że oferta Coburna wydawała mu się życiową szansą?

Skip wrzucił bieg i podjechał pod wzniesienie. Kiedy już zbliżał się do bramy, zobaczył, że znak się przekrzywił - jakoś mu to umknęło, kiedy wcześniej przyjeżdżał tu w ramach swoich obowiązków. W myśli dodał to do listy rzeczy do zrobienia. Dojechał do hotelu i zaparkował. Zbliżał się do domu, kiedy przez szczelinki ganku zobaczył ognik tłącego się papierosa. Za chwilę ognik, jak po łuku ruszył w górę i teraz Skip zobaczył sylwetkę siedzącej osoby, lekko oświetlonej światłem ze środka.

Jessie. Któż inny mógł być odpowiedzialny za wyjazd jego żony do Nowego Jorku i złamanie serca bratu? Czy kiedykolwiek zdoła choć trochę jej wybaczyć? Starał się być dla niej pobłażliwy ze względu na Kaylę, z żadnego innego powodu. Teraz jednak musiał zapomnieć w swojej dumie i poprosić ją o przysługę.

- Cześć, Jess! - zawołał przyjaźnie.

Podskoczyła na równe nogi i chwyciła się ręką za serce. Wtedy Skip wszedł na ganek i zobaczyła go w pełnym świetle. Głęboko odetchnęła.

- Jezu, o mało co przyprawiłeś mnie o atak serca.

- Nie wiedziałem, że palisz - powiedział, patrząc na papierosa, którego trzymała w dłoni.

- Nie palę. Rzuciłam parę lat temu. - Upuściła go na ziemię i zgasiła obcasem.

- Zaczyna ci się tu podobać, co?

- Nawet więcej, wrosłam tu już.

Uśmiechnął się.

- Można wywieźć dziewczynkę ze wsi... - Nie dokończył zdania. Widać było, że to nie najlepsza chwila, żeby przypominać Jessie o jej korzeniach.

Z powrotem zagłębiła się w fotelu. Zauważył, że miała na sobie kowbojskie buty. Wyglądało na to, że jej miejskie ciuchy znalazły się na samym dnie szafy. Ostatnio nie widział jej w niczym innym, jak w dzinsach i koszulkach. W niewyraźnym świetle, wyglądała tak samo jak w liceum. Zastanawiał się, czy wiedziała, że kiedyś się w niej podkochiwał i gdyby nie to, że była dziewczyną jego brata...

- Jeśli szukasz Kayli, to jest u Devon - poinformowała go. - Mają wspólną pracę domową do zrobienia, więc pozwoliłam, żeby u niej spała. - Ostatnie zdanie powiedziała, w samoobronie, jakby spodziewając się, że będzie niezadowolony, że Kayla spędza noc u koleżanki w samym środku tygodnia.

- Nie przyszedłem do Kayli - powiedział - tylko do ciebie.

- Tak? - Jessie wyglądała na zaskoczoną i nieco zaniepokojoną.

Poczuł, że jest spięty. Denerwowało go, że musiał zwracać się do niej z jakąś prośbą, bo była ostatnią osobą, która powinna się tu znajdować. Jednak poruszanie tego tematu nie miało sensu, zwłaszcza że w tej chwili miał ważniejsze kwestie do załatwienia.

- Chciałem zapytać, czy by ci nie przeszkadzało, gdybym pomieszkał przez chwilę w hotelu, dopóki nie znajdę czegoś na stałe.

- A co się stało? Mike cię wykopał? - zapytała, drażniąc się z nim.

- Nie, nic w tym rodzaju. - Skip był skrepowany poruszeniem przy niej tematu swojego brata. Obojętnie, jak bardzo czasami wkurzał go Mike, nie chciał być nielojalny w stosunku do niego.

- Jasne. To znaczy, oczywiście, że możesz tu mieszkać. Przecież to jest twój dom.

- Kiedyś był. Właściwie myślę, że nadal jest, ale teraz zasady trochę się zmieniły.

- Spojrzał na nią i zaczerpnął świeżego górskiego powietrza, zanim usiadł w wiklinowym fotelu obok niej. Słyszał było, jak za drzwiami głośno węszy Otis, chcąc koniecznie wyjść. Jego żona się wyprowadziła, ale poczuł się lepiej na myśl, że przynajmniej pies nadal chce z nim być.

- Dowiedziałem się od Kayli, że przyjeżdża do ciebie twój chłopak - powiedział, chcąc dobrze zacząć rozmowę. Jeśli mieli teraz razem mieszkać, to musiał być z nią w dobrych stosunkach.

- Co takiego? A... tak, tak, to prawda. - Wydawała się rozkojarzona.

- To nie moja sprawa, ale nie wydajesz się być szczęśliwa z tego powodu.

- To nie tak. Po prostu... - Rozłożyła ręce w geście bezradności. - Minęło trochę czasu od chwili, gdy wyjechałam, a poza tym nie najlepiej wyglądało nasze rozstanie.

- Wiem, o czym mówisz - powiedział, myśląc o Erin.

- Na początku myślałam, że spędza zbyt wiele czasu z dziećmi. Jednak ostatnio zastanawiałam się, czy prawdziwym powodem mojego zainteresowania nim nie było to, że jest nie do zdobycia. Tak czy inaczej ciągle uciekam od ołtarza. - Westchnęła, spoglądając na niego z żalem. - Pewnie myślisz sobie, że to było do przewidzenia, prawda?

Uśmiechnął się.

- Właściwie to myślałem o tym, jak kiedyś poszliśmy razem na ryby, a ty złapałaś największą. - To była najdłuższa ich rozmowa od ponad dziesięciu lat, ale szybko wrócił do starych problemów.

- Jeśli chodzi o ciebie i Mike'a - powiedział - to byłem bardziej zraniony niż wściekły, ale wtedy nie stanowiło to dla mnie różnicy, poza tym, w obecnej sytuacji

nie powinienem nikogo osądzać.

- Jednak jestem ci winna przeprosiny. - Poczł jej lekki dotyk na dłoni. -

Powinam była się chociaż pożegnać. Byłeś moim przyjacielem, a ja cię zawiodłam.

- Byłaś dla mnie nawet kimś więcej - wyznał. - Trochę się w tobie kochałem.

- Aha. - Miała tak zaskoczona minę, że na pewno niczego się nie domyślała. -

Nie wiem, co powiedzieć. Chyba mi to pochlebia. - Przyjrzała mu się badawczo. - A Erin wie?

- Powiedziałem jej, jak zaczęliśmy się spotykać. Mówiła, że nie dziwi mi się i że każdy facet o zdrowych zmysłach zakochałby się w tobie.

Jessie wyglądała na wzruszoną, ale pokręciła przecząco głową, mówiąc:

- Nie mogę uwierzyć, że nie powiedziała mi o tym. Wygląda na to, że nawet najlepsi przyjaciele nie wiedzą o sobie wszystkiego.

Popatrzył na nią. Gwiazdy były tak nisko, że gdyby stanąć na drabinie, można by je zebrać z nieba. Kiedy znowu na nią spojrział, zobaczył że Jessie z uwagą mu się przygląda.

- Tęsknisz za nią, prawda? - stwierdziła. To nie było pytanie.

Poczł, że znowu się zamyka. Jakie miała prawo wtrącać się w jego życie?

Gdyby nie ona, Erin pewnie byłaby tutaj, gdzie jest jej miejsce i mieliby wtedy okazję do ułożenia swoich spraw.

Jednak dobrze wiedział, że najbardziej wściekły był na siebie samego. Jessie to tylko kozioł ofiarny. Po chwili westchnął i powiedział:

- Tak, tęsknię za nią. - Nie było sensu dłużej temu zaprzeczać.

- Powiedz jej to - nalegała. - Któreś z was musi przecież zrobić pierwszy krok i wiesz, że Erin nie będzie tą osobą.

Kąciki ust podniosły mu się zawadiacko.

- Tak, to dość łatwy do wygrania zakład.

Jessie uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Kiedy jeszcze byliśmy dziećmi czułam się przy niej jak ostatnia oferma. Jeśli ktoś dawał jej popalić, natychmiast odwzajemniała się tym samym. Myślę, że życie ją tego nauczyło, nigdy nic nie przychodziło jej z łatwością.

- Nie poznałem jej rodziców, ale z tego, co Erin mi o nich mówiła, wynikało, że byli trochę postrzeleni.

- Uwielbiali Erin. - Jessie najwyraźniej nie chciała mówić źle o zmarłych. -

Oboje dużo pracowali, przez co Erin w młodym wieku miała już wiele obowiązków. Musiała polegać tylko na sobie. To trudny nawyk do zwalczania.

Skip wolno pokiwał głową.

- Ze mną też nie najłatwiej się żyje.

- Każdy z nas ma jakieś wady. - Jessie chciała go trochę rozgrzeszyć i był jej za to wdzięczny.

- Jednak mogłem inaczej pokierować tym wszystkim - przyznał.

Jessie z uwagą mu się przyglądała.

- Ona musi wiedzieć, że odbierasz to w ten sposób.

- Nie wiem, czy teraz jeszcze chciałaby to usłyszeć.

- Spróbuj się przekonać. Uśmiechnął się, myśląc o swoim bracie.

- Dlaczego nagle wszyscy zostali ekspertami od mojego życia i uczuć?

Jessie prychnęła.

- Proszę cię. Wcale nie jestem żadnym ekspertem, sama nadal próbuję coś zrobić z własnymi sprawami.

Zatopili się w życzliwej ciszy. Jedynymi odgłosami było cykanie świerszczy i sporadyczne skomlenie psa, dochodzące z domu. Kiedy Skip w końcu zdecydował się pojechać, Jessie wstała i odprowadziła go do samochodu.

- Jutro przywiozę rzeczy - powiedział.

Czuł się lżej, jakby ktoś zdjął z niego ciężar, który nosił przez kilkanaście tygodni. Perspektywa dzielenia dachu z Jessie nie wydawała mu się już taka straszna.

Kiedy był w połowie drogi powrotnej, zdał sobie sprawę, że może wcześniej powinien był porozmawiać z Erin o zamieszkaniu w hotelu. Teraz mogłaby odczytać to inaczej niż tego chciał, a przecież sam nie był jeszcze przygotowany na zamieszkanie na dobre w domu. Przynajmniej do chwili, kiedy będzie pewny, że w przyszłości nie będzie tego żałował.

## *Rozdział dziesiąty*

Od samego rana Jessie była cała roztrzęsiona. Za parę godzin miał przyjechać Jonathon. Ten fakt napawał ją słodko-mdlącym uczuciem, które pojawiało się na samą myśl o tym, że się pojawi. Przy śniadaniu, kiedy napełniała termosy i wlewała sok do dzbanków, wyobrażała sobie, jak Jonathon wchodzi przez drzwi i była ciekawa, jak będzie się czuła, kiedy go zobaczy. Zaleje ją radość? Czy poczucie winy, że nie był jedynym mężczyzną zaprzatającym jej myśli?

Wczoraj wieczorem poszła na cotygodniowe czwartkowe spotkanie Rady Ochrony Środowiska. Ich sprawa z powództwa cywilnego miała się rozpocząć za kilka tygodni. Kiedy Jessie słuchała Huntera, przemawiającego do setki, albo może i więcej osób - powodów w sporze, ciągle przypominało jej się to, o czym tak bardzo starała się zapomnieć przez ostatni tydzień: „Jest osobą, z którą należy się liczyć”. Jessie nie mogła zaprzeczyć, że była nim oczarowana.

Po spotkaniu przedstawiciele Rady: weterynarz Jeff Carmody, Roger Munsey z Mile High Towing, Janet Olshefsky i jej mąż Mark, Michelle Young, właścicielka Flower Mill przy Route 6, poszli razem do Murphy'ego na drinka, a Hunter zaprosił ją, żeby do nich dołączyła. Godzinę później zaskoczona rozejrzała się wokół siebie i stwierdziła, że zostali sami. Nie zauważyła, kiedy wszyscy sobie poszli.

Skończyli drinki i poszli w kierunku swoich samochodów.

- Mam nadzieję, że cię nie zanudziliśmy - powiedział Hunter, kiedy szli, a ich cienie kładły się na asfalcie.

- Czasami zapominamy, że nie każdy siedzi w tym tak długo jak my.

- Absolutnie nie - odpowiedziała. - Zawsze dowiaduję się czegoś nowego. - Nie wiedziała na przykład, że z powodu wyschnięcia strumyka mogły wyginąć dwa gatunki ptaków. - Mam tylko nadzieję, że zmieszczę wszystko na tych kilku stronach. - Czasopismo „People” dało jej wolną rękę i teraz miała tylko napisać artykuł, który wywoła poruszenie. Najlepszym scenariuszem byłoby, gdyby główna spółka Sylvan Glade - Federated Foods, chcąc uniknąć ostrej reakcji konsumentów, zdecydowała się zakończyć działalność Overby'ego. Jeśli tak by się stało, wówczas zaoszczędziłoby to Radzie miesięcy albo lat batalii w sądzie.

- Jesteś teraz naszą najcenniejszą kartą przetargową.

- Nie musiał przypominać, że znany z ciętego pióra redaktor naczelny „Willow Creek Mercury” od pierwszych dni próbował nagłośnić sprawę i kierował apele do zwolenników inwestycji, ale nic to nie dało. Natomiast nagłośnienie tematu na skalę



krajową mogło zmienić wszystko.

- Jeśli to prawda, to okaże się, że pióro jest ostrzejsze niż szpada, a może nawet spadnie kilka głów.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął w taki sposób, jakby rozumiał ją tak samo, jak ktoś bliski: nigdy nie pomyliłby jej cichej natury z pasywnością. Kiedy Jessie zobaczyła toyotę Erin, była szczęśliwa, że może grzebać w torbie w poszukiwaniu kluczyków. Miała nadzieję, że Hunter nie spostrzegł emocji, rysujących się na jej twarzy, które bez wątpienia były bardzo widoczne. Spojrzała na niego. Pochylał się nad maską samochodu i patrzył na nią z rozbawieniem.

- O co chodzi?

- O nic... - Jeszcze radośniej się uśmiechał. - Właśnie pomyślałem, że jesteś kobietą pełną sprzeczności.

- Jak to?

- Wydajesz się być bardzo niezależna, a na tyle sentymentalna, żeby nosić medalion w kształcie serca ze zdjęciem swojego chłopaka w środku. - Spojrzał na jej szyję.

Jessie zapiekły policzki. Sięgnęła po medalion. Skąd wiedział o zdjęciu? Udało mu się zgadnąć? Chcąc się bronić, powiedziała:

- Dlaczego uważasz, że to sprzeczność? Pragnę tych samych rzeczy, co wszyscy.

- Jak na przykład?

- Domu i rodziny, dobrych przyjaciół, udanej kariery zawodowej.

Przejeżdżający pick-up oświetlił twarz Huntera, podkreślając jego wyraziste rysy i błyszczące antracytowe oczy.

- A co z dziećmi? - zapytał.

- To też oczywiście. - Czowała się niezręcznie z powodu bezpośredniości tej rozmowy, więc dodała nieco lżejszym tonem:

- Jak na razie kotka zaspokaja moje instynkty macierzyńskie.

- Nie wiedziałem, że masz kota.

- Wabi się Delilah.

- Musisz za nią tęsknić. Przytaknęła.

- Szczególnie w nocy. - Tęskniła za kotką kładącą się na poduszce obok jej głowy. - Nie oznacza to, że nie lubię psów, ale spróbuj sobie wyobrazić spanie z golden retrieverem.

- Miałem kiedyś psa. Wabił się Blaze.

Jessie zaniepokojona pełnym bólu wyrazem twarzy Huntera, zapytała:

- Co się z nim stało?

- Tata go zastrzelił. Jessie była zszokowana.

- Dlaczego? Był chory, cierpiał?

Drgały mu mięśnie twarzy.

- Ojciec był pijany, a Blaze ciągle ujadał. Następnego ranka nawet nie pamiętał, że go zastrzelił. Wydaje mi się, że to dało mu do myślenia, bo po tej historii zapisał się do klubu AA. Nigdy więcej już nie tknął alkoholu. Mówił, że chce umrzeć na trzeźwo i tak się stało. - Potem powiedział, że jego ojciec zmarł dwa lata temu po długiej walce z rakiem.

Pomyślała o swoim ojcu.

- Ja straciłam ojca, kiedy miałam osiem lat.

- Co mu się stało?

- Według sekcji zwłok, to był zawał, ale... - Trzęsła się z zimna, przenikającego jej ciało; miała na sobie tylko lekką kurtkę. - Tamtego dnia byliśmy na plaży. Porwał mnie prąd i tata popłynął mi na pomoc. Nigdy nie dotarł do brzegu.

Znowu patrzył na nią w ten sposób, jakby mógł przeniknąć, co skrywała wewnątrz siebie.

- Moje plemię wierzy, że jeśli ktoś jest świadkiem czyjejś śmierci, to potem jest prześladowany przez ducha umierającego - jego *chindi*.

- Czy to źle? - W jakiś sposób pocieszała ją myśl, że duch ojca krąży wokół niej.

- Tak, bo w pewien sposób wstrzymuje cię i nie pozwala iść do przodu.

- Zakładając, że tak jest, jak można się pozbyć takiego ducha?

- Szaman, *hataali*, umie dokonać ceremonii oczyszczenia. Musiała mieć sceptyczny wyraz twarzy, ponieważ Hunter się uśmiechnął.

- Nie wierzysz w duchy? Wzruszyła ramionami.

- Chyba wystarczą ci, co są jeszcze na ziemi.

- Masz kogoś szczególnego na myśli?

- Na przykład moją matkę.

- Rozumiem - wolno pokiwał głową.

- Nawet jeśli udałoby mi się sobie wybaczyć, to i tak ona nigdy nie zrobiłaby tego. Obwinia mnie za jego śmierć.

Był zdumiony.

- Przecież byłaś wtedy małą dziewczynką.

- Małą dziewczynką, która go nie posłuchała. Wówczas zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego: zaśmiał się.

- Przyjdź kiedyś do szkoły, zobaczysz, co oznacza nieposłuszeństwo. Uwierz mi, nawet twoje najbardziej niegrzeczne zachowanie byłoby niczym w porównaniu z tym,

co wyprawiają te dzieciaki, z którymi muszę użerać się na co dzień.

Spojrzała na niego, zastanawiając się nad tym, co powiedział. Przez te wszystkie lata nosiła w sobie poczucie winy. A teraz Hunterowi udało się je zminimalizować. Zobaczyła samą siebie, kiedy miała osiem lat, i czuła potrzebę pocieszenia tej małej dziewczynki. Przecież nie chciała, żeby tamto się stało. Nie zasługiwała na ciągnącą się przez całe życie karę.

Restaurację już zamykano. W tych okolicach po zmierzchu niemal zwiłali chodniki. Parking był prawie pusty, nie licząc garstki samochodów. W tym momencie otworzyły się tylne drzwi budynku i błysnął słup światła. Wyszła roześmiana para, trzymająca się za ręce i przepychająca się nawzajem. Z wnętrza dochodziła melodia country, płynąca z szafy grającej. Piosenka mówiła o niepowodzeniach miłosnych. Jessie pomyślała o Jonathonie, jego zbliżającej się wizycie i targnęły nią sprzeczne uczucia.

- Muszę już iść - powiedziała Hunterowi. - Obawiam się, że już dawno minęła pora pójścia spać.

Hunter znowu pochylił się nad maską samochodu, nie miał zamiaru odchodzić. Wiedziała, że na nią patrzy tymi swoimi pełnymi głębi oczami, co sprawiało, że czuła się nieswojo. Na co czekał? Czego właściwie od niej oczekiwał?

Jessie znała odpowiedzi na te pytania, mogła tylko powstrzymać się od przejścia tych trzech, czterech, dzielących ich kroków. Tym razem nie skończyłoby się tylko pocałunkiem. Obróciła się, żeby otworzyć samochód, ale nagle jej palce odmówiły posłuszeństwa, a kluczyki wyslizgnęły jej się z rąk, upadając głośno na chodnik. Kucnęła, żeby je podnieść, ale Hunter był szybszy. Zgarnął je i włożył do jej dłoni. Czuła ciepło jego dotyku, rozlewające się po całym ramieniu.

- Na pewno nie chcesz, żebym odwiózł cię do domu? - drażnił się z nią, jakby piła coś innego, niż tylko colę light.

- Na pewno. - Całe szczęście, że było ciemno i nie widział jej rumieńców. Myśl o Jonathonie sprawiła, że Jessie wsiadła do samochodu.

Cofała już, kiedy zapukał w jej szybę. Odkręciła ją.

- Jadę w sobotę do rezerwatu, jeśli nie masz innych planów, może pojechałabyś ze mną?

Serce aż jej podskoczyło. Przypomniała sobie, że w ten weekend przyjeżdża Jonathon.

- Może innym razem - powiedziała ze szczerym żalem. - Przyjeżdża do mnie... przyjaciel z miasta. - Natychmiast była na siebie wściekła, że nie powiedziała, że przyjeżdża jej chłopak. Co miała do ukrycia?

- Dobra, innym razem. - Poglaskał ją po policzku, co sprawiło, że znowu zalała ją fala ciepła. - Dobranoc. - Oddalił się niespiesznie, a Jessie, targana sprzecznymi emocjami, wróciła do hotelu.

Rankiem, po nieprzespanej nocy, ciągle jeszcze nie doszła do siebie. Czy dlatego nie powiedziała nic Hunterowi, bo chciała zostawić sobie otwartą furtkę? Nie było sensu o tym myśleć, niczego się nie dowie dopóki nie spędzi z Jonathonem trochę czasu i nie zobaczy, czy coś się zmieniło i czy wmawiała sobie to, co chciała usłyszeć.

Ranek jakoś minął. Patrzyła jak goście ruszają na wycieczki, zabierając ze sobą mapki i foldery, naprawiła ciekącą rurę, która, jak się okazało, tylko się obłuzowała i wystarczyło ją przykręcić kluczem francuskim.

Siedziała w biurze nad stertą rachunków, kiedy Maria włożyła głowę przez drzwi i zapytała:

- Czy ten twój chłopak nie ma przypadkiem brata bliźniaka?

- Nie, dlaczego? - Jessie spojrzała na nią rozkojarzona. Maria wskazała na okno.

- Bo jeśli to nie jest ten, o którym myślę, to powiedz mi to zaraz, żebym mogła mu dać mój numer telefonu.

Jessie wyjrzała przez okno i zobaczyła Jonathona idącego ścieżką i ciągnącego swoją wysłużoną torbę od Marka Crossa. Wątpliwości zniknęły natychmiast, poderwała się, strącając po drodze stos papierów. Czym prędzej pobiegła otworzyć frontowe drzwi.

Padła mu w ramiona, zanim nawet powiedzieli sobie cześć. Przytulali się do siebie i całowali do chwili, kiedy nie przypomniała sobie, gdzie jest.

- O Boże, nie mogę uwierzyć, że to ty - powiedziała, kiedy w końcu się rozdzielili.

- Wiem, też mi trudno w to uwierzyć - uśmiechnął się radośnie.

Chwyliła go za rękę i wprowadziła do środka.

- Chodź, Maria umiera z ciekawości, żeby cię poznać.

Przez większość czasu Maria zachowywała się tak, jakby pytała Jessie, czy nie postradała zmysłów, zostawiając takiego faceta samego w mieście pełnym samotnych kobiet. Patrząc na niego, Jessie sama się nad tym zastanawiała. Nawet po podróży wyglądał przystojniej niż jakikolwiek inny facet. Oprowadziła go po hotelu, a potem usiedli na patio, w cieniu daszka nad ławką. Na szczęście nie było żadnych gości i mieli czas tylko dla siebie.

- Rozumiem już, co tu jest takiego pociągającego - powiedział, rozglądając się dookoła.

Na terenie wokół patio rosło mnóstwo miejscowych roślin i drzew: anemony,

kwitnące na purpurowo ruelie, dające cień jasnozielone drzewa. Nawet basen był tak zaprojektowany, że wtapiał się swoim kształtem w przyrodę. Był tam mały wodospad, spadający z ładnie zaaranżowanych kamieni. Po jednej stronie znajdowało się zadaszenie, gdzie goście mogli się schronić podczas chłodniejszych wieczorów.

- Cudownie tu, prawda? - czytała w jego oczach.

- Nie wiem, czy na twoim miejscu chciałbym wracać do Nowego Jorku. - Starał się mówić lekko, ale Jessie czuła pytanie, zawarte w jego głosie.

- Wszystko jest w porządku dopóki wymagania kulinarne kończą się na pizzy i hamburgerach, a wyobrażenie o haute couture zamyka się w dzierganych rzeczach z metką Thelmy Threads.

Tak naprawdę przyzwyczała się do wolniejszego tempa życia w Willow Creek, dostrzegała urok tego miejsca, które zastępowało jej to, za czym tęskniła w Nowym Jorku, ale Jonathon nie musiał o tym wiedzieć.

- Więc tęsknisz za modnymi knajpami i Piątą Aleją? - obrócił się do niej ze śmiechem.

- Nie mówiąc już o Popover Café, czy wyprzedaży w Barney's.

Nagle spowaźniał.

- O Boże, jak ja za tobą tęskniłem! Nawet nie masz pojęcia.

- Ja też - odpowiedziała po chwili Jessie. Coś jednak ją wstrzymywało. Nie wiedziała czy to chodzi o Huntera, czy o to, że ciągle nie w pełni ufała Jonathonowi.

Uprzejmie zapytała:

- A jak dzieci?

- Są cudowne. - Oczy mu rozbłyły. - Mówiłem ci, że Sara zaczęła uczyć się francuskiego? Wygląda na to, że bardzo lubi ten język, już nie może doczekać się wycieczki do Paryża. Poza tym drużyna Zacha wygrała szkolne zawody.

- To cudownie - powiedziała szczerze. - Musisz być bardzo dumny. - Jessie dużo myślała przez ostatnie miesiące i doszła do wniosku, że jeśli ma im się udać, musi zaakceptować wszystko, łącznie z jego dziećmi.

- À propos dzieci, Kayla nie może się doczekać, kiedy cię pozna.

- Mam wrażenie, że już ją znam - powiedział. - Erin tak dużo o niej mówi. - Spotkali się kilka razy od chwili wspólnej kolacji u Patsy'ego. Odbierała to jako dobry objaw, że Jonathon poświęca swój czas, żeby poznać jej najlepszą przyjaciółkę.

Jednocześnie poczuła ukłucie zazdrości. Jedną cechą wspólną Erin i Jonathona, która była Jessie zupełnie obca, były dzieci.

Kiedy Kayla wróciła ze szkoły, od razu było widać, że bardzo polubiła Jonathona. Stała się niezwykle pomocna i nie zniknęła jak zwykle w swoim pokoju.

Podczas gdy Jessie przygotowywała obiad, Kayla opróżniła zmywarę i nakryła do stołu. W trakcie posiłku, gdy tylko nie zasypywała Jonathona gradem pytań o jego pracę i dzieci, słuchała go jak zakłętą.

- Jest po prostu boski - powiedziała, kiedy wspólnie z Jessie zmywały, a Jonathon poszedł się rozpakować.

- Już nie mówiąc, że ma świetny gust jeśli chodzi o biżuterię. - Jessie spojrzała na srebrną bransoletkę z breloczkami od Tiffany'ego, myśląc że rzeczywiście nie mógł lepiej wybrać.

- To też. - Kayla podniosła rękę, by z bliska spojrzeć na swój prezent. - A tak serio, ciociu, jeśli za niego nie wyjdiesz, to chyba nie wiesz, co robisz.

Jessie zanurzyła ręce w zlewie pełnym mydlin.

- Zapominasz o jednej rzeczy: jeszcze nie poprosił mnie o rękę. - Wspomnienie chwili, kiedy wracając od jego rodziców poruszyła ten temat, nadal pozostawało boleśnie świeże. - A może, jeśli tak bardzo ci się podoba, to pozwodzę go, zanim ty nie będziesz na tyle duża, żeby za niego wyjść.

Kayla zrobiła głupią minę.

- Cha, cha, cha, no rzeczywiście, bardzo zabawne.

- A nie powiedziałaś przed chwilą, że jest boski?

- Jak na faceta w jego wieku.

Według Kayli każdy, kto przekroczył trzydziestkę, był w średnim wieku. Jessie się uśmiechnęła.

- No to widzę, że Brett Connors - chłopiec z klasy Kayli, którym się interesowała - nie musi się martwić, że ma konkurencję.

Kayla oblała się rumieńcem i ze zdwojoną energią zaczęła wycierać naczynia, które miała w ręku.

Później, kiedy Jessie była sama z Jonathonem, zastanawiała się, czy rzeczywiście Kayla miała rację, mówiąc, że byłaby głupia, jeśli pozwoliłaby mu odejść. Kiedy rozbierała się przed spaniem, on zbliżył się do jej pleców, obejmując ją i zanurzając twarz w jej włosach. Poczuła, że coś się w niej wyzwoliło, niczym długo wstrzymywany oddech.

- Pięknie pachniesz - wyszeptał. - Jakie to perfumy?

- Płyn do czyszczenia Lemon Pledge - poinformowała go. Nie miała czasu na ubieranie się i spryskanie perfumami. - Jestem szczęśliwa, jeśli znajdę chwilę na poranny prysznic.

- Jeszcze nigdy nie wyglądałaś tak pięknie - powiedział obracając ją w ramionach i patrząc jej w oczy. - Nie wiem, co robisz, ale zdecydowanie ma to na ciebie po-

zytywny wpływ.

Patrząc na roześmiany wzrok Jonathona, poczuła gułę w gardle. Nie zrobił nic, za co mógłby się wstydzić - widziała to w jego oczach, a ona...

Splonęła rumieńcem na samo wspomnienie pocałunku z Hunterem.

Leżeli już nadzy pod kołdrą, a Jessie na nowo oswajała się z jego ciałem. Przesuwała ręką od klatki piersiowej do linii włosów na brzuchu. Smakowała go, a kiedy tylko pojawiła jej się myśl o Hunterze natychmiast ją odepchnęła, nie chcąc psuć sobie tej chwili.

Kiedy się kochali myślała o tym, czy inny mężczyzna mógłby dać jej to, czego nie był w stanie zapewnić jej Jonathon. Znał jej ciało lepiej niż ktokolwiek inny. Wiedział, co ma robić, żeby ją zadowolić, gdzie i jak dotykać. Kiedy oboje w tym samym momencie mieli orgazm, było to swoistym przypieczętowaniem ich związku. Jonathon też musiał odczuwać to w ten sposób, bo chwilę później, kiedy leżała w jego ramionach, wyszeptał jej do ucha:

- Wyjdź za mnie.

Jessie zamarła.

- Czy to były oświadczyzny? - zapytała, obawiając się, że po udanym seksie Jonathonowi wyrwało się to zapytanie.

- Owszem. - Oparł się na łokciu i popatrzył jej głęboko w oczy. Donośnym, czystym głosem, zapytał bardziej uroczyście: - Jessie Holland, czy zostaniesz moją żoną?

Jessie nie wiedziała, co powiedzieć. Tak bardzo nie mogła się tego doczekać, a jednocześnie nadal ogarniały ją jakieś wątpliwości. Nie chodziło o niego, ale o to, czy to było właśnie to, czego chciała.

Czuła jednak jakąś niepohamowaną radość.

- Nie myślałam, że będę goła podczas oświadczyzn - powiedziała ze śmiechem.

Odwzajemnił jej śmiech.

- Wolałabyś, żebym poczekał, aż się ubierzesz?

- To zależy od tego, czy planujesz jeszcze mnie uwieść - odparła, bawiąc się jego włosami na piersiach.

Na twarzy Jonathona pojawił się uśmiech.

- Daj mi minutę, a to zrobię. - Opadła na materac z westchnieniem, wtuliła się w niego i bezmyślnie wpatrywała w sufit, kiedy dodał: - Jak wrócisz, pójdziemy po pierścionek. Nie chciałem ci kupić takiego, który by ci się nie podobał.

Jessie poczuła się lekko rozczarowana; jakby w ogóle mógł jej się nie podobać pierścionek, wybrany dla niej przez Jonathona!

Była to dziecinna reakcja. Jakie to miało znaczenie?

Dopiero, kiedy kochali się po raz kolejny, zdała sobie sprawę, że właściwie nie powiedziała: „Tak”. Już zasypiała, kiedy Jonathon zapytał:

- No i co, warto było?

- Co? - uniosła głowę i zerknęła na niego.

- Dostałaś to, co chciałaś?

Musiała chwilę się zastanowić zanim zrozumiała, że miał na myśli zamianę miejsc z Erin.

- Nawet nie jestem pewna, czy wiem, czego szukałam - odpowiedziała sennie. Na pewno nie oczekiwała, że tu trawa będzie bardziej zielona. - Ale... - Przypomniała sobie zdziwienie Kayli, kiedy pierwszy raz umalowana, przejrzała się w lustrze. Ten widok był wart wszystkich sklepów, muzeów trzygwiazdkowych restauracji na Manhattanie razem wziętych. Pomyślała również, jak spokojne były te poranne godziny, kiedy w domu panowała jeszcze absolutna cisza i słychać było jedynie śpiew ptaków przycupniętych na dachu, pomyślała też o ludziach z wszelkich możliwych miast i zakątków kraju, których inaczej nigdy by nie poznała. - cokolwiek by to było, to coś na pewno znalazło mnie.

- Czy to oznacza, że się zastanawiasz, czy mnie poślubić? - drażnił się z nią.

- To, że nie płaczę za tobą całymi dniami nie oznacza, że strasznie za tobą nie tęsknię - odparła.

- Myślałem o świętach Bożego Narodzenia - powiedział, ale Jessie nadal była zamyślona.

- Hm? - Starła się mieć otwarte oczy.

- Byłby to dobry moment na ślub.

- Czy musimy mówić już o dacie ślubu? - Myślała jak ciężko będzie Erin i Kayli przeżyć ten okres.

- Oczywiście, że nie. Mamy mnóstwo czasu - odpowiedział. - Tak tylko sobie myślałem.

- Kiedy planujesz powiedzieć to dzieciom? - zapytała ostrożnie.

- Pomyślałem, że poczekamy do twojego powrotu.

Była pewna, że ich entuzjazm po usłyszeniu tej wiadomości będzie równy reakcji na wiadomość o epidemii węgliką. Zresztą tak samo pewnie zareagują jego rodzice.

Ale dlaczego martwiła się tym w tej chwili? Nie chciała psuć tego momentu.

Cokolwiek by się działo, stawi temu czoła.

Następnego ranka, ku wielkiej uciechu żeńskiej połowy gości, Jonathon pomagał jej serwować śniadanie. Zaraz potem zostawili Marię w hotelu, a sami poszli się



wspinać na Thumb Butte. Byli tam dopóki upał nie zmusił ich do powrotu do klimatyzowanego samochodu. Pojechali też pospacerować po miasteczku, gdzie Jessie pokazywała mu różne ciekawe miejsca: imponujący dziewiętnastowieczny gmach sądu, zbudowany z miejscowego granitu, landrynkoworóżowy dom w stylu wiktoriańskim, wyglądający jak wyrzeźbiony z piernika, w dobrych czasach miasteczka będący burdelem, remizę strażacką i znajdujący się tam powóz, który na corocznej paradzie z okazji święta Czwartego Lipca obowiązkowo był zaprzęgany i jeździł po Main Street.

Zjedli lunch w Dinner Bell Cafe, wstąpili na lody w waflu do Sundae Times, po czym przeszli na drugą stronę ulicy, by usiąść na ławce i je zjeść. Patrząc na dzieci ganiające się wokół fontanny, Jessie, cała rozpromieniona, wyobrażała sobie, jak z Jonathonem będą mieli swoje dziecko. To z kolei przypomniało jej, że obiecała mamie odwiedziny, żeby Beverly miała okazję poznać Jonathona. Jessie miała nadzieję na to, że nie będzie tego żałować.

Kiedy przyjechali, Beverly była wprost czarująca. Jonathon bardzo jej się spodobał i w pewnym momencie Jessie mogłaby przysiąc, że matka z nim flirtuje. Siedzieli w rattanowych fotelach na ganku, sącząc lemoniadę, a Beverly opowiadała o swojej ostatniej wyprawie z Gay na degustację win w regionie Napa.

- Naprawdę nie wiem, co mi strzeliło do głowy żeby kupić skrzynkę szampana - powiedziała, potrząsając głową. - To naprawdę niemądre. Ja przecież ostatnio w ogóle się nie bawię. - Jessie wciąż jeszcze nie wspomniała o swoich zaręczynach. Poczekała, aż matka skończy opowiadać i oświadczyła:

- Mamo, my właśnie z Jonathonem... - Nagle powróciło do niej wspomnienie o ucieczce przed ołtarza.

Pamiętała wściekłość Beverly, kiedy w końcu do niej zadzwoniła i to, jak groziła, że ją wydziedziczy, że spotka ją kara za to, co zrobiła i za jej egoizm. Zabijasz mnie, tak jak zabiłaś i ojca! - krzyczała. Po odłożeniu słuchawki, Jessie wyglądała jakby zobaczyła ducha, mówiła później Erin.

Jonathon, czując jej zdenerwowanie, przyszedł z pomocą.

- Zaręczyliśmy się - obwieścił i chwycił Jessie za rękę.

- Nie ustaliliśmy jeszcze daty ślubu, ale pomyśleliśmy, że najpierw porozmawiamy o tym z panią.

Błogi uśmiech podkreślił zmarszczki na twarzy Beverly.

- O Boże! Ślub. - Położyła dłoń na piersi, próbując odpiąć guzik bluzki, jakby nie wierząc w to, co właśnie usłyszała. Jej zbłąkana córka po tylu latach bierze ślub.

- Wiem, wyprawię wam przyjęcie. Przyjęcie zaręczynowe. Trochę bez

uprzedzenia, ale mam nadzieję, że moi przyjaciele odwołają wszystkie swoje plany.

Mam już szampana.

- Jonathon zostaje tylko do poniedziałku - przypomniała jej Jessie.

- W takim razie nie mamy czasu do stracenia. Co powiecie na jutrzejszy wieczór?

- Już mamy plany na jutro. - Jessie nie mogła przestać myśleć, jak niewdzięcznie musiało to zabrzmieć.

Uśmiech Beverly zgasł. Było jej przykro.

- Czy może być coś ważniejszego niż uczczenie waszych zaręczyn?

Jessie poczuła się winna, ale jednocześnie pełna urazy. Kiedy była z Beverly, powracała do chwili, gdy miała dziesięć lat i nienawidziła matki tak samo zapalczywie, jak bardzo chciała się jej przypodobać, co z kolei było niewykonalne. Nawet jeśli Jessie robiła to, co chciała Beverly, to i tak nigdy nie było dobrze.

- Nie chodzi o to, że nie doceniamy twojej propozycji - powiedziała bez ceremonii; nie miało to nic wspólnego z próbą przypodobania się matce.

Beverly wyglądała, jakby miała coś powiedzieć, ale Jonathon powtórnie pospieszył na ratunek.

- To bardzo miłe z pani strony, pani Holland, ale jestem przekonany, że moi rodzice również chcieliby tu być, a ja nie chciałbym ich rozczarować. Czy możemy to odłożyć?

Beverly wyglądała na udobruchaną.

- Tak, oczywiście. Nie pomyślałam o pańskiej rodzinie. To niemądre z mojej strony.

Jessie poczuła ulgę. Udało się.

W drodze powrotnej do hotelu, Jonathon powiedział:

- Nie zastrzel mnie za to, co powiem, ale polubiłem ją. Na pewno nie jest potworem, którego spodziewałem się spotkać.

- To wrażenie było obopólne - odparła Jessie poirytowana, że tak łatwo zjednał sobie matkę, podczas gdy jej po tylu latach udało się osiągnąć jedynie zawieszenie broni.

Po chwili milczenia dodał:

- Chyba jakoś przeżyłabyś to przyjęcie. Przecież chciała dobrze.

- Chciała wyprawić to przyjęcie, żeby móc się pokazać znajomym. To nie ma nic wspólnego ze mną czy z tobą, jeśli ma to jakieś znaczenie.

Uniósł brew.

- Nie jesteś zbyt surowa?

Jessie zamilkła. Ma rację, pomyślała, czując się podle.

- No tak, mogłam być nieco miłsza. - przyznała z ociąganiem. - Jonathon był w stanie ujawnić najlepsze cechy Beverly, a Beverly u Jessie wywoływała to, co najgorsze.

- Nadrobimy to. - Uspokajająco pogłaskała ją po dłoni. Jessie uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, ale zastanawiała się, po czyjej właściwie stronie stoi Jonathon.

Następnego ranka pojechali do Sedony i dwie godziny później byli już w miasteczku pełnym turystów i sklepów z pamiątkami, które pamiętała z dzieciństwa. Zatrzymali się tylko na chwilę, żeby kupić kanapki i ruszyć dalej, bocznymi drogami, ciągnącymi się pośród czerwonych skał, takich, jakimi je pamiętała. Zatrzymali się, by zrobić piknik na skarpie, z której rozciągał się widok na kanion w kolorach umbry, oranżów i fuksji.

Już zmierzchało, gdy wrócili do hotelu. Jessie była zmęczona, lekko spieczona słońcem i marzyła tylko o tym, żeby położyć się do łóżka. Jednak w chwili, gdy weszła do hotelu z wyrazu twarzy Marii wyczytała, że nie będzie sobie mogła na to pozwolić.

Poszły do biura i Maria zamknęła drzwi.

- Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale nie udało mi się. - Widać było, że stało się coś dużo poważniejszego, niż tylko pęknięcie rury czy problemy z prądem. - Hunter został aresztowany.

- Co takiego? - Jessie patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Był jakiś wybuch w stacji pomp Burta Overby'ego - poinformowała ją Maria. - Dzięki Bogu nikomu nic się nie stało, ale wybuch był potężny. Według śledczych, wszystko wskazuje na Huntera.

- To idiotyczne - krzyknęła Jessie. Maria była równie oburzona.

- Wiem, ale z tego, co mówiła moja siostra nie wygląda to najlepiej. - Jessie przypomniała sobie, że siostra Marii, Jennifer, była dyspozytorką na policji. - Na miejscu znaleźli odciski palców, które zgadzają się z jego odciskami.

Jessie, czując, że uginają się pod nią kolana, osunęła się na pobliskie krzesło.

- O Boże! - Myślała o dniu, kiedy kręcili się po posesji Overby'ego. Czy od tego momentu padał deszcz? Nie, pamiętałaby przecież. O tej porze roku opady zdarzały się niezwykle rzadko.

Kiedy mogła już wstać, poszła szukać Jonathona. Znalazła go w kuchni. Nalewał sobie szklanek mleka.

- Coś nagłego mi wyskoczyło - powiedziała mu. - Nie obrazisz się? Niedługo będę z powrotem.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał.

- Nie, najlepiej będzie jak sama pojedę. - Była wdzięczna, że nie dopytywał się, o

co chodzi. Może myślał, że to jakiś nagły przypadek z gościem. - Jak wrócę, wszystko ci opowiem - obiecała, kierując się do wyjścia.

Dwadzieścia minut później przyjechała do komisariatu policji, o tej porze zwykle zatopionego w ciszy. Teraz było tu pełno ludzi, przynajmniej z tuzin przyjaciół Huntera, których kojarzyła ze spotkań Rady. Stało też kilka wozów policyjnych z migającymi kogutami.

Zobaczyła Linka Woodhouse'a, oddalającego się od policjanta, z którym najwyraźniej wdał się w ostrą wymianę zdań.

- Co się stało? - zapytała.

- Właśnie mówiłem temu młodemu pętakowi - powiedział Link, pokazując palcem na wściekłego policjanta, a jego białe włosy powiewały mu wokół głowy jak pierze z poduszki - że dobrze byłoby tak temu staremu draniowi, jeśli rozleciałby się w drobny mak. Jedynym powodem, dla którego dziękuję Bogu, że tak się nie stało, jest to, że jeszcze bardziej zaszkodziłoby to naszemu dzielnemu chłopakowi.

Pomyślała sobie, że Link wiele widział podczas swojej czterdziestoletniej pracy jako naczelny „Merkury'ego”, a nic go tak nie zdenerwowało, jak ta sprawa. Przekazał jej to, co wiedział: - Eksplozja nastąpiła wskutek uaktywnienia się urządzenia czasowego, czyli musiał to zrobić ktoś, kto znał się na materiałach wybuchowych. Chociażby to, według niego, wykluczało winę Huntera. Huntera obciążało, że jakoby Overby, kilka tygodni temu, złapał go na łamaniu zakazu przekraczania granic swoich posiadłości.

Jessie zrobiło się ciepło, a jednocześnie poczuła ulgę, że jej rola w całym incydencie była znikoma.

- Będzie potrzebował prawnika.

- Stew już jest w drodze.

Stew McCall był adwokatem, specjalizującym się w sprawach cywilnych.

- Mam tylko nadzieję, że Stew sobie poradzi - powiedziała, myśląc, że bardziej przydałby się ktoś od prawa karnego.

Link odpowiedział z błyskiem w oku:

- Hunter umie się o siebie troszczyć. Jestem prawie pewien, że jeszcze wykorzysta tę sprawę na swoją korzyść.

Link odszedł na parking, mrucząc coś pod nosem, a Jessie podeszła do tłumu kłębiącego się przed wejściem. W komisariacie siedział policjant, notujący coś zawzięcie.

- Jest pani jego prawnikiem? - zapytał znudzonym głosem, kiedy poprosiła o widzenie z Hunterem. Odpowiedziała mu, że nie jest.

- Przykro mi, nie mogę pani pomóc.

Jessie już miała odejść, ale nagle obudził się w niej instynkt dziennikarski.

Pochyliła się nad biurkiem.

- Jestem dziennikarką. Piszę artykuł dla „People”. - Teraz już był bardziej zainteresowany. Sięgnęła do torby po notatnik i długopis. - Proszę mi podać swoje nazwisko, panie oficerze. Chcę się upewnić, że dobrze zapisałam.

W mgnieniu oka jego zabojętnienie gdzieś uleciało. Nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

- Purdy - odpowiedział, prostując się. - Thomas Jefferson Purdy, ale wszyscy mówią do mnie Jeff. „People”, no nieźle. Ale będzie, jak moja żona o tym usłyszy...

Za chwilę pan oficer Purdy osobiście eskortował ją korytarzem wzdłuż cel, z których tylko jedna, ta na końcu, nie była pusta. Hunter skoczył na równe nogi.

- Masz towarzystwo - obwieścił mu Purdy, otwierając celę i wpuszczając Jessie do środka.

- Przyszłam, jak tylko się dowiedziałam - powiedziała. Pokiwał głową. Wyglądał na zadowolonego, że ją widzi.

Wskazał na pryczę i usiedli na niej razem.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, dotykając jego ręki, by upewnić się, że nic mu nie jest.

- Jakoś przeżyję. - Westchnął, ale na jego twarzy widać było ślady tych okropnych wydarzeń.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała, potrząsając głową z niedowierzaniem.

- Ja też nie.

- To nie ma sensu.

- Ma, jak się głębiej nad tym zastanowisz. - Usta wykrzywił w wymuszonym uśmiechu. - Jestem do tego idealnym facetem. Właściwie to nie zdziwiłbym się, że stary ukartował to wszystko, żeby mnie obarczyć winą za przestępstwo.

- Naprawdę myślisz, że posunąłby się aż tak daleko? - powiedziała przyciszonym głosem, żeby nie usłyszał jej stojący przed celą Purdy.

Hunter siedział z opuszczonymi rękami.

- Nie. - Po raz pierwszy od ich spotkania wyglądał na załamane.

- Masz jakiś pomysł kto za tym stoi?

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie mam pojęcia. Jedynymi wariatami, którzy byliby zdolni to zrobić, jedyni, którzy przychodzą mi do głowy, są ci z organizacji FWZ. - Front Wyzwolenia Ziemi był znany ze stosowania terrorystycznych metod. - Tylko o ile wiem, to nie mają z tą

sprawą nic wspólnego.

- Co teraz będzie?

- Dowiem się czegoś więcej jak dotrze tu mój prawnik.

- Myślisz, że uda mu się załatwić wyjście za kaucją?

- Możliwe, ale to i tak nie ma znaczenia, bo jestem spłukany. - Szczeka Huntera zacisnęła się mocno, co Jessie odebrała, jako wyzwanie.

- No już, nie martw się tak - powiedział, próbując się uśmiechać. - Myślałem trochę o tym i doszedłem do wniosku, że nawet może się to do czegoś przydać.

Potrzebujesz przecież jakiegoś punktu zaczepienia do artykułu, a co może być lepsze niż ta sprawa? Szlachetny Indianin, walczący o swoją ziemię, oskarżony przez białego człowieka o przestępstwo, którego nie popełnił.

Okazał się sprytniejszy, niż to się Jessie wydawało. Był tylko jeden szkopuł.

- A co się stanie, jeśli prokurator nie kupi tego, że jesteś niewinny?

- Zobaczymy. Pomyślała jeszcze o czymś.

- Artykuł nie ukaże się w ciągu najbliższych tygodni. Aż tak długo zamierzasz tu zostać?

- Po kilku dniach protestów, nie mówiąc już o sensacyjnych artykułach Linka, wypuszczą mnie. Tymczasem, jeśli dobrze rozegramy tę partię, to zdobędziemy wszystkie gazety, stacje radiowe i telewizyjne na zachód od Missisipi i jak mówi Link: „przyssiemy się jak kleszcz do charta”.

- Mówiąc „my”, domyślam się, że masz na myśli mnie - powiedziała z wahaniem.

- Przecież sama mówiłaś, że pióro jest ostrzejsze niż sztylet.

- Ale na twoim miejscu nie stawiałabym na szali swojego życia.

- Na szali znajduje się dużo więcej niż tylko moja szlachetna czerwona skóra.

- Jesteś szalony, wiesz o tym?

- Tak mówią.

Oficer Purdy głośno chrząknął. Kiedy Jessie wychyliła się, zobaczyła, że wskazywał na zegarek.

- Muszę już iść - zwróciła się do Huntera, nie mogąc zebrać się do wyjścia.

- Tak, wiem, nie chcesz, żeby twój chłopak dłużej czekał. - Mówił lekko, ale Jessie zrobiło się ciepło.

No oczywiście - pomyślała sobie. Nie trzeba było być geniuszem, żeby się domyśleć, że to Jonathon był jej „przyjacielem” z miasta. Teraz jeszcze dodatkowo zawstydził ją fakt, że nadal nie była szczerą w swoich uczuciach. Kobieta, która zatajała tak znaczące informacje, zostawiała sobie otwartą furtkę.

- Powinnam była ci powiedzieć. Ja po prostu... - urwała, zdając sobie sprawę, że w ten sposób tylko pogarsza sprawę.

- Nie musisz się tłumaczyć. - Nie był rozgoryczony, tylko zrezygnowany.

Kiedy odchodziła, zdała sobie sprawę z tego, że nawet teraz nie była z nim całkiem szczerą. Zapomniała powiedzieć o najważniejszej kwestii: że ona i Jonathon są zaręczeni.

## *Rozdział jedenasty*

Pierwszy tydzień nagrań był tak napięty, że Erin nawet nie miała czasu na tremę. Każdego ranka kręciła dwa odcinki, a po przerwie na lunch spędzała całe popołudnie na spotkaniach z producentem programu i kluczową osobą z działu kulinarnego, żeby przedyskutować kolejne dwa odcinki z następnego dnia. W poniedziałek zrobiła swoje popisowe cytrynowe naleśniki z serem ricotta, które zawsze zachwycaly wszystkich hotelowych gości, a w drugim odcinku bananowo-orzechowy chlebek. We wtorek była szarlotka cioci Sally, której sekret polegał na dodaniu w odpowiednim momencie łyżeczki melasy, a potem ulubione czekoladowe ciasto Skipa. W środę porwała się na zrobienie tradycyjnego chleba z mąki kukurydzianej, a następnie na ciasteczka owsiane z kawałkami czekolady. Ich przygotowanie Erin zaczęła od opowieści o tym, jak kiedyś przez przypadek upiekła je nie z mąki, a z proszku z okrzemków, używanego do basenowego filtra. Oba produkty stały obok siebie w niemal identycznych beczkach. Jak można się domyślać, ciasteczka z proszku z okrzemków wyszły twarde jak skała.

Pod koniec tygodnia zrobiła bardzo duży krok naprzód w swojej pracy. Gotowanie przed kamerami było dla niej niemal tak naturalne jak gotowanie we własnej kuchni. Zdała sobie sprawę, że nie chodziło wcale o uczucie spełnienia, czy bycie gwiazdą, tylko o czystą przyjemność.

Nawet Latrice wydawała się zadowolona. Dała Erin kilka rad, ale potwierdziła, że jest na właściwej drodze. W piątek, po całym dniu pracy, Erin wróciła do domu tak optymistycznie nastawiona do świata, jak jeszcze się nie zdarzyło od chwili jej przyjazdu do Nowego Jorku.

Kiedy skręcała już w swoją ulicę, zza rogu budynku, w którym mieszkała Jessie, zobaczyła siedzącego na schodkach mężczyznę i leżący obok niego marynarski worek. Nie widziała jego twarzy, przysłoniętej mapą, którą uważnie studiował. Było w nim jednak coś znajomego. O Boże, czy to możliwe? Serce zaczęło jej bić jak opętane. Zaczęła biec w jego stronę jak na skrzydłach. Kiedy już była na tyle blisko, żeby się

upewnić, że to on, zawołała:

- Skip!

Podniósł głowę i wstał. Miał na sobie koszulę w kratkę z długim rękawem, którą Erin prasowała niezliczoną ilość razy.

- Co tu robisz? - wysapała. - Dlaczego nie uprzedziłeś mnie, że przyjeżdżasz?

Uśmiechnął się, ale wyglądał na zmieszanego.

- Bałem się, że powiesz mi, żebym nie przyjeżdżał.

- Masz rację, pewnie tak by było. Nie oznacza to jednak, że nie cieszę się z twoich odwiedzin. - Uśmiechała się rozanielona. Tylko to mogła zrobić, żeby nie paść mu w ramiona. - Co u Kayli?

- Wszystko dobrze. Przesyła ucałowania.

Erin stała jak zakłęta, patrząc na Skipa i nie mogąc uwierzyć, że to on, a nie jakaś zjawka. Za co byli na siebie tak wściekli? - W tym momencie nie miało to żadnego znaczenia.

Skip przerwał milczenie, mówiąc:

- Myślałem, że zaprosisz mnie do środka.

Erin szła do mieszkania Jessie. Kiedy pokazywała je, robiła wszystko, żeby w żaden sposób nie dać mu odczuć, że czuje się tu zadomowiona. Nawet zażartowała, jak bardzo jej sposób życia różni się od sposobu życia Jessie. Nie chciała, żeby wiedział, jak przytulne uwiła sobie gniazdko. Powiedział tylko, że mieszkanie musi wydawać się malutkie w porównaniu z tym, do czego przywykła. Dopóki nie zobaczył kota zwiniętego w kłębek na łóżku, w ogóle nie wydawał się nim zainteresowany.

- O proszę, pani domu - powiedział, drapiąc kotkę za uchem. Delilah mruczała z rozkoszy, kolejna samiczka, która uległa jego urokowi.

- A co w domu? - zapytała, kiedy siedzieli na kanapie, sącząc wino.

- Dobrze, jak się domyślasz - odparł.

Jakież to było dziwne, widzieć go w tym otoczeniu. Wyglądał na kowboja, zagubionego na tureckim bazarze, wśród wszystkich tych haftowanych poduszek, etnicznych kubków i ozdób na ścianie.

- Co Kayla powiedziała na twój przyjazd do mnie?

- Że ma nadzieję, że się nie pozabijamy.

Ton jego głosu wydawał się lekki, ale jej wcale nie było do śmiechu. Pomyślała o kłótniach, których świadkiem była Kayla, o wspólnych, pełnych milczenia posiłkach, będących katorgą dla nich wszystkich. Najgorsze, że niechcący wyrzuciła swojej córce krzywdę, a to ostatnia rzecz, jaką chciała zrobić.

Jednak to było kiedyś, a teraz jesteśmy tu - powiedziała sobie. Siedząc obok



swojego męża, w całkiem obcym mieście, miała nadzieję, że jeszcze wszystko można zacząć od nowa.

Już miała mu opowiedzieć o swoim zastępstwie na antenie, kiedy zza drzwi naprzeciwko zaczęły dobiegać podniesione głosy. Sąsiedzi Jessie, Hendersonowie, znowu się kłócili. Erin wskazała palcem na ścianę.

- Nie skaczą sobie do gardeł tylko wtedy, gdy są w pracy - powiedziała Skipowi.

- O co tak walczą? - zniżył głos, jakby tamci mogli coś usłyszeć.

- Ciągle o to samo. - Już wcześniej słyszała to i owo, więc miała wyobrażenie, o co mogło chodzić. - Z tego, co zdążyłam się zorientować, ona ciągle jest zazdrosna. Zarzuca mu, że jest flirciarzem. On oczywiście zaprzecza i mówi, że ona chyba cierpi na paranoję.

- Gdzie ja to wcześniej słyszałem? - zapytał zaczepnie, ale Erin się obruszyła.

- Nie oskarżyłam cię o zdradę. Tylko się zapytałam. A to jest różnica.

- No to chyba pamięć płata mi figle - uśmiechnął się, jakby chcąc powiedzieć, że w jego słowach nie było żadnej uszczypliwości. - Przypominam sobie kogoś, kto przyjechał za mną do Murphy'ego i oskarżał o jakieś niestworzone rzeczy.

- To ty za mną szedłeś. Ja zmierzałam do wyjścia.

Uśmiech Skipa zgasł, kiedy odstawiał swój kieliszek na stolik kawowy.

- Erin... - Aż zeszywniała na ponury ton jego głosu. *Błagam, nie mów tego* - modliła się w duchu. Jeśli miał jej powiedzieć, że poszedł do łóżka z inną kobietą, nie było mowy o pogodzeniu się. - Przyjechałem tu, bo są pewne sprawy, o których nie można mówić przez telefon. Chciałem ci powiedzieć, że miałem czas to przemyśleć i ... - nagle urwał, a jego oczy nienaturalnie zmieniły kolor. - Nie chcę wszystkiego skreślać tylko dlatego, że coś się zepsuło.

- O rany, Skip. - Poczwała, jakby ktoś zdjął jej ciężar z serca i dzięki temu znowu mogła swobodnie oddychać. - Ja też o tym myślałam. Chciałam ci to powiedzieć, ale za każdym razem, jak rozmawialiśmy przez telefon... - Wyciągnął rękę, żeby chwycić ją w ramiona, ale łagodnie go odepchnęła. - Nie. Musisz to usłyszeć. Byłam idiotką, że stanęłam na twojej drodze. Nie wiem, gdzie miałam oczy i jak to się stało, że nie widziałam, że za cokolwiek się zabierzesz, to wszystko ci wychodzi. Nie było dnia, żebym nie pragnęła cofnąć czasu i każdego cholernego wypowiedzianego przeze mnie słowa. - Chciało jej się płakać, ale się powstrzymała. - Oboje byliśmy uparci jak osły. - Erin śmiała się przez łzy. - Czy teraz będziemy się spierać, kto był bardziej uparty?

Wziął jej rękę w swoje, poczuła znajome ciepło i miała wrażenie, że odzyskała coś, co wydawało jej się bezpowrotnie utracone.

- Chciałbym ci coś powiedzieć. - Miał błyszczące oczy i nie spuszczał z niej

wzroku. - Nigdy nie przestałem cię kochać. Wiem, że gdzieś to się zatarło w wirze tych wszystkich wydarzeń, ale nigdy nie wątpiłem w miłość do ciebie.

Łzy spływały Erin po policzkach. Nie była w stanie nic powiedzieć.

- Pamiętasz jak żartowaliśmy, że jeśli będziemy się rozwodzić, to wezmę cię jako moją część majątku. Tak było. - Jeszcze bardziej ścisnął dłonie Erin. - Czy możemy wrócić do tego, jak było na początku? Czy myślisz, że to jeszcze możliwe?

Ich cienie ginęły w zmierzchającym świetle. Na ulicy włączono latarnie. Było tak cicho, jakby świat zamarł na chwilę: nie było słychać ruchu ulicznego, z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki. Nawet Hendersonowie zamilkli.

Skip wstał i mocno przytulił ją do siebie. Na początku miała wrażenie, że nie może się już w niego wpasować. Potem dopasowali się do siebie, jak puzzle, stali się jednością. Wziął w dłonie jej głowę, przeciągnął palcami po włosach i przywarł swoimi ustami do jej ust. Już od pierwszego pocałunku wiedziała, że jest tym jedynym. - Jej ciało mówiło to samo. Tak czuła się i w tej chwili; przeszedł ją ten sam miły dreszcz. Ale jednak czuła jakiś ból. Tak bardzo nawzajem się zranili. Potrzeba będzie czasu, żeby go zwalczyć.

Jego wargi wędrowały w dół jej szyi, koniuszkiem języka dotarł do zagłębienia, znajdującego się u nasady. Znał każdy z zakamarków jej ciała. Miejsce między żebrami, gdzie miała łaskotki, wiedział że lubiła, gdy całuje ją za uszami. Niektórzy znajomi Erin narzekali, że znudził ich już małżeński seks, ale u Erin było wręcz odwrotnie: z każdym mijającym rokiem, ich życie intymne było coraz bardziej udane, coraz lepiej wiedzieli, jak sprawić sobie rozkosz. Nawet gdy była wściekła na Skipa, nigdy nie przestawała go pragnąć.

Znaleźli się w przedpokoju, brakowało im tchu, jak nastolatkom, zatrzymywali się co rusz i znowu całowali. Kiedy w końcu doszli do sypialni, wokół nich na podłodze urosła sterta ubrań. Padli na łóżko, a on aż wstrzymał oddech, kiedy dotknęła go swoimi zimnymi stopami. Uwielbiała, kiedy Skip zamiast cofać się przed zimnem, pozwalał ogrzać jej stopy o swoje. Zawsze to lubiła, nie tylko w środku zimy. Tuląc się do siebie, leżeli bez ruchu, Skip głaskał ją po plecach. Erin leżała z głową na jego piersi, wdychając znajomy zapach i czując się jak w domu. Znowu zaczął ją całować, a ona czuła, że znów wpada w przepaść rozkoszy.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy tak zachłannie się kochali. Tak było zaraz po ślubie, kiedy nie byli w stanie się od siebie oderwać i nie mogli czekać nawet godziny: kiedyś robili to w łazience dla gości u jego rodziców, kiedy Hugh i Paula wnosili obiad na stół. Teraz, kiedy czuła, że już dochodzi, owładnęło ją uczucie straty. Chciała, żeby to trwało trochę dłużej i żeby to uczucie nigdy nie wygasło.

Rozpłakała się.

- No już. Jestem tu - uspokajał ją Skip.

Ona jednak nie mogła przestać szlochać. Płakała nad każdą samotnie spędzoną chwilą i nocą, kiedy zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek Skip wróci do domu. Płakała też z ulgi, wiedziała, że jeszcze nie jest za późno i że Bóg dał im jeszcze jedną szansę. Kiedy już nie mogła płakać, głęboko westchnęła. Opanował ją błogi spokój i pomyślała, że jako dziecko właśnie tak musiała się czuć w matczynych ramionach.

- Przepraszam, zupełnie nie wiem, co mi się stało.

- Ja chyba wiem. - Brzegiem prześcieradła delikatnie otarł jej policzki z łez.

- Jak długo możesz zostać?

- Do końca weekendu. W poniedziałek mam samolot. Mike i tak dał mi już kilka dni wolnego. Nie chcę tego nadużywać.

- A jak się dogadujecie? - Kiedy Skip wyprowadził się od Mike'a i zamieszkał w hotelu, napełniło to Erin ostrożnym optymizmem. Teraz musiała tylko się dowiedzieć, czy Skip tam będzie, jak ona wróci.

- Czasem są trudniejsze momenty, ale on jest moim bratem, musimy jakoś trzymać nerwy na wodzy.

- Ciągłe chcesz znaleźć dla siebie jakieś inne lokum? - dzielnie się trzymała.

Skip milczał przez chwilę, a potem z wahaniem odpowiedział:

- Na razie się wstrzymam. Mam nadzieję, że nie będę musiał niczego szukać.

Nagle zapragnęła utwierdzić go w tej decyzji.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedziała.

- Nie będzie to jednak proste. - Nie musiał dodawać, że nie dość, że trzeba było wszystko poskładać, to jeszcze musieli znaleźć sposób, by znowu wszystko grało.

- Wiem - westchnęła, czując ulgę, a jednocześnie wiedząc, że czeka ich ciężka praca.

Chwilę później ze świadomością, że jest bezpieczna... przynajmniej teraz, zasnęła przytulona do niego.

Większość poranka spędzili w łóżku. Kiedy wyszli do miasta w piękny wiosenny poranek, było prawie południe; o takim nowojorczyki marzą przez całą zimę. Pojechali metrem do Village, tam poszli na kawę, a potem postanowili się przejść i pozwiedzać okolice. Skip po raz pierwszy był w Nowym Jorku i był zafascynowany wszystkim, co zobaczył: rzędami wąskich jak kominy domów, które stały wzdłuż wąskich wybrukowanych uliczek, ogromnymi drapaczami chmur, rysującymi się w oddali, różnorodnością sklepów, oferujących wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, poczynając od starych plakatów do zabawek erotycznych. Zatrzymał się przed wystawą

sex shopu przy Ósmej Alei, kiwając głową z niedowierzaniem:

- Czuję się jak John Voight w *Nocnym kowboju*.

- Tylko nie masz kowbojskiego kapelusza - powiedziała szarpnąwszy go za jankeską czapkę, którą kupił od ulicznego sprzedawcy.

Wyglądali jak każda zakochana para, zwiedzająca miasto. Patrząc na nich trzymających się za ręce, nikt nie uwierzyłby, że jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu oboje myśleli o rozwodzie.

Tej nocy, kiedy Skip już zasnął, Erin leżała i przysłuchiwała się chrapaniu męża. W domu strasznie ją to denerwowało, przekreślała go na bok, pukała w ramię, żeby tylko przestał. Natomiast dzisiejszej nocy z jakichś przyczyn rozczułało ją to.

*Nigdy nie wiadomo za czym będzie się tęsknić*, pomyślała.

Rankiem, kiedy Skip jeszcze spał, wymknęła się, żeby kupić francuskie rogaliki w piekarni na rogu. Wracając spotkała Drew.

- Wczesnie wstałaś - powiedział. - Myślałem, że dłużej pośpicie. - Ton jego głosu wydawał się neutralny.

Wczoraj, wychodząc z domu, wpadli na niego ze Skipem. Kiedy Erin przedstawiała ich sobie, Drew wyglądał jak mały chłopiec, któremu zabiera się jego ulubioną zabawkę, ale szybko wziął się w garść. Źle się czuła, że nie miała sposobności powiedzieć mu o przyjeździe Skipa.

- Kupiłam więcej - powiedziała, wręczając mu torebkę z rogalikami.

Potrząsnął głową.

- Dzięki, ale spotykam się z kimś na śniadanie. - Zauważyła, że nie wspomniał, czy ten ktoś to kobieta czy mężczyzna i zastanawiała się, czy to specjalnie. - Co dzisiaj robicie?

- Jeszcze zwiedzamy.

- Jeśli później będziecie mieli wolną chwilę, może wpadlibyście do mnie na drinka? Mam dzisiaj ślub, ale powinienem wrócić około szóstej.

Obiecała, że zadzwoni, ale nie miała zamiaru przyjmować tego zaproszenia. Ostatnią rzeczą jaka była jej teraz potrzebna, to żeby Skip odkrył, że między nią a Drew są dobre fluidy.

Weszła do domu, Skip stał w kuchni i nalewał sobie kawę. Kiedy tak patrzyła na swojego męża, stojącego w samych bokserkach i wyglądającego dużo pyszniej niż smakołyki w torbie, którą trzymała, to miała ochotę z powrotem zaciągnąć go do łóżka.

- Kto to był? - spytał od niechcienia. Może trochę nazbyt od niechcienia?

- Nikt specjalny. Drew. - Musiał usłyszeć, jak rozmawiali na klatce. Wrzuciła rogaliki do piekarnika. - Zaprosił nas na drinka, ale powiedziałam, że nie będziemy

mieli czasu. Pomyślałam, że nie będziesz miał ochoty pójść.

Skip zupełnie ją zaskoczył, odpowiadając:

- Czemu nie? Wygląda na miłego faceta.

- Rzeczywiście jest fajny, ale skoro mamy dla siebie tylko ten weekend, to pomyślałam, że nie będziesz chciał, żeby ktoś nam przeszkadzał. - Starła się być naturalna, ale stała odwrócona do niego plecami, żeby nie zobaczył poczucia winy, malującego się na jej twarzy.

- Możemy poświęcić pół godzinki, żeby utrzymać dobrosąsiedzkie stosunki.

Coś jej mówiło, że nie chodziło mu tylko i wyłącznie o to, by być towarzyskim. Coś wyczuł? Podejrzewała, że zaproszenie Drew wcale nie było nieprzemyślane. Możliwe, że nie chodziło o nic więcej jak o kręcących się wokół siebie osobników alfa, ale ona nie miała ochoty brać udziału w tym spotkaniu. Nie chcąc, żeby Skip nabrał jakichkolwiek podejrzeń, powiedziała:

- Jak wrócimy, zobaczymy, czy będzie nam się chciało go odwiedzić.

Po śniadaniu poszli do Empire State Building. Normalnie Erin byłaby zła, że jest kolejka, ale dzisiaj każda chwila ze Skipem wydawała jej się cenna, nawet ta spędzona w kolejce. Potem poszli na lunch do Chinatown, gdzie za dwadzieścia dolarów najedli się do syta. Ostatnim przystankiem była Strefa Zero. Kiedy stali tam i patrzyli na wielki krater, jaki został po Twin Towers, spojrzała na Skipa, który stał ze spuszczoną głową i usta poruszały mu się w modlitwie. *Z tym mężczyzną chcę spędzić resztę życia*, pomyślała. Nigdy nie będzie nikogo innego.

Zapomniała o zaproszeniu Drew do chwili, kiedy Skip powiedział, żeby się przebrać do kolacji.

- To może wpadlibyśmy do twojego sąsiada na drinka?

Erin zamarła, zaplątała się w pończochę i prawie straciła równowagę. Myślała, jak się z tego wywinąć, ale było trochę po siódmej, a mieli rezerwację w *Le Madri* na ósmą, więc nie miała innego wyjścia, jak tylko odpowiedzieć:

- Pewnie, czemu nie.

Mówiła sobie, że właściwie nie ma czego ukrywać... Mimo wszystko czuła się niezręcznie, kiedy wchodzili piętro wyżej do mieszkania Drew. Wkrótce wszystkie jej obawy się rozwiały. Drew przywitał się z nią ciepło i nie przekroczył żadnych granic, a ze Skipem uderzył w odpowiednią nutę.

- Rozgoście się. - Wskazał na pokój dzienny, służący mu jednocześnie za studio, w którym jak zwykle leżał sprzęt fotograficzny. - Może być piwo? - zawołał z kuchni. - Wszystko inne mi się skończyło.

- Bardzo chętnie - odkrzyknął Skip.

Drew pojawił się kilka minut później z trzema heinekenami i miską chipsów. Postawił ją na stoliku i każdemu podał piwo.

- Jak ci się u nas podoba? - zapytał Skipa, sadwiąc się w fotelu naprzeciw kanapy, na której siedzieli oni.

- Bardzo. Nie wiem, czy kiedyś jeszcze tu przyjadę, ale warto było się wybrać. - Skip spojrział na Erin, która musiała ugryźć się w policzek, żeby stłumić śmiech i zaczął się przyglądać powiększonym zdjęciom, wiszącym na każdym wolnym kawałku ściany. Głównie przedstawiały ujęcia z ulic Nowego Jorku. - Ładne - powiedział. - Erin mówiła mi, że jesteś bardzo utalentowany. Nie przesadzała.

- Prawie wszystkie zdjęcia z ostatniego wernisazu Drew zostały sprzedane - powiedziała.

- Ciągle daleko mi do odwieszenia mojego smokingu - powiedział ze śmiechem Drew, biorąc garść chipsów. Wyjaśnił, że jego główne źródło dochodu ciągle jeszcze stanowiły bar micwy i śluby.

- Robisz, co musisz. - Skip wziął łyk piwa i zamyślił się na chwilę, jakby stwierdził, że ma przynajmniej coś wspólnego z Drew.

- Są gorsze rzeczy - powiedział Drew - niż robienie zdjęć ludziom podczas najszcześliwszego momentu w ich życiu.

Jak na razie wszystko w porządku, zrelaksowała się Erin.

Kończyli już piwo i mieli wychodzić, kiedy zadzwonił telefon. Drew odebrał go w drugim pokoju, a Skip podszedł do stolika, przy którym przeważnie pracował Drew. Tam spędzał godziny, wpatrując się przez lupę w stykówki. Nad stołem wisiała korkowa tablica, na której były poprzypinane stykówki i mnóstwo odbitek, zwijających się przy brzegach. Patrzyła jak Skip pochyła się nad jedną z nich i zastyga w bezruchu.

Zanim zobaczyła, czemu się tak przyglądał, wiedziała, że coś jest nie tak. Zdjęcia wydawały się skakać jej do oczu: przedstawiały ją chodzącą bosą po trawie w Central Parku, z odchyłoną od śmiechu głową. Na kilku z nich miała narzuconą na ramiona skórzaną kurtkę Drew, a jeszcze inne zrobiła Kate, kiedy wszyscy razem poszli na zakupy w SoHo. Drew obejmował ją ramieniem, a ona miała na sobie czerwoną sukienkę koktajlową, którą właśnie przymierzała. Wszystkie zdjęcia były niewinne... tyle tylko, że nic nie da się ukryć przed oczami męża, który miał prawo jej nie wierzyć.

Po jego ściśniętych szczękach Erin wiedziała, że nie pomogą żadne wyjaśnienia. Zresztą, co miała powiedzieć? Czy chciałby usłyszeć, że o mało co nie wylądowałyby w łóżku z Drew, ale jakoś się powstrzymała?

Nie mogła jednak dopuścić do tego, żeby pomyślał sobie o czymś, co nie było prawdą. No, może nie całą prawdą. To jego kochała, a nie Drew. Gdy wrócili do

mieszkania, położyła mu rękę na ramieniu.

- Skip, nie jest tak, jak myślisz. Pozwól mi wyjaśnić...

- Nie wysilaj się - odburknął. - Może nie jestem najbystrzejszy, ale nie jestem też głupi. Umiem dodać dwa do dwóch. Najwyraźniej jesteście ze sobą dużo bliżej niż mi mówiłaś. Wiesz, piąte koło u wozu może przeszkadzać. Idę się pakować.

- Wyjeżdżasz? - Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym tu zostać, a ty? - powiedział z wściekłością.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Złapała go w sypialni jak wpychał wszystko do worka. Miała wrażenie jakiegoś okropnego deja vu. Nagle nie mogła złapać tchu.

- Ale dopiero jutro masz samolot - udało jej się z siebie wydusić.

- No i co z tego. - Wyglądał jakby wolał spędzić tę noc na ławce na lotnisku niż z nią.

- Skip, to głupie. Drew i ja po prostu jesteśmy przyjaciółmi.

- Bardzo dobrymi przyjaciółmi z tego, co zdążyłem się zorientować.

- To nie jest tak.

- Dobrze, bądźmy szczerzy. - Obrócił się w jej stronę. - Popatrz mi w oczy i powiedz, że cię nie dotknął.

- Nic się nie wydarzyło, przysięgam.

- Przysięgasz na grób rodziców?

Musiała się chwilę zawahać, bo z satysfakcją pokiwał głową.

- Tak, jak myślałem.

Maria kiedyś zażartowała, że Erin zawsze wrzucała bieg „do przodu” i był on dokładnie przeciwny do tego wrzucanego przez Skipa, teraz jednak Erin czuła, że nie była w stanie wrzucić żadnego biegu, a grunt usuwał jej się spod kół. Jej temperament wziął górę.

- I ty to mówisz! - krzyczała. - Złapałam cię na gorącym uczynku, jak nachylałeś się nad jakąś kobietą w barze, a teraz ty śmiesz mi coś wyrzucać?

Jednak tym razem on się nie odgryzł. Po prostu stał, kiwając głową z niedowierzaniem i patrząc na nią, jakby w ogóle jej nie znał, jakby była jakimś niemiłym, spotkanym w windzie obcym człowiekiem.

- O nie, nie ma mowy - powiedział bardziej do siebie niż do niej. - Tym razem nie dam się zrobić w balona. Dostyc tego.

- Tak po prostu? Nie dasz mi nawet możliwości zastanowienia się nad tym wszystkim?

- Ja i tak dałem ci dużo więcej niż ty mnie kiedykolwiek.

- Co to ma znaczyć?

- Nie ma o czym mówić, Erin. Łatwo ci gadać, że żałujesz, że mnie nie wsparłaś, ale nie zrobiłaś tego.

- No świetnie, widzę że wracamy do punktu wyjścia. Nigdy mi już tego nie wybacysz, tak? To pozwól, że ja też coś ci powiem, panie... - Stała na palcach, cała zjeżona jak kot. Przed dokończeniem zdania powstrzymał ją zimny wzrok Skipa. Był to wyraz twarzy kogoś, kto nie miał ochoty na nic innego jak wyjście.

Odechciało jej się walczyć i osunęła się na łóżko.

Kiedy skończył pakowanie, przeszedł obok niej, nawet na nią nie patrząc. Wzdrygnęła się, słysząc trzaśnięcie drzwi w przedpokoju. Każdy stłumiony odgłos jego kroków na schodach odbierała jak kolejny cios w brzuch. Potem... już nic nie czuła. Bezmyślnie patrzyła w przestrzeń. W końcu jej ramię samo sięgnęło po telefon, żeby odwołać rezerwację w restauracji.

JESSIE:

*Związek na odległość... teraz to tylko oksymoron. Jak można być z kimś, nie będąc obok niego? Jedynym sprzymierzeńcem jest telefon. Za równowartość mojego miesięcznego rachunku za telefon komórkowy (tylko nielimitowane weekendowe minuty mogą cię do tego doprowadzić) mogłabym zapłacić za wynajęcie ogromnej przyczepy na Niebiańsko Niebiańskim Campingu w Willow Creek. Wiem to dzięki pracującej na poczcie Louanne Weedman (Pani Lou dla okolicznych mieszkańców), która przez przypadek wrzuciła mój rachunek telefoniczny do skrzynki Emmy Coombs, zarządzającej niebiańskim przybytkiem. Wydaje się, że teraz już wszyscy w miasteczku wiedzą, ile mnie kosztuje związek na odległość...*

*z Życiowej zamiany*



## *Rozdział dwunasty*

- Szczerze mówiąc, to nie wiem, jak Skip i Kayla poradzą sobie bez ciebie.

Matka Skipa uśmiechnęła się do Jessie. Miała oczy jak bławatki stojące w wazonie na stole, przy którym siedzieli rodzice Skipa i Kayla. Nikt by nie powiedział, że to ta sama kobieta, która tak uprzykrzała życie Erin.

- Proszę mi wierzyć, że nie było łatwo przekonać Erin do tego pomysłu. - Jessie chciała sprostować pewne rzeczy. - Byłam jedyną dziewczynką w klasie, która oblała zajęcia praktyczno-techniczne, więc Erin bała się, że zrujnuję tu wszystko.

Hugh się zaśmiał, a Paula powiedziała coś niewyraźnie.

Kiedy Skip poinformował Jessie, że zaprosił swoich rodziców na niedzielne śniadanie, nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Nie widziała ich od dnia ślubu, który nigdy się nie odbył i nie spodziewała się, że będą dobrze do niej nastawieni. Ich ciepłe powitanie przyprawiło ją o miłe zdziwienie.

- À propos, mama przesyła ucałowania - powiedziała ze słodyczą Kayla.

- Pewnie już nie możesz się doczekać, aż ją zobaczysz? - Hugh poklepał ją po ramieniu.

- Tak, to prawda. Będzie cudownie. - Kayli zaświeciły się oczy na samą myśl o jej wyjeździe do Nowego Jorku. Odliczała dni do końca szkoły.

- Nie zapomnij przysłać nam kartki - powiedziała Paula.

Skip nic nie mówił, tylko tępo patrzył w swój talerz.

- Pyszne - stwierdziła Paula, biorąc do ust kęs naleśnika.

- Na pewno nie są tak dobre jak naleśniki Erin - odpowiedziała Jessie.

Hugh podjął temat i powiedział z udawaną serdecznością.

- Oczywiście. Jesteśmy bardzo dumni z niej. Z jej występów w telewizji i w ogóle. To duże osiągnięcie. Synu, podałybyś mi bekon? - Ojciec Skipa z wiekiem przybrał na wadze, a pokaźny brzusek został zmierzony niezadowolonym wzrokiem żony, kiedy Hugh nakładał sobie na talerz kolejne plasterki bekonu.

- Jest bardzo naturalna - zauważyła Jessie. Pierwsza seria programów na Cooking Channel z udziałem Erin została nadana w mijającym tygodniu i od pierwszych odcinków było wiadomo, że narodziła się nowa gwiazda.

- Pamiętam swoje pierwsze kroki na scenie... - Mama Skipa zaczęła opowiadać starą historię, jak to została Miss Arizony w 1958 roku. Do tej pory zresztą zachowała szczupłą sylwetkę i mimo siwych włosów i lekko zwiotczalej skóry, nie trudno było ją sobie wyobrazić stojącą w kostiumie kąpielowym przed jury.

Kiedy skończyła, Skip odsunął krzesło, pytając, czy ktoś chce jeszcze kawy.

- Ja przyniosę - Jessie skorzystała ze sposobności, by się oddalić.

Hotel był pełen gości i wszystkie stoliki były już zajęte. Kwadrans sławy, jaki właśnie przeżywały z Erin, spowodował istny najazd na Darby Inn. Każdy chciał sprawdzić, czy rzeczywiście jest tu tak uroczo, jak opisywała Jessie. Była tak zajęta bieganiem do kuchni i z powrotem, że nie miała okazji porozmawiać z rodzicami Skipa, a oni już zbierali się do wyjścia.

- Dziękujemy za gościnę, moja droga. Tak miło było cię zobaczyć - powiedziała Paula.

- Mnie również było bardzo miło państwa widzieć - Jessie pocałowała Paulę w pomarszczony policzek.

Paula chwyciła ją za ramię.

- Może kiedyś przyszlabyś do nas na kolację? Przypomnielibyśmy sobie stare dobre czasy.

Paula i Hugh wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Mieli jakiś ukryty cel. Jessie przypomniała sobie, jak Skip wspominał, że jedynym marzeniem rodziców było ożenienie starszego syna. Czy chcieli, żeby ona i Mike wrócili do siebie? Jeśli tak, to tłumaczyłoby ich oczywistą i zaskakującą próbę zapomnienia o urazach z przeszłości.

Wytrąciło to Jessie z równowagi.

- To miłe, ale nie wiem... - zaczęła mówić.

Skip, wyczuwając jej zażenowanie, podszedł do nich i oświadczył:

- Mamo, tato, nie wiem czy wiecie, że Jessie się zaręczyła.

Paula zamarła.

- Zaręczyła?

Jessie kiwnęła głową i uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Gratulacje, moja droga. - Hugh odzyskał rezon i zapytał z wymuszoną uprzejmością. - Kto jest tym szczęściarzem?

- Ma na imię Jonathon. Jonathon Silver. Dyrektor nowojorskiego biura CTN-u - poinformowała ich Jessie.

- Jest po prostu boski - wtrąciła Kayla.

Paula, zaczerwieniona, szybko wzięła męża pod ramię.

- Hugh, czas na nas. Nie możemy się spóźnić do Mindy.

Jessie patrzyła jak odchodzą. W głębi duszy czuła się oszustką, udając dumną narzeczoną, podczas gdy ciągle się wahała z podjęciem ostatecznej decyzji. Po wyjeździe Jonathona do Nowego Jorku jej początkowy entuzjazm gdzieś uleciał i powróciły wątpliwości. Zaczęła się zastanawiać, czy zbyt pochopnie nie przyjęła jego

oświadczyń. Jaką miała gwarancję, że po powrocie do Nowego Jorku wszystko się zmieni?

Był jeszcze Hunter George. Targały nią sprzeczne uczucia. Coś ją w Hunterze kusilo, a jednocześnie sama myśl o nim wydawała się nie do zniesienia. Najlepszym wyjściem było unikanie go, ale teraz to niemożliwe. Stanowił kluczowy element jej artykułu - tak jak przewidział, wszystkich ogarnęło zbiorowe szaleństwo. Wyszedł już za kaucją, a media ogłosiły go męczennikiem. Fotograf i niezależna dziennikarka z „People” mieli przyjechać z Phoenix w piątek na zdjęcia, co oznaczało, że tego dnia Jessie i Hunter spędzą ze sobą większość czasu.

Jessie spojrzała na Skipa i powiedziała:

- Dzięki za ratunek. Jakoś wydaje mi się, że Erin nie byłaby zachwycona moim skumplowaniem się z twoimi rodzicami.

- Nie zrobiłem tego dla Erin - powiedział, zaciskając szczękę.

Jessie wiedziała, że jego podróż do Nowego Jorku skończyła się fatalnie.

Następnego dnia zadzwoniła do niej zapłakana Erin. Jessie miała nadzieję, że nie jest to jeszcze koniec małżeństwa przyjaciółki. Im dłużej przebywała ze Skipem, tym bardziej była przekonana, że jest najodpowiedniejszym partnerem dla Erin; mimo dzielących ich różnic, doskonale się uzupełniali.

- Nie tylko oni są winni - powiedział, spoglądając w okno i patrząc na idących po ścieżce rodziców. - Ona też nie ułatwiała pewnych rzeczy.

- Winisz ją?

Spojrzał na nią ponurym wzrokiem.

- Nie o to chodzi, że jej nie lubili. O Boże, przecież ledwie ją znali. Jeszcze nie doszli do siebie po tym, co się stało z tobą i Mike'em, a ja nagle wyskoczyłem z wiadomością, że moja dziewczyna jest w ciąży. Byli oszołomieni.

- Dla Erin to też nie był najłatwiejszy okres. Dopiero co straciła rodziców - przypomniała mu Jessie.

Skinał wolno głową.

- Wiem, to jeszcze bardziej wszystko skomplikowało. Biorę pod uwagę argumenty obu stron.

Jessie miała tylko nadzieję, że Skip zdobędzie się jeszcze na wybaczenie Erin.

- Już prawie jesteśmy - Hunter starał się przekrzyczeć hałas silnika swojej terenówki, kiedy podjeżdżali pod stromy pagórek.

Wąska zakurzona dróżka prowadziła do dawnych kopalni srebra. Kiedyś jeździły wtedy wozy zaprzężone w konie i muły, jak można się było dowiedzieć z fotografii w sepii, wiszących w muzeum. Teraz jednak droga była wyboista i tak zarośnięta, że

można się było tu dostać tylko samochodem z napędem na cztery koła. Jessie nie miała pojęcia dokąd ją wiozł; był bardzo tajemniczy i nie chciał zdradzić celu tej wyprawy. Wcześniej wspólnie z Andrea Haynes, która fotografowała, byli już w miejscach, gdzie niegdyś płynęły strumyki, a gdzie teraz pozostały po nich muliste sadzawki. Potem były zdjęcia smutnych ludzi, których domy pękały przy fundamentach. Najbardziej dramatyczne zdjęcie przedstawiało samego Huntera, stojącego na tle gmachu sądu. Wyglądał na nim jakby stał przed plutonem egzekucyjnym. Teraz z kolei jechali na Miner's Hill.

Dopiero kiedy Hunter zaciągnął hamulec, Jessie zrozumiała, dlaczego je tam przywiózł. Wsiadając z samochodu, w miejscu, gdzie niegdyś rósł cudowny las, zobaczyła brązowe połacie obumarłych albo całkiem uschniętych drzew.

- O Boże, co tu się stało? - patrzyła z niedowierzaniem. Hunter poczekał z wyjaśnieniem aż ze swojego samochodu dojdzie do nich Andrea.

- To szkodniki. Robią więcej szkody niż wyręby, którym tak bardzo wszyscy się sprzeciwiali parę lat temu. - Drzewa produkują naturalny środek odstraszający owady - powiedział. - A kiedy mają za mało wody, są mniej odporne. Żeby udowodnić to, co mówi, schylił się i podniósł kawałek podziurawionej kory, który zgniótł w rękę.

Andrea nie należy do kobiet, które dają sobie coś wmówić, myślała Jessie. Była samotna, miała ponad czterdzieści lat i lekko siwiejące kasztanowe włosy; teraz miała dość sceptyczne nastawienie do wypowiedzi Huntera.

- Czy częściowo nie jest za to odpowiedzialna susza? - spytała.

- Rzeczywiście mieliśmy kilka suchych lat - przyznał Hunter. - Jednak nawet w czasie suszy drzewa głębiej wpuszczały korzenie i sięgały do lustra wody. Dopiero kiedy poziom wody jeszcze spadł, spowodowało to takie zniszczenia. Jestem zaskoczony, że las nie spłonął - stwierdził, patrząc z kamiennym wyrazem twarzy na zniszczony krajobraz.

Jessie była przerażona tym, co zobaczyła. Poczowała potrzebę spełnienia obywatelskiego obowiązku i chciała się wykazać w Willow Creek czymś więcej niż tylko robieniem gofrów i starannym słaniem łóżek.

Kiedy Andrea zrobiła jeszcze kilkanaście zdjęć i zaczęła pakować sprzęt, Hunter odwrócił się do Jessie i spytał:

- Byłaś kiedyś w kopalniach?

Pokręciła przecząco głową, a Hunter odpowiedział:

- Można trochę się powspinać. Jeśli nie musisz jeszcze wracać, możemy tam się wybrać.

- Z naszym szczęściem pewnie zaatakuje nas jakiś niedźwiedź - powiedziała ze

śmiechem.

- Raczej skunks.

- W takim razie płacisz za pralnię. - Czy właśnie przystała na jego propozycję?

Dobrze wiedziała, że prawdziwym niebezpieczeństwem są nie zwierzęta, tylko przebywanie w lesie sam na sam z tym mężczyzną. Jeszcze nie zapomniała do czego jest zdolnych dwoje ludzi w samochodzie terenowym na takich wyprawach.

Jednocześnie była taka ładna pogoda! Jessie miała popołudnie dla siebie, bo Maria spodziewała się jej dopiero wieczorem, i tak naprawdę nie miała nic lepszego do roboty.

Po odprowadzeniu Andrei do samochodu, wyruszyli na wycieczkę. Miejscami droga była na tyle zarośnięta, że prawie nie było jej widać, ale Hunter prowadził.

- Często tu przychodzisz? - spytała, kiedy ścieżka stała się na tyle szeroka, że mieścili się na niej oboje.

Skinął głową.

- Dobrze się tu myśli.

- Musisz więc wiele myśleć ostatnio. - W poniedziałek miały mu być postawione zarzuty. Jeśli jego adwokat ich nie oddali, co na tym etapie wydawało się niemożliwe, to Hunter będzie miał sprawę w sądzie.

Nawet jeśli się martwił, to nie okazywał tego.

- Wiesz o czym teraz myślę? - zapytał. - Stwierdzam, że matka natura to twarda babka. - Spojrzał z wdzięcznością na gęste listowie ponad ich głowami; ta część lasu ciągle jeszcze była wolna od szkodników i kipiała zielenią.

- Nie myślisz o rozprawie?

- Nieszczególnie.

- Możesz pójść do więzienia - przypomniała mu. Uśmiechnął się do niej, na jego twarzy, kiedy spacerowali leśną ścieżką, grały półcienie.

- Pochlebia mi, że tak się martwisz, ale nie wydaje mi się, żeby tylko to zaprzętało twoje myśli - powiedział przytrzymując gałązkę, żeby Jessie nie została nią uderzona w twarz, kiedy wychodziła z zacienionej części lasu na słoneczną polanę.

- Dlaczego uważasz, że coś mnie gryzie? - spytała.

Usłyszeli świst puszczonej przez Huntera gałęzi.

- Cały dzień wyglądasz na zmartwioną.

Zmarszczyła się ze zdziwienia.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Po pierwsze, ciągle dogadywałaś tej biednej Alicii.

- Tak?

- Wyszłaś z lunchu, nie zabierając swojej karty kredytowej.

Jessie przystanąła i spojrzała na niego.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Dlatego, że byłaś tak miła, że zapłaciłaś rachunek. Nie chciałem cię zawstydząć przed Alicią. - Uśmiechnął się, sięgając do kieszeni i wyjmując z niej kartę Visa.

- Dzięki. - Wzięła kartę, czując, że palą ją policzki.

Stali w miejscu, gdzie korony drzew przypominały sklepienie katedry. Czuli obecność Huntera. Miarowy odgłos jego kroków, rękaw koszuli, elektryzujący drobne włoski na jej ramieniu. Po kilku minutach zapytał:

- Jak się udała wizyta twojego chłopaka?

Jeszcze mu nie powiedziała, że jej chłopak stał się już narzeczoną i zadawała sobie pytania, dlaczego jeszcze trzymała w sekrecie tę informację.

- Było bardzo miło, dziękuję - odpowiedziała półgębkiem.

- Musi być trudno, kiedy ludzi dzieli taka odległość.

- Dajemy sobie radę. Jonathon bardzo mnie wspiera.

Hunter rzucił jej dziwne spojrzenie, ale nic nie powiedział.

- Właściwie, myślę, że ta rozłąka dobrze nam zrobiła. Obojgu nam dała szansę przyjrzenia się wszystkiemu z pewnej perspektywy.

- Jak to?

- Mieliśmy małe problemy - przyznała. - Wydaje mi się, że jest to związane z wiekiem, każde z nas wlecze za sobą jakiś bagaż życiowy. On jest po rozwodzie, ma dzieci, a ja... - Zawahała się, myśląc o niezbyt spektakularnej historii jej związków z mężczyznami. - Tak długo byłam sama, że nabrałam pewnych przyzwyczajęń. To pewnie kwestia wyważenia swoich wyobrażeń, oczekiwań i rzeczywistości.

- Z tego, co mówisz wynika, że to jakiś proces negocjacyjny.

- W pewnym sensie właśnie tak jest.

- Dla mnie nie jest to wcale takie trudne. Albo kochasz kogoś na tyle, że akceptujesz jakieś jego przywary, albo nie.

- To trochę naiwne, nie sądzisz? - W jej głosie słychać było nutkę irytacji.

Spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć, że chyba nigdy jeszcze nie była zakochana.

Nie powiedział tego głośno, ale Jessie i tak była oburzona. Jakie miał prawo myśleć w ten sposób? Poza tym, co on o tym wiedział? Nie widziała obrączki na jego palcu.

Kilka metrów przed nimi ścieżka kończyła się na brzegu wyschniętego koryta rzeki, w którym leżały pozostałości po mostku, łączącym kiedyś oba brzegi. Chciała

zawrócić, ale Hunter zaczął schodzić ze stromego pagórka, nie dając Jessie wyboru; musiała podążać za nim. Już była w połowie drogi, kiedy poślizgnęła się i z krzykiem zjechała na pupie, lądując wśród okrągłych kamieni i jakichś śmieci.

Spojrzała w górę i zobaczyła pochylającego się nad nią z troską Huntera.

- Nic ci się nie stało?

- Tak myślę - powiedziała, gdy pomagał jej wstać. - Nie wydaje mi się, żebym coś sobie złamała.

Jego ciemne oczy nie odrywały od niej wzroku i stali tak przez kilka chwil, patrząc na siebie, ledwie oddychając, aż osiadł na nich poderwany przez nią pył. Kiedy znowu chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie i mocno objął, nie opierała się.

Poczuła ciepło jego pocałunku na swoich ustach. Jego ręce przesunęły się w dół po jej plecach aż dotarły do kieszeni dzinsów i przyciągnęły ją do siebie. Ich biodra się stykały. To nie powinno mieć miejsca, pomyślała. Jednak wpadła w jakichś letarg. Jedna jej połowa dystansowała się do tej sytuacji i patrzyła na to, co się dzieje z milczącą naganą. Jessie objęła go i pocałowała gorąco, jednocześnie mocno się w niego wtulając.

Znaleźli piaszczystą łąkę, otoczoną głazami, Hunter zdjął koszulę i rozłożył ją na piasku. Kiedy Jessie patrzyła jak kłęczy przed nią do połowy rozebrany, pomyślała że nigdy w życiu nie widziała tak pięknego mężczyzny. Jego skóra, lekko pokryta kropelkami potu, błyszczała głębokim brązem, miał pięknie umięśnione ramiona. Jednocześnie nie obnosił się dumnie ze swoją urodą jak inni mężczyźni: nie trwał w jakiejś pozie zbyt długo, żeby, jak niektórzy, pokazać godziny spędzone nad kształtowaniem ciała na siłowni.

Kiedy oboje już nie mieli na sobie ubrań, nie spiesząc się zaczął poznawać jej ciało. Pieścił piersi, kolistymi ruchami wodził palcami wokół brodawek, zanim schylił się, żeby je pocałować. Najpierw jedną, a później drugą. Robił to niemal nabożnie, końcówkami ciemnych włosów dotykając jej skóry. Delikatny dotyk przeplatał z bardziej zdecydowanym. Poznawał jej ciało i całował je. Jessie niemal mdlała z pożądania. Nawet z Jonathonem nie czuła czegoś podobnego.

Rzucił jej pytające spojrzenie, aż wyszeptała, że jest zabezpieczona - brała pigułki antykoncepcyjne. Wślizgnął się w nią. Mocno objęła go nogami. Ich ciała były tak gorące, że błyszczały od potu, poruszali się w niespiesznym rytmie. Doszedł dosłownie chwilę po niej, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Tylko dreszcz przeszył jego ciało, co zupełnie ją rozbroiło.

Jeszcze chwilę leżeli w bezruchu, zaraz jednak nachylił się nad nią i pocałował delikatnie w usta.

- Troszkę lepiej?

- Dużo lepiej - uśmiechnęła się z rozkoszą, niczym kot.

- Przynajmniej wiesz, że nie planowałem cię uwieść. Inaczej byłbym do tego przygotowany.

Zaśmiała się.

- Akurat.

Wcale nie była pewna, czy jeśli nawet było tak, jak mówił, i tak nie straciłaby głowy - po prostu niezwykle silnie na nią działał. Tak łatwo mu się oddała, nawet nie pisnęła, żeby go powstrzymać. To na pewno nie było właściwe zachowanie zaręczonej kobiety! Te myśli jednak mało znacząco krążyły jej po głowie, jak komary latające wokół ich zmęczonych ciał. W tym momencie wydawało się to nie mieć dla niej większego znaczenia. Oboje leżeli na plecach i patrzyli na intensywnie błękitne niebo i jastrzębia leniwie zataczającego nad nimi kręgi.

Musiała na chwilę przysnąć, bo kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że głązy zaczynają już rzucać cienie. Na grani, znajdującej się ponad nimi, zachodzące słońce połyskiwało między wierzchołkami drzew. Półprzytomnie zaczęła się ubierać. Nie odezwali się do siebie słowem, zanim nie znaleźli się na ścieżce, ale nawet wtedy nie mówili o niczym ważnym. W głowie Jessie zaczęło kołatać pytanie, co teraz będzie.

Przeniknęło ją zimno, kiedy uświadomiła sobie, że zdradziła Jonathona. Nawet jeśli on nigdy by się o tym nie dowiedział, to ona i tak musiałaby żyć z tą świadomością. Najgorsza jednak była myśl, że jej uczucia w stosunku do Huntera nie kończyły się jedynie na dzikim pożądaniu i właśnie to znacznie bardziej ją martwiło.

Zastanawiała się, czy Hunter miał rację, mówiąc, że nie była szalenie zakochana w Jonathonie. Czy można było kochać kogoś tak bardzo, że nie ma się żadnych wątpliwości i obaw przed ołtarzem, za to ma się pewność, że to ten jedyny? A Skip i Erin, którzy kiedyś wydawali jej się najszcześniejszą z par? Jeśli rzeczywiście się rozejdą, to byłby dowód na to, że szczęście istnieje tylko w bajkach.

Stanęli na stacji Sunoco, żeby zatankować. Hunter poszedł zapłacić, a przy dystrybutorze obok stanął żółty dodge. Na drzwiach kierowcy był napis: „Firma budowlana Mile High”. Z samochodu wyskoczył kierowca, dobrze zbudowany mężczyzna w ubrudzonych farbą dżinsach i czerwonej czapce z daszkiem z tym samym logo, które znajdowało się na drzwiach; z wielkim zaskoczeniem stwierdziła, że tym mężczyzną był Mike Delahanty.

Nie mogło być gorszego momentu na spotkanie. Co to miało oznaczać? Jakiś duch nieudanych związków przyszedł do niej, żeby ostrzec ją przed popełnieniem tego samego błędu?



Zapadła się w fotelu, ale było już za późno. Zobaczył ją i po chwili wahania, zaczął iść w stronę samochodu, w którym siedziała. Zatrzymał się niedaleko jej otwartej szyby.

- Hej, Jessie, kopę lat. - Słońce już było nisko i cień daszka zasłaniał mu całą twarz. Mogła tylko dojrzeć jego ironiczny uśmiezek.

- Cześć, Mike - sama miała uśmiech przyklejony do twarzy.

- Słyszałem, że wróciłaś.

Według Kayli, Mike robił wszystko, żeby nie spotkać Jessie.

- Dobrze słyszałeś - odpowiedziała tak samo beztroskim tonem. Oboje dobrze grali w tę grę.

- Dobrze wyglądasz.

- Ty też.

Zapadła niezręczna cisza. Mike spojrzał na Huntera, który wciąż stał przy kasie i rozmawiał z chłopakiem zza lady.

- Dlaczego wplątujesz się w związek z nim? - zapytał.

- Kto ci powiedział, że jestem w związku z kimkolwiek? - zjeżyła się Jessie.

- Posłuchaj, to nie moja sprawa, ale uważałbym na twoim miejscu. Jeszcze będą z jego powodu problemy.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedziała rzeczowo.

- Nie ma sprawy.

Oczywiste było, że Mike nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie, jednak nie miała prawa go za cokolwiek winić. To, co mu zrobiła, było niewybaczalne.

Szybko zmieniła temat.

- Widzę, że dobrze sobie radzisz. - Spojrzała na jego półciężarówkę załadowaną drabinami i narzędziami. - Skip mówił mi, że masz tyle pracy, że czasem musisz rezygnować ze zleceń.

Pokiwał głową.

- Ty też nieźle sobie radzisz, z tego co słyszałem.

- Da się wyżyć - powiedziała, wzruszając ramionami.

- Jesteś skromna. - Jego usta ułożyły się w uśmiechu, który przywiódł jej na myśl szczerzącego zęby psa. - Chłopaki mi mówią, że ich żony o niczym innym nie mówią, jak o twoich felietonach o *Żoninej zamianie*.

- Ich tytuł to *Życiowa zamiana* - poprawiła go.

- Tak, obojętnie. - Jego nieprzyjemny uśmiezek uświadomił jej, że dla niego nie miało to większego znaczenia.

- Wiesz, ludzie mówią, że Skip korzysta z tej zamiany. Z powrotem wprowadził

się do hotelu, musisz przyznać, że może to się wydać podejrzanę. Zwłaszcza że zawsze czuł do ciebie miętę. - Zdjął czapkę i zobaczyła jego zimne oczy. Nie wybaczył jej tego, co zrobiła, a wręcz jej nienawidził.

- Nic mnie nie łączy ze Skipem - poinformowała go zimno.

- Jeśli tak mówisz. - Pochylił się nad oknem, oparł o nie łokcie i patrzył na nią z odległości kilku centymetrów. Zauważyła jego podkrążone oczy i drugi podbródek, formujący się poniżej brody; Mike nadal był przystojny, tak jak i jego brat. - Z drugiej strony, nie wiem dlaczego miałbym ci wierzyć, skoro twoje słowo nie jest wiele warte.

- Mike, proszę cię... - Jessie zniżyła głos. - Nie rób scen. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to po prostu zrób to.

Zaśmiał się.

- Nie pochlebiaj sobie, już dawno mi przeszło, panienko. Właściwie to zrobiłaś mi przysługę. Wygląda na to, że chłopcy Delahanty nie nadają się do ślubów. Dobrze, że mój brat też w końcu doszedł do tego wniosku.

W tym momencie zobaczyła wracającego do samochodu Huntera. Natychmiast wyczuł napiętą sytuację.

- Jakiś problem? - zapytał dość spokojnie, ale Jessie wyczuła w jego tonie ostrzegawczą nutę.

- Nie ma żadnego problemu - odpowiedział Mike, a nieprzyjemny uśmiech nie zniknął z jego twarzy. - Razem z Jessie nadrabialiśmy zaległości.

Hunter spojrzał na nią pytająco, niepewnie powiedziała:

- Nie wiem, czy poznałeś brata Skipa.

- Tak, spotkaliśmy się kiedyś - odpowiedział bez entuzjazmu.

- Właśnie gratulowałem Jessie, że wszyscy w mieście o niej mówią. - Mike starannie wymawiał każde słowo. - Umie sprawić, żeby ludzie o niej mówili.

Właściwie, można powiedzieć, że jeśli chodzi o naszą pannę Jessie, a wkrótce panią jakąś tam, to poruszenie gwarantowane. A tak przy okazji - ukłonił się w jej stronę - gratuluję zaręczyn - cedził każdą sylabę. - Jestem pewien, że sprawisz, że twój wybranek będzie szczęśliwym facetem. Oczywiście, jeśli nie zostawisz go tuż przed ołtarzem.

Hunter, zaciskając pięści, skierował swoje kroki w jego stronę.

- Dostyc tego.

Jessie, w obawie, że dojdzie do walki, krzyknęła:

- Hunter, wszystko w porządku...

- Lepiej posłuchaj twojej pani - szydził Mike. - Już i tak masz wystarczająco duże kłopoty.

- Szukam kłopotów, kiedy stwierdzę, że są tego warte - odpowiedział Hunter, patrząc na Mike'a jakby był tylko zgniecionym na szybie owadem. - A teraz proszę nam wybaczyć...

- Obszedł samochód dookoła, wsiadł do środka i odpalił silnik. Jessie była wyprowadzona z równowagi. Patrzyła bezmyślnie przed siebie, kiedy wrócili na szosę. *W ogóle nie powinnam była tu przyjeżdżać*, pomyślała. Nie powinna kusić losu. Ani Mike jej tego nie wybaczył, ani jej matka. Może nie zasługiwała na to, żeby jej wybaczyć. Wystarczyło tylko na nią popatrzeć - ciągle wywoływała zamęt.

Hunter, jakby będąc echem jej myśli, powiedział:

- Więc jesteś zaręczona? To ciekawe, że o tym nie wspomniałaś. Zupełnie nie wiem, jak coś takiego mogło umknąć twojej uwagi.

- Miałam ci powiedzieć, zanim... - urwała w połowie zdania, czując ciepło na samo wspomnienie tamtych chwil.

- On wie?

- O nas? - ze stresu głos jej wszedł na wyższe tony. - Nie i nie ma powodu, żeby miał się o tym dowiedzieć.

- Zakładając, że było to jednorazowe - powiedział beznamiętnym głosem. Jeszcze cieplej jej się zrobiło.

- Nie spodziewałam się, że do tego dojdzie. To po prostu... się stało. Rzucił jej pełne cierpienia spojrzenie.

- Tak po prostu; zupełnie jak z pogodą, co? Spacerujesz sobie, cieszysz się słońcem, a tu nagle zaczyna lać.

- Nie powiedziałam tego. Wkładasz mi w usta coś, czego nie powiedziałam.

- Co chcesz zatem powiedzieć? - Jego ton pozostawał łagodny, ale zauważyła, że mocniej chwycił kierownicę.

Westchnęła.

- Nie wiem. Możemy to nazwać pewnym krokiem naprzód?

Hunter nie od razu odpowiedział. Wbił wzrok w jezdnię, ręce zacisnęły mu się na kierownicy, niczym węzły na sznurze.

- Wydawało mi się, że to, co się stało tam, w górach - powiedział w końcu - to było coś dużo większego niż krok naprzód.

*No niech to zatem będzie wycieczka na Księżyc*, pomyślała. Dotknęła jego ramienia.

- Przepraszam, powinnam była ci powiedzieć o Jonathonie. Nie zrobiłam tego ponieważ sama w tej chwili jestem trochę zagubiona. Właściwie, to na twoim miejscu obrałabym dokładnie przeciwny kierunek. Widziałeś, co się stało z Mike'em. Zdarzenie

miało miejsce piętnaście lat temu, a on ciągle jest na mnie wściekły. To świadczy o tym, jak bardzo wszystko zepsułam.

- Wydaje mi się, że wychodząc akurat za niego, zrobiłabyś większy błąd.

- To prawda - przyznała. - Nie zmienia to jednak faktu, że źle to rozegrałam.

- Co się wtedy wydarzyło? Nigdy mi nie mówiłaś.

- Któregoś dnia obudziłam się i zrozumiałam, że nie mogę tego zrobić.

- Stchórzyłaś?

- I to jak - dodała szybko. - Jednak z Jonathonem jest inaczej. Wplątałam się w to z otwartymi oczami, świadomie.

- A teraz?

Jessie poczuła nagłą słabość, częściowo spowodowaną podnieceniem, a częściowo strachem. Przypominało to uczucie, towarzyszące zjeżdżaniu na rowerze z górki bez trzymanki. Często w taki właśnie sposób, za namową Erin zjeżdżała z górki. Czy chciała teraz podjąć ryzyko dla Huntera?

Spojrzała przez szybę, tak brudną od kurzu, że w gasnących promieniach zachodzącego słońca domy i trawniki wyglądały jak na zdjęciach w kolorze sepii.

- Powiem ci, jak tylko sama czegoś się dowiem - powiedziała.

Jessie weszła do hotelu i zastała Marię, układającą patery z serami. Maria spojrzała na nią.

- Jesteś wreszcie! Zaczynałam się już zastanawiać, czy nic ci się nie stało.

*Właśnie coś się stało, pomyślała Jessie. Coś dużo bardziej poważnego niż kłopoty z silnikiem czy przedziurawioną oponą.*

- Przepraszam, powinnam była zadzwonić. Wszystko w porządku?

- Na zachodzie bez zmian - relacjonowała Maria. Kroiła truskawki i układała je w wachlarze na talerzykach. - Ach, zanim zapomnę: dzwoniła pani Dawson, mówiła, że spóźnił im się samolot i nie dojadą przed północą. Powiedziałam, gdzie trzymamy zapasowy klucz.

- Mogę na nich poczekać - odparła Jessie. Pewnie i tak nie będzie mogła zasnąć.

Maria spojrzała na ramię Jessie.

- Powinnaś czymś posmarować to oparzenie słoneczne.

Jessie zerknęła na nie. Na prawym ramieniu, zaraz nad łokciem miała nieznaczny odcisk palców Huntera, wyglądający jak jakiś firmowy znaczek na tle zaróżowionej od słońca skóry, musiał ją obejmować, kiedy przysnęła. Poczuła, że się czerwieni. Maria zachichotała.

- Chyba złapałam cię na gorącym uczynku.

- Wydaje mi się, że nie muszę mówić, dlaczego się spóźniłam? - spytała

nieśmiało Jessie.

- Nie. Możesz uznać, że jesteś oficjalnie usprawiedliwiona. - Uśmiech, czający się w kącikach ust Marii w pełni się teraz ukazał.

Jessie usiadła na krześle przy stole.

- O rany, ale się porobiło.

- No tak, trudna sprawa. - Maria pokiwała głową z sympatią.

- Dwóch fantastycznych facetów, a można wybrać tylko jednego. Zupełnie jak w damskiej wersji *Kawalera*. Kto wygra, a kto zostanie odesłany do domu?

Jessie jęknęła.

- To nie jest żaden program reality show. To moje życie. Kiedy już coś postanowisz, to na pewno jakaś kobieta, która nawet nie ma szans na randkę z nim, wypędzi cię z miasta - stwierdziła radośnie Maria.

- Właściwie teraz nie miałabym nic przeciwko temu.

- Oczywiście, obojętnie kogo wybierzesz, z radością zgłaszam się jako nagroda pocieszenia. - Maria przybrała tak zabawną pozę, a w dodatku ciemne pukle włosów falowały jej wokół twarzy, że Jessie nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Zupełnie nie wiem, co mam robić - narzekała Jessie. - Właściwie to nawet nie wiem, w jaki sposób wplątałam się w to wszystko. Myślałam, że z Hunterem jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- No chyba żartujesz. Prawie każda kobieta ma na niego chrapkę. Dlaczego z tobą miałyby być inaczej?

- Dlatego, że nie jestem wolna. - Myśl o Jonathonie spowodowała falę wyrzutów sumienia.

- Jesteś tego pewna? - Maria uniosła brew.

Jessie westchnęła. Tak myślała... przynajmniej do tej chwili.

- Mogło być gorzej - powiedziała Maria. - Mogłabyś być na miejscu Erin.

- Właśnie myślałam, że jestem na jej miejscu - odpowiedziała Jessie, zataczając ręką wokół siebie. Zaraz jednak, widząc poważny wyraz twarzy Marii, spytała: Co? Coś się stało?

Maria zawahała się, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Któregoś dnia widziałam jak Skip wychodził z kancelarii Jacka Flaglersa - zawiesiła głos. - Jack prowadził sprawę rozwodową Cricket.

Jessie zapaliła się w głowie lampka ostrzegawcza, ale szybko odpowiedziała:

- To niekoniecznie coś znaczy. - O ile się orientowała, Jack Flagler nie był specjalistą od prawa rodzinnego.

Jednak nietrudno było wywnioskować, że Skip przygotowuje się do czegoś.

Maria pokręciła głową.

- Pewnie masz rację. Ja po prostu nic nie mogę poradzić, że zastanawiam się... no wiesz.

Jessie przytaknęła, czując wewnętrzny niepokój:

- To by zabiło Erin.

- Myślisz, że powinniśmy jej coś powiedzieć? - Maria spojrzała na nią z niepokojem. Jessie przecząco pokręciła głową.

- Nie wiemy nic na pewno. - Na razie spróbuję się czegoś dowiedzieć od Skipa. Jeśli coś się potwierdzi, to i tak lepiej, żeby na razie Erin pozostała w nieświadomości.

- Mam tylko nadzieję, że ona wie, co robi - powiedziała Maria. - Taki facet jak Skip... powiedzmy sobie, że nie musiałyby umieszczać ogłoszeń matrymonialnych. Wydaje mi się, że i tak już ustawia się do niego kolejka.

- Nawet gdyby jutro przyleciała do domu, to i tak niczego automatycznie by to nie rozwiązało - skwitowała Jessie.

Maria potrząsnęła głową.

- Biedna Kayla. To jej najbardziej mi szkoda. Nie zasłużyła na to.

Jessie wydawało się, że coś mignęło w korytarzu, ale kiedy się odwróciła, nikogo tam nie było. Może Otis się tu zaplątał w poszukiwaniu jakiegoś dobrego kęsa – goście bardzo często go czymś raczyli. Wkrótce o tym zapomniała, krojąc brie i układając jego części na desce serów.

ERIN:

*Któregoś dnia rozmawiałam z bezdomnym mężczyzną. Dałam mu dolara, a on dał mi historię swojego życia. Zaskoczyła mnie wiadomość, że był profesorem ekonomii, zanim alkohol nie doprowadził go na ulicę. Rozmawialiśmy o kondycji gospodarki i o tym, co się stanie, jak zostaną podniesione stopy procentowe. W sklepowym wózku, w którym znajdował się cały jego dobytek, były żółte strony „Wall Street Journal”. Tylko tę gazetę warto czytać, powiedział. Reszta - dodał z pogardą - to śmieci.*

*Całe życie tego człowieka rozpadło się w pył, ale wewnętrznie był nietknięty. Jego intelekt, humanitaryzm - tak piszę z braku lepszego słowa. To spotkanie sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać jak ono mnie zmieniło. Czy jestem inna? Czy po prostu jestem tą samą osobą, tylko w innym otoczeniu? Czy moi nowi przyjaciele są lepsi od tych starych, których zostawiłam? Co wiem na pewno, to, że moim ulubionym daniem nadal jest makaron zapiekany z serem. Nadal rajcują mnie reklamy na stacji Hallmark czy przerzucanie kanałów po stacjach telewizji Lifetime. Mam jeszcze do zobaczenia*

obraz w Metropolitan Museum, który tak samo mnie wzruszył, jak rysunki, przynoszone niegdyś przez moją córkę ze szkoły...

z Życiowej zamiany

## Rozdział trzynasty

W pierwszym tygodniu czerwca Erin miała zastępstwo za Modou Nyambe, nowego, niezwykle modnego szefa kuchni, który akurat w tym czasie promował swoją najnowszą książkę kucharską - i pierwsze nagranie na żywo od chwili jej debiutu w *Śpiewającym kucharzu*. Z początku trochę się denerwowała, ale wszystko bardzo dobrze poszło i w czwartek, kiedy została poproszona do gabinetu producenta, nie oczekiwała niczego innego ponad poklepanie po ramieniu za dobrze wykonaną pracę. Zamiast tego Latrice oświadczyła:

- Właśnie wracam ze spotkania z Randym. - Randallem Freemanem, szefem stacji. - Układamy nową ramówkę jesienną i chcielibyśmy, żeby pani się w niej znalazła.

- Mówi pani... ma pani na myśli mój własny program? - Erin sama słyszała, że się jąka.

- Jeśli jest pani zainteresowana.

Erin nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Nie mogła uwierzyć, że wszystko, co się dotychczas wydarzyło nie było tylko i wyłącznie czystym przypadkiem. Teraz jej szefowa mówiła, że to dopiero początek. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Nie wiem, co powiedzieć. Latrice uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że powie pani tak.

- To poważna sprawa - powiedziała Erin. - Czy możemy trochę później wrócić do tej rozmowy? - Jutro miała na tydzień przyjechać Kayla. Erin chciała to z nią przedyskutować, zanim podejmie decyzję. W końcu nie chodziło o byle co...

- Nie spiesz się - powiedziała radośnie Latrice. Jednak Erin dobrze wiedziała, że czas inaczej liczy się w tej branży. Najpóźniej do przyszłego tygodnia musiała dać odpowiedź.

Latrice wstępnie zarysowała charakterystykę programu. Chodziło o bardziej domową kuchnię, coś w tym rodzaju, co Erin już robiła. Na początek trzydzieści odcinków, żeby przyciągnąć publiczność. Latrice nie musiała dodawać, że z takim hitowym programem jak *Śpiewający kucharz* wiele się wiązało. Enzo, oprócz tego, że

wydał pół tuzina książek kucharskich, miał linię przyborów kuchennych, firmowanych programem, linię sosów w butelkach, płyt DVD, nawet sieć restauracji, których był jednym z właścicieli. Erin dobrze wiedziała, że jeśli dobrze wykreuje się swoją markę, to można zarobić miliony na samych tylko gadżetach. Była to dość kusząca perspektywa...

Po skończonym spotkaniu Erin niemal uniosła się w powietrzu, ściskając „wykonawczą” dłoń Latrice. Nie była w stanie wchłonąć tego wszystkiego na raz. Potrzebowała weekendu, żeby wszystko przemyśleć.

Zastanawiała się, jaka będzie reakcja Kayli. Tak poważnej decyzji, nie mogła podjąć sama zwłaszcza jeśli chciała utrzymać dobry kontakt z Kaylą. Co jej córka powiedziała by na przeprowadzkę do Nowego Jorku? Wiązałoby się to przecież ze zmianą szkoły, pożegnaniem z przyjaciółmi, a większość z nich znała jeszcze z przedszkola. Oznaczałoby to również ograniczenie spotkań z ojcem. Teraz pewnie sprowadziłyby się one do wspólnego spędzania lata i ferii szkolnych.

A Skip? Erin dobrze wiedziała, że przyjęcie przez nią tej propozycji będzie początkiem nowego życia i końcem dawnego. Możliwe, że już jest za późno na naprawianie stosunków ze Skipem, ale nawet jeśli jest jeszcze jakaś nadzieja, to przyjmując tę propozycję, zniweczy wszelkie szanse.

Tego wieczora, kiedy Drew zaproponował jej wspólną kolację, chętnie się zgodziła. Jeśli miałyby siedzieć w swoim mieszkaniu jeszcze minutę dłużej i w kółko myśleć o tym samym, to chyba zaczęłyby chodzić po ścianach. Chwilę później byli w taksówce, jadąc do włoskiej restauracji w East Village, tej, o której mówił jej Enzo.

Był ciepły wieczór, więc usiedli na patio, w zarośniętej bluszczem, pełnej kolorowych światełek grocie. Powoli, po wypiciu butelki Pinot Noir, zaczęła się rozluźniać. Nie widziała Drew od chwili tej nieszczęsnej wizyty Skipa. To prawda, że od tego czasu unikała spotkań z Drew i źle się z tym czuła, szczególnie, że on nie ponosił żadnej winy za to, co się stało. Jednak po nagłym wyjeździe Skipa ciągle jeszcze lizała rany, a Drew tylko przypominał jej o tym wydarzeniu.

- Będziesz potrzebowała agenta - powiedział, kiedy usłyszał o propozycji Latrice.  
- Znam paru ludzi. Jutro z samego rana podzwonię do nich. - Jego oczy aż błyszczały z podniecenia. Miałoby to przecież wpływ na jej, ale i na jego życie, podejrzewała Erin. Jeśli przeprowadziłaby się do Nowego Jorku, przestaliby już chodzić wokół siebie i może coś by się w końcu wyklarowało w ich stosunkach.

- Zaraz, zaraz. Jeszcze nie dałam im odpowiedzi - przyhamowała jego zapał. - Najpierw muszę porozmawiać z córką i ... - przerwała, zanim mogła dodać - moim mężem. To poważna sprawa. Może jestem już za stara, żeby zaczynać wszystko od



nowa.

- Od kiedy trzydzieści pięć lat to starczy wiek? - zapytał.

- Łatwo ci mówić. Możesz pozbierać wszystkie swoje zabawki i od razu przenieść się gdzie indziej. Zupełnie inaczej jest, jak ma się dzieci.

- Wydawało mi się, że mówiłaś, że twoja córka kocha Nowy Jork.

- Lubi tu przyjeżdżać, ale nie jestem pewna, czy chciałaby tu zamieszkać.

- No to masz cały tydzień na sprzedanie jej tego pomysłu. Mogę nawet się do tego dołożyć i pokazać jej miasto, kiedy będziesz w pracy.

- To miło z twojej strony, ale... - Erin zawahała się - zobaczymy jeszcze, dobrze? Drew chwycił ją za rękę.

- Mam w tym swój interes. Rozpuściłaś mnie i już nigdy nie wezmę nic na wynos. Jak wyjedziesz, to kto będzie mnie żywił?

Zaśmiała się, a kiedy stwierdziła, że nie będzie to zbyt obcesowe, wyjęła swoją dłoń z rąk Drew.

- Teraz już rozumiem, co mówią o bezpańskich kotach; jak tylko da im się spodeczek mleczka, zostają na stałe. - Z wyrazu twarzy Drew wyczytała, że nie dał się zwieść lekkiemu tonowi jej wypowiedzi. Wiedział, że unikała poruszania najważniejszej dla niego kwestii.

- A co z twoim mężem? - zapytał w końcu, kiedy przyniesiono im przystawki. - Jak on się w to wszystko wpisuje?

- Jeszcze z nim o tym nie rozmawiałam - powiedziała, dodając z westchnieniem.

- Nie najlepiej się ostatnio dogadujemy.

- Aha. Ta propozycja chyba nie jest najlepszą receptą na domowe szczęście.

Posmutniała.

- Nie wiesz, co się stało.

- Wyglądał na zdenerwowanego, wychodząc ode mnie. Czy powiedziałem coś, czego nie powinienem? - Drew wydawał się szczerze zaniepokojony i wiedziała, że nie jest to tylko poza. Poczula przyływ sympatii do niego.

- Zupełnie nie o to chodzi - zapewniła go i powiedziała mu o zdjęciach.

- Erin, tak mi przykro - przeprosił Drew. Wyraźnie nie chciał, żeby tak się stało. - Nie powinienem był zostawiać ich na widoku.

- Nie miałaś nic do ukrycia - stwierdziła.

- No, ale rzeczywiście mógł sobie pomyśleć, że nie ma dymu bez ognia.

*No i niewiele się mylił*, pomyślała Erin. Poza tym tylko, że ogień został zduszony w zarodku. Jeśliby został i posłuchałby jej, to sam by się o tym przekonał.

Erin, rozkojarzona swoimi przemyśleniami, ledwo skubnęła swoją potrawę.

Dopiero kiedy doszli już do domu i wchodzili po schodach, zdała sobie sprawę z tego, że nie odezwała się słowem do Drew od chwili wyjścia z restauracji. Nalegała, żeby wyczyścić plamy od wina, którym podczas kolacji zalała Drew blezer i nadrobić tym samym swoje złe maniery. Akurat z plamami była sobie w stanie poradzić; nie wymagały od niej znajdowania odpowiedzi na zadane w myśli pytania.

- Na pewno? - spytał, zdejmując marynarkę.

- Tak. Trzeba namoczyć plamę w mleku i natychmiast znikną.

Sięgała do torebki po klucze, kiedy Drew nachylił się i pocałował ją. Nie wycofał się jednak jak zwykle, tylko przysunął bliżej i objął ją ramieniem. Kiedy Erin poczuła jego usta na swoich, oparła się o kłamek, wypuszczając z ręki torebkę i blezer, które głucho spadły na chodnik. Miała wrażenie, że jest pod wpływem jakiegoś narkotyku, który falami rozlewa się po jej ciele i była zadowolona, że jest przynajmniej jeden mężczyzna, nie uważający jej za kogoś nie do zniesienia.

Po chwili, odsunął się i wyszeptał:

- Może powinniśmy wejść do środka?

Erin miała taką pokusę. Byłoby to takie proste - tak samo proste, jak przekręcenie klucza w zamku.

*Co cię powstrzymuje?*, dopytywał głos w jej głowie. Teraz mogła się spodziewać, że Skip też ją zdradza. Patrząc z jego perspektywy, nie dała mu powodu, żeby miał tego nie robić.

Schyliła się po torebkę, w poszukiwaniu swoich kluczy. *Nie, nie swoich, a Jessie*, pomyślała. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że Erin weszła w życie Jessie. Jednak nie trwało to długo. Cokolwiek się teraz wydarzy, ona będzie tego sprawcą.

Jej palce zacisnęły się na kluczach. Stała tam ze schyloną głową, jakby się mocno nad czymś zastanawiała... albo modliła. W końcu spojrzała na Drew i wolno, z żalem przecząco pokręciła głową.

- Przepraszam, ale nie jestem jeszcze gotowa.

Zobaczyła rozczarowanie w jego oczach, ale tylko powiedział:

- Mogę poczekać. - Może nie wiecznie, ale przynajmniej do chwili, kiedy ona nie podejmie decyzji o swojej przyszłości.

Potem usłyszała go, jak pogwizduje w swoim mieszkaniu, zupełnie jakby nie czuł się odrzucony i to już dwa razy. Bardziej jak ktoś, kto wiedział rzeczy, o których ona nie miała pojęcia.

- Nigdy nie boli cię szyja? - spytała Kayla zadzierając głowę i patrząc wokół na otaczające ich wieżowce.

Erin się uśmiechnęła. Nie tak dawno sama ciągle chodziła z zadartą do góry

głową, otwierając usta z zadziwienia.

- Można się przyzwyczać - powiedziała.

Nie zdradziła jeszcze rewelacji o swojej propozycji zawodowej. Tak miło spędzały czas, że nie chciała tego zepsuć. Zeszłego wieczora, prosto z lotniska przyjechały do domu, gdzie nadrabiały ostatnie plotki. Dzisiaj rano wczesnie wstały, żeby zwiedzać miasto. Dotychczas były w St. Patrick's i Rockefeller Center. Napiły się herbaty u Burberry'ego, a Kayla zmierzyła prawie wszystkie ubrania w jej rozmiarze z H&M. Najwyraźniej nie była jeszcze na tyle dorosła, żeby odpuścić sobie wizytę w największym nowojorskim sklepie z zabawkami FAO Schwarz, gdzie aż klasnęła w ręce z zachwytu nad wielką menażerią wypchanych zwierząt.

Teraz spacerowały po Piątej Alei, kierując się do Empire State Building. Kayla zawsze chciała wjechać na górę, żeby podziwiać widoki, ale dwukrotnie, kiedy były tu z Jessie, pogoda na to nie pozwoliła. Dzisiaj było słoneczne niebo; horyzont sięgał aż do Jersey, a może nawet dalej. Zatrzymały się na rogu Trzydziestej Czwartej, żeby kupić precle od ulicznego sprzedawcy. Za chwilę jechały już windą na taras widokowy.

- O rany! Wszystko wydaje się tu takie malutkie. - Kayla patrzyła z zachwytem na znajdujące się poniżej miasto; wysokie budynki z tej perspektywy przypominały klocki.

- Pamiętam, kiedy pierwszy raz przyjechałam tu z ciocią Jessie. Nie byłyśmy o wiele starsze od ciebie. Miałam świetny pomysł, żeby rzucić liścik z tarasu. - Erin uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- A co chciałaś w nim napisać? - Kayla wyglądała na zaintrygowaną.

- Nic wielkiego. Chciałam, żeby ktoś, kto go znajdzie, wiedział że tu byłyśmy: Erin i Jessie, dwie dziewczyny z college'u, gotowe na podbój świata.

Kayla zachichotała.

- Wygląda na to, że ci się udało. Swoją drogą, to zabawne, że ciocia Jessie została tu, a ty wróciłaś.

Kayla znała historię i plany matki na tamto lato i wiedziała, że zostały one brutalnie zmienione przez nagłą śmierć jej dziadków. Erin już otwierała usta, żeby jej powiedzieć, że dostała szansę od losu, kiedy Kayla przeszła na drugą stronę tarasu, żeby podziwiać kolejne widoki.

- To jest Rockefeller Center? - Wskazała na błyszczący w oddali budynek, który stąd wydawał się być wielkości znaczka pocztowego.

- Widać, że już całkiem dobrze się tu orientujesz - zauważyła Erin.

- To proste. Ciocia Jessie pokazała mi na mapie, jak to wszystko jest położone.

Erin patrzyła na swoją długonogą piękną córkę w minispódnicy i dżinsowej

kurtce - straciła trochę na wadze od chwili, kiedy Erin widziała ją ostatnio - i poczuła, że zalewa ją fala miłości. Mimo że ciężko jej było to przyznać, czas rozłąki z nią dobrze zrobił Kayli. Dojrzała, może lepiej niż miałyby na to szansę z ciągle zaglądającą jej przez ramię i przewidującą każdy kolejny ruch matką. Wydawała się bardziej opanowana i pewna siebie. Erin zdała sobie sprawę, że jej mała dziewczyna szybko rośnie i nie chciała uronić już ani jednej minuty z jej życia.

- Mogłabyś sobie wyobrazić, że tu mieszkasz? - spytała.

Kayla odwróciła się powoli, żeby na nią spojrzeć. Z wyrazu twarzy matki wywnioskowała, że nie chodziło o jakiś nieokreślony moment w przyszłości.

Przyjrzała się Erin przez zawiewające jej twarz włosy i spytała z obawą:

- Czy ma to jakiś związek z tobą i tatą?

- W pewnym sensie tak. - Wzięła głęboki oddech. - Zaoferowali mi prowadzenie własnego programu.

Kayla zamrugnęła oczami i ze zdziwienia aż otworzyła usta:

- Serio?

Erin skinęła głową.

- Wiem. Mnie też trudno w to uwierzyć.

- O rany! - Kayla ciągle nie mogła dać wiary temu, co usłyszała.

- Jeszcze nie dałam im odpowiedzi. Najpierw chciałam skonsultować to z tobą - dodała Erin. Trzęsąc się z zimna, odeszła od barierki, ale mimo osłony dachu z pleksi i tak dało się odczuć porywy wiatru.

- To oznaczałoby, że musiałybyśmy się tu przenieść.

- My?

- Ty i ja.

- A co z tatą?

- Nie wiem, twój ojciec i ja... - Erin urwała, nie bardzo wiedząc, jak to ująć. W końcu łagodnie powiedziała - jeśli nam się nie ułoży, to sama muszę zacząć myśleć o przyszłości.

- Chcesz powiedzieć, jeśli się rozwiedziecie - w tonie głosu Kayli dało się wyczuć smutek.

- Na razie nie mówimy o rozwodzie - odpowiedziała może zbyt ostro Erin, ale sama równie dobrze, co Kayla wiedziała, do czego to prowadzi.

Kayla spojrzała na innych turystów, stłoczonych na tarasie. Niedawno wyrosła z wieku, w którym chodzenie wspólnie z rodzicami jest postrzegane jako, oględnie mówiąc, krępujące.

- Wiesz coś nowego? Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z tatą? - spytała Kayla ze

złością.

- Od jakiegoś czasu nie rozmawialiśmy ze sobą, ale... kochanie, o co chodzi?

Łzy płynęły ciurkiem po policzkach Kayli. Erin chciała ją pocieszyć, ale Kayla się cofnęła.

- Słyszałam rozmowę Marii i cioci Jess - powiedziała, łkając. - Maria powiedziała, że tata spotkał się z prawnikiem.

Erin poczuła, że coś ją ściska za serce. Starła się zachować neutralny ton głosu.

- Ludzie chodzą do prawników w różnych sprawach.

- To samo powiedziała Marii ciocia Jess.

Erin starała się powściągnąć emocje, patrzyła na miasto, które tak ostatnio pokochała, na małe samochodziki-zabawki, poruszające się po liniach szerokości kciuka - tak to się odbierało z tej perspektywy. Dlaczego Jessie nic jej nie powiedziała? Erin poczuła się zdradzona, chociaż wiedziała, że Jessie pragnęła tylko ją chronić. Jednak przeważającym uczuciem był smutek.

- Nigdy nie myślałam, że tak może się to skończyć - powiedziała.

Nie zdawała sobie sprawy, że po jej policzkach płynęły łzy. Kayla przytuliła ją i powiedziała:

- Nie płacz, mamuś. Może ciocia Jess miała rację, może ta wizyta o niczym nie świadczy.

Erin wzięła się w garść i stała z wymuszonym uśmiechem.

- Tak czy inaczej nie przyjechałaś tu na stypę. Miałyśmy się dobrze bawić. Co powiedziałabyś na powrót do miasta? Jest jeszcze mnóstwo do zobaczenia.

Kayla odwróciła się do niej i zmierzyła ją swoim dojrzałym wzrokiem młodej kobiety, którą się stała podczas nieobecności Erin.

- Mamuś - powiedziała to dokładnie takim samym tonem, jakiego używała kiedyś Erin, chcąc ją pocieszyć, kiedy jeszcze była mała. - Nie przyjechałam, żeby podziwiać widoki. Przyjechałam, żeby się z tobą spotkać.

## *Rozdział czternasty*

Kiedy Jessie rankiem podjeżdżała pod gmach sądu na wstępną rozprawę Huntera, przy ulicy, w dwóch rzędach stały zaparkowane samochody reporterów, a ich właściciele przepychali się przez tłum protestujących. Było dokładnie tak, jak przewidywał Hunter. Jej artykuł w ostatnim numerze „People” wywołał bardzo duży oddźwięk i sprawił, że Hunter natychmiast stał się sławny. Dostał kilka telefonów od organizacji zajmujących się ochroną środowiska z ofertą udzielenia mu pomocy i wsparcia. Don Sidwell, kongresmen Partii Demokratycznej z ich regionu, wydał oświadczenie, potępiające: „plądrowanie dla korzyści materialnych bogactw naturalnych, należących do całego narodu”. Oczywiście rada plemienia Nawahów również gorąco wspierała swojego pobratymca. Jessie podjechała bliżej i zobaczyła Arta Begay'a, przyjaciela Huntera z lat dziecińczych, którego poznała, tak jak i resztę jego znajomych i bliskich z rezerwatu, kiedy Hunter został postawiony w stan oskarżenia. Teraz wszyscy stali z transparentami i plakatami. Dojście do sali rozpraw na drugim piętrze, gdzie miało się odbyć przesłuchanie, zajęło jej kilkanaście minut, zanim przedostała się przez tłum ludzi.

Hunter siedział na miejscu dla oskarżonych, obok swojego prawnika, starszego mężczyzny z niebieskimi oczami, który spoglądał na nią spod białych brwi.

- Dzień dobry, kochanie - przyjaźnie powitał ją Stew z regionalnym akcentem. Jak zwykle miał na sobie szelki i ten krawat, podobny do sznurówek, spiętych w jego przypadku znaczkiem uczelni: Stew skończył prawo na Columbia University i mógł nosić taki znaczek, jak każdy pierwszorzędny prawnik. - Niezłe powitanie, co? Można by pomyśleć, że ten facet, to jakaś gwiazda rocka. - Poklepał Huntera po ramieniu.

- Mam tylko nadzieję, że nie wykreowaliśmy potwora. - Jessie rzuciła Hunterowi zaczepne spojrzenie, kiedy wstał, żeby się z nią przywitać. Był ubrany konserwatywnie, jak na niego: w ciemnognatowy blezer, białą koszulę i wyprasowane spodnie khaki. Poczowała nieodpartą chęć, żeby przeczesać rękami jego włosy; o rany, czy kiedykolwiek w jego towarzystwie przestanie się zachowywać jak nastolatka, która właśnie odkryła, co to jest seks? - Następnym razem to chyba będzie pozował do magazynu „GQ”.

- Przysięgam, że woda sodowa nie uderzy mi do głowy. - Wyglądał na zrelaksowanego, ale miał zaniepokojone oczy, widząc twarze ludzi wchodzących na salę rozpraw. Jedną rzeczą była atencja mediów i wiążąca się z tym popularność, a drugą grożąca mu ewentualność kary więzienia.

Jessie sama była wystarczająco roztrzęsiona i nie wynikało to tylko z wypicia trzech filiżanek kawy na pusty żołądek (zdenerwowanie nie pozwoliło jej na zjedzenie śniadania). Według Stew, raczej nie można było liczyć na oddalenie zarzutów; znalezienie odcisków palców Huntera na miejscu przestępstwa stanowiło podstawę do dalszych działań sądu, co oznaczało, że istniało ryzyko uznania Huntera za winnego. Jessie rozboleł brzuch już na samą myśl o tym.

To wszystko było tak surrealistyczne jak filmy, w których życie bohatera jest uzależnione od przebiegu pojedynku. Istniała Jessie Holland z Nowego Jorku, która z Jonathonem wybierałaby właśnie pierścionek zaręczynowy u Tiffany'ego... i ta Jessie Holland z Willow Creek, stojąca na sali sądowej, trzęsąca się o losy swojego kochanka. *Kochanka!*. Nawet samo to słowo wydawało jej się obce, kiedy wymawiała je w myśli. Gdyby Jonathon się dowiedział, byłby zdruzgotany. Chociaż może nie tak bardzo, jak jej się zdawało na początku. Nawet po zaręczynach, wrócił do swojego trybu życia, jakby teraz, po oświadczeniach, nie musiał się już niczym martwić. Nie dzwonił już tak często, a kiedy rozmawiali, wydawał się zabiegany i zajęty. Tłumaczył, że mają za mało pracowników w news-roomie, ale nawet jeśli była to prawda, to dlaczego zawsze znajdował nieograniczenie wiele czasu dla swoich dzieci? Słuchając jego opowieści o wspaniałej wycieczce z dziećmi do zoo w Bronxie i do nowojorskiego klubu golfowego Chelsea Piers, nie mogła nic na to poradzić, ale czuła się... odstawiona na boczny tor. Wiedziała, że było to z jej strony śmieszne i niesprawiedliwe, szczególnie biorąc pod uwagę, że sypiała z innym mężczyzną. Ale czy właśnie nie dlatego go zdradzała?

Ale, kiedy zastanawiała się, jakby to było, gdyby każdego ranka po przebudzeniu widziała kapcie Huntera, stojące po jego stronie łóżka, ogarniała ją radość, tak samo spontaniczna, jak ta odczuwana w czasach dzieciństwa, po otwarciu oczu w dzień Bożego Narodzenia. Myślała o tym, jak leży w jego ramionach po udanym seksie i czuje się tak szczęśliwa, jak nigdy dotąd, nawet bardziej niż z Jonathonem. Cieszyły ją drobne przyjemności: wspólne picie kawy na ganku, podglądanie ptaków gromadzących się przy karmniku na podwórku Huntera. Umiał rozpoznać każdy gatunek, a jeden z ptaków, nazwany przez niego Biduś, nawet jadł mu z ręki. Rozmyślała również o wspólnych spacerach. Któregoś dnia, w zeszłym tygodniu, zwiedzali starą kopalnię miedzi w Jerome. Poprzedniego wieczora w salonie Huntera tańczyli jak szaleni nastolatki do wyjącej z głośników piosenki Springsteena *Born to run*.

Jej błogość ducha teraz ustąpiła miejsca zmartwieniu. Rozglądała się po sali rozpraw szybko zapełniającej się ludźmi. Frontowe ławki zajmowali przyjaciele

Huntera i aktywiści, wśród nich siedział skarbnik Rady Ochrony Przyrody, Jeff Carmody, który żartował, że miał jedynie symboliczną funkcję, bo nigdy nie było dość pieniędzy w radzie, oraz Art Begay w źle skrojonej garniturze, z zaczesanymi do tyłu włosami. Przysadzista Norma Gleason z księgarni Dancing Crane siedziała blisko Linka Woodhouse'a z „Merkury'ego”. Zaraz za nimi była pracownica poczty, pani Lou, w towarzystwie swojej długoletniej partnerki, Cory Halsey.

Reporterzy stali stłoczeni z tyłu sali, skąd szybko mogli wyjść, żeby nadać relację. Jessie miała tylko nadzieję, że nie odwrócą się od nich, jeśli usłyszą jakiegokolwiek sfingowane dowody przeciwko Hunterowi. Dobrze wiedziała, że media miały ogromną siłę: dzisiejszy bohater jutro może stać się niebezpiecznym fanatykiem.

Jessie już miała siadać, kiedy woźny sądowy obwieścił: „Proszę o powstanie! Sąd pod przewodnictwem sędziego Ernesto Sancheza zaczyna obrady!”.

Bocznymi drzwiami wszedł sędzia ubrany w długą sięgającą butów togę: mężczyzna w średnim wieku, o posturze zapaśnika i kręconych czarnych włosach, kontrastujących ze szpakowatymi wąsami. Mogła tylko mieć nadzieję, że jego ocena sytuacji będzie sprawiedliwa.

Po przeczytaniu aktu oskarżenia Stew McCall powstał ze swojego miejsca przy ławie oskarżonych.

- Wysoki sędzie, chciałbym tylko dodać, że jeśli podejrzenie o popełnienie przestępstwa automatycznie oznaczałoby powieszenie człowieka, to nie starczyłoby dla wszystkich sznura. - Rozejrzał się po sali, z uśmiechem powodującym u niektórych uczucie podenerwowania. - Jedynym przestępstwem mojego klienta, jeśli już tak chcemy to nazwać - kontynuował, zatrzymując wzrok na gniewnym spojrzeniu Burta Coffey'a, który reprezentował Sylvan Glade - było to, że działał komuś na nerwy.

Sala zanosła się gromkim śmiechem. Prokurator okręgowy, blady rudowłosy mężczyzna, wyglądał na niezbyt zadowolonego, kiedy przyszła jego kolej na zwrócenie się do ławy przysięgłych. Dowód, który przedłożył, był dowodem poszlakowym, ale zgodnie z nim oskarżony, pan George, był winny popełnienia przestępstwa, o które się go oskarża. Przestępstwo - dodał piskliwie - mogło przyczynić się do śmierci lub poważnych obrażeń ciała pana Coffey'a i jego pracowników.

Pierwszym świadkiem prokuratury był młody strażnik o imieniu Kenny, który oświadczył, że nieopodal miejsca zdarzenia widział zaparkowany samochód terenowy w tym samym kolorze, co samochód oskarżonego. Dopiero podczas serii pytań, które zadał mu prawnik Huntera, przyznał, że samochód stał zbyt daleko, żeby rozpoznać jego markę. Tym bardziej więc nie mógł rozpoznać „faceta wyglądającego na



Meksykanina", którego widział później w tym samochodzie i rozpoznał jako oskarżonego.

- No cóż, to zrozumiałe - zauważył uprzejmie Stew - że wszyscy Meksykanie wyglądają niemal identycznie.

Ironia zawarta w głosie Stew nie umknęła uwagi sędziego, który rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Wcześniej oświadczył obu prawnikom, że nie lubi tanich sztuczek i gier pod publiczność.

Potem przyszła kolej na przypominającego buldoga Burta Overby'ego, mężczyznę o czerwonej twarzy; stał w rozkroku, z wysuniętą do przodu szczęką, jakby chciał przyłożyć woźnemu sądowemu. Zeznał, że kilkanaście razy przegonił oskarżonego ze swojej posesji, psiocząc:

- Sukinsyn jest jak ten sumak jadowity: im bardziej się z nim walczy, tym szybciej rośnie. - Twierdził też, że otrzymywał od Huntera listy z pogrózkami. Kiedy prokurator odczytał jeden z nich, Jessie pomyślała, że równie dobrze można by je odebrać jako ostrzeżenie wystąpienia na drogę sądową.

Jedynym dowodem, poza odciskami palców, było znalezione w sąsiedztwie zniszczonej stacji benzynowej pudełko zapalek z logo restauracji U Murphy'ego, gdzie Hunter i Rada Ochrony Środowiska zwykle się spotykali. Jednak restauracja U Murphy'ego była miejscem odwiedzanym przez wszystkich obecnych na sali rozpraw, więc równie dobrze to pudełko zapalek mogło należeć do kogokolwiek ze zgromadzonych na sali, szybko zauważył Stew McCall. Nawet sędzia sceptycznie odniósł się do tego dowodu.

Sądząc z wyrazu twarzy wszystkich zebranych, w tym Jessie, coraz bardziej ewidentnie widać było, że prokurator właściwie nie miał żadnych wiarygodnych dowodów. Takie dowody, jak te przedstawione tutaj, może mogłyby zostać uznane w jakiejś zapomnianej przez wszystkich miejscinie, ale na pewno nie pod baczny okiem wszystkich zgromadzonych tutaj. Przy takim zainteresowaniu publiczności i reporterów, czyhających tylko na jakiegokolwiek potknięcie ze strony wymiaru sprawiedliwości, nie było mowy o fałszowaniu faktów.

Jessie poczuła, że uchodzi z niej napięcie. Nie odetchnie w pełni, dopóki to się nie skończy, ale wszystko wskazywało na to, że prawdopodobieństwo uwięzienia Huntera malało, przynajmniej w jej mniemaniu.

Po skończeniu przesłuchania, zwolennicy Huntera zgromadzili się wokół niego i ruszyli do wyjścia. Jessie udało się go złapać dopiero na schodach przed sądem, kiedy wśród fleszy i pstrykających migawek aparatów składał oświadczenie do prasy.

- Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że nie popieram żadnej formy przemocy - powiedział do mikrofonu reportera z CTN-u i dodał, że ma nadzieję, że sprawca tego przestępstwa zostanie zatrzymany. - Nie możemy jednak zapominać o tak ważnej sprawie jak ziemia. Nasza ziemia. - Pozdrowił pozostałych członków Rady. - Jeśli pozwolimy niektórym ludziom robić interesy na tym, co należy do nas wszystkich, stracimy dużo więcej niż tylko naszą wodę. Potem przyjdzie kolej na utratę pracy, następnie domów i szkoły, utrzymywanej z podatków od turystyki...

Na tych schodach w świetle reflektorów wyglądał zupełnie, jakby mógł poprowadzić cały naród na wojnę. Dało się słyszeć głośno wiwatujących ludzi. Dopiero wtedy spojrzał na Jessie. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, a jej płuca wypełniają się gazem lżejszym od tlenu. Kiedy za pomocą łokci przedzierała się przez tłum, nabrała przekonania, że jeśli teraz zapytałby ją, czy pojedzie z nim do Argentyny, zrobiłaby to bez najmniejszego wahania.

Kiedy w końcu udało jej się do niego dostać, przytulił ją mocno do siebie, podniósł i zakręcił dookoła. Jakikolwiek byłby wyrok sądu, Hunter dopiął swego i samo to było wystarczającym powodem do świętowania.

- Kolejną rzeczą, jaką zrobisz, będzie ubieganie się o jakiś urząd - podpuszczała go.

- Najpierw muszę wygrać tę sprawę. - Sam jednak przyznał, że prokurator nie miał na czym się oprzeć; może nie trzeba było martwić się o wyrok sądu.

- Na razie wstrzymajmy się z szampanem, ale tymczasem może skusisz się na piwo?

Uśmiechnął się.

- Jak pani sobie życzy.

W następną sobotę Jessie wstała dużo wcześniej niż zwykle. Jeden z kuzynów Huntera się żenił i Hunter zaprosił ją na ślub. Chciała przygotować śniadanie przed przyjściem Marii, bo droga do rezerwatu zabierała około czterech godzin, a sama ceremonia według tradycji Nawahów, musiała się odbyć o zachodzie słońca.

Było już późne popołudnie, kiedy skręcili z autostrady na pyłącą drogę, przy której stały budynki w różnej fazie rozkładu. Minęli kilka kościołów i rząd smutno wyglądających wystaw sklepowych. Samochody zaparkowane wzdłuż chodników były bardzo stare, pożerały ogromne ilości paliwa, i właściwie wraz z rządami Reagana odeszły już dawno do lamusa, a teraz najczęściej można je było zobaczyć w krajach Trzeciego Świata.

- Witaj w miejscowości Many Farms - powiedział Hunter z nutką ironii w głosie. Patrzyła na wypłowiwały krajobraz.

- A gdzie są te farmy?

- Dobre pytanie - odpowiedział. - Innymi słowy, w ogóle ich już nie ma.

Skreśli w gruntową drogę i po kilkunastu kilometrach, przejechanych po dziurach i w tumanach kurzu, dotarli do skupiska budynków, wyglądających jak jakiś skansen. Hunter zatrzymał się przed dużym owalnym budynkiem z suszonej na słońcu cegły, gdzie miała się odbyć ceremonia zaślubin. Podwórko było pełne zaparkowanych samochodów, a wokół roiło się od witających się i poklepujących po plecach ludzi. Pod prymitywnym namiotem stały długie stoły, na których poustawiane były różne miseczki i jednogarnkowe dania. To tradycja, poinformował ją Hunter, że rodzina panny młodej wyprawia ucztę weselną. Kobiety od kilku dni pracowicie przygotowywały potrawy, a mężczyźni w tym czasie kopali palenisko na grilla. Doszedł ją zapach pieczonego mięsa, który przypomniał jej, że nie zjadła lunchu.

Wewnątrz budynku zamiast krzeseł leżały dywaniki, na których po turecku siedzieli gawędzący ze sobą dorośli, a dzieci kręciły się koło nich. Jedyнным meblem, jaki się tam znajdował, był stół w centralnym miejscu, a na nim gliniany dzbanek.

- Chodź, chciałbym cię z kimś poznać - powiedział Hunter, biorąc ją za rękę i prowadząc do siedzącej nieopodal starszej kobiety, zatopionej w rozmowie z kimś. Kiedy byli już całkiem blisko, kobieta podniosła się i z radością objęła Huntera ramieniem.

Zanim ją przedstawił Jessie, kobieta wyciągnęła do niej rękę.

- Jestem Naomi, matka Huntera, a ty pewnie jesteś Jessie. - Była w typie Georgii O'Keeffe. Miała pomarszczoną skórę, zarysowane kości policzkowe i długie zaplecione w warkocz włosy. Kiedy tak stała w swojej tradycyjnej welwetowej spódnicy i białej haftowanej bluzce, można było ją pomylić z jedną z kobiet Nawaho. Jej oczy w kolorze młodych wiosennych listków przypatrywały się Jessie z żywym zainteresowaniem.

- Cieszę się, że przyjechałaś. To twój pierwszy ślub w tradycji Nawahów?

*Pierwszy i pewnie ostatni*, pomyślała Jessie, ale tylko przytaknęła, mówiąc:

- Byłam wychowywana w rodzinie prezbiteriańskiej. Tam, skąd pochodzę, figurki państwa młodych na torcie weselnym mają ten sam kolor skóry.

Naomi chrząknęła ze zrozumieniem.

- Kiedy moi rodzice przyjechali tutaj po raz pierwszy wkrótce po naszej przeprowadzce, pomyślałam, że mnie zwiążą i zaciągną z powrotem do Muskogee - przypomniała sobie.

Hunter objął Jessie ramieniem.

- Nie strasz jej mamó, dopiero co przyjechała.

- Nie wygląda na osobę, którą łatwo można przestraszyć - zauważyła Naomi, a jej szczerzy, oceniający wzrok, wydawał się mówić: „Mam tylko nadzieję, że się nie mylę”.

Yazzie, wuj Huntera, zajął dla nich miejsca, więc usiedli koło niego na podłodze. Słońce wisiało nisko nad ziemią, ale jak dotąd nie było widać ani panny młodej, ani pana młodego, ani ich rodzin. Hunter wyjaśnił, że zanim odbędzie się ceremonia, rodzina panny młodej musi przyjąć i zaakceptować podarunki od rodziny pana młodego. Jeśli okazałyby się nieodpowiednie albo niewystarczająco hojne, wówczas mogło nawet nie dojść do ślubu. Szybko jednak dodał, że w dzisiejszych czasach właściwie nie było takiego niebezpieczeństwa, ale zwyczaj pozostał.

Światło dzienne zaczęło się już zmieniać, kiedy pan młody, kuzyn Huntera o surowej, męskiej urodzie w zbliżonym do Huntera wieku, pojawił się u wejścia do budynku w towarzystwie białowłosego mężczyzny, wyglądającego na jego ojca. Zaraz za nimi stała panna młoda, piękna młoda kobieta o ciemnych włosach, ubrana w obszerną białą spódnicę i turkusową welwetową bluzkę, pasujące do białych dżinsów i nieco ciemniejszej koszuli pana młodego. Niosła pleciony koszyk, a obok niej stał starszy mężczyzna, prawdopodobnie jej ojciec. Pozostali członkowie rodziny zaczęli wchodzić do środka, zajmując miejsca bliżej środka. Z ich zadowolonych twarzy można było wywnioskować, że dary były satysfakcjonujące.

Państwo młodzi zaczęli obmywać ręce wodą z obrzędowego dzbana. Następnie stary szaman *haatali*, rozsypał rodzaj jakiegoś proszku, który wziął ze ślubnego koszyczka i cichym głosem odśpiewywał rytualne pieśni. Hunter wyszeptał Jessie do ucha, że to pyłek kukurydzy, mający zapewnić płodność. Panna i pan młody zanurzyli palce w koszyczku, żeby skosztować jego zawartość; wydawało się, że jest w nim gęsta kukurydziana kaszka. Następnie koszyczek powędrował do członków rodziny i każdy z nich wziął z niego szczyptę potrawy.

*Haatali* kontynuował tradycyjne śpiewy, a Hunter tłumaczył je Jessie łagodnym głosem:

- Mówi im, żeby odnosili się do siebie z szacunkiem, że miłość i akceptacja są dużo ważniejsze niż samolubne pragnienia. Prosi, żeby zostali obdarzeni licznym potomstwem.

Jessie przez chwilę wyobrażała sobie, że to ona wraz z Hunterem stoi w centralnym miejscu pomieszczenia, a *haatali* nad ich pochylonymi głowami odprawia swoje modły. W chwilę później, z poczuciem winy myślała o swoim ślubie z Jonathonem pod chupą, ale jakoś nie była w stanie sobie tego wyobrazić. Czy mogła teraz wyjść za Jonathona? Zasługiwał na żonę, której serce będzie mu w pełni oddane.

*Ty też zasługujesz na coś lepszego*, podpowiadał jej jakiś wewnętrzny głos. Jonathon obiecywał, że jak Jessie wróci, wszystko się zmieni, ale ona nie była tego taka pewna. Uważał, że ma ją już na zawsze, najwyraźniej tak to wyglądało. Może jednak szukała usprawiedliwienia swojej zdrady?

Czas pokaże. Ale czas bardzo szybko płynął. Sześć miesięcy już prawie minęło.

Po skończonej ceremonii zaślubin wszyscy zasiedli do uczyty weselnej. Serwowano różnorodne dania. Począwszy od tradycyjnego smażonego chleba i potrawy ze słodkich ziemniaków - specjalności Nawahów - po bardziej znane potrawy, jak tarty z mielonym mięsem i jednogarnkowego dania z tuńczykiem i ziemniakami. Potem podano mięso kozie, które od rana piekło się na rożnie. Jessie bardzo to smakowało. Zjadła wszystkie kawałki mięsa, ogryzając dokładnie kostki i oblizując ze smakiem pobrudzone tłuszczem palce.

Potem były tańce, śpiewy i kolejne toasty. Najbardziej kwieciste toasty wypowiadał ojciec panny młodej: „Musicie zapalić ogień, który nigdy, przenigdy nie zgaśnie. Dobrze go dogładajcie - powiedział, patrząc na młodych - dzięki temu będziecie żyli długo, szczęśliwie i zostaniecie obdarzeni licznym potomstwem. Ogień was nakarmi i ogrzeje, kiedy przyjdą zimowe wiatry. Będzie się palił nawet po waszej śmierci”.

Jessie szybko mrugała oczami, żeby powstrzymać łzy, a kiedy zerknęła na Huntera, zobaczyła, że jego oczy też były podejrzenie błyszczące.

Zbliżała się już północ, kiedy się żegnali. Żadne z nich nie miało ochoty na długą powrotną podróż, więc postanowili zatrzymać się w motelu i rankiem ruszyć do domu. Kiedy weszli do motelowego pokoju, Jessie rozejrzała się dookoła, spoglądając na imitację drewna na ścianach, pomarańczową kapę na łóżku, kiczowaty obraz przedstawiający latarnię morską i skomentowała:

- Teraz już wiem, co to znaczy mieć romans. - Miała poczucie winy. Znowu zaczęła się zastanawiać, która kobieta ma romans, będąc zaręczoną. To było wbrew jej zasadom... a jednocześnie nie mogła inaczej. - No jeszcze brakuje tu tego psychopaty Normana Batesa. - Próbowwała zażartować.

- Nie martw się, obronię cię. - Objął ją ramieniem. Jessie, lekko zamroczone wypitym winem, wyszeptała:

- Tak, tylko kto ochroni mnie przed tobą?

Pocałował ją i przez dłuższą chwilę stali przytuleni do siebie lekko się kołysząc, jak w tańcu. W końcu wypuścił ją z ramion, wziął łagodnie za rękę i poprowadził do łóżka, gdzie powoli ją rozebrał. Kiedy oboje byli już nadzy, odgarnął kapę z łóżka i położyli się w pościeli lekko pachnącej wybielaczem. Muskał ją po szyi, lekko

podgryzając w ucho, zanim znowu ją pocałował. Jego dłonie najpierw powolnie, a potem coraz bardziej zapamiętałe błądziły po jej nagim ciele. *Moglibyśmy tak tu leżeć i przez całą noc tylko się całować, to by wystarczyło*, pomyślała Jessie.

Po kilku chwilach położył się na plecach, pozwalając jej na odkrywanie swojego ciała, jakby wiedział, że chciała je zapamiętać, od najmniejszego palca u stopy po bliznę na policzku - pamiątkę po dziecięcej bójce. Jego skóra w świetle lampy miała kolor mocnej herbaty. Przejechała po niej językiem, miała słonawy smak. Kiedy Hunter nie mógł już dłużej czekać przyciągnął ją na siebie i wszedł w nią. Westchnęła pod napływem nagłej rozkoszy. Za każdym razem, kiedy się kochali, miała wrażenie, że robią to po raz pierwszy.

*Albo ostatni*, dodała w myśli.

Zaspokojeni, odpoczywali wśród pomiętej pościeli. Hunter leżał na plecach, a ona położyła głowę w zagłębieniu jego łokcia. Oddychał głęboko, słyszała jego bijące jak oszalałe serce, wyczuła że zbierał się na odwagę zapytania ją o coś. Jednak cokolwiek to było, zachował pytanie dla siebie. Jessie ulżyło, ponieważ nawet jeśli on wyartykułowałby to pytanie, to ona i tak nie wiedziałaby, co ma mu odpowiedzieć.

## **Rozdział piętnasty**

- Przyniosę sałatkę ziemniaczaną - Beverly poinformowała Jessie przez telefon.

- Mhm - odpowiedziała rozkojarzona Jessie, trzymając ramieniem słuchawkę i jednocześnie układając kwiaty w wazonie na stoliku w korytarzu.

- Mówię ci, gdybyś sama też wpadła na ten pomysł.

Jessie chciała się skoncentrować na tym, co mówiła matka, ale najmniejszym jej zmartwieniem było teraz, co przyniesie na tradycyjny jarmark i wymianę darów.

- Myślałam, żeby upiec ciastka - powiedziała. - Masz jeszcze ten przepis na ciasteczka cynamonowe?

- Gdzieś go mam, ale nie robiłam ich od lat. - Beverly cieszyła się, że córka pamiętała jej ciastka. Przez chwilę rozmawiały jeszcze jak matka z córką. - Aha, prawie bym zapomniała. Mogłabyś po mnie przyjechać? Oddałam samochód do warsztatu.

- A Gay nie jedzie? - zapytała Jessie zaskoczona, że matka nie chce jechać ze swoją najlepszą przyjaciółką, mieszkającą z resztą nieopodal niej.

Usłyszała westchnienie po drugiej stronie linii. Jessie czekała tylko, kiedy matka powie jej coś w rodzaju: „Jeśli jest to dla ciebie aż tak duży problem, to zapomnij o

mojej proście". Jednak Beverly powiedziała:

- Wiesz, Gay nie powinna prowadzić, nie ma już tak dobrego wzroku, jak kiedyś.

Jessie przypomniała sobie, że Gay nosi okulary.

- Może musi zmienić szkła.

- Niestety, obawiam się, że to poważniejsza sprawa, ma jaskrę.

- Ojej - Jessie usiadła na sofie w korytarzu - biedna Gay. Przypomniała sobie, jak Gay opiekowała się nimi w tych pierwszych najtrudniejszych tygodniach po śmierci ojca. Nalegała, żeby jadły, nawet jeśli nie były głodne, wypychała na spacer, a kiedy to nie działało, wyjmowała z szuflady karty do gry. Teraz jej dzieci mieszkały daleko, więc kto ma się nią zająć?

- Nikt z nas nie młodnieje - powiedziała matka z westchnieniem.

- A co ona robi - Jessie urwała w pół zdania, nie chcąc dokończyć - kiedy straci wzrok?

- Zastanowimy się, kiedy to już nastąpi - Beverly była tak dobrą przyjaciółką dla Gay, jak Gay była dla niej. Cokolwiek by się nie działo, obie stawiały temu czoła.

Resztę przedpołudnia Jessie spędziła na porządkowaniu biurka. Przypomniała sobie, jak trudna do ogarnięcia wydawała jej się ta praca, wszystkie rachunki, księgowość, jak zostawiała je na ostatnią chwilę, bo nie była w stanie się z nimi uporać. Teraz umiałyby to zrobić nawet wyrwana ze snu w środku nocy. Nawet gotowanie już jej tak nie przerażało. Może nie zdobyłyby żadnych nagród, ale przynajmniej była w stanie samodzielnie przygotować posiłek.

Około południa była już w drodze na lotnisko, żeby odebrać Kaylę. Miał po nią jechać Skip, ale Jessie sama zgłosiła się na ochotnika, ponieważ pomyślała sobie, że będzie to idealna okazja do porozmawiania ze swoją chrześnicą. Z rozmowy z Erin wiedziała, że Kayla nie chce się przeprowadzać do Nowego Jorku, a Jessie chciała się upewnić, czy Kayla wie, co to oznacza dla jej matki - taka okazja może się już nie powtórzyć. Poza tym Kayla powinna wiedzieć, że poza Willow Creek jest wielki świat, pełen nowych możliwości, również dla niej. Gdyby Jessie, kiedy była w wieku Kayli, ktoś udzielił takiej rady, nie musiałyby uciekać w przeddzień swojego ślubu. Wówczas pewnie dłużej poczekałyby, aż będzie wystarczająco dojrzała, żeby się zaręczyć.

Czy ja nadal biegnę?, zastanawiała się. Czasami myśl pozostania w Willow Creek wydawała się kusząca, głównie z powodu Huntera. Innym razem ogarniał ją znany strach i czuła się zupełnie tak, jakby coraz głębiej wciągały ją grząskie piaski. Myślała o wszystkich rzeczach, których będzie jej brakować: Carnegie Hall i Szekspira w Parku, strojenia się na przyjęcia i jedzenia kolacji w restauracyjnych ogródkach, bożonarodzeniowego drzewka przy Rockefeller Center i opadających jesienią liści.

Na pewno nie będzie tak, jak przed wyjazdem. Dzięki *Życiowej zamianie* całkiem dobrze miały się jej finanse. Ponadto wydawało się, że nie tylko Erin stała się gwiazdą. Zarówno „The Washington Post”, jak i „The Times” chciały przeprowadzić z nią wywiad, miała umówione występy w kilkunastu talk-show. Padały również propozycje od wydawnictw na napisanie książki, co wyznaczyłoby nowy kierunek w jej życiu. *Powiedz sobie szczerze*, pomyślała, *pozostanie w Willow Creek oznacza zawodowe samobójstwo*.

Wolała nie zastanawiać się nad tym, co straci, wyjeżdżając stąd.

Jessie dokładnie przypatrywała się przylatującym pasażerom. Kiedy w końcu zauważyła Kaylę, ubraną w dżinsy biodrówki i marszczoną bluzeczkę, odsłaniającą jej opalony brzuch, ledwie ją poznała.

- Jaki piękny strój - powiedziała Jessie.

- Mama mi kupiła - Kayla obróciła się wokół siebie. - Super, co?

- Bombowy!

W samochodzie Kayla opowiadała o swojej podróży. Dosłownie pokochała Clive'a i uważała, że Drew też jest równym facetem - zabrał ją na poranek, na *Króla lwa*, a potem na przejażdżkę bryczką po Central Parku. Była dosłownie w każdym domu towarowym, w tysiącu sklepów, nawet w takim, gdzie sprzedawano damskie ubrania dla mężczyzn; mówiła, że Clive chciał jej pokazać Nowy Jork, jakiego nie znali turyści.

Jessie widziała jednak, że Kayla tłumi coś w sobie. Nie powiedziała nawet słowa o swojej rozmowie z matką, a kiedy Jessie delikatnie zahaczyła o ten temat, Kayla zamilkła - nie w taki sposób, jak naburmuszone dziecko, ale w taki sposób, jakby zupełnie nie widziała sensu omawiania tego. Widać było, że coś ją gryzie. Nawet te jej opowieści wydawały się staraniem zamaskowania, jakiejś głęboko skrywanej melancholii. Tak, jakby doszła do wniosku, że jej rodzice już nie bawią się w dom i od tej chwili sama będzie musiała się o siebie troszczyć.

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedziała Jessie, próbując zmienić temat. - Dom wydawał się taki pusty, byłam tylko ja i szwędający się smutno Otis.

- Nie było mnie tylko przez tydzień - przypomniała jej Kayla.

- Wiem, ale to uświadamia mi jak trudno będzie mi wrócić do domu, mając świadomość, że będziemy się widywać tylko raz do roku.

Kayla uśmiechnęła się w taki sposób, jak uśmiechają się dorośli, kiedy dzieci próbują nimi manipulować.

- Wiem do czego zmierzasz, ciociu Jessie - powiedziała.

- To nic nie da. Nie przeprowadzę się do Nowego Jorku.



Jessie zobaczyła tablicę informującą o zjeździe do Willow Creek, więc zmieniła pas na prawy.

- Nawet nie bierzesz tego pod uwagę?

Kayla pokręciła głową i wyjrzała przez szybę.

- Wiem, że pewnie sobie myślisz, że jestem samolubna, ale z mojej perspektywy to jest kolejna wymówka dla mamy i taty, żeby się nie pogodzić. Mam dość stania między nimi. Cokolwiek postanowią, ja nie chcę już między nimi stać.

- Wiem, że to dla ciebie trudne - powiedziała Jessie.

- Ale może nowy start...

Kayla wyjrzała przez szybę, a Jessie, widząc rezygnację na jej twarzy, przerwała w pół zdania.

- Nie chcę żadnego nowego startu - powiedziała Kayla.

- Chciałabym, żebyśmy byli razem, jak kiedyś. Jednak nie wydaje mi się, żeby tak się stało.

- Twoja mama...

- Mama też wcale tak nie uważa.

- Nie wiesz tego na pewno - odpowiedziała Jessie. - Oni się kochają. Jeśli nie byłoby tak, to nie byliby tak wściekli na siebie. Ciągle jest jeszcze jakaś szansa.

Kayla tylko pokręciła głową, smutno się uśmiechając.

- Tak dzieje się tylko w filmach - stwierdziła.

Następnego ranka, równo o jedenastej, Jessie podjechała pod dom matki i już miała zatrzeć, kiedy zobaczyła wychodzącą z domu Beverly z wielką miską w objęciach. Jessie patrzyła na matkę, ostrożnie stawiającą każdy krok i chyboczącą się w jej ramionach miskę. Beverly wydawała się taka krucha.

*Starzeje się*, pomyślała Jessie, czując wewnętrzny niepokój. Przez te wszystkie lata jej matka była taka silna i samowystarczalna. Teraz musiała zmienić tok myślenia i spojrzeć na nią jak na kogoś, kogo nie należy się już bać, tylko na kogoś wymagającego opieki.

Beverly powoli wsiadła na siedzenie pasażera, kładąc sobie miskę na kolanach. Jessie zauważyła, że matka była u fryzjera. Zamiast zwykłej henny miała włosy koloru rudobrunatnego, zbliżonego do odcienia Rity Hayworth.

- Ślicznie wyglądasz, mamó - powiedziała. - Ładnie zrobiłaś włosy.

- Tak? - Beverly dotknęła swoich kuloodpornych od lakieru fal, ale wyglądała na zadowoloną. Dopiero kilkanaście minut później podziękowała córce za podwiezienie.

Jessie zapewniła ją, że to żaden kłopot, dodając:

- Powiedz mi, kiedy zreperują samochód. Podwiozę cię do warsztatu.

Ostatnio miały ze sobą dobry kontakt i mimo że Jessie podejrzewała, że było tak za sprawą zaręczyn, czyli spełnienia przez nią największego marzenia Beverly, to i tak pragnęła utrzymać te dobre relacje. Zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że przez te wszystkie lata ona też nie ułatwiała ich stosunków. Jessie sama tworzyła wiele punktów zapalnych.

Beverly przez chwilę wydawała się skonsternowana i powiedziała:

- Dziękuję, kochanie, ale nie będzie to potrzebne. Pan Gustavo obiecał, że przyśle któregoś z chłopców.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Z czym?

- Z twoim samochodem. Te naprawy mogą być kosztowne.

Beverly wzruszyła ramionami, mówiąc:

- To tylko pieniądze.

Jessie nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Ojciec przecież zawsze żartował, że Beverly jest dusigroszem. Co jej się stało?

Już skręcały na jarmark, kiedy matka ni z tego, ni z owego, stwierdziła:

- Taka szkoda, że musisz już wyjeżdżać. Wydaje się, jakbyś właśnie przyjechała.

Czy to oznacza, że będzie za mną tęsknić? - zastanawiała się Jessie.

- Też mam takie wrażenie. Sama nie wiem, kiedy to minęło - odpowiedziała lekko, otrząsnąwszy się już ze zdumienia.

- Pewnie jesteś podekscytowana powrotem.

- Właściwie, to w pewien sposób przywykłam już do wiejskiego życia.

- Dom jest tam, gdzie serce. - Beverly powiedziała to w taki sposób, jakby właśnie w tej chwili ukuła tę sentencję.

Jessie pomyślała o Hunterze, ale wiedziała, że Beverly chodziło o Jonathona, więc, żeby sprostać oczekiwaniom matki, posłusznie odparła:

- Oczywiście, już nie mogę się doczekać spotkania z Jonathonem. - I to wcale nie było kłamstwo. Na pewno dużo bardziej cieszyłaby się ze spotkania z nim niż tylko z rozmów telefonicznych... przynajmniej tak sobie wmawiała.

- Pamiętam, kiedy twój ojciec był daleko - Beverly zadumała się, wyglądając przez szybę, jakby zwracała się do swojego niewyraźnego odbicia w niej. Ojciec Jessie walczył w Korei. Wszystkie jego medale wisały na ścianie w pokoju dziennym, a Beverly tak rzadko o nim wspominała, że wydawał się być równie nierealny, jak zdjęcie J.F. Kennedy'ego, wiszące w ramce obok medali.

- Myślałam, że nigdy nie wróci do domu.

- To było przed waszym ślubem, prawda? - Jessie знаła odpowiedź, ale bardzo

chciała, żeby matka nadal mówiła; Beverly tak rzadko opowiadała o ich wspólnym życiu przed narodzinami Jessie.

Skinęła głową, mając nieobecny wyraz twarzy.

- Dopiero co się zaręczyliśmy, a on parę tygodni później dostał rozkaz.

- A jeśli spotkałbyś kogoś innego, w stosunku do kogo... żywiłabyś jakieś uczucie, czekałabyś na niego? - Starła się nie zdradzić swojego związku z Hunterem, ale nagle wydało jej się to niezwykle ważne, żeby skonsultować to z matką.

Beverly spojrzała na nią zdumiona.

- Nie było nikogo poza twoim ojcem - powiedziała w sposób nie pozostawiający Jessie żadnych wątpliwości, że to prawda.

Tymczasem wspomnienia Jessie mówiły co innego. Nawet w dzieciństwie wiedziała, że małżeństwo jej rodziców nie było szczęśliwe. Nie mogła wskazać niczego konkretnego - nie słyszała nic poza wymianą jakiegoś jednego niemiłego słowa między nimi - ale nie zachowywali się tak, jak rodzice jej kolegów. Byli dla siebie uprzejmi. Ale nie wychodzili nigdy razem wieczorami ani na kolację, ani do kina, Jessie nie przypominała sobie, żeby gdziekolwiek bez niej pojechali. Częściej ona sama wyjeżdżała z ojcem. W niedziele, kiedy była ładna pogoda, zabierał ją swoim cadillakiem na plażę w Santa Monica albo do restauracji A&W na taki napój z kulką lodów. Zawsze proponował Beverly, żeby jechała z nimi, ale ona mówiła, że ma dużo do zrobienia w domu. Czasami Jessie zastanawiała się, czy nie odmawiała, bo w skrytości ducha myślała sobie, że oni się cieszą, jeśli nie pojedzie.

- Zawsze mi się wydawało, że żyliście w dwóch odrębnych światach - powiedziała najdelikatniej, jak umiała.

Spodziewała się, że jej matka będzie ją przekonywać, że zostali wyswatani przez samego Boga, ale Beverly powiedziała, z westchnieniem pełnym zrezygnowania:

- W pewnym sensie tak było.

- Byłaś szczęśliwa z tatą?

- Szczęśliwa? Nie myśleliśmy wtedy w ten sposób. Było, jak było i nawet jak coś ci się nie podobało, to uczyłaś się z tym żyć.

- Nie zawsze tak było, prawda?

Beverly potrząsnęła przecząco głową, smutno się uśmiechając.

- Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że po twoich narodzinach oddaliliśmy się od siebie.

Jessie czuła, że budzą się w niej instynkty obronne, ale nie, w głosie matki nie było nawet cienia oskarżenia.

- Twój ojciec był taki szczęśliwy; od wielu lat próbowaliśmy mieć dziecko i

nagle się udało. Z początku myślałam, że to urocze. Zachowywał się jak każdy młody ojciec. Dopiero kiedy już podrosłaś, zdałam sobie sprawę... - przerwała, jakby starając się wyrazić to, do czego samej przed sobą trudno jej było się przyznać - ...że dawałaś mu to, czego ja nie mogłam. - Westchnęła głęboko. - Potem już nie było tak samo. Przy was zawsze czułam się jak piąte koło u wozu.

Jessie skrzyła na parking. Wszystkie miejsca w cieniu były zajęte, a wiedziała, że po południu w toyocie będzie gorąco jak w piecu. Już teraz było tu duszno, mimo opuszczonych szyb. Jednak żadna z nich nie mogła się zebrać, żeby wysiąść.

- Zawsze się zastanawiałam, dlaczego mnie nie lubisz. - Dziwnie było wypowiedzieć słowa, które Jessie nosiła w sobie od tak dawna, jak cierń w sercu. Jednocześnie czuła ulgę, wypowiadając je.

Matka przecząco pokręciła głową.

- To nie chodziło o ciebie - stwierdziła, kładąc rękę na nadgarstku Jessie - ja po prostu... czułam się wykluczona. Nie chodziło tylko o to, że on cię bardziej kochał. Ty też jego bardziej kochałaś.

Jessie uparcie wpatrywała się w swoje kolano. Jak mogła temu zaprzeczyć?

- Miałam wrażenie, że po jego śmierci świat się zawalił.

- Dla mnie też wszystko runęło - powiedziała Beverly.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, jedynym słyszalnym odgłosem było stękanie stygnącego silnika. Po drugiej stronie ulicy, przed furtką na jarmark formowała się kolejka. Nieopodal niej, pod dużym parasolem w paski, siedziały siostry Mabel i Mavis Hathaway, przyjmując pieniądze i oddzierając bilety z dużej rolki.

W końcu Beverly doszła do siebie i nagle powiedziała:

- No dobrze. Trzeba iść. Mam tylko nadzieję, że Lolly pamiętała, żeby wziąć lodówkę. Nie chcę, żeby stało to na słońcu dłużej niż trzeba. - Spojrzała na miskę z sałatką ziemniaczaną, jakby już załęgły się w niej bakterie.

Jessie bardzo chciała utrzymać tę, bliskość, więc położyła rękę na ramieniu matki, kiedy otwierała jej drzwi.

- Cieszę się, że mi powiedziałaś. O tacie. Jestem tylko ciekawa jednego. Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

Jessie tak bardzo chciała usłyszeć coś znaczącego w stylu: „W ostatnich miesiącach zbliżyłyśmy się do siebie”, albo „nie chciałam, żebyś wracała do Nowego Jorku, zanim nie wyjaśnimy sobie wszystkiego”. Tymczasem jej matka tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Jakoś się nie złożyło.

Przekroczenie furki na jarmark było niczym cofnięcie się w czasie. Do Jessie

doszły znane z dzieciństwa zapachy pieczonych steków, kruchych ciasteczek, waty cukrowej i prażonej kukurydzy. Coroczne jarmarki od zawsze wyglądały tak samo, przez cały tydzień świętowano rocznicę założenia miasta w 1863 roku. Na ulicach odbywały się parady i były poustawiane budki, gdzie sprzedawano wszystko, począwszy od tanich zabawek i przeróżnych świecidełek, aż po losy z nagrodami w postaci udziału w rodeo, czy w przeróżnych zajęciach artystycznych. Przez cały tydzień ulica rozbrzmiewała muzyką grających na żywo zespołów. Był także wyścig strachów na wróble. Jessie patrzyła na szczęśliwego zwycięzcę konkursu: dużą, wypchaną słomą świnię w wielkim śliniaku, wymachującą widłami.

Jessie odprowadziła mamę do namiotu i dała jej cynamonowe ciastka, które piekła wczoraj w nocy na ceremonię wymiany darów. Przed namiotem stał kvestarz z kościoła, zbierający pieniądze dla biednych. Żona pastora, pani Stanton, bardzo podziękowała Jessie za ciastka i namawiała do zostania, ale ona odpowiedziała, że jest z kimś umówiona. Obiecała Hunterowi, że wpadnie na stoisko Rady Ochrony Środowiska.

Nie widziała go od tygodnia. W hotelu był początek sezonu ślubnego i ledwo miała chwilę dla siebie. On z kolei był zajęty swoją sprawą w sądzie. Co prawda kolejna rozprawa miała się odbyć dopiero we wrześniu, ale wcześniej wraz z prawnikiem mieli sporo pracy przygotowawczej do zrobienia. Od wyjazdu do Nowego Jorku dzieliło Jessie niewiele czasu i zdała sobie sprawę z tego, że nie mogła już dłużej odkładać rozmowy, której oboje unikali. Wiedziała, że Hunter miał nadzieję, że Jessie zmieni zdanie i zostanie. Chciała mu powiedzieć, że z wielkim trudem, ale zdecydowała się powrócić do swojego dawnego życia. Nie chodziło tylko o Jonathona, ale o to wszystko, co zbudowała przez ostatnich piętnaście lat. Jak mogła tak po prostu to zostawić?

Jednocześnie ze ściśniętym sercem zastanawiała się, jak może od niego odejść.

Wewnątrz hali chodziła wzdłuż stoisk, poszukując Huntera. Zatrzymała się na chwilę przy sadzonkach i podziwiała róże we wszelkich możliwych odcieniach zachodzącego słońca, olbrzymią, służącą za stolik dynię, wielokształtne cukinie. W końcu korytarza były prezentowane domowe wypieki: czekoladowy brownies, ciastka z masłem orzechowym, kokosanki i ciasta bardziej wykwintne. Jessie właśnie próbowała chlebka bananowego, kiedy zobaczyła Gay.

Przyjaciółka jej matki odcinała się od reszty ludzi swoimi jaskrawozielonymi spodniami i skąpą różową bluzeczką. Gay tak serdecznie ją powitała, jakby nie widziały się parę miesięcy, a przecież spotkały się całkiem niedawno. Mocno uścisnęła Jessie.

- Cześć, kochanie. Gdzie jest twoja mama? Wszędzie jej szukam.

- Jest w namiocie kościelnym - poinformowała ją Jessie.

- Dowiedziałabym się - powiedziała Gay - jakby, tak jak wszyscy odbierała ten swój telefon. O Boże, ona żyje jeszcze w epoce kamienia łupanego. E-mail? Równie dobrze można by ją prosić, żeby ubiegała się o miejsce w Kongresie. - Pokręciła głową z rezygnacją, zanim schyliła się i zapytała szeptem: „Jak ona się trzyma?”.

- Dobrze - powiedziała Jessie, zbita z tropu pełnym troski głosem Gay.

- Nie była przygnębiona?

- Może trochę zmartwiona, ale poza tym wszystko w porządku. - O co chodziło?

Jeśli już, to przecież Gay mogłaby być przygnębiona.

Chciała jakoś delikatnie wyrazić Gay swoje współczucie, ale zanim cokolwiek zdążyła powiedzieć, Gay kontynuowała:

- Bev wiele ci zawdzięcza. Uratowałaś ją. Wiem, że nie było jej łatwo zwłaszcza, że była taka aktywna. Jestem pewna, że jesteś dla niej dużym pocieszeniem.

Nagle Jessie wszystko zrozumiała, dlaczego Beverly potrzebowała podwiezienia i wymyśliła historię o zepsutym samochodzie. To jej matka miała problemy z oczami, a nie Gay. Jessie starała się nie okazywać swojego zdenerwowania i wydusiła z siebie:

- Chciałabym... chciałabym móc coś zrobić. - Zastanawiała się, jak może mamie pomóc. Specjalista z Nowego Jorku? Jakiś eksperymentalny lek albo nowoczesne metody leczenia?

Jednak Gay tylko pokiwała głową.

- To wiek, skarbie. Nic nie można z tym zrobić. - Miała smutną minę, ale starała się ją zatuszować - Nie martw się, zajmę się nią - obiecała. - Jeszcze zatańczy na twoim weselu.

Po pożegnaniu z Gay, Jessie błąkała się po hali jak we mgle. Jak długo matka ukrywała to przed nią? Od tygodni czy od miesięcy? Czy Beverly chciała ją oszczędzić, czy też nie chciała okazać swojej słabości? Przez te wszystkie lata w stosunkach z matką Jessie targały różne emocje, ale nigdy nie współczucie. Po raz pierwszy w życiu, zrobiło się jej żal matki.

Coś musi dać się zrobić. Zaraz po powrocie do hotelu zadzwoni do Kate. Jej redaktorka знаła wszystkich najlepszych lekarzy.

Na stoisku Rady, znalazła Huntera, który był tam w towarzystwie dwóch działaczy: Rogera Munsey'a i Janet Olshefsky. Siedzieli przy stolikach z ulotkami i kopiami artykułu z „People”. Na tablicy znajdującej się za ich plecami wyeksponowali zdjęcia wyschniętych strumyków, zniszczonych drzew i ryb pływających do góry brzuchem w bagnistej sadzawce.

- Chcieliśmy znaleźć coś uroczonego i miłego - wyjaśnił Hunter, widząc, że Jessie się przygląda - ale znaleźliśmy jedynie zdechłą pałankę wędrowną, próbującą wydostać się z piwnicy Arta.

Art, siedzący po drugiej stronie stołu, dodał:

- Cuchnęła jak jasna cholera.

Jessie sięgnęła do puszki, stojącej na stole po znaczek z napisem:

NASZA WODA. NASZA PRZYSZŁOŚĆ.

Rada sprzedawała też koszulki. Wydawało się, że zrobili na tym całkiem dobry interes, sądząc z niewielkiej ilości pozostałych gadżetów.

- Mogę w czymś pomóc?

- Tak, nakarm go - Art wskazał palcem na Huntera. - Od samego rana nic nie jadł.

- Jak nie ma chętnych to nie ma, a jak są, to w takich ilościach, że nie można nadażyć - powiedział Hunter wskazując na listę nowych członków Rady.

Poinformował Jessie, że w ciągu ostatnich kilku godzin zapisało się więcej ludzi niż przez ostatnie dwa miesiące, i dodał:

- Wystarczy się pokazać w mediach.

Wspólnie z Jessie wyszli na słońce. Nowe zmartwienie, związane z matką, odsunęło na bok myśli o powrocie, ale teraz znowu ją dopadły i na nowo zaczęła się zastanawiać jak zniesie pożegnanie.

Na jarmarku przybywało ludzi. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzała widziała szczęśliwe twarze dzieci, chociaż żadne nie miało Gameboya. Kupili sobie z Hunterem po kebabie, pieczoną w kolbach kukurydzę i dwa kubki lemoniady z lodem. Balansując papierowymi talerzykami i kubkami, dotarli pod zadaszone stoliki. Na pobliskiej scenie zespół country przygotowywał się do występu.

- Co jesteś taka cicha? Coś cię gnębi? - spytał Hunter, kiedy zobaczył, że Jessie nie tknęła swojej porcji.

Jessie powiedziała mu o matce.

- Ta wiadomość zupełnie mnie zaskoczyła. Nigdy nie myślałam o niej jako o osobie, która będzie potrzebowała opieki.

- To trochę komplikuje sprawę - zgodził się z nią.

- Wiem, że będę miała wyrzuty sumienia, opuszczając ją.

- Więc zostań.

- Tak mówisz, jakby to było takie proste.

Nagle chciała, żeby było to takie proste. Chciała cofnąć czas, tak jak przesunęła wskazówki zegara o trzy godziny, przyjeżdżając tu. Chciałaby znowu wsiąść z

samolotu. Gdyby mogła przeżyć to wszystko od nowa, nie traciłaby tak dużo czasu.

Każdą wolną minutę spędzałaby z Hunterem.

- Nie przyjechałam się tu osiedlić. Mam przecież całkiem inne życie w Nowym Jorku - powiedziała lekko poirytowana.

- Nie mówiąc już o narzeczonym. - Ton jego głosu był łagodny i miły, ale pobrzmiewało w nim zdecydowanie.

Nie wątpiła, że w innych czasach, gdyby on i Jonathon mieli się o nią bić, Hunter walczyłby do końca. Sama myśl przerażała ją... jednocześnie zadawała sobie pytanie, czy nie była głupia, opuszczając mężczyznę, który tak bardzo ją kochał.

- Wiem, jak to może dla ciebie wyglądać - powiedziała. - Jeśli tak za nim szaleję, to co robię z tobą?

- Przeszło mi to przez myśl - skomentował oschle.

- Ja sama muszę się dowiedzieć i jemu też jestem to winna, czy mamy przed sobą wspólną przyszłość.

- A ja mam czekać dopóki się nie przekonasz, tak? - podniósł brew.

- Nie proszę cię, żebyś czekał - odpowiedziała, ale oczywiście właśnie o to prosiła, albo przynajmniej miała nadzieję, że Hunter poczeka.

- To dobrze, bo wcale nie zamierzam czekać. - Hunter nie przywykł ani do bycia drugim w kolejce, ani do odmownych odpowiedzi. U niego wszystko było jednoznaczne, nie było niedopowiedzeń, no może czasem pojawiało się sformułowanie: „Zobaczymy”.

Poczuła nagłą potrzebę rzucenia wszystkiego i bycia z nim, ale zmobilizowała się, żeby wyważonym głosem dorosłej osoby, która płaciła za swoje pochopne decyzje z przeszłości, powiedzieć:

- Zrozumiem, jeśli będziesz chciał zerwać naszą znajomość.

Nagle jego maska opadła i Jessie zobaczyła kryjące się pod nią emocje. To było równie oślepiające, jak patrzenie prosto w słońce.

- Nie to miałem na myśli. Chciałem cię prosić o rękę.

Serce Jessie jakby stanęło w miejscu, a potem zaczęło bić jak oszalałe. O Boże. Jak mogła odmówić? Jak mogłaby żyć bez tego mężczyzny? Wymagało to od niej niesamowitej wprost siły woli, żeby powiedzieć:

- Nie mogę. Przykro mi. - Nawet nie było mowy, żeby miał się przeprowadzić do Nowego Jorku; to jakby przesadzić dorosłe drzewo i oczekiwać, że dobrze się przyjmie.

Jego oczy zalśniły od łez.

- Mnie też jest przykro.



Zazdrościła mu jego pewności. Sfrustrowana łkała, mówiąc:

- Skąd masz pewność, że to właśnie ze mną chcesz spędzić resztę życia? Znasz mnie zaledwie od kilku miesięcy.

- Znam cię znacznie dłużej - powiedział, próbując się uśmiechnąć. - Do chwili spotkania cię nie wiedziałem jedynie, że tą kobietą, której szukałem przez te wszystkie lata jesteś ty. Ckliwe i oklepane, co? A jednak to prawda. - Wziął ją za rękę. - Jessie Holland, jeśli jeszcze tego nie powiedziałem, mówię to teraz: „Szaleję za tobą i myślę, że źle zrobisz, odmawiając mi”.

Jessie tylko patrzyła na niego, targana uczuciami euforii i bólu. Gdyby cokolwiek odpowiedziała, mogłoby to zepsuć tę chwilę. Pozwoliła sobie na odrobinę fantazji. Wyobrażała sobie, że się zgadza. Próbuje zrobić ten krok, tak jak w dzieciństwie wraz z Erin, w chwilach lęku namawiały siebie nawzajem, żeby podjąć ryzyko i przejść przez strumyk, czy też wspiąć się na najwyższą gałąź drzewa. Jednak teraz nie była już dzieckiem i nie były to tylko dziecięce zabawy.

- Muszę wracać - powiedziała załamującym się od łez głosem. - Jak na razie. Za kilka miesięcy... - Pozostała część zdania ugrzęzła jej w gardle. Nawet jeśli nie uda się z Jonathonem, to i tak jej życie i miejsce było w Nowym Jorku, a nie tutaj.

Hunter oschle oświadczył:

- Ta oferta jest ważna tylko teraz. Albo ją przyjmujesz, albo nie.

- Prosisz o zbyt wiele!

- Ja wiem, czego chcę. Jeśli ty tego nie wiesz, skończmy to zanim którekolwiek z nas jeszcze bardziej zostanie zranione.

Jessie wiedziała, że Hunter ma na myśli siebie, ale ona też cierpiała. Tylko dlatego, że nie umiała zostawić i skreślić tego wszystkiego, na co pracowała przez wszystkie lata, nie oznaczało wcale, że kochała go mniej niż on ją. Dawno temu, o mało co nie poślubiła nieodpowiedniego mężczyzny. Nie chciała popełnić tego samego błędu. Z Jonathonem... czy z kimkolwiek innym. Jeśli Hunter nie mógł poczekać wystarczająco długo, zanim ona nie ułoży sobie wszystkiego w głowie...

Jej rozmyślania przerwał znajomy głos, wołający jej imię. Na dole stał Skip, spoglądając na nią spod kowbojskiego kapelusza.

- Widziałaś Kayle? - zawołał, przykładając ręce do ust, żeby było lepiej słysząc.

- Od rana nie! - odrzyknęła, zadowolona, że ktoś im przerwał. Jeszcze chwila i by się rozpląkała.

Skip doszedł do nich. Miał rozpalone policzki i ciężko oddychał.

- Miała być na rodeo, jej kolega, Brett, brał udział w wyścigu w beczkach.

Wszędzie jej szukałem, ale nikt jej nie widział.

- Chyba w końcu się pojawi - Jessie zapewniła go, niezbyt przejęta tą sytuacją. Przecież nie mogło się jej nic stać na jarmarku w małym miasteczku.

- No tak, pewnie masz rację. - Jednak i tak wydawał się nie do końca o tym przekonany. - Prawdę mówiąc, to ostatnio trochę się o nią martwię.

- Tak, też zauważyłam, że coś się z nią dzieje - stwierdziła. Jessie doskonale wiedziała, dlaczego Kayla nie jest w najlepszym humorze, ale teraz nie był najlepszy moment, żeby o tym mówić.

- A jak się zachowywała, kiedy ją podwoziłeś?

Skip zmarszczył czoło, wyglądając na zbitego z tropu.

- Myślałem, że pojechała z tobą.

Jessie poczuła jakiś wewnętrzny alarm.

- Powiedziała mi, że ty ją zabierasz. - Kiedy Jessie wychodziła z domu, Kayla była jeszcze w swoim pokoju. Zawołała przez drzwi, czy ma na nią poczekać, ale Kayla odpowiedziała, że tata po nią przyjeżdża.

Jessie i Skip popatrzyli po sobie przez chwilę, zanim zdali sobie sprawę, co się stało. Kayla ich okłamała; ale dlaczego? co chciała przez to osiągnąć?

Jessie poczuła czyjąś dłoń na swoim ramieniu.

- Mam pewną propozycję - powiedział Hunter. - Może nadamy komunikat przez krótkofalówki. Tak się robi, kiedy giną dzieci.

- Kayla chyba nie... - Jessie urwała w połowie zdania - zaginęła? Nie, jest za duża, żeby się zgubić. Nie jest dzieckiem, tylko dziewczyną zagubioną w świecie pełnym równie zagubionych dorosłych.

Szybko ruszyli do miejsca, gdzie zgłaszało się odnalezione i zaginione dzieci. Jessie już sobie wyobrażała zawstydzenie Kayli, kiedy usłyszy w eterze swoje imię, zupełnie jak zagubionej czterolatki, i jak ich potem skrzyczy za poniżenie jej. Ta myśl była nawet pocieszająca, bo zakładała, że Kayla się pojawi, że nie zrobiłaby nic tak głupiego... jak ucieczka z domu.

Jednak Kayla się nie odzywała, kiedy wywoływali ją pagerem. Nie było jej też w domu. Maria powiedziała, że widziała Kaylę kilka godzin temu. Wychodziła z domu. Maria pomyślała, że Kayla idzie na jarmark. Zastanowiło ją tylko to, po co brała ze sobą plecak.

Po południu, kiedy stało się jasne, że żadna z koleżanek Kayli nie widziała jej, Jessie naprawdę się zaniepokoiła. W głowie przewijały jej się wszystkie możliwe scenariusze.

Wyrzucała sobie, że powiedziała Kayli o jej wspólnym młodzieńczym wypadzie z Erin do Phoenix. Teraz było dużo bardziej niebezpiecznie niż wtedy. Miała tylko

nadzieję, że żaden ze złych scenariuszy się nie ziści. Nie dzwoniła jeszcze do Erin, ciągle mając nadzieję, że Kayla lada chwila pojawi się w domu. Poza tym wiedziała, że Erin i tak nic nie pomoże, a tylko by się zdenerwowała.

Zapadł zmrok. Mike i kilku znajomych Skipa, Hunter i Art przyłączyli się do poszukiwań. Skip z bratem i kolegami po kolei przeszukiwali miejsca, gdzie mogła być Kayla, a Hunter z Artem jeździli po okolicznych szosach i autostradzie, mając nadzieję, że będzie próbowała złapać jakąś okazję.

Kilka godzin później, kiedy Jessie przygotowywała w kuchni kawę, wszedł zatroskany Skip, mówiąc:

- Dostyc tego. Dzwonię na policję.

## ***Rozdział szesnasty***

- Któregoś dnia mogę tego żałować - Erin powiedziała Kate przy kolacji w L'Impero - ale wiem też, że jeszcze bardziej mogę żałować, że nie byłam z córką. - Udało jej się zwlekać przez tydzień z rozprawą w Cooking Chanel, ale teraz już zaczęli się denerwować i obiecała, że da ostateczną odpowiedź w najbliższy poniedziałek rano.

Kayla musiała wiedzieć, że było jeszcze na co liczyć. Erin chciała spędzić z córką te lata, zanim Kayla pójdzie do college'u. Nie wyobrażała sobie, żeby Kayla bez niej miała wybierać się na studniówkę, nie chciała opuszczać żadnego ze szkolnych koncertów córki, pragnęła towarzyszyć jej w smutkach wywołanych zawodami miłosnymi, które przecież musiały nastąpić. Bardzo trudno było jej zrezygnować z tej szansy, ale jednocześnie wiedziała, że podejmuje słuszną decyzję.

- Dajesz mi wiele powodów, dla których nie warto wychodzić za mąż i mieć dzieci - powiedziała Kate, tylko w połowie przekonana o słuszności swego spostrzeżenia. - Nie pomyślałaś, że to także mogłaby być wspaniała okazja dla Kayli? Na pewno otrzymałaby tu najlepszą edukację. Jedna z moich bliskich znajomych zajmuje się rekrutacją w Dalton. Z przyjemnością zamienię z nią słówko...

Erin pokręciła głową, pewna słuszności podjętej już decyzji.

- To nie tylko chodzi o Kaylę... Trochę tęsknię za domem. - Kiedy przyjechała do Nowego Jorku, była tak oszołomiona tym wszystkim, że zupełnie nie miała czasu, żeby tęsknić. Poza tym, dzięki Drew, nie czuła się taka samotna. Ale teraz... - Tęsknię za moim psem, za domem, za chodzeniem boso po trawie, za ptakami innymi niż gołębie. Brakuje mi wschodzącego nad górami słońca, kładzenia się spać przy

akompaniamencie cykających świerszczy.

- Powinnaś pisać dla „Arizona Highways” - zauważyła z przekąsem Kate. - Jesteś chodzącą reklamą życia na wsi.

Erin wzięła łyk wina.

- Nie zrozum mnie źle, kocham Nowy Jork. - Nie ma podobnego miejsca na świecie. - Ale nie tu jest mój dom.

- Z mojego doświadczenia wynika, że dom to przereklamowana instytucja. - Kate nawinęła na widelec wstążkę makaronu i z gracją włożyła ją do ust.

Erin uśmiechnęła się do swoich myśli: Kate wychowała się w Greenwich w Connecticut, o rzut kamieniem z Manhattanu. Najwyraźniej nie miała pojęcia, o czym mówiła Erin.

- Nie o to chodzi, gdzie mieszkasz, ale kim jesteś. - Rozejrzała się po sali pełnej kobiet, ubranych w modne miękkie lny albo jedwabie, mężczyzn w letnich garniturach, prezentujących opaleniznę, zdobytą na polach golfowych.

- Należę do osób, które na przejściach dla pieszych tylko czekają na zielone światło. Dawno temu, kiedy byłam w delikatesach D'Agostino's było mnie stać jedynie na mały kartonik mleka, więc uprzejmie spytałam stojącą przede mną kobietę, czy może mnie przepuścić w kolejce. Ze spojrzenia, którym mnie obrzuciła, można było wnioskować, że poprosiłam ją o darowanie mi nerki na przeszczep.

Kate zaśmiała się swoim wystudiowanym śmiechem, rodem z Upper East Side, gdzie pełno było limuzyn i drogich restauracji. Erin wcale to nie denerwowało. Kate była dla niej kimś znacznie bliższym niż tylko redaktorką - można powiedzieć, że stała się dla niej przyjaciółką. Starła się zrozumieć Erin, ale należała do tej grupy Nowojorczyków, co Clive, zresztą również niewyobrażający sobie życia z dala od rzeki Hudson, braku świeżych bułek z dziurką, czy comiesięcznych wizyt u swojej fryzjerki.

- Nerki? To nic w porównaniu z tymi, którzy daliby się pokroić ze pierwsze miejsce w kolejce w tych najbardziej topowych delikatesach spożywczych na Upper West Side, Zabar's.

Erin uśmiechnęła się i powiedziała:

- No tak, Zabar's.

Kate spojrzała na nią, jakby chciała zapytać: „Jak możesz wrócić do krainy sałaty lodowej po tym, co zobaczyłaś w Zabar's?”. Powiedziała tylko:

- Dobrze, respektuję twoją decyzję, ale wiedz jedno: jeśli się rozmyślisz i zmienisz zdanie, nie będzie już powrotu. Jeśli natomiast chodzi o twoją szefową, przestaniesz dla niej istnieć. Nawet nie odpowie na twoje telefony.

Erin zrobiło się słabo już na samą myśl o tym. Kate nawet nie wie, jak bardzo

nęciła ją oferta Latrice.

- Tam, skąd pochodzę, jest wprost przeciwnie. Nikt o nikim nie zapomina - odpowiedziała z przekąsem. Kiedyś, gdy była jeszcze dziewczynką i pracowała jako opiekunka do dzieci, podsłuchiwała rozmowę ich matki z sąsiadką: „Nie wiadomo, jakie złe nawyki przejęła ta dziewczynka”. Nie chodziło wcale o jakąś przesłodzoną i nazbyt różową wizję Willow Creek. Chodziło o to, że były w życiu pewne wybory, których należało dokonać. - Posłuchaj, wiem, co tracę - dodała trzeźwo Erin. - Gdy miałam dwadzieścia jeden lat, nie wiem, co bym wówczas dała za taką szansę. Problem tylko w tym, że ta okazja pojawiła się za późno.

Zaczęła się zastanawiać, na co jeszcze było za późno: może na naprawę małżeństwa? Rezygnacja z tej propozycji wcale nie musiała oznaczać, że mąż do niej wróci. W pewnym sensie mogła nawet skomplikować pewne rzeczy. Erin nie mogła uciec od swoich problemów; musiała stawić im czoła.

Kiedy wracała do domu, widziała, palące się u Drew światła. Erin dobrze wiedziała, że nadeszła chwila powiedzenia mu o swoich planach; i tak już zbyt długo z tym zwlekała. Weszła po schodach, a kiedy w końcu zapukała do jego drzwi, zrobiło jej się ciężko na sercu. Chwilę później drzwi się otworzyły i stanął w nich Drew, owinięty w pasie ręcznikiem, z włosów kapłała mu jeszcze woda.

- Erin. - Był wyraźnie zaskoczony jej wizytą.

Dawno do niego nie wpadała, szczególnie bez zapowiedzi.

- Jakaś późna randka? - spytała. Najwyraźniej właśnie wyszedł spod prysznica.

Spojrzał na nią urażony. Nie robił z tego tajemnicy, że nie poddawał się, dopóki ona nie dojdzie do wniosku, że byłaby głupia, odrzucając go. Teraz przyszła, żeby złamać mu serce.

- Właśnie wracam z bar micwy u Meyerów - wyjaśnił.

- Jak było? - spytała, siadając na sofie. Przewrócił oczami

- Jeśli uważasz, że uganianie się za bandą rozchichotanych dzieciaków, podczas gdy pękają ci bębenki w uszach, stanowi jakąkolwiek przyjemność, to uwierz mi, że był tam prawdziwy bal.

- Też kiedyś mieliśmy po trzynaście lat, pamiętasz?

- Ledwo. Pamiętam tylko, że wtedy byłem przekonany, że nigdy nie uda mi się pocałować żadnej dziewczyny, a już tym bardziej pójść z którąkolwiek do łóżka. - Spojrzał na ręcznik, którym się okrywał. - À propos, powinienem się ubrać. Nie chcę, żebyś coś sobie pomyślała. - Drew żartem rozładowywał wszelkie zaistniałe między nimi niezręczności, co sprawiało, że Erin czuła się jeszcze gorzej.

Zniknął w swoim pokoju i za chwilę przyszedł, ubrany w dżinsy i koszulkę, taką samą jaką noszą żołnierze marynarki wojennej.

- No więc - powiedział, siadając koło niej na sofie - doszłaś już do jakichś wniosków?

- Nie bardzo. Właśnie wracam z kolacji z moją redaktorką.

- Z Kate?

Kiwnęła głową.

- Zaprosiła mnie do L'Impero.

- Należało ci się. Ty i Jessie na pewno zwiększyliście nakład o przynajmniej jedno zero. To mi o czymś przypomina - powiedział. - Znalazłem wprost idealnego dla ciebie agenta. Zajmuje się nadawcami - jego największym klientem jest człowiek z sieci telewizji kablowych ESPN, ponadto ma dobrą renomę. Poczekaj, dam ci jego numer... - Szybko wstał i zaczął przewracać stertę papierów na stole służącym mu za biurko.

- Drew... - Na dźwięk tonu jej głosu zamarł i powoli się do niej odwrócił. - Ten numer nie będzie mi potrzebny.

- Jak to? Opuściła głowę.

- Zdecydowałam, że nie przyjmę tej oferty.

Był zaskoczony. Wyglądał na tak zdruzgotanego, że Erin chciała objąć go ramieniem i pocieszyć, ale wiedziała że przyniesie to skutek odwrotny do zamierzonego.

- Nie mogę powiedzieć, że zupełnie się tego nie spodziewałem, ale do diabła, Erin... - Ciężko usiadł na krześle przy stole. - Naprawdę myślałem... przynajmniej miałem nadzieję...

Erin wstała i podeszła do niego, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Przykro mi Drew. To nie była łatwa decyzja, jeśli cię to pocieszy. Jestem to winna mojej córce. Ona i tak już bardzo dużo przeszła. - Miała gułę w gardle. Drew był dla niej bardzo dobrym przyjacielem. Mogły nawet być kimś więcej, gdyby nie Skip. Świadomość powrotu do pustego łóżka w domu nie ułatwiała Erin sprawy.

Podniósł głowę, przybierając ten jego uśmiech w stylu „łatwo przyszło, łatwo poszło”, ale w tej sytuacji, wyglądał na jeszcze bardziej zboląłego.

- No cóż, domyślałam się, że moja porażka jest wygraną twojego męża.

- To nie chodzi o Skipa - powiedziała, zabierając rękę z jego ramienia.

Jednak Drew wiedział swoje. Ze stosu odbitek, leżących na stole, wyciągnął jedną z nich, przedstawiającą świeżo poślubioną parę na tle synagogi czy kościoła z kamienia.

- Wyglądają na szczęśliwych, prawda? Nie powiedziałaś, że właśnie zdiagnozowano u niej stwardnienie rozsiane. Dowiedziała się zaraz po zaręczynach. Zaproponowała mu, żeby zerwał zaręczyny, ale on powiedział, że bardzo ją kocha i mimo wszystko chce się z nią ożenić. Oświadczył, że wolałby być z nią, nawet jeśli będzie jeździć na wózku inwalidzkim, niż z którąkolwiek inną kobietą na ziemi. To jest miłość. - Spojrzał na nią. - Mam tylko nadzieję, że twój mąż wie, jakie szczęście go spotkało.

Erin też miała taką nadzieję i choć była to nadzieja dość płonna, to i tak trzymała się jej z taką samą determinacją, z jaką źdźbło trawy wyrasta spomiędzy płyt chodnikowych.

Chciała uścisnąć Drew na pożegnanie, ale cofnął się, przytrzymując ją gestem ręki.

- Jestem miłym facetem, ale nie aż do tego stopnia. Nie będę udawał, że mam to gdzieś - powiedział, próbując powstrzymać łzy i wykrzywając usta w próbie uśmiechu. - Przyjmijmy, że życzę ci szczęścia.

- Erin, to ja. - Głos Jessie przenikał zaspany mózg Erin.

Erin jęknęła, zerkając na zegarek, stojący na stoliku nocnym. Była pierwsza w nocy.

- Co się stało? - wymamrotała.

- Chodzi o Kaylę.

Erin otrzeźwiała w ułamku sekundy.

- Co się stało?

- Myślę, że wszystko w porządku, tylko jak na razie... - Jessie łamał się głos - nie wiemy, gdzie ona jest.

Słowa Jessie przeszły ją jak prąd. Natychmiast podniosła się, a serce biło jej jak oszałałe.

- Próbowalaś u Devon? - Kiedy Kayla nie zjawiała się o umówionej porze, przeważnie można było ją znaleźć u najlepszej przyjaciółki.

- Sprawdzaliśmy. Nie ma jej tam. - Jessie mówiła z przesadnym spokojem, zupełnie jakby chciała uspokoić pasażera spadającego samolotu. - Chłopcy szukają jej od południa, a my z Marią zadzwoniłyśmy do wszystkich, którzy przyszli nam na myśl. Jestem pewna, że nic jej nie jest. - Powtarzała. - Po prostu... pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

Nie panikuj - mówiła Erin sama do siebie, głęboko oddychając. - Musi być jakiś powód. Jednocześnie w głowie jej huczało, miała wrażenie, że tego nie wytrzyma, że zacznie krzyczeć, bo coś złego mogło stać się jej córce.

- Jadę do was - powiedziała, odrzucając kołdrę i wyskakując z łóżka.

Jessie nie zaprotestowała, zbyt dobrze znała Erin.

Erin zarezerwowała w Internecie najbliższy lot, o czwartej nad ranem, z lotniska Newark. Nie wzięła prysznicza, narzuciła na siebie jakieś rzeczy, napisała kartkę do Clive'a, żeby podczas jej nieobecności nakarmił Delilę. Chwilę po wsunięciu kartki pod drzwi Clive'a, jechała już taksówką Dziewiątą Aleją.

Jessie czekała na lotnisku w Phoenix. Uścisnęły się, Erin cofnęła się o krok, patrząc na Jessie, i zdenerwowana zapytała:

- Coś wiadomo?

Jessie przecząco pokręciła głową. Wyglądała na zmęczoną, oczy miała zaczerwienione od braku snu.

- Dali informację przez krótkofalówki - poinformowała Erin, biorąc ją pod ramię i kierując się od razu do wyjścia, ponieważ Erin nie miała bagażu. - Jestem pewna, że wkrótce czegoś się dowiemy. Coś mi mówi, że uczucie niezależności przestało ją już tak bardzo rajcować. Pamiętaj, Kayla należy do pokolenia dzieci, które uważają, że MTV i lody Häagen-Dazs są niezbędne do życia.

Erin chwyciła się ramienia Jessie.

- Skąd wiadomo, że nie została porwana? Zostawiła jakiś list? - Przez cały ranek Erin prześladowały kolejne wizje psychopatów, porywających jej dziecko.

Jessie przecząco pokręciła głową.

- Przeszukaliśmy jej pokój. Nic nie znaleźliśmy.

- W górnej szufladce komody Kayla trzyma pieniądze za pilnowanie dzieci.

Patrzyłaś, czy ich nie brakuje?

- Sprawdzalam wszystkie szuflady, nie było tam żadnych pieniędzy.

- Jakoś inaczej wyglądasz. - Zaobserwowała, kiedy siedziały w samochodzie.

- Tak, wiem, paskudnie. - Jessie przeczesiła ręką rozwichrzone włosy.

Nie było mowy, żeby w Nowym Jorku. Jessie wyszła z domu bez makijażu. Nawet, kiedy wkładała dzinsy, dobierała do nich stylowe buty i kurtkę skórzaną, a dekolt rozpiętej bluzki ozdabiała sznurem pereł. Jednak teraz wyglądała dużo piękniej niż zwykle. Nawet, skrajnie zmęczona i tak kwitła. Erin, ściskając Jessie poczuła, że jej przyjaciółka stała się silniejsza, dzięki targaniu walizek po schodach. Dla Erin było jasne, że Jessie kwitła w Willow Creek. Wkrótce były już na autostradzie.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego Skip nie zadzwonił - powiedziała Jessie przepraszająco, wiedząc, że to drażliwy temat. - Miał taki zamiar, ale bał się, że wszystko zaprzepaści. Nigdy nie widziałam go w takim stanie.

To dziwne, że Erin do tej chwili nie pomyślała, że to Skip powinien był do niej



zadzwoić. W tym momencie akurat była to ostatnia rzecz, która przyszła jej do głowy.

- No to jest nas dwoje. - Stwierdziła Erin. Jessie ścisnęła rękę Erin.

- Niedługo wróci, zobaczysz. Właściwie to nie byłabym zaskoczona, gdyby już tam była, zanim przyjedziemy.

Erin nie znajdowała pocieszenia w jej słowach.

- To wszystko moja wina - powiedziała, bezmyślnie patrząc przez szybę. Nie miała takiego zamiaru, ale sama zmusiła Kaylę do podjęcia decyzji, której żadne dziecko nie powinno podejmować. Postawiła ją w sytuacji bez wyjścia. W takim wypadku ucieczka mogła wydać się jedynym rozwiązaniem.

- To nie jest twoja wina - odpowiedziała Jessie z przekonaniem. - Jeśli kogokolwiek można tu winić, to mnie. To ja, a nie kto inny namawiałam cię na wyjazd do Nowego Jorku. - Głos ugrzązł jej w gardle. - Powinłam była pomyśleć.

Erin westchnęła.

- Z dziećmi nigdy nic nie wiadomo. Starasz się, trzymasz kciuki i masz nadzieję, że wszystko się uda.

- Zaczynam to widzieć na przykładzie mojej matki. Starła się jak mogła, nawet jeśli nie do końca jej to wychodziło.

Erin była zaskoczona, że Jessie jest taka wyrozumiała w stosunku do swojej matki - najwyraźniej pobyt tutaj z wielu względów wychodził jej na dobre.

- Kiedyś ktoś powiedział, że wszyscy jesteśmy wychowywani przez amatorów. Nawet nie wiesz, ile w tym prawdy, szczególnie dopóki nie ma się własnych dzieci.

Jessie zastanawiała się, czy to kiedykolwiek jej się przydarzy.

Erin nadal przypatrywała się wysuszonym wzgórzom, które mijaly po drodze. Już zapomniła te widoki i taką perspektywę: puste przestrzenie, gdzie nie było ani jednego drzewa, ani budynku. Opuściła szybę, wpuszczając do samochodu suche pachnące szalwią powietrze - zapach domu. Nigdy nie myślała, że tak będzie wyglądał jej powrót w rodzinne strony.

Dwie godziny później skręcały już do hotelu. Erin była zaskoczona, że tak niewiele się tu zmieniło od jej wyjazdu. W stadninie konie chodziły po wybiegu, owczarek collie państwa Millerów jak zwykle siedział u zbiegu dróg. Po Nowym Jorku, gdzie nigdy dwa razy nie wychodziło się na tę samą ulicę, taka stałość była zaskakująca.

Hotel powitał ją jak starą znajomą. Wchodząc do środka, dostrzegła teraz drobiazgi, które umykały jej uwagi w codziennej bieganinie: odciski łap Otisa, pozostawione kiedyś na schnącym cemencie, nasturcje zwieszające się po obu stronach schodów na ganku. Wchodziła po nich, gdy otworzyły się drzwi i szcękając, wybiegł

z nich rozradowany Otis.

Erin Ukucnęła i przytuliła go, zezwalając na psie całusy.

- Cześć, psiaku. Tęskniłeś za mną? Ja za tobą bardzo.

W korytarzu zauważyła zapuchniętą od płaczu Marię.

Erin ostrożnie, niczym stara kobieta, albo ktoś pogrążony w bólu, podeszła do drzwi, nie mając odwagi wypowiedzieć słowa. Maria przecząco pokręciła głową.

- Ciągle ani słowa.

Erin mimo wszystko poczuła ulgę. Przynajmniej nie było złych wieści.

- Gdzie jest Skip? - spytała, spoglądając na Marię.

- Chodzą z Mike'em i rozlepiają w mieście ulotki - poinformowała ją Maria. -

Właśnie skończyłam kopiowanie kolejnej partii - wskazała na stertę papierów, leżących na stoliku w korytarzu.

Erin wzięła jedną z ulotek, przedstawiających szkolne zdjęcie uśmiechniętej Kayli, próbującej ukryć swój aparat korekcyjny na zębach. Dużymi, pogrubionymi literami wydrukowany był napis ZAGINIONA, a kolejne informacje poniżej, zapisane były mniejszym drukiem. Zaczęło brakować jej powietrza i nogi zupełnie się pod nią ugięły. Te wszystkie fotografie zaginionych dzieci, porozlepiane na kioskach i kartonikach mleka nie przygotowały ją na to przeżycie.

Usiadła w kuchni przy stole. Jessie patrzyła na nią zmartwiona, jakby Erin właśnie wyszła ze szpitala, a Jessie musiała się nią zajmować i pomagać dojść do zdrowia. Bardzo chciała ją pocieszyć, ale tylko zapytała:

- Musisz być głodna. Może zrobię ci coś do jedzenia?

Erin nie miała apetytu, ale nie protestowała. Przynajmniej będzie coś do zrobienia. Patrząc jak przyjaciółka krząta się po kuchni, nie czuła, że jest we własnym domu. Ostrożnie jadła zupę, właśnie odgrzaną przez Jessie, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodowych i odgłos kroków na ścieżce. Kilka chwil później drzwi otworzyły się i wszedł Skip. Zamarł na widok Erin. Podeszła do niego. Skip bez słowa wziął ją w ramiona. Przytuliła twarz do jego koszuli w paski, którą czuć było papierosami palonymi przez Mike'a oraz jego własnym zapachem, który rozpoznałaby z zawiązanymi oczami. Jego silne męskie ramiona chroniły ją przed napadem paniki. Kiedy się rozdzielili, Erin zobaczyła, że miał zmęczoną twarz i oczy, w których także było widać wyczerpanie. Pokręcił głową, dając jej do zrozumienia, że ciągle nic nie wiadomo.

Dowiedziała się, że rozkleili ulotki po całym mieście, a inne zespoły przeszukiwały okolicę. Skip jechał teraz do czasowego sztabu poszukiwań. Wpadł tylko, żeby zobaczyć się z Erin i zapewnić ją, że robią wszystko, co w ich mocy.

- Jadę z wami - powiedziała Erin, kiedy wychodził. Skip położył jej ręce na ramionach, mówiąc łagodnie:

- Nie, zostań tutaj i odpocznij trochę.

- Nie mogę...

- Powinnaś tu być, gdyby zadzwoniła - nalegał.

- Robimy kanapki i kawę dla sztabu. Możesz nam pomóc - powiedziała jej Maria.

Erin nie opierała się już dłużej.

- Dobrze. Obiecuj mi, że zadzwonisz, jak tylko... - urwała, bo miała przed oczami widywane w kronikach kryminalnych obrazy znalezione w płytkich grobach ciał. Mocno objęła się rękami, próbując powstrzymać strach i zapomnieć o tych okropnych obrazach.

Zamknęła oczy, kiedy Skip podszedł, żeby ją pocałować w czoło. Był nieogolony, jednak jego ostra broda była dla niej najczulszą pieszczotą, przynoszącą ochotę do życia.

- Mam włączoną komórkę, gdybyś potrzebowała się ze mną skontaktować - wyszeptał chropowatym ze zmęczenia głosem.

Kiedy otworzyła oczy, już wyszedł.

Było już dawno po zmierzchu, kiedy Skip i Mike, a zaraz po nich Hunter George wrócili do domu, niczym żołnierze z pola bitwy. Skip poinformował je, że ciągle nie było wiadomo, ale grupy przeszukujące najbliższe tereny miały jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Jutro z samego rana, jak tylko wzejdzie słońce, znowu wyruszą.

Hunter stał z boku, niewiele mówiąc, miał świadomość, że nie jest członkiem rodziny. Erin obserwowała go kątem oka, kiedy rozkładała sztuce do posiłku, który odgrzewała Jessie. Zdała sobie sprawę, że mimo tego, że był jej najbliższym sąsiadem, że kiedy tylko otwierała „Merkury'ego” zawsze była tam jakaś jego wypowiedź, to właściwie w ogóle go nie знаła. Była mu tym bardziej wdzięczna za to, co dla nich robił. Podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Zostanie pan na kolację?

- Nie wiem, czy będę jadł, ale z chęcią wypiję filiżankę kawy. - Jego wzrok prześlizgnął się po niej, szukając Jessie. Tak, jakby chciał ją zapytać o zgodę na zostanie, skoro jest tu Mike. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Ktokolwiek patrzyłby na nich w tej chwili, natychmiast doszedłby do wniosku, że to w Hunterze, a nie w Jonathonie Jessie była zakochana. Najwyraźniej był nieszczęśliwy, że Jessie wkrótce wyjedzie. Miał wyraz twarzy kogoś, kto, gdyby nie Kayla, wcale by się tu nie plątał, bo ciągle świeże były rany, zadane mu przez kobietę.

Przez kolejną godzinę siedzieli w kuchni, opracowując plan działania. Kayla

zaginęła niecałe czterdzieści osiem godzin temu, więc na pewno nie wyczerpali jeszcze wszystkich możliwości. Jutro rozszerzą poszukiwania na okoliczne gminy.

W końcu Maria wstała, ziewając.

- Nie wiem, jak wy panowie, ale ja, muszę się zaraz położyć, bo inaczej jeden z was będzie musiał zanieść mnie do łóżka. - Mike uśmiechnął się do niej, jakby chętnie zgłaszając się na ochotnika, ale tylko Otis poczłapał za nią do drzwi, machając ogonem. Zatrzymała się, wyraźnie opóźniając swoje odejście.

- Zadzwońcie, jak coś będzie wiadomo? Nawet w środku nocy? - Wszyscy kiwnęli głową.

Kilka chwil po wyjściu Marii słychać było tylko cichy skomlenie Otisa, który wyczuwał, że w domu dzieje się coś złego. W końcu Skip powiedział, biorąc głęboki oddech:

- Musimy się przespać. Już nic więcej dzisiaj nie zrobimy. - Siedział jeszcze przez chwilę, wpatrując się w swój pusty kubek po kawie, ale w końcu wstał.

Hunter też się podniósł.

- Odprowadzę cię do samochodu - powiedziała Jessie. Obrzucił ją pełnym bólu spojrzeniem, ale nie zaprotestował. Przytrzymał dla niej drzwi wejściowe.

Mike poczekał jeszcze chwilę, zanim się pożegnał.

- Na pewno nic więcej nie mogę już zrobić? - zapytał, zmierzając do wyjścia.

- Na pewno - odpowiedział Skip. - Idź trochę się prześpij. Zobaczymy się rano.

Wychodząc, spojrzął na Erin z zażenowaniem. Znając go, mogła się domyślać, że wyciągał brata do barów i klubów ze striptizem, a teraz gryzły go wyrzuty sumienia. Z jakiejś przyczyny ta myśl wcale jej nie martwiła. Jeśli Skip przekroczył jakieś granice, to można powiedzieć, że ona też to zrobiła.

W końcu zostali sami. Erin wstała i podeszła do Skipa, instynktownie łapiąc go za rękę.

- Powiedz, że wszystko będzie dobrze, nawet jeśli tylko miałoby mnie to pocieszyć.

- Wszystko będzie dobrze. - Mocno uścisnął jej rękę. - Szczerze w to wierzę.

W tym momencie, patrząc mu w oczy, Erin też w to wierzyła. Wtem ogarnął ją strach.

- Jeśli cokolwiek jej się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę - powiedziała, łkając. - Gdybym nie namawiała jej do przeprowadzki do Nowego Jorku...

Twarz Skipa stężała.

- Więc to prawda? Jedziesz?

Spojrzała tępo przed siebie, a potem na niego i potrząsnęła głową.

- Nie...

- Jesteś pewna, że właśnie tego chcesz? - spytał. Przytaknęła, a on zacisnął oczy. Kiedy je otworzył poleciały z nich łzy. - Więc ty i Drew nie...? - Nie dokończył zdania.

Z uwagą patrzyła mu w oczy i odpowiedziała:

- Mówiłam ci, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. - Prawie do czegoś doszło, dodała w myśli, ale ty zawsze byłeś w moim sercu i skutecznie mnie powstrzymywałeś.

Dalej przyglądał jej się z niepewnością, ale w końcu doszedł do wniosku, że mówiła prawdę, bo na jego twarzy widać było ulgę.

- A ty? Założę się, że Mike bardzo się cieszył i zachwalał swój kawalerski stan.

Jeden z kącików ust Skipa wykrzywił się w potwierdzającym jej tezę uśmiechu.

- Nie zaprzeczę, że tak było.

- Nie kusiło cię to?

- Z jednej strony, tak. Byłem wściekły i chciałem ci się odplacić - przyznał. - W końcu za każdym razem dochodziłem do wniosku, że nie był to dobry powód. Poza tym, z kimkolwiek poszedłbym do łóżka, to i tak myślałbym o tobie. To nie byłoby fair.

- W stosunku do niej czy do mnie?

Pokręcił głową, uśmiechając się.

- Nigdy się nie poddajesz, prawda?

Erin zawsze uważała, że takie potyczki słowne wynikały z dzielących ich różnic; teraz zdała sobie sprawę, że mieli bardzo dużo wspólnych cech.

- Po prostu zastanawiam się, jak to jest, kiedy skała trafia na coś twardego - powiedziała. - Czy wówczas tak długo uderzają o siebie aż się rozpadną się na drobne kawałki, czy też dążą do kompromisu?

- Nie wiem, ale możemy to sprawdzić. - Patrzyli na siebie, Erin ledwo oddychała, jakby starając się nie dopuścić do zagaśnięcia ognia, który znowu zaczął się tlić. Wtedy on objął ją ramieniem i powiedział:

- Chodź, położę cię spać.

Erin miała wątpliwości, lekko przestępowała z nogi na nogę. Dotychczas nie pomyślała, gdzie będzie spać. Za chwilę Skip prowadził ją za rękę po schodach i wiedziała już, że dzisiejszą noc spędzi, dzieląc z nim łóżko.

Szli razem, a schody skrzypiały pod ciężarem ich kroków. Erin trzymała rękę na dębowej poręczy, którą kiedyś własnoręcznie ze Skipem szlifowali i malowali lakierem.

Dopiero po latach odremontowali pokój na strychu. Nigdy nie mieli wystarczająco dużo pieniędzy, a poza tym ciągle trzeba było coś naprawiać. W końcu

Skip prawie wszystko zrobił sam: zeszkrobał farbę ze starych drewnianych ram okiennych, odświeżył sosnowe podłogi, wytapetował spadzisty sufit i ściany. Tego pokoju używali tylko wtedy, gdy mieli dużo gości, ponieważ najbliższa łazienka znajdowała się piętro niżej, więc dziwne to było dla Erin, że brudne rzeczy Skipa leżały przewieszane na krześle przy szafie, a reszta leżała rozrzucona we wszystkich możliwych miejscach.

Rozebrała się i wsunęła się do łóżka. Była tak zmęczona, że oczy same jej się zamykały. Jak przez mgłę widziała poruszającego się po pokoju Skipa, słyszała tylko jego kroki i dźwięk otwieranych i zamykanych w komodzie szuflad.

Potem położył się obok niej. Przysunął ją do siebie, jak zawsze, jakby w ogóle nic złego między nimi się nie wydarzyło. Natychmiast zasnęła. Nie wiedziała, jak długo spała, ale ciągle jeszcze było ciemno, kiedy obudziła się z bijącym sercem. Skip wiercił się i mówił coś przez sen, ale zaraz otworzył oczy i patrzył na nią z niepokojem.

- Co się stało? - spytał półprzytomnie.

- Miałam koszmary. Śniło mi się... - urwała w pół zdania, zdając sobie sprawę, że jej koszmar o Kayli, niestety był prawdą.

- Znajdziemy ją - wyszeptał, biorąc Erin w ramiona.

Jego usta wędrowały po jej policzkach i szyi - wiedziała, że te pocałunki miały ją uspokoić, ale sama mocno się w niego wtuliła, zaczęła odpowiadać pocałunkami i objęła go nogami. Jęknął i poczuła, że drgają mu mięśnie, jakby walczył z naturalnym impulsem, jaki dawało mu ciało.

Ona nie chciała, żeby się wycofywał. Chciała... potrzebowała, o Boże... pragnęła się w nim zatracić. Dotknęła go, czując jego gotowość i dała do zrozumienia, że tego chciała. Jego oddech stał się szybszy. Pospieszała go, coraz mocniej go całując, rozsunęła nogi i przyciągnęła go do siebie. Ich ciała zwały się ze sobą.

Kochali się nie jak małżeństwo z dużym stażem, ale z chciwością młodych kochanków. Potem przytrzymała go nogami, żeby jeszcze w niej był, nie chciała uwolnić się z jego ramion.

Skip wydawał się ją rozumieć. Normalnie zaraz by zasnął. Zawsze mu tego zazdrościła: kiedy ona przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć, on zawsze chrapał w najlepsze. Jednak teraz, jego oddech był spokojny i miarowy, ale miał lekko napięte mięśnie. Wiedziała, że tym razem nie zaśnie przed nią.

Śniło jej się, że jest na statku. Była noc, a księżyc błyszczał na wodzie. Słysząc było rytmiczną pracę tłoków pod pokładem. Z początku ledwo słyszalny, ale z czasem nasilający się hałas wyrwał ją ze snu, mimo, że chciała jeszcze spać. Kiedy w końcu

otworzyła oczy, pokój był zalany porannym światłem. Ktoś pukał do drzwi.

- Erin! Skip! - To była Jessie. Jej pukanie było coraz bardziej gorączkowe.

Skip wstał z łóżka, zanim Erin zdążyła się wykaraskać z pomiętych prześcieradeł. Wciągnął tylko dzinsy i otworzył drzwi. Jessie wpadła do pokoju, miała zaróżowione policzki i włosy w nieładzie. Wręczyła mu poskładaną kartkę.

- Jeszcze raz przeszukałam jej pokój i znalazłam to pod łóżkiem - tłumaczyła, nie mogąc złapać oddechu. - Zupełnie nie wiem, jak mogliśmy to przeoczyć.

Erin zapłakała i podeszła do nich, owinięta w prześcieradło.

*Drogi tato - widniało na kartce. - Piszę ten list, żeby cię uspokoić. Proszę, nie martw się i NIE MÓW mamie. Po prostu muszę wyjechać na jakiś czas. Nie znoszę tego uczucia obowiązku wyboru między jednym a drugim z was. Nie obraż się, ale teraz nie chcę być z żadnym z was.*

*Uściski, Kayla*

Erin poczuła przyływ adrenaliny i natychmiast doszła do siebie. Coś jej przyszło do głowy. Coś, na co prawdopodobnie wpadłaby już wczoraj, gdyby nie była taka zmęczona. Spojrzała na Skipa.

- Sprawdziłeś, czy nie brakuje jakiegoś sprzętu campingowego? - spytała. Kiedy Kayla była już dostatecznie duża, każdego lata jechała z ojcem na camping w góry. Znała tamtejsze okolice jak własną kieszeń.

Skip patrzył na nią przez chwilę. Miał jeszcze zapuchnięte od snu oczy i odcisnięte na policzku ślady zagniecionej pościeli, ale był wyjątkowo przytomny i natychmiast pognął na dół. Erin narzuciła coś na siebie i zbiegła za nim po schodach. Złapała go w garażu, gdzie gorączkowo odsuwał meble ogrodowe, starając się dostać do szafki ze sprzętem na camping.

Zorientowali się, że brakuje plecaka, śpiwora i namiotu. Skip zawiadomił policję i kilkanaście minut później, kiedy policjanci sprawdzali każde pole namiotowe w promieniu trzydziestu kilometrów, Skip i Erin siedzieli już w samochodzie i jechali na camping, na którym rozbili się w zeszłym roku. Byli w połowie drogi, kiedy zadzwonił telefon Skipa, że odnaleziono Kaylę, śpiącą w namiocie rozbitym w lesie niedaleko Deer Creek.

Skip i Erin wrócili do hotelu i zastali ją tam, umorusaną i siedzącą przy stole nad gorącym kubkiem kakao. Uniosła głowę, nie wiedząc czy czeka ją bura, czy uściski.

Erin przebiegła przez kuchnię, żeby ją uścisnąć.

- Dzięki Bogu - łkała, mocno tuląc ją do siebie. - Myśleliśmy... - urwała, nie

będąc w stanie dokończyć zdania.

- Przepraszam, mamó. - Kayla była na granicy łez. - Nie chciałam was wystraszyć.

Erin zaśmiała się nerwowo.

- Dodałaś mi tylko jakieś dziesięć, a może nawet dwadzieścia lat.

- To nic w porównaniu z tym, młoda damo, na jak długo będziesz uziemiona - huczał Skip, mimo widocznego uczucia wielkiej ulgi.

- Zostawiłam ci list... - Kayla patrzyła z nadzieją na Jessie, która stała obok, smażąc bekon, ale zdawała się nie zwracać na nią uwagi. - Nie chciałam spowodować wszystkich tych problemów - powiedziała cicho, patrząc na Erin - ani nie zamierzałam cię tu ciągnąć taki szmat drogi.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, przez co przeszedłem - odpowiedział srogo Skip. Kayla wpatrywała się w stół i drgała jej broda. - Ale cieszymy się, że nic ci się nie stało.

- Tylko zapomniałam zabrać środka na komary - Kayla drapała ramię, całe pokryte czerwonymi bąblami. - I skończyło mi się jedzenie.

- Robię jej śniadanie - krzyknęła Jessie przez ramię. Zapach smażonego bekonu spowodował rewolucję w brzuchu Erin.

- Mam nadzieję, że starczy dla nas wszystkich - powiedziała.

- No pewnie. Starczyłoby na wyżywienie całej armii.

Patrząc na nią, Erin nie mogła się nadziwić zmianom, które zaszły w Jessie. Jeszcze nie tak dawno nie umiała zrobić grzanki bez przypalenia jej.

Erin usiadła w fotelu, czując się tak cudownie niepotrzebna.

Skip nalał im po kubku kawy, zanim odsunął dla siebie krzesło.

- To był ten twój plan, który miał nam pomóc wrócić do siebie? - zapytał Kaylę.

- A co, pomogło?

Erin dmuchała gorącą kawę, patrząc na Skipa kątem oka. On przyglądał się ziarenku jęczmienia z bułki, które leżało na obrusie. W końcu odstawiła kubek i powiedziała:

- Jak na razie, wystarczy, że jesteś cała i zdrowa. Reszty nie zapieszajmy, dobrze?



## *Rozdział siedemnasty*

Kolejna radosna młoda asystentka produkcji zajrzała do nich z pytaniem:

- Wszystko w porządku? Nie potrzebujecie panie niczego? - Dziewczyna miała na sobie spodnie wory w kolorze burooliwkowym, prążkowany bezrękawnik i upięte klamerką brązowe włosy, opadające po bokach niczym pióra.

Jessie przypomniała sobie czasy, kiedy sama była asystentką redaktora. Wtedy za taki strój zostałaby wylana z pracy. Poczuła się staro.

- Jestem gotowa do działania - zażartowała Erin.

Kiedy Erin z Jessie przyjechały do studia telewizji ABC na nagranie programu *The View*, nie siedziały w zwykłej zielonej poczekalni, jak większość gości, ale w prywatnej garderobie z sofą, krzesłami, minibarem i tak pięknie podświetlonym lustrem, że człowiek, nawet kiedy był zmęczony, wyglądał w nim kwitnąco.

Dziewczyna uśmiechnęła się do nich. Z legitymacji dowiedziały się, że nazywa się Stacy Wisniewski.

- Jeśli będą miały panie jakieś życzenia, proszę dać mi znać - powiedziała. - Za chwilę wrócę, żeby zabrać panie do charakteryzatorów. - A konfidencjonalnym szeptem dodała: - Tylko proszę nie obawiać się Barbary. Jak już się ją pozna, okazuje się, że jest łagodnym kociakiem.

Jessie była pewna, że były różne określenia Barbary Walters, ale zdawało jej się, że nawet najbliżsi przyjaciele nie nazywali jej „kociakiem”.

- Jeśli jeszcze jedna osoba powie nam, żeby się nie denerwować - wymamrotała Erin, gdy Stacy wyszła - naprawdę zacznę myśleć, że jest jakiś powód do nerwów.

- O czym ty mówisz, przecież jesteś już starą wyjadaczką - przypomniała jej Jessie.

Erin z powrotem usiadła na kanapie, zakładając nogę na nogę. W swoim dopasowanym czerwonym kostiumie ze spodniami, czarnej jedwabnej bluzce i pantoflach bez pięty od Prady, kupionych jej przez Jessie, wyglądała jak młodsza, bardziej seksowna siostra kobiety, która siedem miesięcy temu wysiadła z samolotu na lotnisku J.F. Kennedy'ego.

- To co innego - powiedziała Erin. - Wtedy moim największym zmartwieniem było, żeby naleśniki nie przywarły do patelni i żebym jednocześnie nie wyszła na idiotkę przed kamerami. Nie musiałam bronić mojego stylu życia.

Podczas ostatniego wywiadu dla Fox News, prezenterka, trzydziestokilkuletnia blondynka, dość ostro i wręcz nieprzyjemnie spytała Erin: „Wybrała pani rodzinę, a nie

sławę, czyli coś, za co większość ludzi oddałaby wszystko. Nie żałuje pani swojego wyboru?", co postawiło Erin w dość niezręcznej sytuacji. Przyznała, że nie żałowała niczego, że nie wracała do dziury zabitej dechami, poza tym próbowała ratować swoje małżeństwo.

- Nie musisz się nikomu tłumaczyć - odpowiedziała Jessie, ale rozumiała, dlaczego Erin zachowywała się tak defensywnie. Z lektury listów do redakcji wynikało, że większość czytelniczek „Savvy” stanowiły kobiety sukcesu, dla których Erin była przykładem typowych staroświeckich zachowań: kobieta, mająca wielką szansę na sukces, ulega presji męża i rezygnuje z kariery. W rzeczywistości wyglądało to nieco inaczej.

Jessie w ocenie czytelniczek wypadła dużo bardziej pozytywnie. Samotne kobiety, poszukujące swojej pary, z przyjemnością czytały jej historię z happy endem. Jessie wróciła z głuszy z podpisanym sześciocyfrowym kontraktem na książkę, wróciła do mężczyzny, który nie dość, że sam odniósł sukces i był zabójczo przystojny, to jeszcze tak bardzo ją kochał, że czekał na nią tak długo. Jednak nie wszyscy wiedzieli, że sytuacja nie wyglądała wcale tak bajkowo.

Jessie od chwili swojego powrotu nawet nie widziała się z Jonathonem. Dwa dni przed jej przyjazdem został wezwany do Londynu, żeby zastąpić zmarłego na zawał dyrektora tamtejszego oddziału telewizji CTN. Oczywiście bardzo nad tym bolał, ale Jessie właściwie poczuła ulgę. Wybawiło ją to od potencjalnie niezręcznej sytuacji, zwłaszcza że jej uczucia w stosunku do Huntera były ciągle żywe.

Hunter ciągle jeszcze zajmował jej myśli i serce. Czasem mogła nie myśleć o nim przez kilka godzin, a potem bez ostrzeżenia, kiedy myślała o zęby albo dawała kotce jeść, nagle pojawiał się w jej myślach. W każdej chwili mogła odtworzyć w pamięci jego obraz, kiedy wspinali się na Miner's Hill, jego lśniące w słońcu, niczym krukże skrzydła, włosy. Widziała go, kiedy wspólnie pili kawę, czy w końcu, kiedy się z nią kochał.

Poprosiła nawet Erin, o wysyłanie jej egzemplarzy „Mercury'ego”, żeby była na bieżąco z jego procesem. Ława przysięgłych, po nietrwającej dłużej niż godzinę naradzie, uznała Huntera za niewinnego. Jessie poczuła taką ulgę, że natychmiast zadzwoniła do niego z gratulacjami. Krótko rozmawiali. Był miły, nic więcej. Odłożyła słuchawkę z przykrością, zastanawiając się, czy już mu na niej nie zależy. Jeśli tak było, to tylko i wyłącznie jej wina.

- Uwierz mi, chciałabym, żeby to wszystko można było elegancko zebrać i przewiązać bardzo elegancką kokardą - powiedziała Erin, odgadując myśli Jessie. - Jednak nie jest to takie proste. Starsz się to posklejać, mając nadzieję, że jakoś będzie

się trzymać. - Przyznała, że spotkania ze Skipem u psychologa przypominały bardziej negocjacje dwóch walczących narodów - skupianie się na każdej wypowiedzianej w złości kwestii. Chodzili tam i nie było to proste, ale przynajmniej Skip oficjalnie wprowadził się do domu. Jessie wstała i zastanawiała się, czy w przypadku ataku terrorystycznego przeżyłyby tydzień, żywiąc się leżącymi na paterze serami i owocami.

- Możesz przynajmniej liczyć na jedno - powiedziała, wkładając do ust winogrono - jeśli zdecydujesz się wrócić, Nowy Jork zawsze będzie stał na swoim miejscu.

Erin przecząco pokręciła głową i stanowczo powiedziała:

- To było miłe, ale moje miejsce jest gdzie indziej.

- Moje też - odpowiedziała Jessie, może z trochę mniejszym przekonaniem.

Wyobraziła sobie leżącego obok niej Huntera i obejmującego ją ramieniem.

Natychmiast Odgoniła tę myśl. Nie mogła sobie teraz pozwolić na bujanie w obłokach, zwłaszcza że zaraz wchodziły na wizję. Publiczność nie lubiła pogmatwanych ludzkich losów, pogmatwania wszyscy mieli w nadmiarze we własnym życiu i oczekiwali właśnie szczęśliwego zakończenia.

- Tylko szkoda mi Drew - westchnęła Erin. - Nie chciałam go skrzywdzić.

- Wiem - odpowiedziała łagodnie Jessie. Zastanawiała się, czy w innych okolicznościach coś by wyszło z tego związku. Drew był zabawny, czarujący, ale nie mogła go sobie wyobrazić jako ojca rodziny. Natomiast Erin, ze swoim podszytym ciąglą niepewnością dzieciństwem, niczym tlenu potrzebowała stabilności.

Erin i Jessie właściwie wróciły do punktu wyjścia, z tą różnicą, że Erin była pewna swojego wyboru, a Jessie ciągle jeszcze nie mogła w pełni określić, czego chce.

Chwilę później pojawiła się Stacy, żeby zaprowadzić je do charakteryzatomi.

- Wiem, że świetnie panie wypadną. O rany, po prostu super, ta cała historia. Ja chyba nigdy nie odważyłabym się na coś podobnego. Czy wiecie panie, że za moją pracę oddałyby życie niejedna osoba? Przecież tacy niesamowici ludzie tutaj przychodzą. W zeszłym tygodniu był Colin Farrell, a jeszcze tydzień wcześniej Brad Pitt. No dobrze, to jesteśmy na miejscu. - Ciągle jeszcze iskrzył od niej gwiazdzisty pył. Wskazała im drogę do wąskiego pokoju, nagrzanego jak sauna od suszarek i mocnych świateł zainstalowanych wokół luster. Obiecała, że zaraz do nich wróci i zostawiła je w rękach pulchnej śniadej kobiety o imieniu Rosa, która kończyła czesać kolejnego gościa, cudowną blondynkę, noszącą rozmiar XS.

- Czy to ta osoba, o której myślę? - wyszeptała Erin.

- Jeśli to nie ona, to wygląda zupełnie jak ona - odpowiedziała po cichu Jessie.

Rosa przesunęła się, odsłaniając kobietę siedzącą w fotelu.

- O Boże, to ona, to Jennifer Aniston! - szeptała podniecona Erin.

Jennifer musiała ją usłyszeć, bo odwróciła się do nich z uśmiechem. Jessie przedstawiła siebie i Erin, która stała jak wryta i nie mogła wydusić z siebie słowa. Teraz z kolei to Jennifer je rozpoznała:

- Znam was. Czytałam każdy wasz felieton. Nie mogę uwierzyć, że was widzę.

- Nie możesz uwierzyć, że nas widzisz? - wydukała Erin.

Chwilę później rozmawiały już jak stare przyjaciółki, Jessie przypominała Jennifer o swoim artykule w „Savvy”, relacjonującym ceremonię rozdania Nagród Emmy, wtedy gdy Jennifer dostała nagrodę za najlepszą rolę kobiecą w serialu *Przyjaciele*.

Jennifer wyszła z charakteryzatorki wraz ze swoją asystentką. Teraz była kolej na Jessie i Erin. Kiedy ich fryzury i makijaże były już gotowe, Jessie ledwo się rozpoznała. Ona przypominała Tammy Faye Bakker, a Erin tancerkę rewiową. Jednak Jessie miała świadomość, że magia ekranu jest wielka i była pewna, że miliony osób, które je obejrzą, będą uważały, że wyglądają całkiem normalnie.

Odprowadzono je na zaplecze sceny i podpięto im mikrofony. Ze sceny dobiegały salwy śmiechu, aplauz publiczności i trudny do naśladowania głos Barbary Walters, zapowiadającej program:

- Wielu z was pewnie nie raz zastanawiało się, jak wyglądałoby wasze życie, gdybyście wybrali inną ścieżkę życiową - zaczęła. - Jeśli wybrałoby się życie rodzinne, dzieci, męża zamiast kariery zawodowej... albo jeśli wspinałoby się po szczeblach korporacyjnej drabiny, zamiast wychodzić za męża za miłość z czasów liceum. Teraz właśnie spotkacie dwie szczególne kobiety, które są najlepszymi przyjaciółkami od najmłodszych lat i na sześć miesięcy zamieniły się rolami, żeby przekonać się czy w ogródku każdej z nich trawa jest bardziej zielona. Opowiedzą nam swoją historię.

Proszę, powitajmy ciepło Jessie Holland i Erin Delahanty...

Kolejna fala aplauzu. Erin i Jessie wymieniły się spojrzeniami.

- No to do boju - powiedziała Erin, a oczy aż jej błyszczały.

Jessie uśmiechnęła się i powiedziała:

- Połamania nóg.

Razem weszły na scenę.

- Zastanawiam się nad jedną rzeczą - stwierdziła Kate podpitym głosem. - Czy zaręczyny się liczą, skoro nie nosisz pierścionka? - Przysunęła się do krzesła, na którym siedziała Jessie i patrzyła z uwagą na jej lewy palec serdeczny, gdzie nie było pierścionka. - To miały być takie ciche zaręczyny?

Wspólnie z Jessie i Erin siedziały w jednym z barów w SoHo, sącząc drinki

cosmopolitan. Kate za dużo wypijała i dawała powód Jessie, żeby i ona nie poprzestawała na jednym. Próbując odwrócić jej uwagę, Jessie odpowiedziała lekko:

- Nawet brylant nie powstrzymałby mnie od ewentualnej zmiany zdania, więc stwierdziłam, że trochę inaczej podejść do tych zaręczyn.

- A co, zatęskniło się za latami sześćdziesiątymi? Zaraz nam powiesz, że chcesz brać ślub na plaży, recytując kawałki tekstów Kahlila Gibrana.

- Nie liczy się zawiązywanie więzi małżeńskich - wtrąciła Erin - ale utrzymanie ich.

- Jest coś takiego jak całkowita pewność? - Jessie głośno się zastanawiała. - Serio mówię - odwróciła się w stronę Erin - czy jest taki dzień, kiedy budzisz się obok swojego męża i stwierdzasz, że podoba ci się życie z tym facetem i nie chciałabyś zupełnie nic w nim zmienić?

Erin parsknęła.

- Jeśli kiedyś mi się to zdarzyło, to wiem, że do końca nie wybudziłam się ze snu.

- A co będzie, jak się wam nie uda? - Kate zapytała Erin.

- Na razie nie chcę o tym myśleć - widać było, że Erin poczuła się nieswojo.

- To co, nie ma już powrotu? - kontynuowała Kate. Westchnęła i potrząsnęła głową - I pomyśleć, że mogłaś stać się drugą Marthą Stewart.

- No tak, ale zobacz, jak ona skończyła - szybko zauważyła Jessie.

- Nikt nie jest doskonały - odpowiedziała Kate.

Nagle Jessie wpadła na pewien pomysł. Właściwie sama nie wiedziała, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała.

- Dlaczego właściwie nie miałabyś robić tego programu w swoim hotelu? - spytała.

Erin spojrzała na nią, jakby Jessie postradała zmysły.

- Po pierwsze dlatego, że Cooking Channel jest tutaj, a nie w Willow Creek.

- Przecież mogą wynająć jakąś ekipę stamtąd. Wszystkie stacje telewizyjne tak robią.

Kate wtórowała Jessie, lekko bełkocząc:

- Ona ma rację. To, czy na to pójść, to już inna sprawa, ale na pewno warto spróbować. Niech sami zdecydują.

Erin jeszcze przez chwilę patrzyła na nią.

- Sama mi mówiłaś, że nawet nie będą odpowiadać na moje telefony - odpowiedziała Kate.

- A od kiedy taki argument do ciebie przemawia? - powiedziała Jessie. - Przecież słowo „nie” nie znajdowało się w słowniku Erin.

- Słusznie - odparła Erin.

Jessie myślała o swoim genialnym pomysle.

- Przemyśl to. Będziesz u siebie - mówiła z coraz większym podnieceniem. - Nie musisz tylko i wyłącznie gotować, to może też być dzień z życia właściciela hotelu. Wtedy widzowie czuliby się, jakby tam byli.

- Rzeczywiście nie wygląda na to, żeby miały dojść jakieś dodatkowe koszty. - Erin zmarszczyła czoło w zadumie.

Jessie uśmiechnęła się do siebie. W końcu to o tym Erin zawsze marzyła.

- Jakikolwiek trzeba by było ponieść koszty - mówiła Kate - to i tak jesteś ich warta.

- To mogłoby się udać, ale jeśli oni na to nie pójda? - Erin zagryzała wargę. - Poza tym nie wiem, jak zareagowałby na to Skip.

- Może spytałabyś się go o zdanie? - Jessie spojrzała na zegarek. Nie było za późno na telefon do Willow Creek.

Erin w zamyśleniu pokręciła głową.

- Najpierw porozmawiam z Latrice; może się okazać, że nie będę musiała rozmawiać z nim.

Wracali z lotniska do domu i Erin już nie mogła doczekać się aż powie mu, co się wydarzyło. Kipiała z podniecenia od wczorajszego spotkania z Latrice, na którym jej szefowa obiecała przedstawić pomysł radzie nadzorczej stacji. Latrice zwykle nie zdradzała swoich uczuć, ale wczoraj Erin dojrzała w jej oku iskierkę zainteresowania.

Erin słuchała opowieści Skipa o komorze celnej, którą on i jego brat budowali w Las Cruces, o tym jak musieli wyrwać połowę instalacji elektrycznej przez jakieś idiotyczne układy między Mike'em a inspektorem budowlanym. Im więcej mówił, tym bardziej rosło w Erin poczucie winy. Przecież nie tak dawno przyszedł do niej z pomysłem na własny interes. Teraz, przez jej krótkowzroczność, pracował u swojego brata, a mógłby być swoim własnym szefem. Pewnie już ktoś inny złożył ofertę na Red Rock Landscaping po tym, jak Skip się wycofał. Pieniądze, które zarobiła w Cooking Channel, poszły na fundusz powierniczy dla Kayli, ale jej dodatkowy dochód z własnego programu mógłby pozwolić Skipowi na założenie własnego interesu...

- Widziałam się z moją byłą szefową - powiedziała w końcu.

- Nie mów mi, że zmieniłaś zdanie i wracasz do Nowego Jorku. - Nerwowo zażartował Skip.

- Nie, oczywiście, że nie. - Wahała się, czy kontynuować, mając w pamięci ich sesje u psychologa i przywoływanie wszystkich bolesnych wspomnień. - Po prostu... no... miałam taki pomysł... a właściwie Jessie go miała. - Zauważyła jak zwięzają mu

się oczy i natychmiast była na siebie wściekła, że wplątała w to Jessie. Jednak Skip nadal jej słuchał.

Opowiedziała mu o pomysłach i o swoim spotkaniu z Latrice, szybko dodając:

- Nawet nie wiem, czy cokolwiek z tego wyjdzie. - Spojrzała na niego z obawą.

Skip wpatrywał się w szosę, drgały mu mięśnie twarzy. Erin zdenerwowała się: - Tylko dlatego nie mówiłam ci o tym wcześniej, bo stwierdziłam, że nie ma o czym, skoro nie wiedziałam, czy to w ogóle ich zainteresuje.

- Rozumiem - powiedział.

- Posłuchaj. Wiem jak to musi wyglądać z twojej perspektywy, po tym jak się zachowałam, kiedy chciałeś wykupić Coburn - kontynuowała. - Wiem również, że powinnam cię przeprosić, ale nie zmienia to faktu, że wszystko wcześniej zepsułam. Jeśli więc myślisz, że przyjęcie tej propozycji jeszcze bardziej wszystko zepsuje, to po prostu mi to powiedz. Dla mnie nic tak bardzo się nie liczy jak ty i Kayla. - Kiedy skończyła, stwierdziła, że cała się trzęsie.

Skip nie odpowiadał i zaległa przeciągła cisza, a Erin wpadła w panikę. Kiedy w końcu zatrzymał się w tumanie kurzu na poboczu, pomyślała sobie, że to już koniec i nieodwołalnie już będzie chciał rozwodu.

- Naprawdę myślisz, że mógłbym mieć coś przeciwko temu? - zapytał, spoglądając na nią.

- A nie miałbyś? - spytała nieśmiało.

- Nie. Jestem jak najbardziej za - odpowiedział z rozdrażnieniem.

Erin przyglądała się mu.

- Nie oszalałeś?

- A powinienem?

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Myślałam...

Nie pozwolił jej skończyć.

- Kobieto, jeśli przestałabyś zastanawiać się, co mógłbym o czymś pomyśleć i dała mi się wypowiedzieć, dowiedziałabyś się, co myślę. Jestem z ciebie dumny; nie każdy facet jest proszony o autograf, bo ma sławną żonę. - Teraz on też już się uśmiechał. - Jedynej rzeczy, której się obawiałem, to utrata ciebie.

- Prawie ci się to udało.

Jego uśmiech zgasł.

- Wiem, że ciągle jeszcze mamy długą drogę przed sobą, ale chcę, żebyś wiedziała, że marzę o tym, żeby nam się ułożyło. Umówmy się przynajmniej, że przestaniemy chodzić koło siebie na paluszkach. - Przytaknęła, ale nie mogła nic

powiedzieć, bo próbowała opanować cisnące się do oczu łzy. - Poza tym, mam pewne wiadomości. Rozmawiałem z Coburnem, kiedy cię nie było. Wygląda na to, że kupiec wycofał się w ostatniej chwili i Coburn chciał się dowiedzieć, czy nadal jestem zainteresowany jego ofertą.

- I co mu odpowiedziałeś?

- Że odezwę się do niego jak tylko przedyskutuję to z tobą.

Tym razem Erin się nie wahała.

- Powiedz mu, że się zgadzasz.

- Nie martwisz się już o pieniądze?

- Poradzimy sobie.

Skip rozluźnił się, ale czuła, że jeszcze coś go trapi.

- Ale zmieniły się warunki. Coburn proponuje mi to samo, tylko zwiększył się czynsz za wynajmowaną powierzchnię, ale mam już na oku inny lokal w Cortez i jest tam trochę taniej. To ciągle trochę więcej pieniędzy niż chciałbym wydać, ale właściciel powiedział, że można jeszcze negocjować.

Chwyciła go za rękę.

- Zatrzymajmy się tam na chwilę. Chciałabym zobaczyć to miejsce.

- Możemy wszystko stracić - ostrzegł ją Skip i spojrzał na nią.

- Jeśli tak się stanie, to zaczniemy od nowa. - Erin wiedziała, że do tego nie dojdzie. Miała dobre przeczucia jeśli chodzi o siebie i o Skipa. Jednak, jeśli rzeczywiście coś by im się nie powiodło, to będą mieli siebie. Poza tym ostatnie miesiące nauczyły ją, że nigdy nie jest za późno na zmiany.

Objął ją ramieniem i mocno przytulił do siebie. Oparła policzek o jego miłą w dotyku, spraną, flanelową koszulę. Przyjechał po nią prosto z pracy i czuć było od niego mieszankę smoły, trocin i potu. Skip przejechał ręką po jej włosach.

- Jest jeszcze jedna rzecz... nie jestem pewien, czy wytrzymam do naszego powrotu.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Co takiego?

- To. - Wziął jej rękę i uśmiechając się, położył ją na swoich dzinsach.

- Ach to. - Zaśmiała się, przypominając sobie chwilę zaraz po ich ślubie, kiedy późno w nocy jechali tym odcinkiem autostrady, a jej tak bardzo chciało się kochać, że nie mogła się powstrzymać i trochę rozrabiała, dopóki nie zauważyła przyglądającego się im ze swojej kabiny kierowcy tira.

- Niedaleko jest motel - przypomniał jej. - Co ty na to?

Erin lekko ugryzła go w szyję, mruczając:



- Już myślałam, że nigdy tego nie zaproponujesz.

## *Rozdział osiemnasty*

Wrzesień nie wiadomo kiedy przeszedł w październik. Mimo że Jonathon ciągle jeszcze pracował w Londynie, Jessie była tak zajęta, że dni mijały jej jeden za drugim w zawrotnym tempie. Weekend spędziła na Nantucket, u rodziców Kate. Stamtąd poleciała do Bostonu na konferencję dla pisarzy. W kolejnym tygodniu znowu miała dużo wywiadów, włącznie z jej wspólnym wywiadem z Erin dla magazynu „More”, którego bohaterkami były kobiety, spełniające się zawodowo, wybierając różne nieszablonowe ścieżki kariery. Erin miała się czym pochwalić, bo jej program dla Cooking Channel był już w początkowej fazie produkcji.

Wszystko się zmieniło, nie tylko praca. Dzięki zaliczce za książkę, Jessie mogła kupić nowe ciuchy i pozwolić sobie na jądanie w dobrych restauracjach, na co nie było jej stać wcześniej. Część pieniędzy wydała na piękny płaszcz od Cole Haan i na jej ukochane zdjęcie Drew, przedstawiające Central Park zimą. Nie pozwoliła mu go sobie podarować. W urodziny Drew zaprosiła go na kolację do Nobu, żeby poprawić mu humor i podnieść na duchu. Ciężko mu było dojść do siebie po rozmowie z Erin, a Jessie dokładnie wiedziała, co czuje Drew, bo sama miała podobne uczucie w stosunku do Huntera. Nikomu by się nie przyznała, nawet Erin, ale tęskniła za nim nawet bardziej niż za Jonathonem.

W drugim tygodniu października, zaraz przed powrotem Jonathona z Londynu, Beverly w towarzystwie Gay przyleciały na spotkanie ze specjalistą, które umówiła Jessie. Po wielu badaniach doktor Berkowitz postawił diagnozę, że Beverly kwalifikuje się do operacji i podjął się wykonania zabiegu. Podniesione na duchu Beverly i Gay miło spędziły resztę swojego pobytu w Nowym Jorku. We trzy pojechały do ogrodu botanicznego na Bronksie. Jessie i matka chodziły wśród roślin tropikalnych, przypominając sobie ogród z Pasadeny i orchidee hodowane przez Beverly. Następnego wieczora poszły na koncert do Carnegie Hall. Kiedy wracały do Willow Creek, Jessie szczerze żałowała, że już wyjeżdżają.

Los chciał, że Jessie, dosłownie dzień przed przyjazdem Jonathona, zmogła okropna grypa. Była zbyt chora, żeby nawet myśleć o pójściu z nim do łóżka, co dodatkowo mogłoby jeszcze skomplikować sprawę, szczególnie że nadal się wahała, co zrobić. Wystarczyło, że wyrzuty sumienia Jessie rosły z każdą przyniesioną przez niego zupą z Zabar's, książką czy gazetą. W piątek, kiedy nieśmiało zapytał, czy nie

będzie miała nic przeciwko jego spotkaniu z dziećmi - z radością powiedziała, że absolutnie nie. W kolejnym tygodniu, w środę czuła się już na tyle dobrze, że poszła na przyjęcie do Four Seasons, organizowane przez CTN. Było to jedno z tych przyjęć, o których w czasach dorastania marzyły wspólne z Erin, przeglądając „Vogue'a" czy „Glamour" i marząc o pięknych i eleganckich strojach. Z jakiejś przyczyny Jessie czuła się dość apatycznie, wkładając swoją nową szafirową sukienkę koktajlową z szyfonu i perłowy naszyjnik, zeszłoroczny prezent urodzinowy od Jonathona. Wmawiała sobie, że to wszystko dlatego, że jeszcze nie doszła do siebie po chorobie, ale w głębi duszy wiedziała, że nie było to jedyną przyczyną jej złego samopoczucia.

Jonathon czekał już na nią, kiedy podjechała taksówką pod Four Seasons.

- Czy mówiłem ci, że to będzie przyjęcie dla wybrańców? - wyszeptał, dyskretnie wskazując na czarnego mercedesa, zbliżającego się do krawężnika. Wsiadł z niego potężny ochroniarz ze słuchawką w uchu, która natychmiast zniknęła w zagłębieniu jego kołnierza, kiedy wyprowadzał z samochodu mężczyznę o siwych włosach, w którym Jessie rozpoznała burmistrza.

Weszli do środka za burmistrzem, świtą jego pomocników i ochroniarzy, ale Jessie nie mogła oderwać oczu od Jonathona. Wyglądał nawet przystojniej niż dotąd i był chyba jedynym człowiekiem, jakiego знаła, który wrócił z Londynu opalony. W swoim granatowym garniturze od Armaniego prezentował się zupełnie jak wzorzec sukcesu i nie miała wątpliwości, że był obiektem zazdrości wszystkich kobiet, które mijali, kierując się przez Grill Room do Fountain Room, gdzie odbywało się przyjęcie.

Weszli na grupę reporterów, fotografujących burmistrza, konwersującego z Bradem Hensley'em, szefem CTN-u. Jonathon wziął z tacy dwa kieliszki szampana i skierował się w stronę podium, gdzie za chwilę miał wystąpić burmistrz. Wkrótce Jonathon został otoczony wianuszkami kolegów, chcących dowiedzieć się od niego, jaką rolę odegrał rząd brytyjski w konflikcie na Bliskim Wschodzie. Każda nowa osoba, zazwyczaj płci żeńskiej, oddalała Jessie od Jonathona, w końcu więc Jessie poddała się sama i odeszła.

Dotarła do fontanny wielkości basenu, zajmującej centralną część sali, i baru z owocami morza, pełnego langust, krewetek, ostryg i przeróżnych rodzajów ryb, przygotowanych na sposób meksykański. Poczęstowała się jedną z tartinek roznoszonych na tacach przez kelnerów. Miała taki moment w życiu, kiedy taka śmietanka towarzyska i wielkie przyjęcia przypominały jej, dlaczego znalazła się w Nowym Jorku. Jednak teraz wolałaby być z Hunterem i pić z nim piwo zamiast szampana. Jadła krewetkę, przyglądając się Jonathonowi, kiedy rozmawiał ze współprowadzącą wieczorny serwis informacyjny w CTN-ie Judy Douglas i jednocześnie

zastanawiała się, co w tej chwili robi Hunter i czy też za nią tęskni.

- Proszę spojrzeć proszę pana, co znalazłem! - Billy Manfredi przybiegł do Huntera, prawie potykając się o własne sznurowadła.

Wyciągnął w jego stronę zaciśniętą dłoń i pokazał leżący na niej kamień o nierównych krawędziach.

- Ma kształt grota strzały, jest niemal taki sam, jak nam pan pokazywał!

Hunter uważnie mu się przyjrzał, chociaż na pierwszy rzut oka wiedział, że to nie był grot strzały. Oddał go Billy'emu, który był jednym z jego gorszych uczniów, mówiąc:

- Niezupełnie, ale świetnie się spisałeś Billy. Szukaj dalej. Dzieciaki! - zawołał na resztę dzieci brodzących w strumyku w poszukiwaniu skarbów - pamiętajcie, co wam mówiłem. Chodźcie tak, żebym nie stracił was z oczu.

- I tak niezwykle trudno było przygotować taką wycieczkę, więc nie potrzebował jeszcze dodatkowych komplikacji z poszukiwaniami zaginionych dzieci.

Większość kartek ze zgodami rodziców na wycieczkę szybko do niego wróciła, ale były takie dzieci, jak Billy, który regularnie gubił prace domowe, dzienniczek i korespondencję do rodziców. Potem Hunter siedział godzinami przy telefonie i odpowiadał na tysiące pytań rodziców, jak radzą sobie ich pociechy, co w zeszłym tygodniu zajęło mu prawie wszystkie popołudnia i wieczory.

- Złoto! Hurra! Jestem bogaty! - krzyczał chudy, ostrzyżony na języka Jordan McAuliffe, wyskakując ze strumienia z podwiniętymi nogawkami spodni, których kieszenie były pełne skarbów.

Złapał Huntera za rękę i pociągnął w kierunku czegoś, co pobłyskiwało zaraz pod powierzchnią wody.

Hunter próbował się nie roześmiać.

- Przykro mi, Jordan, ale nie kupisz na razie tego cadillaca. To fałszywe złoto. - Wy tłumaczył mu różnicę między pirytami i metalami szlachetnymi, ale widział błędzący wokół wzrok chłopca. Zarówno on jak i pozostałe dzieci były niezwykle podniecone wycieczką. Wkrótce Jordan dołączył do swoich kolegów.

Hunter czekał jeszcze aż dzieci spalą nadmiar energii, zanim zwołał je wszystkie na piknik. Po skończeniu zabranego przez Huntera lunchu, dzieci posprzątały wszystkie śmieci. Następnie wyruszyli na małą wyprawę, podczas której Hunter opowiadał o historii tego regionu oraz pokazywał im różne rośliny i owady. W szkole uczyli się o Yavapai, pierwszych osadnikach w tym regionie, o Indianach Nawaho, którzy zajmowali północne rejony, zwane „Four Corners”. Pracowali obecnie nad trójwymiarowym modelem wioski Nawahów, co skłoniło Huntera do opowiedzenia im

jego ulubionych historii, zasłyszanych w czasach dzieciństwa: o Matce Ziemi, Ojcu Niebie i ich córce - Zmiennej Kobiecie, która rodziła się każdej wiosny i zimą umierała jako stara kobieta, żeby kolejnej wiosny odrodzić się na nowo.

Opowiadał im też o ostatnim boju o te ziemie. Rada Ochrony Środowiska świętowała właśnie zwycięstwo w stanowym sądzie apelacyjnym, który orzekł na ich korzyść, tym samym wstrzymując działalność Burta Overby'ego do czasu wykonania odpowiednich testów i badań środowiska. W przekonaniu Huntera, to zwycięstwo było nawet istotniejsze niż werdykt w jego własnej sprawie. Wyjaśnił im prostymi słowami, że ta ziemia ze swoimi bogactwami naturalnymi w postaci wody, powietrza, roślin, owadów i zwierząt, które tu żyły, należała do nich, a nie do kilku ludzi czy koncernu. W związku z czym, jeżeli chcą ją zatrzymać, to będą musieli o nią walczyć, kiedy jego już zabraknie.

Gdy o tym mówił, w jego myśli wkradła się Jessie. Jeśli bardziej zdecydowanie walczyłyby o nią, może by tu została? Od dłuższego już czasu stracił nadzieję, że Jessie tu wróci. W nocy, kiedy kładł się spać, miał ją przed oczami. Dokładnie pamiętał, jak wyglądała bez makijażu, zaraz po przebudzeniu się, kiedy leżała obok niego z włosami o przeróżnych odcieniach miodu i radości rozrzuconymi na poduszce. Przypominał sobie, jak się śmiała, odrzucając do tyłu głowę i łapiąc za brzuch, zupełnie tak, jak to robią dzieci. To coś w jej oczach, kiedy się kochali; Jessie była jedyną kobietą, jaką znał, która przez cały czas miała otwarte oczy, jakby nie chcąc uronić ani jednej chwili.

Jeśli cierpię, powiedział do siebie w myślach, to tylko i wyłącznie moja wina. Sam brnął w ten związek, wiedząc, że zaręczyła się już z innym mężczyzną.

Kiedy wracali do szkoły, jeszcze raz nakazał dzieciom sprawdzenie terenu i zebranie wszelkich śmieci. Niektóre z nich nie były zachwycone tym pomysłem, więc Hunter musiał przypomnieć, przyświecające im motto: „Nic nie zabieramy, a zostawiamy po sobie tylko odciski stóp”.

Idąc ścieżką, Hunter przypominał sobie, jak wspólnie z Jessie wspinali się na Miner's Hill i kochali pod gołym niebem, za przyzwoleniem Boga i pięknej pogody. Myślał też, że jego życie już nigdy nie będzie takie samo. Na to wspomnienie zacisnęło mu się gardło. „Nic nie zabieramy, a zostawiamy po sobie tylko odciski stóp”. Sam powinien wziąć pod rozwagę tę radę.

Godzinę po rozpoczęciu przyjęcia i przemówieniu burmistrza oraz Brada Henley'a, Jessie ruszyła na poszukiwanie Jonathona. W końcu znalazła go, stojącego z Bradem. Ich głowy niemal się stykały; jedna była ciemna a druga srebrna, równie dobrze mogli być ojcem i synem. Jessie była pewna, że kiedy Brad odejdzie na emeryturę, Jonathon zastąpi go na jego stanowisku. Nie chodziło tylko o to, że był

inteligentny i świetnie wywiązywał się ze swoich obowiązków. Jonathon był w jakimś sensie podobny do Brada: obaj mieli to „coś”, ten czar, który nie przychodził do człowieka wraz z sukcesem, tylko był darem od Boga.

Jessie wiedziała, że powinna czuć się wyróżniona, że Jonathon ze wszystkich kobiet, które z łatwością mógłby mieć, wybrał właśnie ją na swoją żonę. Wiedziała także, że jeśli od niego odejdzie, to na jej miejsce zjawi się kilkanaście piękniejszych i bardziej spełnionych od niej kobiet; żadna z nich nie będzie miała nic przeciwko temu, że Jonathon spędza ze swoimi dziećmi zbyt wiele czasu i może w końcu, któregoś dnia odnieść nawet zwycięstwo nad Zachem i Sarą, i stanie się dla niego najważniejsza.

Nagle Jessie zdała sobie sprawę z tego, co od dłuższego już czasu podpowiadało jej serce: Jonathan nigdy nie będzie w stanie pokochać jej tak, jak na to zasługuje - całym sercem i ponad wszystko. To Hunter pokazał jej co to znaczy prawdziwa miłość, a teraz nie mogła już o tym zapomnieć.

Poczekwała aż Jonathon skończy rozmawiać z Bradem i dotknęła jego ramienia, żeby zwrócić na siebie uwagę. Atrakcyjna brunetka natychmiast zajęła miejsce odchodzącego Brada i wyglądała na mocno poirytowaną, że ktoś ją ubiegł. Jednak Jonathon nie zwrócił na to uwagi, przeprosił ją i oddalił się, obejmując Jessie w talii.

- Nie najlepiej się czuję - powiedziała mu. Nie było to kłamstwem, ciągle jeszcze słabo się czuła, ponadto na samą myśl o tym, co będzie mu musiała powiedzieć, rozboleł ją brzuch. - Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że urwę się troszkę wcześniej?

Spojrzał na nią zaniepokojony.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Nie, poradzę sobie - zapewniła go.

Dotknął jej czoła i zmarszczył się.

- Jesteś trochę rozpalona. Nie masz gorączki?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Naprawdę, Jon. Wszystko w porządku.

- Jesteś pewna?

- Tak, idź już. - Lekko szturchnęła go w bok. - Baw się. Jeszcze gorzej czułabym się, wiedząc, że zabieram najbardziej pożądanego przez wszystkich mężczyznę tego wieczoru.

Podniósł brew.

- Nawet ciekawszego od samego burmistrza?

- Przede wszystkim ciekawszego niż on. - Nie miała wątpliwości, że jeśli Jonathon startowałby w wyborach, wygrałby, i to z dużą przewagą.

- No cóż, w takim razie... - Spojrzał ponad jej głowę, jakby nie mógł już się doczekać powrotu do gości. Pocałowała go w policzek.

- Zadzwoń rano, może wrócę już do świata żywych.

- Myślisz, że wydobrzejesz na tyle, żeby pójść jutro na kolację?

- Zobaczę, jak się będę czuła - powiedziała. Tylko tego brakowało, żeby rozstawać się w tak publicznym miejscu, jakim była restauracja. - Może wpadniesz do mnie po pracy? Przecież nie musimy nigdzie wychodzić.

- Dobrze. Do zobaczenia więc. - Już odchodził, ale nagle wrócił się i powiedział:

- Cholera, prawie bym zapomniał. Obiecałem Sarze, że zabiorę ją ze szkoły. Chciała pokazać mi jakiś swój projekt.

- Nic się nie stało - odpowiedziała Jessie. - Spotkamy się innego wieczora. - Kiedyś może by się tym przejęła, ale teraz zupełnie nie cierpiała z tego powodu, że miała status porównywalny do drugiego skrzypka. Było jej tylko przykro, że sprawy nie ułożyły się tak, jak miała nadzieję, że się ułożą.

Trzy dni później Jessie siedziała w samolocie do Phoenix. Przyjechała do hotelu, który tonął w dekoracjach na Święto Dziękczynienia, mimo że samo święto było dopiero za kilka tygodni. Przy drzwiach frontowych stały dwie ogromne dynie, na drzwiach wisiał wieniec z kolb kukurydzy i zasuszonych papryczek chili. W środku, niedaleko drzwi, stał kosz pełen jabłek, a za nim na stoliku lśniło miedziane naczynie, wypełnione jesiennymi liśćmi. Ogień trzaskał na kominku. W pokoju kominkowym ustawiono termosy z grzonym cydrem i gorącą czekoladą, a obok nich miseczki pełne orzechów z posypką z cukru i przypraw, zrobioną własnoręcznie przez Erin.

- Wygląda to wszystko jak piękna scenografia - stwierdziła Jessie, rozglądając się po pomieszczeniu. Ten pokój z pewnością nie wyglądał tak dobrze za jej bytności tutaj. Wszystko lśniło: meble, a nawet szybki w kredensie. Z koszyeczka z szyszkami, stojącego przy kominku, roznosił się piękny leśny zapach.

Erin śmiała się na całe gardło. Miała na sobie luźny sweter i dżinsy. Z lekko rozwichrzonymi włosami i zaróżowionymi policzkami, wyglądała dużo lepiej niż w Nowym Jorku.

- No właśnie tak jest - powiedziała. Pilotażowy odcinek jej programu *Z Erin w domu* miał być kręcony w przyszły poniedziałek - wyjaśniła - a nadany w przeddzień Święta Dziękczynienia. Całe tygodnie spędzała na przygotowaniach.

- Nawet nie wiesz, co to za szaleństwo! Wyobrażasz sobie, że szykujemy już odcinek bożonarodzeniowy? - Erin była ostatnio tak zajęta, że ich kontakt ograniczył się do krótkich, zupełnie telegraficznych e-maili.

Jessie zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskni za Erin.

Dlatego odrzuciła zaproszenie od Beverly. Woląa zatrzymać się w hotelu, w pokoju na strychu, który ostatnio zajmował Skip. Oczywiście to, że Hunter mieszkał w pobliżu też miało znaczenie. Sama myśl o nim i świadomość, że dzieli ją od niego dziesięć minut drogi, spowodowała, że serca biło jej dużo szybciej.

Wieczorem, kiedy goście poszli do swoich pokoi, a Skip i Kayla do łóżek, Jessie i Erin miały w końcu chwilę dla siebie. Erin nalała im po kieliszku sherry z kryształowej karafki i usiadły na sofie naprzeciw kominka.

- No więc? Jak poszło z Jonathonem? - Z zapału, zawartego w głosie Erin, wynikało, że cały dzień wręcz umierała z ciekawości. Nie rozmawiały od chwili, kiedy Jessie zwierzyła jej się z planu zerwania zaręczyn z Jonathonem.

- To było straszne. - Jessie wzięła duży łyk uzdrawiającej złamane serca sherry. - Nie robił żadnych scen i to sprawiło, że jeszcze gorzej się czułam. Tak, jakby w głębi duszy już coś przeczuwał.

- Wie o Hunterze? - Erin zapytała z zainteresowaniem.

Jessie zaprzeczyła.

- Nie było sensu mu tego mówić. I tak już było to straszne.

- Biedna ty moja. - Erin pocieszała ją i objęła ramieniem. - Wyobrażam sobie, jak się czułaś.

- Sama przechodziłaś to z Drew. - Przypomniała jej Jessie, mówiąc szeptem, w razie gdyby Skip znalazł się w pobliżu.

- Ja nie byłam z nim zaręczona, poza tym nie kochałam go.

Jessie westchnęła.

- Tak naprawdę, to nie wiem, czy rzeczywiście kochałam Jona. - Czasem myślę, że kochałam wyobrażenie o nim. Kiedy nasz związek zaczynał się rozpadać, myślałam że to przez Huntera. Teraz patrzę na to z innej perspektywy: nigdy nie zaangażowałabym się w związek z Hunterem, gdybym nie miała mieszanych uczuć.

- Nie dostałaś od Jonathona tego, czego potrzebowałaś - szybko dodała Erin. - Nie zrozum mnie źle, to miły facet, ale nie chciał dać z siebie więcej. - Erin uśmiechnęła się do siebie, myśląc jak wiele wspólnie przeszli ze Skipem i ile on jej z siebie dawał. - To przypomina mi o czym, a właściwie o kimś, kto zrobiłby wszystko, żeby być z tobą. Ten ktoś mieszka tuż za rogiem i nie musisz daleko szukać.

Serce Jessie zaczęło szybciej bić.

- Jak mogę mieć pewność, że w ogóle chcesz mnie jeszcze widzieć. Nie wydawał się zbyt szczęśliwy, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

- Daj temu biedakowi chwilę! Sama mówiłaś mu, że nie chcesz się z nim wiązać, a teraz ma się cieszyć, że zadzwoniłaś, żeby mu pogratulować wygrania sprawy,

zamiast powiedzieć mu, że zmieniłaś zdanie i chcesz być z nim. Tego właśnie się spodziewał, a nie gratulacji.

- Nigdy mu nie mówiłam, że nie chcę go więcej widzieć - Jessie wpatrywała się w strzelające w kominku płomienie.

- Może tak było - powiedziała Erin. - Hunter jest bardzo dumnym mężczyzną. Jak myślisz, co miał robić? Paść ci do stóp?

- Może już kogoś ma.

- A może nie.

Jessie znów spojrzała na Erin, która miała podejrzenie przebiegły uśmiech.

- Jesteś tego pewna?

- Właściwie tak. - Erin piła swoje sherry, jakby sprawiało jej przyjemność zwodzenie Jessie. - Któregoś dnia wpadłam na Linka Woodhouse'a. Powiedziałam mu, że chciałabym umówić Huntera z pewną moją koleżanką i spytałam, czy myśli że Hunter byłby zainteresowany.

- Nie zrobiłaś tego! - Jessie patrzyła na nią uważnie, a po chwili z zainteresowaniem pochyliła się w jej stronę i zapytała bez tchu: - No i co powiedział Link?

- Obrzucił mnie dziwnym i zabawnym spojrzeniem. - Erin nie musiała dodawać, że oprócz tego, że Link był starym znajomym Huntera, to jeszcze był dziennikarzem, wyjadaczem, który od razu wyczuwał tego typu podchody. - Potem jakby mrugnął okiem i powiedział, że jest pewna wyjątkowa dama, która gości w sercu Huntera.

Jessie, patrząc do czego zmierza Erin, oblała się rumieńcem.

- Skąd wiesz, że mówił o mnie?

- To chyba oczywiste, prawda? - Erin spojrzała na nią znacząco, dając jej do zrozumienia, że najwyższa pora na działanie. - Jeśli mi nie wierzysz, to może sama się przekonasz. Jutro jest niedziela. Może złożysz mu wizytę?

Następnego ranka, Jessie wstała, gdy było jeszcze ciemno. Ciągle miała ten nawyk, wyrobiony podczas jej krótkiej kariery w hotelu, który mogła już dawno wykorzenić. Na dole, w kuchni, przygotowała sobie kawę. Nie miała nic specjalnego do zrobienia, a że nie mogła odgonić nachodzących ją przez pół nocy myśli, otworzyła paczkę z ciastem biszkoptowym. Wyjmowała z opakowania porcję surowego ciasta, kiedy Erin, ziewając, weszła do kuchni. Nie wyglądała na zaskoczoną, widząc swoją przyjaciółkę tak wcześnie. Właściwie nawet uśmiechnęła się na samą myśl, że było do przewidzenia, zastać ją w fartuchu, wałkującą ciasto o szóstej rano w niedzielny poranek.

- Nie mogłaś spać, prawda? - powiedziała, sięgając po kubek, żeby nalać sobie



kawy.

Jessie wzruszyła ramionami.

- To pewnie przez różnicę czasu.

- Tak, pewnie tak - odpowiedziała Erin, jakby знаła właściwą przyczynę bezsenności Jessie. Popatrzyła na ciasto, w którym Jessie wykrawała biszkopty. - Skończę to już. Może weźmiesz Otisa na spacer.

- Otis wcale nie potrzebuje mojego towarzystwa - powiedziała Jessie, zabierając się za wałkowanie kolejnej partii ciasta.

- Obu nam dobrze zrobi trochę świeżego powietrza - nalegała Erin, trącając Jessie łokciem. Zagwizdała na Otisa, który smacznie spał jeszcze na swoim posłaniu przy kuchence. Podniósł się, machając ogonem.

Jessie otworzyła usta, by zaprotestować, ale Erin już rozwiązywała jej fartuch i wypychała ją za drzwi. Chwilę później Jessie biegła ścieżką za Otisem, śmiejąc się głośno. Zatrzymała się, żeby wyrównać oddech dopiero przy końcu ścieżki, skracającej w główną drogę. Otis znikł jej z oczu. Za chwilę zobaczyła go na pagórku, jak biegł w stronę domu Huntera. Zatrzymał się i patrzył na nią wyczekująco, jakby zachęcał ją do dołączenia do niego. Wydawało się, że stanowi część przygotowanego przez Erin spisku.

Słońce już wschodziło, kiedy wyszła z zakrętu, prowadzącego do domu Huntera, o dwóch kondygnacjach. Z tego miejsca, w którym stała, widać było fragment domu, poprzez gałęzie drzew przysłaniające widok. Kiedy dostrzegła zaparkowanego przez domem Nissana Pathfinderera, serce zaczęło jej szybciej bić.

Zauważyła również dym, unoszący się z komina, więc oznaczało to, że już wstał i krząta się po domu. Nie powinna więc być zaskoczona, kiedy zobaczyła otwierające się drzwi wejściowe i wychodzącego z nich Huntera. Miał na sobie dżinsy, spraną granatową kurtkę i równie znoszone buty kowbojskie. Wyglądał tak samo, jak wtedy, gdy pojawił się w jej życiu. Jessie miała wrażenie, że znów przeżywa ten moment, tylko teraz jej serce biło dużo szybciej. Wydawało się, że zaraz wyskoczy jej z piersi.

Patrząc jak idzie w jej stronę, nagle poczuła, że nie może ruszyć się z miejsca. Otis nie miał takich problemów. Podbiegł w jego stronę i szczeknął na dowód, że go poznaje. Hunter zatrzymał się na chwilę, żeby go pogłaskać i podszedł do niej. Zatrzymał się kilka kroków od Jessie, lekko się wahając.

- Nie wiedziałem, że jesteś w mieście - powiedział.

- Właśnie przyjechałam. - Twarz zaczęła ją piec, jakby stała za blisko ognia.

- Dobrze wyglądasz.

- Dziękuję, ty też. - Spojrzała na niego. - Obciąłeś włosy. Wcześniej miał włosy

do wysokości uszu, teraz były przycięte parę milimetrów od skóry.

- Jedna z gazet opisywała mnie jako współczesnego Geronimo. Pomyślałem, że najwyższa pora na zmianę wizerunku. - Wytlumaczył, śmiejąc się.

- Trzeba się będzie przyzwyczaić - powiedziała, zrobiło jej się ciepło, kiedy dotarła do niej myśl, co mogły oznaczać te słowa. I znaczyłyby dużo więcej, gdyby Hunter do niej podszedł. Na myśl przyszła jej przygnębiająca refleksja: a może wyszedł do niej dlatego, że w środku był ktoś inny, jakaś inna kobieta. Cofnęła się o krok, krzyżując ręce na piersi. - Powiedz, co u ciebie.

- Nie najgorzej. A u ciebie?

*Powiedz mi, podpowiadał jej jakiś głos w głowie. Powiedz mi, że nie przeżyjesz kolejnego dnia, ani kolejnej chwili bez niego. Zamiast tego, powiedziała:*

- Dochodzę do siebie po ciężkiej grypie, ale z każdym dniem coraz lepiej się czuję.

- Sprowadziły cię tu sprawy rodzinne czy po prostu wpadłaś w odwiedziny?

- Jedno i drugie.

Musiała jeszcze powiedzieć matce o zerwanych zaręczynach i obiecała sobie, że zrobi to osobiście, zwłaszcza po tym, jak zachowała się dawno temu, narażając Beverly na te wszystkie przejścia. Jednak nie to było prawdziwym powodem wizyty Jessie tutaj. *Przyjechałam z twojego powodu, krzyczała sama do siebie w myślach, ale nie była w stanie wypowiedzieć tego głośno. Musiałam cię zobaczyć, dotknąć, usłyszeć twój głos.*

Spojrzał na jej dłoń, na której powinien znajdować się pierścienek zaręczynowy.

- Jesteś tu ze swoim... narzeczonym? - zapytał o to beznamiętnie.

Zaprzeczyła, pytając, a właściwie prosząc:

- Mogę wejść do środka? Musimy porozmawiać.

Wahał się przez chwilę, co znowu przywołało jej obawy, czy nie miał żadnego towarzystwa, czy w tej chwili nie było w jego łóżku jakiejś kobiety, która właśnie przebudzała się, patrząc na sterty porozrzucanych po podłodze ubrań i czując dym z kominka rozpalonego właśnie przez Huntera. Jednak on skinął głową, mówiąc:

- Właśnie wstawiłem kawę. Myślę, że dobrze zrobi ci filiżanka kawy.

Jessie cała się trzęsła, idąc za nim ścieżką, a Otis radośnie szedł przy jej boku. Dom był dokładnie w takim stanie, jakim go zapamiętała: czysty i schludny. Pod tym względem Hunter nie był typowym kawalerem. Lubił, żeby wszystkie rzeczy stały na swoim miejscu, dzięki czemu szybko je znajdował. Brakowało tylko, ku jej uldze, znaków bytności kobiety. Żadnych pamiątek, zawieruszonych szminek, ani za małych na Huntera kurtek wiszących przy drzwiach. W kuchni było czysto, naczynia z poprzed-

niego dnia leżały umyte na suszarce przy zlewie, jedyną rzeczą, znajdującą się nie na swoim była otwarta paczka kawy na bufecie.

Usiadła na krześle przy stole. Patrzyła, jak miele kawę w ziarnach. - Kawa rozpuszczalna Nescafe często pita w rezerwacie, nauczyła go doceniać prawdziwy smak świeżo mielonej prawdziwej kawy. Jessie przypominała sobie poranki, kiedy siedziała dokładnie w tym miejscu, zawinięta w jego granatowy szlafrok frotte i patrzyła jak przygotowywał śniadanie. W pewnym sensie było tak, jakby nic się nie zmieniło od ostatniego razu, kiedy się z nim widziała. Tymczasem jednak zmieniło się wszystko.

Kiedy kawa skończyła się już parzyć, przyniósł dwie parujące filiżanki napoju, postawił je na stole i usiadł naprzeciw niej. Wtedy opowiedziała mu o Jonathonie, że między nimi wszystko skończone. Z początku Hunter nic nie powiedział, po prostu siedział tam w bezruchu, otaczając filiżankę rękami, a twarz miał skapaną w obłoczkach unoszącej się ponad kawą pary.

- Nie żałujesz? - w końcu zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Tylko jednego, że tak długo z tym zwlekałam.

Jeden z kącików jego ust podniósł się w uśmiechu.

- Wiem, że chociaż z grzeczności powinienem powiedzieć, że mi przykro, ale nie...

- Co nie? Nie jesteś uprzejmy, czy nie jest ci przykro? - Nie udał jej się zbytnio ten żart.

- Jedno i drugie. Właściwie to gdybyś wiedziała, o czym w tej chwili myślę, nie musiałabyś zadawać tego pytania. Powiedzmy sobie, że uprzejmość nie jest najlepszym słowem, nadającym się na określenie moich myśli.

- To o czym myślisz?

- O tym, że chciałbym cię teraz porwać do łóżka.

Jessie poczuła rosnącą wewnątrz niej nadzieję. Kiedy Hunter odstawił filiżankę i sięgnął przez stół, żeby chwycić ją za rękę, zapytała:

- A co właściwie cię zatrzymuje?

Pół godziny później leżeli w łóżku, odpoczywając po namiętym seksie.

- Czy to oznacza, że rozważasz poślubienie spłukanego gościa, żyjącego z nauczycielskiej pensji? - Droczył się z nią, zahaczając swoją nogą o nogę Jessie i nawijając na palec pukiel jej włosów.

Zaśmiała się nerwowo i wyplątując się z jego uścisku, usiadła na łóżku.

- Właśnie skończyłam jeden związek. Daj mi chwilę na złapanie oddechu.

Przeturlał się na swoją stronę łóżka, oparł głowę na łokciu, patrząc na nią uważnie:

- To w takim razie o jakim rodzaju związku teraz myślisz?

- Sama nie wiem. - Jessie jeszcze do końca tego nie przemyślała, a w tej chwili zaskoczyło ją to pytanie. - Co byś powiedział na przeprowadzkę na Manhattan? - Zanim zdążył odpowiedzieć, pokręciła przecząco głową. - Nie, zapomnij o tym, co właśnie powiedziałam. - Przecież Hunter nie mógł się stąd ruszyć, był związany z tym miejscem.

- Z innej strony patrząc, to mogłabyś zamieszkać tu - powiedział. - Ze mną.

- Ale tęskniłabym za Nowym Jorkiem. Nie mogę sobie wyobrazić, że nie miałabym tam spędzić choć części roku.

- Zawsze jest to jakieś rozwiązanie.

Spojrzała na niego, zaskoczona.

- O czym ty mówisz?

- Mówię o tym, że mam wolne wakacje letnie, ferie wiosenne i zimowe - odpowiedział. - Poza tym zawsze chciałem zobaczyć Manhattan. Słyszałem, że warto się wybrać do Muzeum Historii Naturalnej.

- Mówisz serio? Zrobiłbyś to? - zapytała, ledwo mogąc uwierzyć w to, co usłyszała przed chwilą.

- Czy kiedykolwiek powiedziałem coś, czego nie miałem wcale na myśli?

- To mogłoby się udać - powiedziała ostrożnie. Nawet jeśli zamieszkałaby z Hunterem, mogłaby przecież zachować mieszkanie w Nowym Jorku. - Oczywiście, musielibyśmy się dostosować, jeśli... - urwała w połowie zdania, uświadamiając sobie, że nigdy nie rozmawiali o dzieciach.

- Jeśli co?

- A co myślisz o dzieciach?

- Wziąwszy pod uwagę moich dwadzieścioro pięcioro, myślę, że swobodnie mogę powiedzieć, że lubię dzieci - powiedział ze śmiechem na ustach, próbując żartować.

- Nie mówiłam o twoich uczniach - oświadczyła Jessie, marszcząc się i dając mu do zrozumienia, że mówi poważnie.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta.

- Zawsze chciałem mieć dzieci. Właściwie to moglibyśmy spróbować już teraz, jeśli chcesz. Jego ręka wędrowała po jej biodrze, rozwiewając wszelkie jej obawy, jak i plany powrotu do hotelu.

W tym momencie Otis grzecznie szczechnął, zaznaczając, że on był gotów do

powrotu, nawet jeśli ona nie miała takich planów. Jessie niechętnie wyplątała się z objęć Huntera.

- Muszę wracać. Obiecałam Erin, że pomogę jej przygotować kolację na Święto Dziękczynienia.

Wyglądał na zbitego z tropu.

- Ale Święto Dziękczynienia jest dopiero w przyszłym miesiącu.

Powiedziała mu o programie, który miał być nagrywany nazajutrz.

- Właściwie może byś wpadł popołudniu? Zostanie mnóstwo jedzenia, nawet ekipa telewizyjna się załapie.

- Z przyjemnością - powiedział, kiedy wychodzili z łóżka i zaczęli się ubierać.

- Pod jednym warunkiem: obiecasz mi, że w prawdziwe święto pozwolisz mi gotować. Jeśli nigdy jeszcze nie byłeś na Święcie Dziękczynienia u Nawahów, to należy ci się zaproszenie.

- Nie wiedziałam, że umiesz gotować. - Jedyne raz, kiedy widziała go przy kuchni, smażył jajecznicę.

- Jestem pełen niespodzianek - powiedział, mrugając okiem i wciągając buty.

Jessie poczuła się nieswojo. Wchodziła w zupełnie nowy rozdział życia, gdzie pewnie nie wszystkie niespodzianki będą pozytywne. Życie jednak nigdy nie pisze zakończeń jak z bajki, a nawet jeśli takie czasami się zdarzają, to czy w pewnym sensie nie jest to sztuczne? Nawet jako dziecko Jessie uważała, że sformułowanie „i żyli długo i szczęśliwie” było małym oszustwem. Przecież najczęściej właśnie w takim momencie wszystko się zaczynało!

Stali przy drzwiach, Hunter chwycił swoją kurtkę, wiszącą na wieszaku, mówiąc:

- Odprowadzę cię.

Musiała wyglądać na zadowoloną - nie chciała się z nim rozstawać nawet na chwilę dłużej, niż było trzeba. Hunter droczył się z nią:

- Czy uważasz, że pozwoliłbym ci pójść samej? Skąd mogę mieć pewność, że nie napadnie cię niedźwiedź? Albo jakiś szaleniec ze strzelbą?

Podniosła brew.

- Albo jakiś splukany Indianin, który nie wiadomo, co knuje?

- To też. - Objął ją w talii i ruszyli do hotelu.